

Bartek Sabela
WSZYSTKIE ZIARNA PIASKU



W serii ukazały się ostatnio:

Paweł Smoleński *Oczy zasypane piaskiem*

Scott Carney *Czerwony rynek. Na tropie handlarzy organów, złodziei kości, producentów krwi i porywaczy dzieci*

Mateusz Janiszewski *Dom nad rzeką Loes*

Norman Lewis *Neapol '44. Pamiętnik oficera wywiadu z okupowanych Włoch*

Witold Szablowski *Zabójca z miasta moreli. Reportaże z Turcji* (wyd. 2 rozszerzone)

Peter Harris *Słuszny opór. Konstruktorzy bomb, rebelianci i legendarny proces o zdradę stanu*

Liao Yiwu *Bóg jest czerwony. Opowieść o tym, jak chrześcijaństwo przetrwało i rozkwitło w komunistycznych Chinach*

Dariusz Rosiak *Wielka odmowa. Agent, filozof, antykomunista*

Anthony Shadid *Nadciągająca noc. Irakijczycy w cieniu amerykańskiej wojny*

Ilona Wiśniewska *Białe. Zimna wyspa Spitsbergen*

Iza Klementowska *Samotność Portugalczyka*

V. S. Naipaul *Poza wiarą. Islamskie peregrynacje do nawróconych narodów*

Drauzio Varella *Ostatni krąg. Najniebezpieczniejsze więzienie Brazylii*

Ewa Winnicka *Angole*

Michał Olszewski *Najlepsze buty na świecie*

Norman Lewis *Głosy starego morza. W poszukiwaniu utraconej Hiszpanii*

Grzegorz Szymanik *Motory rewolucji*

V. S. Naipaul *Maska Afryki. Odstępny afrykańskiej religijności*

Karolina Domagalska *Nie przepraszę, że urodziłam. Historie rodzin z in vitro*

Pin Ho, Wenguang Huang *Uderzenie w czerń. Morderstwo, pieniądze i walka o władzę w Chinach*

Liao Yiwu *Pociski i opium. Historie życia i śmierci z czasów masakry na placu Tiananmen*

Marcin Wójcik *W rodzinie ojca mego*

Frances Harrison *Do dziś liczymy zabitych. Nieznana wojna w Sri Lance*

Zbigniew Parafianowicz, Michał Potocki *Wilki żyją poza prawem.*

Jak Janukowycz przegrał Ukrainę

Peter Hessler *Dziwne kamienie. Opowieści ze Wschodu i z Zachodu*

Magdalena Kicińska *Pani Stefa*

Andrzej Muszyński *Cyklon*

Swietłana Aleksijewicz *Czasy secondhand. Koniec czerwonego człowieka* (wyd. 2)

Filip Springer *Miedzianka. Historia znikania* (wyd. 3 rozszerzone)

Aleksandra Łojek *Belfast. 99 ścian pokoju*

Paweł Smoleński *Izrael już nie frunie* (wyd. 4)

Peter Pomerantsev *Jądro dziwności. Nowa Rosja*

Swietłana Aleksijewicz *Cynkowi chłopcy* (wyd. 2)

Katarzyna Surmiak-Domańska *Ku Klux Klan. Tu mieszka miłość*

Mur. 12 kawałków o Berlinie pod red. Agnieszki Wójcińskiej

Jean Hatzfeld *Englebert z rwandyjskich wzgórz*

Marcin Kącki *Białystok. Biała siła, czarna pamięć*

W serii ukazą się m.in.:

Anna Bikont *My z Jedwabnego* (wyd. 3)

Johan Persson, Martin Schibbye *438 dni. Nafta z Ogadenu i wojna przeciw dziennikarzom*

Bartek Sabela

Wszystkie ziarna piasku



Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka
Projekt układu typograficznego Robert Oleś / d2d.pl
Fotografia na okładce © by Bartek Sabela
Fotografie wewnątrz tomu: Bartek Sabela, Mohammed Moulud,
Mohammed Dchira

Copyright © by Bartek Sabela, 2015

Opieka redakcyjna Łukasz Najder

Redakcja Tomasz Zając

Konsultacja merytoryczna Hanna Jankowska i dr hab. Adam Kosidło

Korekty Renata Arkuszewska / d2d.pl, Monika Pasek / d2d.pl

Redakcja techniczna i skład Robert Oleś / d2d.pl

ISBN 978-83-8049-194-6

Spis treści

Seria

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Nota o języku

Wykaz skrótów

I Patrząc przez ucho od igły

II Moja pustynia murem podzielona

III Siedemdziesiąt szabli

Bibliografia

Podziękowania

Przypisy

Kolofon

Mojej siostrze Oli i Sørenowi



Żadna z postaci występujących w książce nie zgodziła się na zmianę swojego imienia.

Nota o języku

Imiona i nazwiska pojawiających się w książce Saharyjczyków oraz większości osób narodowości arabskiej zapisywane są w rozpowszechnionych na Zachodzie wariantach w hiszpańskiej, francuskiej i angielskiej uproszczonej transkrypcji języka arabskiego. Wyjątek stanowią nazwiska, które zadomowiły się już w polszczyźnie w innej formie, np. Jasir Arafat, Mu'ammar Kaddafi.

Nazwy saharyjskich miast, wsi, oaz lub obozów dla uchodźców zapisywane są w wariantach hiszpańsko- lub francuskojęzycznych.

Takie międzynarodowe warianty nazw własnych ułatwią zainteresowanym czytelnikom dalsze poszukiwanie informacji na temat Sahary Zachodniej w internecie, prasie lub innych źródłach drukowanych.

Nazwy marokańskich, algierskich i mauretańskich miast, wsi lub oaz zapisywane są w ramach uproszczonej polskiej transkrypcji języka arabskiego (zgodnie z zeszytami Komisji Standaryzacji Nazw Geograficznych).

Większość pojęć i nazw odnoszących się do szeroko rozumianej kultury arabskiej (np. hassanijja, chajma, dżalabija) zapisywana jest w uproszczonej polskiej transkrypcji języka arabskiego.

Wykaz skrótów

- AFAPREDESA – Asociación de Familiares de Presos y Desaparecidos Saharais – Stowarzyszenie Rodzin Więźniów i Zaginionych Saharyjczyków
- CODAPSO – Comité para la Defensa del Derecho de Autodeterminación del Pueblo del Sahara Occidental – Komitet Obrony Praw do Samostanowienia Ludności Sahary Zachodniej
- CODESA – Colectivo de Defensores Saharais de Derechos Humanos – Stowarzyszenie Saharyjskich obrońców Praw Człowieka
- CORCAS – Conseil Royal Consultatif pour les Affaires Sahariennes – Królewska Rada Doradcza do spraw Sahary
- DGAI – Direction Générale des Affaires Intérieures – Generalna Dyrekcja Spraw Wewnętrznych
- DGED – Direction Générale des Études et de la Documentation – Generalna Dyrekcja do spraw Badań i Dokumentacji
- DGST – Direction Générale de la Surveillance du Territoire – Generalna Dyrekcja Nadzoru Terytorium
- ELPS – Ejército de Liberación Popular Saharaui – Saharyjska Ludowa Armia Wyzwolenia
- FA – Forces Auxiliaires – Siły Wsparcia
- FAR – Forces Armées Royales – Królewskie Siły Zbrojne
- FLU – Frente de Liberación y de la Unidad – Front Jedności i Wyzwolenia
- GUS – Groupes Urbains de Sécurité – Miejskie Grupy Bezpieczeństwa
- IER – Instance Équité et Réconciliation – Komisja Sprawiedliwości i Pojednania
- MINURSO – Mission des Nations Unies pour l’Organisation d’un Référendum au Sahara Occidental – Misja Organizacji Narodów Zjednoczonych do spraw Referendum na Saharze Zachodniej
- OJA – Organizacja Jedności Afrykańskiej
- OXFAM – Oxford Committee for Famine Relief – Oksfordzki Komitet Pomocy Głodującym
- PCCMI – Point de Commandement de la Campagne Mobile d’Intervention – Komenda Krajowej Komórki Interwencyjnej
- POLISARIO – Frente Popular de Liberación de Saguia el Hamra y Río de Oro – Front Wyzwolenia Saguia el Hamra i Rio de Oro
- PUNS – Partido de la Unión Nacional Saharaui – Partia Jedności Narodowej Saharyjczyków
- RASD – República Árabe Saharaui Democrática – Saharyjska Arabska Republika Demokratyczna
- RG – Renseignements Généraux – Wywiad Ogólny
- SN – Sûreté Nationale – Służby Bezpieczeństwa
- SRGR – Service de Renseignement de la Gendarmerie Royale – Agencja Wywiadu Żandarmerii Królewskiej
- UA – Unia Afrykańska
- UJSARIO – Unión de la Juventud de Saguia el Hamra y Río de Oro – Związek Młodzieży Saguia el Hamra i Rio de Oro
- UN – United Nations – Organizacja Narodów Zjednoczonych
- UNHCR – United Nations High Commissioner for Refugees – Wysoki Komisarz Narodów Zjednoczonych do spraw Uchodźców

USAID – United States Agency for International Development – Amerykańska Agencja Rozwoju
Międzynarodowego
WFP – World Food Programme – Światowy Program Żywnościowy

I Patrząc przez ucho od igły

*From the wind you come
To the wind you walk
Stranger like a fugitive grain of sand^[1]*

Hamza Lakhali

Widzę jego szczupłe dłonie rozstawiające małe szklaneczki z grubego karbowanego szkła. Równiutko, jedna obok drugiej, w dwóch rzędach, na metalowej, okrągłej tacy. Każdą z nich wyciera papierowym ręcznikiem i wstawia na swoje miejsce. Powoli, delikatnie, dokładnie. Szklaneczki stukają w metalową tacę jedna po drugiej, a on pochyla się nad naczyniem z węgielkami i rozdmuchuje żar. Pojedyncze iskierki wylatują wysoko w powietrze, po czym spadają na dywan, upstrzony powypalanymi dziurami i finezyjnymi plamami. Teraz otwiera srebrne, stojące obok naczynie i wysypuje sobie na dłoń górkę małych, poskręcanych bobków zielonej herbaty. Po chwili dosypuje jeszcze troszkę. I jeszcze odrobinę. Bo herbaty musi być dużo, pół szklaneczki, żeby nie była za słaba. Wsypuje ją do czajniczka, mniejszego, jednego z dwóch, które przed nim stoją. W tym drugim jest wrzątek, który zaraz wleje do herbaty. Wleje jedynie odrobinę, bo herbaciane bobki trzeba najpierw opłukać, umyć z kurzu i pyłu. Kręci więc w dłoniach mniejszym czajniczkiem, a potem mętny, błotnisty wręcz płyn wylewa do jednej ze szklaneczek. Teraz dodaje więcej wody i odstawia czajniczek na węgielki.

Patrzę, podziwiam, delektuję się widokiem, którego jeszcze nie rozumiem. Nie pytam, po prostu patrzę, co robi. Biorę udział w herbacianym misterium. On wyjmuje teraz małe kamyczki z drewnianej szkatułki i kruszy je mosiężnym moździerzem. Kilka z nich wrzuca do pierwszej szklaneczki. Wyglądają jak żywica, złociste, przezroczyste, spękane. To wszystko dzieje się jakby w zwolnionym tempie, leniwie, ospale. Bo i nie ma gdzie się śpieszyć. Powietrze wypełnia się kłębkami pary, a w moje nozdrza trafia słodkawy, nieznanym jeszcze zapach. On bierze czajniczek i wlewa napar, ale jedynie do pierwszej szklanki. Patrzę, jak unosi ją i precyzyjnie przelewa brunatną zawartość do kolejnej, a potem

do następnej i jeszcze następnej. Elegancko. Dostojnie. Cierpliwie. Każda kropla herbaty wędruje przez kolejne szklaneczki, a spadając z wysoka, zostawia herbacianą piankę. Miękką, białą, aksamitną. Wszystko robi prawą ręką. Nie tylko dlatego, że w lewej trzyma papierosa. Ot, herbatę należy przygotowywać prawą ręką, taki zwyczaj. Po każdym ruchu przekręca szklaneczkę w palcach i odstawia na tacę. Brzdęk. Brzdęk. Biała koronka pnie się powoli po ściankach szklanek. Rytm metalowego brzdęku i herbacianego bulgotania unosi mnie jak hipnoza. Brzdęk. Brzdęk. Albo wytworny koncert lub seans iluzji. Bo on nie uroni nawet kropli, choć herbata spada do malutkiej szklaneczki z wysokości pół metra. Ta pianka to wbrew pozorom nie tylko dekoracja, mówi. Jak parzysz herbatę na pustyni, to dzięki piance pył nie leci do środka.

Cukru też musi być dużo. Co najmniej tyle, ile herbaty, pół szklaneczki, lub solidna, duża kostka odłupana nożem z dużej głowy cukru. Wrzuca ją do czajnika, żeby sobie powoli rozmiękla, ale już nie odstawia go na węgielki. Z cukrem nie można już parzyć, powie. Teraz znów przelewa herbatę, tym razem z czajniczka do szklanki i z powrotem. Po to, by wymieszać cukier. A potem nalewa odrobinę naparu do swojej szklanki, próbuje, mlaska, cmoka, odstawia znów na tacę. Bo gorzka. Więc do czajniczka wrzuca kolejną kostkę cukru i znów przelewa w tę i we w tę. A gdy już wszystko gotowe, ceremonia zbliża się do końca, on unosi czajniczek w prawej dłoni wysoko na wyciągniętą rękę i nalewa niewielką ilość do każdej ze szklanek. Gorąca, dymiąca, słodka i bardzo mocna. Słyszysz ją? – pyta, podając mi herbatę. Ta szklaneczka będzie najmocniejsza, najbardziej esencjonalna, najprawdziwsza.

Saharyjczycy mówią, że jest gorzka jak życie.

Nie ma nawet okna. Puste ściany pomalowane olejną, błyszczącą farbą na kolor budynku śmietankowego. Na podłodze małego pokoju leży wzorzysty arabski dywan, lekko sfatygowany, gdzieś poplamiony lub przypalony. Pod ścianami dokoła rozłożone brązowe otomany i poduszki wyszywane złotymi nitkami w arabskie esy-floresy, ważące tyle, że trudno je podnieść. Wiele więcej w tym pokoju nie znajdziemy. Jeszcze tylko stolik z ceratą, a na nim stary laptop, który zmęczonym wiatraczkiem zagłusza nawet odgłos ulicy. Okno w zasadzie jest, tylko nie na ulicę. Do drugiego pokoju. Dopiero ten posiada okno na zewnątrz, ale i tak całe w kratkach i zasłonięte firanką. Wysoko nad głową, w rogu pokoju, umieszczona dość przypadkowo, pali się długa świetlówka, której mrugające światło wita mnie każdego poranka. Obok niej na kablu dynda jeszcze samotna lampa, zagubiona w budyniowym bezkresie. Bez nich byłoby zupełnie ciemno. Wokół lampy tańczą powolnie kłęby papierosowego dymu zmieszane z oparami czarnego kadzidelka. Z głośników rżężącego laptopa leci *Cocaine* Claptona, a zza murów słycać wieczorne wezwanie do modlitwy, płynące ze skrzeczących głośników pobliskiego minaretu. Gdyby nie ten głos muezzina, można by pomyśleć, że jestem na tyłach jakiegoś klubu bluesowego. Ale nie. Leżę na otomanie i przypatruję się przypadkowym kształtom wytworzonym przez sufit, ścianę i schody biegnące na pierwsze piętro. Wyjmuję aparat, robię im zdjęcie. Potem fotografuję okno do okna i stolik. Będą ładne zdjęcia z wyjazdu. Zaczynam się oswajać z tym widokiem. Te budyniowe ściany staną się moim obrazem tego miejsca. Wtedy, trzeciego dnia, jeszcze nie wiedziałem, że prawie jedynym. Z każdym dniem dostrzegam w moim pustym pokoju coś nowego, czego nie zauważyłem wcześniej. Mamy dla siebie bardzo dużo czasu, poznamy się w każdym calu, wzdłuż i wszerz, i w poprzek. On mnie, a ja jego. Na środku zastawa do parzenia herbaty, taca, szklanki, czajniki. Jedna ze ścian kryje ciekawy zakamarek, schowek, do którego odważam się wejść dopiero po kilku dniach. Tam jest więcej koców i jeszcze więcej poduszek, zlewozmywak oraz wielka głowa

cukru pilnowana przez biało-czarną kotkę. W drugim pokoju, tym z oknem na świat, jest jeszcze bardziej pusto, ale tam raczej nie wchodzę, no bo okno właśnie. Jak zasłonimy zasłony, to będzie podejrzane, mówi mój gospodarz. Lepiej mieć odsłonięte i nie zbliżać się do niego zanadto.

Mówię już o nim „mój pokój”. To dlatego, że nie mogę z niego wyjść. Całe dni i noce spędzam w jego milczącym towarzystwie, podziwiając budyniowe, nierówne ściany. Czasami nazywam go celą i wtedy śmiejemy się z moim gospodarzem. Jak wrócisz do Polski, to powiesz, że cię tu więziliśmy, że przez dwa tygodnie nie wychodziłeś z pokoju, niezłe wczasy, nie? Czasami wychodzę na dach domu, w którym mieszkam. Ale tam jest niewiele lepiej. Taras na dachu obudowano wysoką, dwumetrową betonową attyką. Mieszka tu ta kotka, czarno-biała, wraz z piątką kociąt, malutkich. Gdy już nie może wytrzymać z potomstwem, schodzi na dół i pilnuje cukru w zakamarku mojego pokoju. Jedyne, co widać z dachu, to wieża pobliskiego meczetu, z której muezzin budzi mnie swoją pieśnią każdego dnia o wschodzie słońca. Ponad attykę wystaje jeszcze kawałek ściany sąsiedniego budynku, no i kable, masa kabli, poplątanych, poskręcanych, zaplatanych w fantazyjne warkocze, biegnących nad głowami nie wiadomo gdzie, na tle nieba nieskażonego nawet jednym malutkim obłokiem. Przez szparę w murze zerkam na ulicę. Ruch, gwar, stragany, auta. To samo co na każdej arabskiej ulicy. Lepiej chyba jednak już na dole w pokoju, bo na dachu, mimo że dopiero kwiecień, jest jak na patelni. Czuję się zupełnie bezbronny wobec palącego słońca, nie ma gdzie uciec, pułapka. Nawet trudno podziwiać te kable, bo ledwo można otworzyć oczy. Więc znów w pokoju, tu przynajmniej przyjemnie chłodno i położyć się można.

Wygląda na to, że mam sporo szczęścia. Od czterech dni marokańska policja nie wie, gdzie jestem. Te cztery dni to ponoć naprawdę niezły wynik i raczej się nie zdarza. Mój gospodarz mówi, że jak rozmawia ze znajomymi, to nikt nie może uwierzyć.

– Na pewno cię szukają, bez wątpienia. I prędzej czy później znajdą. Dlatego róbmy swoją robotę jak najszybciej, bo tu nigdy nie wiesz, ile masz czasu. Sądzę, że są niezłe wkurzeni, wpuścili obcokrajowca i ten im przepadł. To tutaj rzadkość. Jesteś jednym z trzech, może czterech obcokrajowców obecnie w mieście. My wiemy o każdym, komu udaje się wjechać do El Aaiúnu.

*

Sześćset pięćdziesiąt kilometrów na północ od mojego budyniowego pokoju celi leży Agadir, jeden z najbardziej popularnych kurortów, mekka dla znudzonych brakiem słońca Niemców, Skandynawów, Polaków. Kwintesencja wakacji typu *all inclusive*, z drinkiem z palemką i dyskoteką na plaży. Na agadirskim lotnisku słychać głównie niemiecki. Dwie Niemki, stałe bywalczyne kurortu, z którymi jadę taksówką z lotniska, na moje pytanie, czy teraz jest sezon, odpowiadają zdziwione: tu jest sezon zawsze, gdy w Niemczech są święta. A teraz są, i to wielkanocne. No więc jest i sezon. Hotele o wdzięcznych nazwach Beach Paradise, Albatros, Royal Bay pękają w szwach, ustawione jeden koło drugiego wzdłuż nadmorskiej promenady. Plaża, choć ogromna, to pełna leżaczków, kocyków, krzesełek, parawanów i Marokańczyków sprzedających co tylko europejska dusza zapagnie, a europejski portfel udźwignie. Wczasy przecież. Sklepiarze zacierają ręce, taksówkarze chowają liczniki, a kieszonkowcy i oszuści są w ekstazie. Sprzedawcy wycieczek na każdym rogu próbują złowić turystów, proponując zwiedzanie „prawdziwego Maroka”, „prawdziwej, dzikiej Sahary” lub „prawdziwego Agadiru” (tu już naprawdę przesadzają, jako że ten prawdziwy legł całkowicie w gruzach podczas trzęsienia ziemi w 1960 roku).

Trudno przejść przez ulicę, trudno usiąść na plaży, a zjedzenie obiadu w spokoju to już najprawdziwsze wyzwanie. Jak nie wycieczka, no to może przynajmniej przejażdżka na wielbłądzie? Albo haszysz? Spesjal offer for ju, maj friend! Wyśmienity, nie będziesz żałował! Haszysz też nie? Może zegarek? Złoty! Rolex, a jakże! Telefon? iPhone? Najnowszy, niekradziony! Okulary? Przeciwsłoneczne ray-bany z powłoką UV, nowy wzór, hit tego lata! Kocyk? Ręcznie wyszywany, tylko sto dirhamów, no dobra spuszczę od razu do osiemdziesięciu, for ju, maj friend. Na pewno nie będziesz potrzebował? Dam dwa za sto pięćdziesiąt! Może czerwony, ładniejszy, lub niebieski? No to chociaż klapki? To są najki oryginalne przecież, za mniej niż osiemdziesiąt to nie oddam! Jeśli nie klapki, to mam coś, co na pewno się panu przyda na wakacjach: Man's Extasy, lepsze od viagry, maj friend!

Nad miastem wznosi się wzgórze, na którym stał antyczny Agadir. Dziś zostały z niego jedynie fragmenty murów obronnych. Wzgórze widać z każdego miejsca w mieście. Podobnie jak gigantycznych rozmiarów napis na nim ułożony: „Allah, Ojczyzna, Król”. W nocy podświetlają go lampami, żeby przypadkiem nikt nie zapomniał.

*

Zawsze ciekawiło mnie, co się znajduje poniżej tego kraju uwielbianego przez turystów z całego świata, miłośników bezpiecznej afrykańskiej egzotyki. Patrzyłem na mapę i zachodziłem w głowę, czemu – w przeciwieństwie do innych krajów – to, co znajduje się „pod” Marokiem, oddzielone jest przerywaną, a nie ciągłą linią. Spytałem więc pewnego Marokańczyka mieszkającego w Polsce. Maroko – odparł bez wahania.

Kupując bilet autobusowy w okienku na dworcu w Agadirze, na pytanie „dokąd?” odpowiadam więc oględnie: na południe. Gdzieś konkretnie? Na południe. Po prostu. Osoba, która na mnie czeka w El Aaiún, zaleciła, żebym udawał zwykłego, znudzonego turystę, który przypadkiem zapragnął pojechać na południe zamiast na północ. Staram się, jak mogę.

Jak się nazywa to miasto? Ach tak, to nad morzem? Nie? Szkoda. A jest tam coś ciekawego do zwiedzania, jakieś zabytki? Sprzedawca w okienku patrzy się na mnie jak na idiotę. Podobnym, lecz nieco bardziej podejrzliwym, srogim wręcz wzrokiem obdarza mnie ze ściany Jego Królewska Mość Król Mohammed VI, świecąc wydatnymi zakolami z wiszącego krzywo obrazka. Ten chyba wie, o co chodzi, coś podejrzewa. Rzucam mu w odpowiedzi krótkie spojrzenie i kwituję najszczerzym uśmiechem. Dziękuję, stanowisko 10, odjazd 21.30, życzymy udanego pobytu w El Aaiún, to piękne miasto. Pan jest surferem, prawda? Teraz ja się patrzę na sprzedawcę w okienku jak na idiotę. Aha, niech pan sobie zrobi kopię paszportu. Dużo kopii.

Z radością podbiegam do autokaru, turysta cieszy się, że jedzie zwiedzać piękne miasto. Kierunek El Aaiún, stolica Sahary Zachodniej. Nie, przepraszam, słowo „Sahara Zachodnia” tu nie istnieje. Tu mówi się „Prowincje Południowe” lub „Sahara Marokańska”. Co za różnica zresztą, jestem przecież turystą, nie moje to sprawy, jak to się wszystko nazywa i dlaczego. Turysta nie martwi się tym, że El Aaiún to miasto okupowane, że wczoraj wyrzucili z niego trzech obcokrajowców, a dwóch innych przetrzymują w areszcie hotelowym. Turysta nie wie też o tym, że przedwczoraj i trzy dni wcześniej na ulicach tego miasta pobito do krwi wielu ludzi, niektórych skatowano, innych zamknięto w więzieniach i torturowano. Przecież nie oglądał każdego dnia doniesień z El Aaiúnu, nie widział zakrwawionych kobiet, wozów pancernych na ulicach i oddziałów specjalnych policji szturmujących prywatne domy. Nie widział tego wszystkiego. I nie chce

tego oglądać. Zresztą po co mu ta wiedza? Turysta zasiada na pierwszym miejscu w autokarze, wyjmuje przewodnik po Maroku i uśmiecha się do ludzi siedzących obok. Cieszy się, że jedzie zwiedzać Afrykę. W tym szczerym i jakże naiwnym uśmiechu krystalizuje się cała przepaść między Europą i Afryką. Przypomina mi się rozmowa z kimś, kto, jak wielu Europejczyków, zrobił sobie wycieczkę kamperem wzdłuż zachodniego wybrzeża Afryki, od Tangeru po rzekę Senegal. Fantastycznie było! Widoki, wybrzeże, statki, plaża, pustynia. Problemy? Nie, raczej nie. Raz tylko jakiś chłopak pokazał w naszą stronę znak wiktorii, tak dziwnie trochę, bo pod pachą, jakby się bał czegoś. Ale nie wiem, o co chodziło. Potem Marokańczycy wytłumaczyli nam, że to znak przyjaźni, pokoju między Marokiem a Saharą. I że się lubią. Wyobrażam sobie, że ludzie siedzący dokoła mnie w autokarze myślą o mnie dokładnie to, co ten chłopak pomyślał o ludziach z kampera.

– Niech pan da mi wszystkie kopie swojego paszportu – mówi kierowca. – Ile pan ma? Osiem powinno wystarczyć, ale niech pan da wszystkie, *monsieur*. Niech mi pan zaufa, to dla pana dobra – uśmiecha się życzliwie.

Pierwsza kontrola. Udając, że śpię, słyszę rozmowy kierowcy z kolejnymi policjantami. Obcokrajowiec? Jeden. Z Polski. Skąd? Z Polski. Śpi. Ksero paszportu. Gdzie jedzie? Do El Aaiúnu. Dziennikarz? Nie, chyba nie, mówi, że architekt. Jedźcie. Potem druga kontrola i trzecia.

Czwarta. Piąta. Tarfaja. Szósta. Im bliżej narysowanej przerywaną linią granicy, tym więcej. Moje zdjęcie w paszporcie chyba wzbudza sympatię, a zawód architekta zaufanie. Paszport zresztą nowiutki, wyrobiony tuż przed wyjazdem. Ten poprzedni, z dziewięćdziesięciodniową wizą algierską wielokrotnego wjazdu, mógłby się tutaj nie spodobać. Zwłaszcza w Tah, niewielkiej miejscowości, dawniej granicy między Marokiem a Saharą Hiszpańską. Siódma. Ta wyjątkowa. Wiele budynków, światła latarek, policjanci, wozy. I pomnik niedający nikomu zapomnieć, że Sahara Zachodnia to odwieczne ziemie marokańskie. Po obu stronach drogi wielkie tablice w kształcie klinów, na nich napisy ku czci Hassana I, sułtana Maroka z końca XIX wieku. To mniej więcej tak, jakby na granicy w Zgorzelcu postawić pomnik Stanisława Augusta Poniatowskiego. Wymowna sugestia: to zawsze było nasze, z dziada pradiada.

Nad ranem autokar dociera do celu i staje na ostatniej barykadzie przed wjazdem do samego El Aaiúnu. Ósma. Tym razem odpowiedzi udzielone przez kierowcę nie wystarczają, policjant prosi, bym wysiadł, i zaprasza na posterunek. Narodowość?

Polska. Zawód? Architekt. Cel podróży? Nie wiem właściwie, tak naprawdę to jadę dalej, znajomi czekają niedaleko Dakhli^[2], mamy trochę posurfować, ponoć tam dobrze wieje, tak słyszałem. No ale ta Dakhla to jeszcze kawał drogi i pomyślałem, że zatrzymam się tutaj, trochę pozwiedzam miasto. El Aaiún – mówi powoli, tak by nazwa mogła odpowiednio wybrzmieć w niewielkim wnętrzu budki kontrolnej. Jak długo zamierza pan zostać w naszym mieście?

Wszystkie kłamstwa przychodzą mi jakoś zadziwiająco łatwo, aż sam nie mogę uwierzyć, może to dlatego, że jest wcześniej rano i jestem niewyspany. Robię, co mogę, by sprawiać wrażenie znudzonego wakacjami europejskiego turysty, który postanowił wyrwać się z objęć marrakeszańskich handlarzy i uciekł na „dzikie” południe, niczym Tunner i Kit z *Pod osłoną nieba*. Pierwszy raz w naszym kraju? No tak się składa. To dlaczego pan nie pojedzie obejrzeć Casablanki czy Fezu? Krótką ciszę, która zapadła po tym pytaniu, przerywa niespodziewanie dzwonek mojego telefonu. Truchleję, bo na wyświetlaczu pojawia się numer osoby, która ma się mną zaopiekować w El Aaiúnie.

Gdzie pan się zatrzyma w naszym mieście? W hotelu oczywiście. Jodesa? – podpowiada funkcjonariusz. Wyśmienicie, niech pan się tam właśnie zatrzyma, to dobry hotel. A proszę mi powiedzieć, co pan projektuje w swojej pracy? – rzuca na odchodne, powoli wręczając mi paszport. Domy, wie pan, domy. Ostatnio głównie domy. Odbieram paszport i kieruję się do autokaru. Miłego pobytu życzymy, El Aaiún to ładne miasto.

Wracam nieśpiesznie do autokaru, w duszy modląc się, by ten jak najszybciej odjechał. Ale chyba się udało. Udało, bo do El Aaiúnu rzadko wpuszczani są obcokrajowcy. Dziennikarze, działacze organizacji praw człowieka, fundacji czy stowarzyszeń solidarności z Saharą zazwyczaj zatrzymywani są właśnie na tym posterunku i odwożeni wprost na lotnisko. Tam muszą kupić bilet na najbliższy samolot opuszczający Maroko. Gdy jednak komuś uda się wystarczająco nakłamać na wjazdowej barykadzie, dalej jest jedynie trudniej. Każdy obcokrajowiec jest uważnie obserwowany przez tajne służby i gdy zajdzie najmniejsze podejrzenie, że wykonuje jakąś pracę dziennikarską, od razu go deportują. A ja się bałem jak cholera. Tygodnie przed wyjazdem spędziłem na oglądaniu zdjęć i filmów z El Aaiúnu. Co chwilę czytałem o kolejnych deportowanych osobach, rekwirowanych aparatach fotograficznych, niszczonej kartach pamięci, aresztach hotelowych. Jak się później dowiem, w ciągu mojego pobytu w El Aaiúnie do miasta nie wpuszczono trzydziestu siedmiu obcokrajowców. No to chyba mam szczęście.

Zwłaszcza że zupełnie nie wiedziałem, jak ta cała wyprawa będzie przebiegać. Najbardziej zastanawiało mnie, jak mam się spotkać z ludźmi, którzy są non stop śledzeni i podsłuchiwani. Spotkanie w czasie okupacji. Brzmi prawie jak miłość w czasie zarazy.

Już przygotowanie wyjazdu zakrawało na poważną konspirację. Uprzedzono mnie, że zarówno maile, jak i telefony większości saharyjskich działaczy są kontrolowane. Więc: nie rozmawiaj dłużej niż czterdzieści sekund, po tym czasie automatycznie włącza się rejestrator rozmów. Nigdy nie podawaj żadnych szczegółów – miejsc, nazwisk, mów szybko i konkretnie. Moje pierwsze maile przypominały szyfrogramy. Nie byłem pewien, co mogę pisać, poruszałem się jak po polu minowym, by przypadkiem nie spalić wyjazdu jeszcze w Polsce. A oni często nie odpowiadali, zdarzało się, że w tym czasie niektórzy mieli kłopoty i musieli się ukrywać. Jediną w miarę bezpieczną formą kontaktu jest Skype, tego ponoć marokańskie służby specjalne kontrolować nie mogą.

Więc na miejscu ktoś na mnie czeka. Nazywam go swoim Saharyjskim Łącznikiem. Ma na imię Hamza i to właściwie wszystko, co o nim wiem. Nie wiem nawet, jak wygląda, znamy się jedynie z krótkiej wymiany maili. W ostatnich wiadomościach zapewniał mnie: *don't worry, they will not kill us, we will face them!* W konspiracyjnej paranoi osobom kontaktowym ponadawałem dla niepoznaki polskie imiona i hasła: Stefan, Henryk lub warsztat Kościelisko. No bo się boją. Choć teraz chyba mniej niż w Agadirze, bo teraz już nie ma wyjścia.

Koło ósmej rano, w świetle wschodzącego pustynnego słońca, mój autokar wjeżdża powoli do doliny Saguia el Hamra, nad którą położony jest El Aaiún. Toczy się powolutku, dostojnie przejeżdża pod bramą wjazdową z ogromnym arabskim łukiem, potem mija potężne koszary wojskowe z dwoma pękatymi wieżami, jeszcze z czasów hiszpańskiej kolonii. Dopiero wtedy zza wzgórza wyłania się samo miasto rozciągające się po drugiej stronie rzeki, zalane porannym światłem. Jego monotonną sylwetkę urozmaicają jedynie wystające nieśmiało wieże minaretów. Minąwszy koszary, droga lekko opada, a autokar wjeżdża między dwie skalne ściany kadrujące widok na most, który prowadzi na południowy brzeg. Teraz dociera do mnie, że właśnie wjeżdżam do okupowanego El Aaiúnu, stolicy Sahary Zachodniej. A to takie ładne miasto. Wygląda trochę jak jakiś romantyczny arabski bastion pośrodku pustyni, rozciągający się na skarpie opadającej do szerokiej doliny rzeki Saguia el Hamra. Mogliby tu kręcić *Lawrence'a z Arabii*. Albo *W pustyni i w puszczy*. Przejeżdżając przez most, widzę mury

pierwszych domów odbijające się w tafli rzeki, po bokach wysokie trzciny lekko kołyszące się na wietrze, a nad nimi zawieszona w powietrzu stado ptaków. Oaza. El Aaiún to hiszpańska transkrypcja arabskiego słowa „Al-‘Uyūn”. Po francusku miejscowość nazywa się Laâyoune. Jej nazwa znaczy tyle co studnia, źródło wody. Hiszpanie wybrali ładne miejsce dla stolicy swojej kolonii. Patrę z zaciekawieniem na miasto przez wielką przednią szybę autokaru, który właśnie wspina się na południowy brzeg rzeki. W zasadzie nie widać nic szczególnego, ale na moment udaje mi się zapomnieć o tym, że kompletnie nie wiem, co zrobić, jak wysiądę z autokaru. Co, jeśli Saharyjskiego Łącznika nie będzie? Mój chwilowy błogostan zostaje przerwany widokiem szeregu budynków policyjnych. Jedne pilnowane przez uzbrojonych strażników, drugie otoczone drutem kolczastym i barykadami, inne wysokimi murami.

– Wsiadaj, El Aaiún, dojechałeś – mówi kierowca. Wskakuję z autokaru, stoję zdezorientowany na chodniku, przeciskając się między ludźmi i ich ogromnymi bagażami, na przystanku dziesiątki ludzi. Wystaję z tłumu, tak że widać mnie z daleka. Nie dość, że jedyny biały, to jeszcze w kolorowej koszulce i dwa metry wzrostu. Kamuflaż nie najlepszy, co tu dużo mówić. Wtem podchodzi do mnie ktoś w skórzanej kurtce, arafatce na szyi i chwyta mnie za rękę. *I am your friend, come quick!* Przez chwilę pomyślałem: a skąd ja mam wiedzieć, czy to on? *Come, come!* Ale jakie wyjście? Chwytam swój plecak i szybko wsiadamy do czekającego tuż obok auta. *Go, quick, no time* – rzuca mój czarnowłosy „przyjaciel” do kierowcy i auto rusza szeroką aleją w głąb miasta.

– Nazywam się Hamza – mówi tym razem już spokojnie, odwracając się z przedniego siedzenia. – To ze mną rozmawiałeś. To ja miałem cię odebrać i to u mnie będziesz mieszkał. – Podaje mi rękę, a na jego twarzy pojawia się szeroki uśmiech. – Cieszymy się, że udało ci się przyjechać do El Aaiúnu.

Po kilku minutach auto parkuje tuż pod stalowymi drzwiami jakiegoś domu. Ulica pusta. Hamza wysiada pierwszy, szybko otwiera drzwi.

– Wsiadaj i od razu wchodź do domu, nie rozglądaj się.

Gdzieś w oddali słychać przeciągły krzyk: „Viva POLISARIO!”.

*

A więc pokój, świetlówka nad głową, budyniowe ściany dokoła. Hamza siedzi na materacu naprzeciw mnie i pali kolejne papierosy, jeden za drugim. Na stoliku

śniadanie, mleko w termosie, kawa, dżem i taki śmieszny okrągły chleb. Chyba musi być jeszcze dość wcześnie, choć może to tylko wrażenie, bo nie ma światła dziennego. W tym pokoju zresztą zawsze wydaje się, że jest noc. Świetlówka daje zimne, szpitalne światło. Pory dnia rozróżnić można jedynie, słuchając odgłosów z ulicy. Wstępem do tej melodii jest wezwanie do modlitwy. Pech chciał, że minaret stoi tuż za domem. O świcie mam wrażenie, że muezzin śpiewa przeciągające się „Allahu akbar” wprost do mojego ucha, jakby specjalnie tylko dla mnie. Od tej chwili nie będzie już ciszy. Wkrótce melodię wzbogacą rytmy ulicy, gwar ulicznego rynku, a potem utwór rozwinie się o wrzaski dzieci z pobliskiego przedszkola. Przedpołudniowe apogeum miejska muzyka osiągnie, gdy wejdą ciężkie metaliczne rytmy dobiegające z warsztatu samochodowego, raz spawarka, raz wiertarka, czasami młotek. A potem wszystko nagle zamilknie. Mój kolega DJ użyłby stwierdzenia, że teraz wchodzi *drop*, czyli wyciszamy wszystko i zostaje tylko lekka melodia, jak w klubie. Popołudniowa melodia El Aaiunu jest faktycznie delikatna, zduszona nieznośnym słońcem i upałem. To są te godziny, podczas których słyhać od czasu do czasu jedynie jakieś przejeżdżające auto albo rzenie osła pośrodku pustej ulicy, no może jeszcze jakieś wezwanie do modlitwy powtórzy się po drodze, jak uporczywy refren. Ale *drop* jest zawsze tylko ciszą przed burzą – powiedziałby mój kolega – buduje napięcie, które w końcu znajdzie swoją kulminację, czyli *breakdown*. I tak też się dzieje tutaj. Wraz z końcem dnia dzień się rozpoczyna. Miasto znów budzi się do życia, i to znacznie bardziej niż o poranku. Eksploduje całą feerią dźwięków, wieczornych rytmów, melodii, wokali i wokaliz, jakby całe świętowało fakt, że słońce w końcu dało mu kilka godzin wytchnienia. Wkrótce po zachodzie wybrzmi ostatni refren dnia, ostatnie wezwanie do modlitwy, lecz cały utwór będzie trwał w najlepsze jeszcze przez parę godzin.



© Bartek Sabela

– Hamza, która jest w ogóle godzina?

– Jedenasta.

– To dlaczego u mnie pokazuje, że jest dziesiąta? Telefon pokazuje co innego, twój laptop co innego, a ty mówisz jeszcze co innego.

– Bo to zależy, o co pytasz – mówi Hamza, przeciągając się na materacu. Oficjalnie jest dziesiąta, strefa GMT, taka jak w Maroku. Ale jak nie masz nic do roboty, jak ja na przykład, to żyjesz sobie w GMT+1, jak w Algierii albo Hiszpanii. Poza tym co za różnica. Ja wiem, wy musicie mieć wszystko ułożone, zaplanowane, rozpisane. My żyjemy dniem dzisiejszym. Wy macie zegarki, my mamy czas. Co jutro, Bóg jeden wie.

Odpalając kolejnego papierosa, Hamza przedstawia mi plan działania na kolejne dni. Plan sprowadzający się do tego, z kim się spotkamy. Bo gdzie, to jest oczywiste – ja nie mogę przecież wyjść z domu. A o której? To też bez znaczenia. Tu z nikim nie umówisz się na konkretną godzinę, na przykład 18.15 albo 19.30. Możesz się co najwyżej umówić na porę dnia, a pora jest w zasadzie jedna, czyli po zachodzie słońca. I ten ktoś będzie wiedział, która to godzina.

Zresztą w okupowanym El Aaiúnie nic nie jest proste i nic nie jest pewne. El

Aaiún nie jest wielkim miastem, liczy dwieście tysięcy mieszkańców. Saharyjczycy, rdzenna ludność rejonu, stanowią, według różnych szacunków, jedynie od dwudziestu do trzydziestu procent. Według szacunków, bo władze nie publikują takich statystyk. Reszta ludności to marokańscy osadnicy, zachęteni różnorakimi przywilejami, zwolnieniami z podatków i dwukrotnie wyższymi niż na terenie Maroka pensjami. Saharyjczycy mówią o nich pogardliwie *hamala* – tragarze. Bo przyszli na ich ziemie z tobołami na plecach.

– Kolejny dzień, a oni nadal nie wiedzą, gdzie jesteś – śmieje się Hamza, chodząc po pokoju z kadzidełkiem neutralizującym papierosowy dym. – Chyba ich wykiwaliśmy. Mogę się założyć, że szukają cię po całym mieście. Jak zrobimy, co mamy do zrobienia, to wtedy wyjdziemy na ulicę, zobaczysz, zabiorę cię na herbatę, do restauracji, pójdziemy sobie jak normalni ludzie, usiądziemy i zamówimy, co chcemy. I będziemy się z nich śmiać, wtedy, proszę, niech cię deportują, idioci, a mnie niech zamkną w więzieniu. Ale dopiero jak skończymy, tymczasem konspiracja.

Gdybym mieszkał w jednym z hotelów, dajmy na to w najtańszym Jodesa lub trochę lepszym Sahara Line, byłby nie lada kłopot. Musiałbym być przykładnym, niewzbudzającym cienia podejrzeń turystą. Wstawałbym rano, chodziłbym do kafejki leniwie wypić poranne espresso, zagryzane sypiącym się croissantem lub pain au chocolat. Śniadanie kontynentalne w stylu postkolonialnofrancuskim. By zadbać o moje bezpieczeństwo i chronić mnie przed groźnymi, czyhającymi wszędzie „separatystami”, przy śniadaniu towarzyszyłby mi jakiś pan siedzący dyskretnie przy stoliku obok ze swoją kawą, swoim rogalikiem i gazetą. Czasami zerkałby w moją stronę, by upewnić się, że jestem bezpieczny i że dobrze się bawię. A potem... potem w zasadzie nie wiadomo co, bo w El Aaiúnie turysta przecież nie ma co robić. Mógłbym co najwyżej wraz z moim incognito towarzyszem pojechać na oddaloną o trzydzieści kilometrów plażę. On jechałby za mną na swoim motorze lub w służbowym aucie. Potem swój kocyk rozłożyłby kilka metrów od mojego, czujny i zawsze gotowy bronić mnie niczym bulterier. Mógłbym też zapewne przejść się ulicami samego El Aaiúnu, kupić ręcznie robiony czajniczek i kilo herbaty. On trzymałby się z tyłu, może usiadłby na ławce lub zajrzał do sklepu obok. Potem odprowadziłby mnie do hotelu, może szepnąłby słówko recepcjoniście, a następnego dnia czekałby na mnie w hotelowym holu. Mógłbym pewnie zrobić też kilka zdjęć „z wakacji”, choć z tym to już ostrożnie i raczej niedużym aparatem, bo te duże znaczą niechybnie, że jesteś dziennikarzem.

Dziennikarz ma przecież duży aparat i jeszcze większy obiektyw, robi zdjęcia ludziom i w dodatku chce z nimi rozmawiać. Zresztą nawet bez dużego aparatu każdy obcokrajowiec jest tutaj z góry podejrzewany o bycie dziennikarzem. Lub aktywistą zajmującym się prawami człowieka. Lub jakimś innym popaprańcem z wypaczonymi ideami, a tych nie lubi się tutaj nawet bardziej niż Saharyjczyków. Na pewno zaś na swoich wakacjach nie mógłbym się spotkać z Hamzą. Mój przymusowy towarzysz zadbałby o to, a w wypadku mojej niesubordynacji zabrałby mnie swoim autem na lotnisko i poprosił, bym niezwłocznie kupił bilet powrotny.

Nigdy więc nie mógłbym się dowiedzieć, kim jest Hamza. Rocznik 1982, zawód: poeta, orientacja polityczna: pro-POLISARIO, aktywista. Tak mogłoby w skrócie wyglądać jego dossier leżące w zakurzonej teczce na biurku w jednym z marokańskich komisariatów. Do tego przypięte zszywką zdjęcie, a na nim pociągła twarz z długim, orlim nosem, szeroko otwartymi oczami, czarnym, gęstym zarostem i takimi samymi włosami. Słowem: Saharyjczyk, a jak Saharyjczyk, to separatysta. Można powiedzieć, że Hamza Lakhal jest osobą znaną zarówno policji, jak i swoim rodakom. Nie sławną, po prostu znaną, jakiegokolwiek zabarwienie może mieć to słowo w tym kontekście. Niektórzy Saharyjczycy ponoć znają nawet jego wiersze, choć „znają” w tym przypadku nie oznacza „czytają”. Poezji Hamzy Lakhala w El Aaiunie nie można przeczytać, można ją co najwyżej usłyszeć na jednym z wieczorów poezji organizowanych w ukryciu na dachu lub w piwnicy jednego z budynków gdzieś na przedmieściach.

– Zacząłem chyba jakieś dziesięć lat temu, może nawet więcej – mówi Hamza, odpalając następnego papierosa. – Zobacz, bez banderolki, z przemytu, właśnie okradam marokański budżet – śmieje się. – W 2002 roku próbowałem dostać się na jakiś wieczór poezji, oczywiście taki dla Marokańczyków, innych tutaj nie ma, a i tych jest niewiele. Za którymś razem udało mi się, wszedłem na scenę i wyrecytowałem swój wiersz. Na sali zapadła cisza. Już mnie tam więcej nie wpuścili.

Tego samego roku Hamza wyleciał z hukiem z liceum. Władze ukarały go, bo organizował studenckie protesty, arogancko domagając się, by w El Aaiunie powstał pierwszy uniwersytet. By nie trzeba było jeździć do Agadiru lub jeszcze dalej, do Casablanki czy Rabatu. Jak dostaniesz miejsce na uczelni w Agadirze, to jeszcze pół biedy, bo to jedynie sześćset pięćdziesiąt kilometrów stąd, a autokar kosztuje dwieście dirhamów. Lecz Saharyjczyków zazwyczaj wysyłają dalej,

czasami nawet do Tangeru, tysiąc czterysta kilometrów od domu. Teraz, po dziesięciu latach, jak dobrze pójdzie, Hamza będzie mógł podejść do matury, jest nadzieja, że władze pozwolą mu nawet pójść na studia. Tak naprawdę zawsze chciał być muzykiem, grać na gitarze, jak Mark Knopfler, David Gilmour. Albo malarzem. Malarzem nawet przez chwilę był, w domu ma kilka swoich obrazów, ale nie pokazuje ich. Jakoś tak się poukładało, sam nie wie zresztą czemu, że zamiast muzykiem został poetą. Mówi, że to przez warunki, w jakich przyszło mu dorastać, że przez poezję może uratować siebie z lat dzieciństwa.

– Ja się wtedy strasznie bałem. Byłem koszmarnie wystraszonego dzieckiem. Teraz chyba staram się stawić czoło tym wszystkim wspomnieniom. Tym wybebeszonym poduszkom, rozbijanym meblom, książkom zrzucanym z półek, wybitym oknom, rozwalonym drzwiom. I ubranym na czarno policjantom, stojącym nad moimi rodzicami.

Hamza pisze w klasycznym arabskim, choć językiem Saharyjczyków jest dialekt hassanijja.

– Klasyczny arabski to taka baza dla wielu języków, które wy, z perspektywy Europy, traktujecie jako arabski – tłumaczy mi. – To trochę jak z łaciną w waszym przypadku. Jest bazą wielu języków, tyle że łacina jest językiem martwym, a klasyczny arabski nadal żyje.

Parę lat temu Hamza wydał nawet swój pierwszy tomik poezji. Nie mógł jednak tego zrobić w swoim mieście. Tu nikt nie wydałby wierszy Saharyjczyka, zwłaszcza mówiących cokolwiek o ojczyźnie czy niepodległości. Dzieła Hamzy zostały opublikowane we Francji nakładem wydawnictwa L'Harmattan. Harmattan to taki silny suchy wiatr. Wieje z Sahary.

– Nawet nie wiem, jak wygląda ten mój tomik – mówi z gorzkim uśmiechem Hamza. – Gdy został wydany, a wydawnictwo zaprosiło mnie na spotkanie autorskie do Francji, władze marokańskie odmówiły wydania mi wizy. Nie pojechałem. Potem chcieli mi chociaż przysłać paczkę pocztą, ale to też się nie udało. Więc nie mam nawet jednego egzemplarza.

Hamza chciałby zrobić kiedyś doktorat, najlepiej z filozofii. Ale na to szanse są marne, bo Saharyjczyków nie dopuszcza się do wyższych stopni naukowych. Jest więc z konieczności samoukiem, zupełnym i absolutnym. Bo w El Aaiúnie jak chcesz coś zrobić, to musisz to zrobić sam, nikt inny ci w tym nie pomoże. Chcesz nauczyć się angielskiego lub francuskiego? Kursów nie ma, więc uczysz się samemu, oglądając filmy w internecie i słuchając piosenek. Chcesz czytać? To sam

musisz zdobywać książki, księgarni tu nie ma, bibliotek też nie, a jak zamówisz z zagranicy, to raczej nie przyjdzie. A Hamza czytać lubi, w domu, w kafejce, na pustyni. Wtedy choć przez chwilę nie musi być tu i teraz, w okupowanym El Aaiunie. Książki zdobywa więc dzięki znajomym, którzy jeżdżą do Maroka. W Agadirze czy Rabacie można kupić wszystko, ktoś zawsze coś przywiezie. Lubi zwłaszcza literaturę arabską, ale europejską i amerykańską także. Za młodu uwielbiał *Iliadę* Homera.

– Wyobrażałem sobie, że sam jestem takim rycerzem w pięknej błyszczącej zbroi na wspaniałym koniu. I że jestem nieśmiertelny jak Achilles. A ci po drugiej stronie to Marokańczycy.

Z wiekiem przyszła pora na Szekspira, Marlowe'a i starożytnych filozofów z różnych kręgów kulturowych, Konfucjusza, Arystotelesa, Sokratesa. Najbardziej ceni tego ostatniego, za jego nieprzejednaną postawę. Przecież mógł uniknąć śmierci, a jednak nie zdecydował się uciec, choć nakłaniali go do tego jego uczniowie. Umarł za swoje poglądy, twardy i bezkompromisowy do samego końca. Ale najważniejszy dla Hamzy pozostaje Mahmud Darwisz, poeta palestyński, członek Organizacji Wyzwolenia Palestyny. „Widzę więzienie tak, jak chcę, różane dni, / co przeminęły, żeby ukazać we mnie dwoje obcych / na ławce w parku. Przymykam oczy: / jak szeroka jest ziemia, jak piękna jest ziemia / widziana przez ucho igielne”^[3]. To Darwisz uświadomił Hamzie, że poezja może być bronią w walce o wolność, równie skuteczną jak karabin.

– Nie dlatego, że może zmienić rzeczywistość. Nie no, bez przesady, w to akurat nie wierzę. Ale otwiera okna wyobraźni i marzeń – kończy Hamza i zmienia muzykę. Tym razem koncert Erica Claptona.

Na początku miałem obawy, że moja obecność w domu Hamzy skończy się dla niego prędzej czy później problemami, być może nawet aresztem. Ale on mi wtedy odpowiadał z szelmowskim uśmiechem, żebym się o niego nie martwił, że najważniejsza jest moja praca i że pomóc mi to jego obowiązek.

Do domu Hamzy przychodzą każdego dnia różni ludzie – mężczyźni, kobiety, młodzi i starsi. To akurat nikogo nie dziwi. Tutaj ludzie odwiedzają się w domach, to w zasadzie jedyna rozrywka, przyjść do kumpla, do sąsiada, wypić herbatę, zapalić papierosa i pogadać, obejrzeć razem mecz. Większość Saharyjczyków nie ma pracy, bo posady są zarezerwowane dla marokańskich osadników. Mają więc dużo czasu i jeszcze więcej motywacji. Przychodzą o różnych porach dnia, najczęściej jednak późnym wieczorem bądź nocą. Niektórzy sami, inni z rodziną

lub przyjaciółmi. I opowiadają.

– Dla Marokańczyka obcokrajowiec to pieniądze, nic więcej. Dla nas obcokrajowiec to szansa na wolność. Jedyne szansa, rozumiesz?

W listopadzie 1884 roku na zaproszenie Ottona von Bismarcka do Berlina zjechały delegacje z całego „cywilizowanego” świata. Dżentelmeni we frakach i cylindrach przez długie tygodnie obradowali przy wielkich mahoniowych stołach w rezydencji kanclerza II Rzeszy. Nad szczytem stołu na ścianie wisiała ogromnych rozmiarów mapa niezbyt zbadanego jak do tej pory kontynentu – Afryki. Kontynent ten, choć nieodległy od Europy, pozostawał, poza wybrzeżami, w zasadzie nieznany. W połowie XIX wieku ponad osiemdziesiąt procent terytorium Afryki nadal było pod władzą lokalnych afrykańskich plemion. Mapa była pełna białych plam, niejednokrotnie wielkości dużych europejskich krajów. Ale przywódcy Europy, nie bez racji, doszli do wniosku, że te białe plamy muszą kryć ogromne bogactwa, których w Europie było już coraz mniej. Tocząca się rewolucja przemysłowa wymagała taniej siły roboczej, nowych rynków zbytu i przede wszystkim ogromnych ilości surowców. Europa była już wtedy ciasna, zdecydowanie zbyt ciasna, by pomieścić ambicje europejskich królów, kanclerzy i premierów. Kolejne ekspedycje w głąb afrykańskiego lądu, w tym ta decydująca pod kierownictwem Henry’ego Stanleya, odkrywały niezmierny potencjał Afryki, który należało jak najszybciej wykorzystać. Szkoda przecież, by się zmarnował. Poza tym należało nieść biednym, zacofanym afrykańskim ludom kaganek oświaty i koszyk wartości naszej wspaniałej, najlepszej bez wątpienia kultury i religii. Przy długim stole zasiadły więc delegacje Niemiec, Francji, Austro-Węgier, Belgii, Holandii, Danii, Hiszpanii, Portugalii, Włoch, Wielkiej Brytanii, Rosji, Szwecji i Norwegii (w unii personalnej do 1905 roku). Na elitarne spotkanie zostały również zaproszone rosnące w siłę Stany Zjednoczone oraz Imperium Osmańskie. Miejsca przy stole obrad nie starczyło za to dla choćby jednego przedstawiciela państw afrykańskich.

Po trzech miesiącach, w lutym 1885 roku, ścierające się interesy państw europejskich udało się jakoś pogodzić i choćby na papierze zaspokoić głód królów. Wisząca na ścianie mapa Afryki pokryła się geometrycznymi wzorami, wyrysowanymi wzdłuż południków i równoleżników. Europejska potrzeba

porządkowania, dzielenia, wytyczania została zrealizowana, a afrykański kontynent ubrany w siatkę granic został choć trochę oswojony. Każdy wiedział, gdzie jest jego część i co może z nią zrobić. Oczywiście zdobycze poszczególnych państw były wprost proporcjonalne do ich polityczno-militarnej siły w ówczesnym świecie. Organizatorzy konferencji, Niemcy, musieli się zadowolić koloniami na terenach dzisiejszej Namibii (Niemiecka Afryka Południowo-Zachodnia), Kamerunu, Togo oraz Tanzanii, Burundi i Rwandy (Niemiecka Afryka Wschodnia). Portugalia wykroiła dla siebie tereny obecnej Angoli i Mozambiku. Włochy dostały małą Erytreę, dużą część obecnej Somalii, a po wojnie z Turcją w 1911 roku także Libię. Zdobyczą Belgii, a precyzyjniej mówiąc – króla Belgów Leopolda II, padło Kongo, siedemdziesiąt sześć razy większe niż sama Belgia. Największymi beneficjentami konferencji stały się jednak Wielka Brytania i Francja. Pierwsza objęła protektoratem tereny dzisiejszych: Egiptu, Sudanu, Ugandy, Kenii, Zambii, Zimbabwe, Botswany, RPA, Nigerii, Ghany i Sierra Leone. Francja zaś otoczyła opieką niemalże całą Afrykę Zachodnią i Północną: Tunezję, Algierię, Maroko, Mauretanię, Mali, Senegal, Gwineę, Burkina Faso, Wybrzeże Kości Słoniowej i Benin. Do tego jeszcze Niger, Czad, Republikę Środkowej Afryki, Kongo Brazzaville, Gabon, Dżibuti i Madagaskar. Tylko dwa państwa afrykańskie zachowały niepodległość po konferencji berlińskiej. Były to Etiopia i Liberia. Reszta została wchłonięta przez europejskie mocarstwa.

Niewielki wyjątek w opanowanej przez Francuzów Afryce Saharyjskiej stanowił teren między Marokiem i Mauretanią, przyznany w 1885 roku Hiszpanii trochę z litości. Choć Hiszpanie byli w tym rejonie już przed konferencją, to ich obecność tam miała wymiar czysto symboliczny. Zorganizowane naprędce w 1884 roku ekspedycje miały legitymizować prawa Hiszpanów do tego obszaru i uzasadnić powstanie kolonii. Inne państwa nie wyrażały większego zainteresowania tym terenem, nie było tam miast, nie odkryto tam żadnych wartościowych zasobów naturalnych. Hiszpańska kolonia w tym miejscu była również na rękę Brytyjczykom, którzy bali się nadmiernej francuskiej dominacji w regionie. Francuzi natomiast uznali, że Hiszpania może być dobrym i nieszkodliwym partnerem w eksploatacji Afryki Zachodniej. Hiszpanom zaś posiadłość w tym rejonie, mimo że uboga, pomogła uchronić strategicznie ważne Wyspy Kanaryjskie przed zakusami potężnych sąsiadów. Nie mając wyjścia, musieli zaakceptować ten niezbyt satysfakcjonujący, upokarzający wręcz kawałek ziemi. Największe mocarstwo kolonialne ostatnich czterech stuleci pod koniec XIX wieku trzęsło się

w posiadach i traciło pozycję na rzecz potężnego rywala – Stanów Zjednoczonych. Skrawek saharyjskiej pustyni, wciśnięty między potężne posiadłości francuskie, to jedyne, co Hiszpania mogła wywalczyć dla siebie w tym trudnym okresie. Były to tylko nagrody pocieszenia wobec klęski, której Hiszpania doznała w 1898 roku podczas wojny ze Stanami Zjednoczonymi. Kolejne hiszpańskie kolonie przechodziły w ręce Amerykanów jedna za drugą, a dawne imperium hiszpańskie powoli, lecz nieuchronnie znikało z mapy. Do końca XIX wieku Hiszpania utraciła Filipiny, Portoryko, Kubę oraz mniejsze posiadłości rozsiane po wodach Pacyfiku i Atlantyku. Sahara stała się nadzieją na nowe możliwości. Tym bardziej, że niebawem kolonie hiszpańskie wzbogaciły się jeszcze o niewielkie tereny północnego Maroka (góry Rif) oraz małe enklawy na jego wybrzeżu, z których wkrótce utworzono Protektorat Północnego Maroka (Maroko Hiszpańskie). Słabość królestwa uniemożliwiała jednak jakąkolwiek eksplorację zajętych terenów. Granice hiszpańskich posiadłości, będących poza zainteresowaniem głównych graczy, na konferencji berlińskiej zostały wyznaczone po macoszemu, nieprecyzyjnie i dość ogólnikowo. Dopiero w 1912 roku, na konferencji w Fezie, podczas tajnych negocjacji francusko-hiszpańskich, udało się sformalizować kształt hiszpańskiej kolonii. Podzielono ją na dwie części różniące się statusem. Pierwsza, rozciągająca się od doliny rzeki Wadi Dara po równoleżnik 27°40', tak zwany Obszar Tarfaja, została objęta Protektoratem Południowego Maroka. Druga, znacznie większa, ciągnąca się na południe aż po Przylądek Biały graniczący z francuską Mauretanią, składała się z dwóch prowincji: Saguia el Hamra i Rio de Oro i podlegała bezpośrednio władzy króla. Wszystkie te obszary wraz z nadbrzeżną enklawą Sidi Ifni oraz Protektoratem Północnego Maroka (rejon gór Rif) utworzyły Hiszpańską Afrykę Zachodnią. Wschodnia granica hiszpańskiej kolonii, dotąd bliżej nieokreślona, w 1912 roku została uporządkowana geometrycznym, zygzakowatym kształtem, niemającym nic wspólnego z układem geograficznym czy etnicznym tych obszarów. Szlachetna prostokreślna geometria abstrakcyjnej granicy została wzbogacona nieregularnym kształtem w rejonie mauretańskiego miasta Zuwirat, zapewniając Francuzom kontrolę nad wielkimi złożami żelaza.



© Bartek Sabela

Mimo ustalenia granic do lat trzydziestych XX wieku Hiszpanie nie zdołali nawet dotrzeć do wytyczonych na mapie linii. Wnętrze nieprzyjaznego lądu wraz z jego bogactwem pozostawało nadal tajemnicą, a Hiszpańska Afryka Zachodnia hiszpańską jedynie z nazwy. Z braku pieniędzy Hiszpanie nie podejmowali prób eksploracji pustyni ani nie próbowali nawet podporządkować sobie nomadzkich plemion żyjących na tym obszarze. Przez długie lata stolicą kolonii, a zarazem jedynym miastem hiszpańskim była niewielka osada Villa Cisneros położona na półwyspie u ujścia wyschniętej rzeki Rio de Oro. Nazwa rzeki została nadana w XV wieku przez Portugalczyków, którzy skupowali w tym rejonie złoto od plemion żyjących w głębi lądu. Villa Cisneros ledwo zasługiwała na miano osady. Składała się z niewielkiego fortu oraz namiotów rozbitych dokoła niego. Służyła głównie jako wielkie więzienie, do którego zsyłano wrogów królestwa. Bezkres pustyni oraz wysokie temperatury stanowiły wystarczającą gwarancję, że więźniowie nie uciekną, a tym bardziej, że nie wrócą do Hiszpanii. Żołnierze z garnizonu Villa Cisneros nie zapuszczali się nawet na drugi brzeg zatoki, nie mówiąc o wycieczkach w głąb lądu. Lokalne plemiona Saharyjczyków zaś nigdy nie były zainteresowane wybrzeżem, nie zajmowały się bowiem rybołówstwem,

lecz pasterstwem. Tym samym spotkania z tubylcami były sporadyczne i sprowadzały się do nieznaczących potyczek. Hiszpanom, wbrew zamierzeniom, nie udało się nawet wytworzyć poważnej wymiany handlowej z tubylcami, dlatego przez długie lata kolonia nie przynosiła najmniejszych zysków. Saharyjczycy cieszyli się więc nieskrępowaną wolnością, z rzadka zbliżając się w rejony garnizonów hiszpańskich. W latach dwudziestych powstały kolejne dwie osady, jedna na północy – Villa Bens (obecna Tarfaja), druga na południu – La Güera. W 1925 roku w sennej kolonii stacjonowało jedynie około siedmiuset hiszpańskich żołnierzy, podczas gdy teren dzisiejszej Sahary Zachodniej w ówczesnym kształcie obejmował na mapach blisko trzysta tysięcy kilometrów kwadratowych, niewiele mniej niż dzisiejsza Polska.

Polityka kolonizatorów zaczęła się zmieniać dopiero w latach trzydziestych, gdy Hiszpanie, przymuszeni agresywną polityką Francji, zdecydowali o potrzebie kontrolowania całej powierzchni swojej kolonii. Francuzi zarzucali Hiszpanom, że ich Sahara jest azylem dla plemion, które podważają francuskie zwierzchnictwo w Mauretanii i Maroku. Bojąc się francuskiej interwencji, Hiszpanie zdecydowali się działać. Zwiększono garnizon wojskowy, zorganizowano pierwsze ekspedycje w głąb lądu. Z lojalnych wobec hiszpańskiego króla Saharyjczyków utworzono Wojska Tubylcze (Tropas Nómadas), a w latach pięćdziesiątych – doceniając ich waleczność i dyscyplinę – oddziały Policji Terytorialnej (Policía Territorial). W 1934 roku hiszpańskie wojska we współpracy z Francuzami zajęły jedyne arabskie miasto kolonii, położoną dwieście kilometrów od wybrzeża Smarę, a w 1935 roku doszły do wytyczonych południkami i równoleżnikami granic swoich posiadłości. W 1938 roku w dolinie rzeki Saguia el Hamra na północy posiadłości założono pierwsze większe miasto, El Aaiún, które dwa lata później ogłoszono stolicą kolonii. Nie napotkano przy tym większego oporu miejscowej ludności, trzymającej się w większości z dala od hiszpańskich osad. Tak czy inaczej, mimo nowych miast i garnizonów wojskowych hiszpańska kontrola nad pustynnym terytorium nadal była iluzoryczna.

W 1950 roku pewien hiszpański naukowiec, Manuel Madina, sto kilometrów na południowy wschód od El Aaiúnu trafił na coś, co opisał w swojej dokumentacji jako „najprawdopodobniej największe na świecie złoża fosforytów”. Madina w szacunkach wskazał zawrotną wręcz liczbę dziesięciu miliardów ton minerałów znajdujących się w pobliżu osady o nazwie Bu Craa. Tego samego roku do El Aaiúnu z nagłą wizytą przyjechał po raz pierwszy generał Franco. I tak, gdy cała

Afryka przygotowywała się na nadejście fali wolności lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, kiedy to większość afrykańskich kolonii uzyskiwała niepodległość, Hiszpanie zaczęli sobie zdawać sprawę z ogromnej wartości terytorium będącego pod ich kontrolą. W 1958 roku połączono dotąd niezależne obszary Rio de Oro (południe) i Saguia el Hamra (północ) w jeden okręg administracyjny nazwany Saharą Hiszpańską. Zmieniono też jej status z kolonii na hiszpańską prowincję zamorską na takich samych prawach jak pozostałe. Jednocześnie w 1956 roku Protektorat Północnego Maroka, w nadziei na dobrosąsiedzkie stosunki, scedowano na rzecz Maroka, które właśnie otrzymało z rąk Francuzów niepodległość i coraz głośniej wygłaszało swoje pretensje do hiszpańskiej kolonii. Dwa lata później Hiszpania oddała Maroku także Protektorat Południowego Maroka, znajdujący się między Wadi Dara a równoleżnikiem 27°40'N, zostawiając sobie jednak nadmorskie enklawy Sidi Ifni, Ceutę i Melillę, które na długie lata pozostaną powodem sporów między dwoma krajami.

Przypuszczenia Manuela Madiny wkrótce zostały zweryfikowane i okazały się prawdziwe, a pech chciał, że zbiegło się to w czasie z przyjęciem Hiszpanii w poczet członków ONZ w 1955 roku. Od tej pory rząd generała Franco zmuszony był przedstawiać coroczne sprawozdania z postępów gospodarczo-społecznych w swojej kolonii. Wkrótce Hiszpania powołała państwową spółkę ENMINSA, przemianowaną potem na Fosfatos de Bu Craa (zwaną też Fosbucraa), która miała na celu jak najszybszą budowę infrastruktury umożliwiającej wydobycie fosforytów. Hiszpanie już wtedy zdawali sobie sprawę z tego, że prędzej czy później będą musieli opuścić kolonię, nie było więc czasu do stracenia. Nastroje dekolonizacyjne na świecie narastały i kres panowania Hiszpanów na Saharze był tylko kwestią czasu. Fosbucraa zainwestowała w ciągu kilku lat miliardy peset, budując kopalnie, elektrownie, budynki mieszkalne i administracyjne, nowy port oraz najdłuższy na świecie (dziewięćdziesiąt osiem kilometrów długości) pas transportowy wiozący fosforyty z kopalni wprost do czekających przy pirsie statków. Nie zdążyła się jednak nacieszyć potężną inwestycją. Kombinat Fosbucraa zaczął pracować pełną parą dopiero w 1973 roku, na dwa lata przed wycofaniem się Hiszpanów z Sahary Hiszpańskiej. Równolegle w całej Saharze Hiszpańskiej zaczęły się intensywne poszukiwania nowych złóż, zarówno fosforytów, jak ropy i gazu. Prowincja przeżywała prawdziwy rozkwit gospodarczy. Z Hiszpanii napływać zaczęli osadnicy, skuszeni dobrymi zarobkami przy wydobyciu fosforytów. Nowe porty w Villi Cisneros, La Güerze i Tarfai umożliwiły rozwój

rybołówstwa. Wkrótce okazało się, że wybrzeże Sahary Hiszpańskiej to prawdziwa żyła złota, jedne z najlepszych obszarów rybackich na świecie. Również żyjąca dotąd na uboczu ludność miejscowa zaczęła migrować w kierunku miast. Saharyjczycy porzucali nomadzkie namioty i masowo sprowadzali się do ośrodków miejskich. Migrację do miast wzmogła wieloletnia susza, w wyniku której pozdychały stada kóz i wielbłądów. Beduińskim rodzinom było coraz trudniej przeżyć na pustyni. Choć trudno mówić o równouprawnieniu, Saharyjczycy nie byli zanadto dyskryminowani przez osadników hiszpańskich. Jeśli tylko nie kwestionowali hiszpańskiej władzy, cieszyli się wolnością, kupowali ziemię, budowali domy, zaczęli handlować, szybko dorabiając się sporych fortun. Choć wyższe stanowiska administracyjne, polityczne i wojskowe pozostawały w rękach Hiszpanów, Saharyjczycy mieli łatwy dostęp do pracy. Szacuje się, że na początku lat siedemdziesiątych już około siedemdziesięciu procent byłych nomadów mieszkało w miastach, pracując w handlu, administracji, rodzajem się przemyśle, a nawet w wojsku. Saharyjczycy byli właścicielami ponad połowy nieruchomości w miastach. W ciągu kilkunastu lat El Aaiún, Smara, Villa Cisneros, Auser, La Güera z małych osad przerodziły się w tętniące życiem miasta, a zapomniana pustynna prowincja stała się jednym z najbogatszych rejonów Afryki. Według danych Banku Światowego z roku 1975 dochód krajowy na mieszkańca Sahary Hiszpańskiej wynosił 2550 dolarów. Dla porównania w tym samym czasie w Maroku 550 dolarów, a w Mauretanii jedynie 350 dolarów. W Maroku dochód krajowy na mieszkańca osiągnął poziom 2000 dolarów dopiero w 2005 roku. Poziom życia w hiszpańskiej kolonii był nieporównywalnie wyższy niż w ościennych państwach. Domy miały elektryczność, kanalizację, miejskie ulice były oświetlone i czyste. Urządzenia takie jak lodówka, radio, telewizor czy pralka nie były niczym nadzwyczajnym. Większość rodzin posiadała auto, ludzie mieli dostęp do różnorodnych artykułów, również tych bardziej luksusowych.

Na początku lat siedemdziesiątych sąsiadujące z Saharą Hiszpańską narody zaczęły postrzegać hiszpańską kolonię jako oazę dobrobytu. Mauretańczycy, Marokańczycy, a nawet Algierczycy zazdrościli Saharyjczykom poziomemu życiu i wolności, którą się cieszyli.

*

Kolonialny porządek ustalony w 1885 roku w Berlinie nie wytrzymał zbyt długo.

Wichry I, a potem II wojny światowej zmiotły dawne imperia kolonialne i zmusiły państwa metropolie do zmiany polityki. Nie było to motywowane sprawami tak błahymi jak prawa człowieka czy poczucie elementarnej sprawiedliwości. Wojna po prostu wyróciła do góry nogami dotychczasowy układ sił w Europie i na świecie. Potęgi kolonialne jak Francja, Belgia, Holandia okazały się państwami słabymi, które w mgnieniu oka zostały rozjechane przez czołgi III Rzeszy. Sama Rzesza, która także była aktywnym uczestnikiem procesu kolonizacji, utraciła swoje afrykańskie kolonie już po I wojnie światowej (Tanganikę na rzecz Wielkiej Brytanii, Niemiecką Afrykę Południowo-Zachodnią na rzecz Związku Południowej Afryki, Rwandę i Burundi na rzecz Belgii). Wielka Brytania, choć utrzymała swoją pozycję państwa niezwycięzonego, nie mogła konkurować z dwoma nowymi, silniejszymi mocarstwami – Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Radzieckim. Świat stał się światem dwubiegunowym z Europą zawieszoną pośrodku między nowymi potęgami. Europejskie narody, które okupowały państwa Afryki i Azji, nagle z dnia na dzień musiały bić się o własną niepodległość i choć koniec końców udało im się wygrać, to potęga tych krajów się rozpadła, a autorytet formalny białego człowieka, lorda, dżentelmena we fraku, został mocno nadwerężony. W tej walce niejednokrotnie pomagał mu czarny człowiek przywieziony z odległej kolonii i zmuszony brać udział w zupełnie nie swojej wojnie. Biały pan niespodziewanie znalazł się w tym samym błocie okopów i pyle ruin co jego czarny sługa. Pod koniec lat czterdziestych stało się jasne dla większości państw europejskich, że utrzymywanie kolonialnego układu jest z ekonomicznego i politycznego punktu widzenia najzwyczajniej w świecie nieopłacalne. Koszty zwalczania rodzących się jak grzyby po deszczu ruchów narodowo-wyzwoleńczych doprowadzały do rozpaczy europejskich polityków, którzy doszli do wniosku, że te same, a nawet większe korzyści ekonomiczne można osiągnąć, przyznając afrykańskim i azjatyckim koloniom niepodległość. Gest ten często pozostawał tylko symbolem, bo układ kolonialnej zależności nadal funkcjonował. Przybierał tylko inną formę. Wyniszczone latami brutalnego kolonializmu posiadłości nie były w stanie zbudować własnej gospodarki i pozostawały w ścisłym związku z metropolią. Często też nie miały możliwości prowadzenia niezależnej polityki zagranicznej i wewnętrznej bez udziału europejskich „doradców” i „ekspertów”. Również militarnie wiele kolonii, chcąc nie chcąc, dalej polegało na sile swoich dawnych metropolii, a wojska francuskie, belgijskie czy brytyjskie pozostawały arbitrem w plemiennych sporach, rozgrywając własne interesy. Tak czy inaczej,

fala fikcyjnej nierzadko wolności zaczęła rozlewać się najpierw po krajach Azji i Bliskiego Wschodu, by pod koniec lat pięćdziesiątych dotrzeć do Afryki.

Przez prawie pół wieku procesowi dekolonizacji poddanych zostało ponad miliard ludzi. Jako pierwsze rozpadły się kolonialne potęgi Włoch i Francji. W 1951 roku niepodległość uzyskała Libia. W 1956 roku niepodległość otrzymały francuskie Maroko i Tunezja. Pierwszego dnia 1956 roku niepodległość ogłosił Sudan, a rok później Ghana, tym samym rozpoczął się rozpad brytyjskich posiadłości w Afryce. Rok 1960 to prawdopodobnie jedna z najważniejszych dat we współczesnej historii kontynentu. 14 grudnia 1960 roku, w obliczu toczącej się wojny algierskiej, Zgromadzenie Ogólne ONZ wydało swoją brzemienną w skutki rezolucję 1514/1960, będącą reakcją na trwający już proces dekolonizacji. Rezolucja ta miała w zamierzeniu uporządkować i usankcjonować prawnie zachodzący proces. Kolonializm jako zjawisko został stanowczo potępiony i uznany za niezgodny z Kartą ONZ oraz szkodliwy dla międzynarodowego pokoju. Twórcy rezolucji zawarli w niej takie stwierdzenia jak to, że „wszystkie narody mają niezbywalne prawo do całkowitej wolności”, „ruch wyzwolenczy jest niezwyknięty i nieodwracalny”, „prawo do samostanowienia jest fundamentalnym prawem ludzkim”. Zgromadzenie Ogólne wezwało również wszystkie państwa posiadające kolonie do „szybkiego i bezwarunkowego położenia kresu kolonializmowi we wszystkich jego formach i przejawach”. W 1958 roku rozpadowi uległa cała Francuska Afryka Zachodnia i Francuska Afryka Równikowa (choć niepodległość kraje tam powstające uzyskały w 1960 roku). Wolność otrzymał również Madagaskar. Początek lat sześćdziesiątych to demontaż brytyjskiego imperium, do roku 1966 większość brytyjskich kolonii cieszyła się już wolnością. W tym samym czasie Belgia zdekolonizowała Kongo, Rwandę i Burundi. Mniej chętni procesom dekolonizacji okazali się Hiszpanie i Portugalczycy. Ci ostatni swoje kolonie w Angoli i Mozambiku opuścili dopiero w roku 1975. Nowe afrykańskie państwa szybko stawały się pełnoprawnymi członkami ONZ, co świadczyło o uznaniu przez „społeczność międzynarodową”.

Proces dekolonizacji, wbrew zaleceniom ONZ, nie przebiegał jednak pokojowo i bezkrwawo. Uwolnione z ryz kolonizacji narody, oszołomione niespodziewaną wolnością, zamiast budować swoje kraje, rzuciły się do walki. Afryka zaczęła tonąć we krwi plemiennych wojen, przewrotów, zamachów, brutalnych dyktatur, których reżyserami najczęściej były państwa europejskie. Mapa Afryki jeszcze przez dziesięciolecia ulegała przekształceniom, a ostatnie z nich miało miejsce w 2011

roku, gdy Sudańczycy zdecydowali o podziale swojego kraju na dwa państwa. W ciągu lat niektóre były kolonie połączyły się w jedno państwo (na przykład Somali Brytyjskie i Somali Włoskie; Togo Brytyjskie i Ghana), podczas gdy inne narody, wtłoczone w sztuczne kolonialne granice, próbowały się z nich uwolnić i stworzyć własne państwa.

By bronić swoich interesów, nowe państwa afrykańskie powołały w 1963 roku Organizację Jedności Afrykańskiej (obecnie Unia Afrykańska) z siedzibą w Addis Abebie, której głównym celem była walka z kolonializmem i neokolonializmem. Dzień założenia OJA, 25 maja, jest obchodzony jako Dzień Afryki.

*

Jeśli by wierzyć w jego słowa, Królestwo Marokańskie powinno się dziś rozciągać znacznie dalej niż granica z Saharą Zachodnią na równoleżniku $27^{\circ}40'N$. Znacznie dalej nawet niż południowa granica Sahary Zachodniej na równoleżniku $21^{\circ}20'N$. Jeśli to, co mówił, byłoby prawdą, jadąc do dzisiejszej Mauretanii, nadal znajdowalibyśmy się w jego Królestwie, bo południową granicę imperium wyznaczać by miała dopiero rzeka Senegal. Granicę z Czarną Afryką. Skądinąd w jego koncepcji państwo takie jak Mauretania w ogóle nie miało prawa istnieć, bo w całości leżało na dawnych ziemiach imperium. Podobnie jak Mali, którego północna część także stanowiła historyczne ziemie Królestwa. Również Algieria w obecnym kształcie to nieporozumienie, bo jej zachodnie prowincje Baszszar i Tinduf należały przecież od wieków do Królestwa. Królestwo bowiem zajmowałoby całą północno-zachodnią część Afryki i prawie cały rejon Maghrebu, tak jak przed wiekami, w czasach dynastii Almorawidów, do której tak chętnie się odwoływał. W końcu po arabsku Maroko to Al-Maghrib. Narysowane na mapie nie ma sobie równych w rejonie, byłoby najpotężniejszym krajem kontynentu. Wtedy dopiero Wielkie Maroko byłoby odpowiednio potężne, by zaspokoić mocarstwowe aspiracje króla Hassana II.

Hassan II przyszedł na świat w 1929 roku jako najstarszy syn Sidi Mohammeda ben Youssefa, sułtana Maroka, które wówczas było protektoratem Francji. Na imię miał Moulay Hassan. Uzyskawszy dobre wykształcenie na Wydziale Prawa Uniwersytetu w Bordeaux, Moulay zaciągnął się do marynarki francuskiej. Służył na pancerniku Jeanne d'Arc. Wolny czas bogaty, przystojny i nienagannie ubrany następca tronu spędzał w kasynach lub na wyścigach konnych, bawiąc

w towarzystwie arystokratów, notabli, polityków i biznesmenów. Po powrocie do Maroka szybko stał się bliskim współpracownikiem ojca, dążącego do wyzwolenia kraju spod kolonialnych rządów. Bliską niepodległość obiecali przecież sułtanowi już w 1943 roku Franklin Delano Roosevelt, Winston Churchill i Charles de Gaulle, zebrani na wojennej konferencji w Casablance. Miała być nagrodą za pomoc w wojnie przeciw III Rzeszy. Ale Francja, wbrew zapewnieniom, nie była jeszcze gotowa do opuszczenia swojej kolonii. W 1953 roku sułtan Sidi Mohammed, coraz śmielej wyrażający pragnienie nieskrępowanej władzy, został zesłany wraz z całą swoją rodziną na wygnanie, wpierw na Korsykę, a potem jeszcze dalej, na Madagaskar. Tron Francuzi dali jego wujowi Mohammedowi ben Aarafie, który niepodległościowych ambicji nie posiadał i posłusznie współpracował z kolonizatorami. Lecz dzięki temu zesłaniu Sidi Mohammed pozyskał miłość przyszłych podwładnych i szacunek jako bezkompromisowy bojownik o niepodległość. Nierozważnym ruchem Francuzi stworzyli przyszłego przywódcę. Wrócił pod koniec 1955 roku, witany przez wiwatujące tłumy, by objąć tron w kraju, który wkrótce miał uzyskać wynegocjowaną wolność. W 1957 roku Sidi Mohammed ogłosił się królem Maroka Mohammedem V. Na królewskim tronie zabawił jednak niedługo, zmarł w wieku pięćdziesięciu dwóch lat, w 1961 roku. Wtedy na tron wstąpił jego syn, przyjmując imię Hassan II. Ale monarchia krótko cieszyła się poparciem ludu. Fala euforii po otrzymaniu niepodległości szybko rozbiła się o rafy problemów społecznych, bezrobocia i zatrważającej biedy. Maroko było wówczas i jest do dziś jednym z najbiedniejszych rejonów Maghrebu. Nowy król zaczął więc od wzmocnienia armii, by móc tłumić ewentualne protesty i skutecznie zwalczać coraz głośniejszą opozycję. Liczbę żołnierzy podwojono, a zamieszki i przejawy społecznego niezadowolenia były szybko i bezwzględnie tłumione. Hassan II nie stronił od najbardziej brutalnych metod, by utrzymać swój tron. W 1965 roku w Paryżu został porwany Mehdi Ben Barka, lider opozycyjnej partii Union Nationale des Forces Populaires, swego czasu zdolny matematyk, który uczył młodego króla algebry i trygonometrii. Losy Mehdiego Ben Barki nigdy nie zostały wyjaśnione, a Hassan II doskonalił technikę porwań, w których już wkrótce będą specjalizować się jego służby bezpieczeństwa. W tym samym roku rozwiązał parlament, stając się władcą absolutnym. Hassan II perfekcyjnie odnajdywał się w skomplikowanych realiach świata zimnej wojny. Jako jeden z niewielu przywódców Trzeciego Świata w zdecydowany sposób poparł Stany Zjednoczone, zaangażował się również w próby rozwiązania konfliktu

na Bliskim Wschodzie, nie ukrywając poparcia dla kontrowersyjnej i brutalnej polityki Izraela. Tymi działaniami zaskarbił sobie dożgonną wręcz sympatię Amerykanów. Był wprawnym politykiem, ale także dobrym biznesmenem. Miał ponoć dziesięć pałaców, był też właścicielem ponad dwudziestu procent gruntów rolnych w swoim kraju, co uczyniło go jednym z najbogatszych monarchów na świecie. Lecz gdy umierał w 1999 roku, wskaźnik analfabetyzmu w Królestwie był na poziomie pięćdziesięciu pięciu procent. Za jego rządów Maroko było jedynym muzułmańskim krajem, gdzie podwładni padali przed swoim władcą na kolana. W islamie ten gest zarezerwowany jest wyłącznie dla boga, Allaha.

Marokańscy w sen swojego władcy uwierzyli bardzo łatwo. Sen o Wielkim Maroku, które zostało rozczłonkowane przez francuskich i hiszpańskich kolonizatorów. Powstała idea. A idea ma moc scalania ludzi, zwłaszcza tych biednych i niewykształconych. Jest idea, jest cel. A im większe kłamstwo, tym łatwiej ludzie w nie uwierzą. Hassan II uczył się od najlepszych. Twórcą idei Wielkiego Maroka był jednak nie sam król, tylko niejaki Allal al-Fassi, ideolog rządzącej konserwatywnej partii Istiqlal, w której król miał oparcie. W 1956 roku na łamach partyjnej gazety została opublikowana mapa Wielkiego Maroka od Gibraltaru po Senegal. Niewątpliwie musiała robić wrażenie. Kłopot jedynie w tym, że mit Wielkiego Maroka miał niewielkie pokrycie w faktycznej historii kraju. Na podobnej zasadzie Polska mogłaby się dziś domagać aneksji Litwy, Białorusi, Ukrainy, Rumunii i części wschodniej Rosji, odnosząc się do krótkotrwałej Polski od morza do morza z czasów Jagiellonów. Lecz w przypadku Maroka nawet takie odniesienie historyczne nie istnieje. Państwo tej wielkości, obejmujące większą część Maghrebu, owszem, istniało przez krótki czas na przełomie XI i XII wieku. Tylko że było to państwo dynastii Almorawidów, Berberów wywodzących się z terenów dzisiejszej Mauretanii.

Cztery lata po Maroku, w listopadzie 1960 roku, Francja przyznała niepodległość Mauretanii. Nowo narodzony kraj stał się fikcyjną republiką z jednopartyjnym systemem władzy, a na prezydenta, niezwykle lojalnego wobec byłych kolonizatorów, został wybrany Moktar Ould Daddah. Taki model władzy został ustanowiony w większości afrykańskich byłych kolonii z prostej przyczyny. Byłym kolonizatorom znacznie łatwiej było się dogadać z jednym człowiekiem, który skupiał pełnię władzy, niż ewentualnie z demokratycznym, zdecentralizowanym systemem. Mauretańscy, podobnie jak Marokańscy, widząc bogactwa północnego sąsiada, stworzyli szybko ideę, która legitymowała ich prawo do

Sahary Hiszpańskiej. Trzeba jednak przyznać, że byli w tym nieco bardziej skromni niż król Hassan II. Wielka Mauretania obejmować miała, oprócz dzisiejszego terytorium Mauretanii, „jedynie” Saharę Hiszpańską. Daddah w jednym ze swoich przemówień tuż po objęciu urzędu prezydenta wzywał „naszych braci z Sahary Hiszpańskiej, by przyłączyli się do marzenia o Wielkiej Mauretanii jako wspólnoty ekonomicznej i duchowej [...] od rzeki Wadi Dara do granic Senegalu”. W przeciwieństwie do Hassana II Daddah miał pewien silny argument. Maurowie i Saharyjczycy faktycznie stanowią dość pokrewne grupy etniczne.

Koncepcje Wielkiego Maroka i Wielkiej Mauretanii w oczywisty sposób się wykluczały. Maroko od momentu odzyskania niepodległości konsekwentnie wysuwało na forum ONZ roszczenia terytorialne wobec swoich sąsiadów, Sahary Hiszpańskiej i Mauretanii, a po 1962 roku również wobec Algierii. Idea budowy Wielkiego Maroka spędzała sen z oczu Hassanowi II. W 1960 roku powołał on nawet oddzielne Ministerstwo do spraw Mauretanii i Sahary Hiszpańskiej, co dobitnie ukazuje jego stosunek do tych państw. Przez długie lata, do 1969 roku, Maroko nie uznawało formalnie Mauretanii jako niepodległego państwa. Hassan II utrzymywał, że państwo to, podobnie jak Sahara, a zwłaszcza Algieria, zostało wykreowane sztucznie przez europejskich kolonizatorów kosztem Królestwa Marokańskiego. Głodu Hassana II nie zaspokoili gesty Hiszpanii, która w 1956 roku przekazała na rzecz Królestwa Protektorat Północnego Maroka, a dwa lata później Protektorat Południowego Maroka, który nigdy ziemiami marokańskimi nie był. W 1969 roku w ręce Hassana II oddano również nadbrzeżną enklawę Sidi Ifni. Irredentystyczna polityka króla wkrótce ze słów miała przerodzić się w czyny. Z Mauretanią pozostającą zbyt daleko, Saharą wciąż pod kontrolą hiszpańską łatwym celem wydała się Hassanowi II Algieria, która właśnie wywalczyła sobie niepodległość, pokonując swojego kolonizatora w ośmioletniej wojnie.

Granica między Marokiem a Algierią przez dziesięciolecia kolonizacji nie była jasno zdefiniowana, jako że większość z tysiąca pięciuset kilometrów biegła przez tereny pozbawione wody, a tym samym niezamieszkane. Ale w latach pięćdziesiątych w rejonie Tindufu i Baszszaru na zachodzie Algierii odkryto znaczne złoża ropy, gazu, żelaza i manganu. Tym samym rozległe, nieprzyjazne piaski stały się czymś, o co warto było walczyć. W październiku 1963 roku marokańskie czołgi, właśnie dostarczone przez Francuzów, przejechały umowną

granicę algierską i ruszyły w głąb kraju, by budować Wielkie Maroko. Wojska królewskie, bogato wyposażone w najnowsze zdobycze francuskiej techniki wojennej, napotkały jednak silny opór. Armia algierska, choć uboga w uzbrojenie, miała jeden atut: doświadczenie wyniesione z ośmioletniej wojny z Francją. Ówczesny algierski minister spraw zagranicznych, a obecny prezydent Abdelaziz Buteflika jasno określił sytuację, mówiąc: „Nasze granice są nienaruszalne, bo zapłaciliśmy za nie naszą krwią”. Determinacja Algierczyków okazała się wystarczająca. Marokańskie kolumny pancerne niebawem utknęły w piaskach Sahary, atakowane przez zwinne oddziały algierskiej partyzantki. Po trzech tygodniach „piaskowej wojny” marokańskie wojsko, nie zajmując żadnego z docelowych miast, zmuszone zostało do odwrotu. Ten epizodyczny konflikt, z pozoru bez większego znaczenia, położył fundamenty pod trwającą do dziś wrogość i rywalizację obu krajów. Choć rozejm pod naciskiem Organizacji Jedności Afrykańskiej podpisano już w lutym 1964 roku, to konwencję regulującą przebieg granicy podpisano dopiero osiem lat później, 15 czerwca 1972 roku w Rabacie. Parlament algierski ratyfikował ją w 1973 roku. Parlament marokański dopiero dziewiętnaście lat później, w 1992 roku. Wzajemna niechęć tych krajów oprócz konfliktu militarnego ma jeszcze inne podłoże – ideologiczne. Konserwatywna monarchia marokańska, pozostająca w ścisłych związkach z Francją, w oczywisty sposób różniła się od rewolucyjnego algierskiego socjalizmu. Obydwa kraje wybrały dla siebie również odmienne obozy w dwubiegunowym świecie zimnej wojny. Maroko opowiedziało się po stronie Stanów Zjednoczonych, stając się głównym przyczółkiem zachodniego świata w Afryce. Tym samym król Hassan II zyskał przyjaźń oraz bezwarunkowe wsparcie USA i krajów Europy Zachodniej. Owoce tego sojuszu król będzie zbierał przez długie lata panowania swojego i swojego syna Mohammeda VI. Algieria wraz z sąsiadującą Libią znalazły się tymczasem po drugiej stronie, współpracując ze Związkiem Radzieckim. Granica algiersko-marokańska w jakimś sensie stała się więc fragmentem biegnącej przez cały świat żelaznej kurtyny. Dziś na świecie jest już tylko kilka zamkniętych granic lądowych. Jedna z nich biegnie między Marokiem a Algierią.

*

Wobec nowo odkrytych zasobów naturalnych rejonu liczba zainteresowanych

przyszłymi losami Sahary Hiszpańskiej rosła. Swoje pretensje do rejonu wyrażali coraz głośniej Marokańczycy, po nich Mauretańczycy, a z tylnego siedzenia również Francuzi. Hiszpanie tymczasem opóźniali proces dekolonizacji, ciesząc się dziesiątkami statków odpływających z portu w El Aaiún. Wkrótce Sahara Hiszpańska stała się areną skomplikowanych, przebiegłych i niejednokrotnie brutalnych zmagania tych państw. Na początku lat pięćdziesiątych o tereny te upomnieli się także prawowici ich właściciele, czyli plemiona saharyjskie. Coraz częściej w ich świadomości zaczęły się pojawiać koncepcje wyzwolenia spod europejskiej kolonizacji i zjednoczenia, tak by mogły utworzyć jeden naród. Pośród wydm Sahary, w namiotach, przy herbacie zaczął się rodzić, na razie jeszcze niesprecyzowany, ruch narodowyzwoleńczy. Ruch ten z początku nie miał jasno określonych żądań, a jego celem stała się po prostu walka z nadal obecnymi w rejonie Francuzami i Hiszpanami. Już w 1912 roku spora grupa bojowników z Sahary wyruszyła na pomoc Marokańczykom walczącym z francuskimi okupantami, a kilka lat później Saharyjczycy przyłączyli się do walk przeciw Francuzom w Mauretanii. Warto zauważyć, że gdy w 1934 roku wojska hiszpańskie i francuskie rozpoczęły operację przeciw bojownikom saharyjskim, ani Marokańczycy, ani Mauretańczycy nie przyszli bronić Sahary, którą czterdzieści lat później okrzykną swoim odwiecznym terytorium. W latach pięćdziesiątych Saharyjczycy weszli w sojusz z grupami partyzantów marokańskich, znanymi później jako Armée de Libération (Armia Wyzwolenia). Armia ta, składająca się w dużej mierze z niepokornych górali Rifu i Atlasu, toczyła zacięte potyczki z Francuzami i Hiszpanami. Wkrótce do Armée de Libération przyłączyło się tysiące bojowników przybyłych na wielbłądach z odległych rejonów Sahary Hiszpańskiej. Było ich tak wielu, że Hiszpanie nową partyzantkę identyfikowali już jako Armée de Libération Sahrawi, choć dowództwo pozostawało w rękach Ben Hamu Mesfioui, górala z Rifu, obszaru stanowiącego część Protektoratu Północnego Maroka. Ataki Armii Wyzwolenia skupiały się głównie na znienawidzonych za agresywną politykę kolonialną Francuzach. Hiszpanie, licząc na osłabienie dominującej roli Francji, przez kilka lat tolerowali, a nawet po cichu wspierali działania saharyjskiej partyzantki. Sytuacja zaczęła się zmieniać wraz z odzyskaniem przez Maroko niepodległości. Armia Wyzwolenia, wywodząca się głównie z Berberów, rdzennych mieszkańców terenów Maroka, nie popierała króla Mohammeda V, który właśnie objął tron. Z początku jego władza była przez to dość iluzoryczna, bo spore obszary Maroka pozostawały pod wyłączną kontrolą

Armii Wyzwolenia. Król przy wsparciu francuskich oficerów zreorganizował zatem własne wojsko FAR (Forces Armées Royales, Królewskie Siły Zbrojne). W pewnym sensie Maroko stanęło wobec wewnętrznego konfliktu, grożącego nawet wybuchem wojny domowej. W 1957 roku partyzanci, atakując enklawę Sidi Ifni, przenieśli działania zbrojne na dotychczas bezpieczne tereny hiszpańskie. Kilka miesięcy później połączone siły Francji i Hiszpanii, wspierane nieoficjalnie przez króla Mohammeda V, zaczęły zmasowaną operację przeciw bojownikom Armii Wyzwolenia. To właśnie w nagrodę za pomoc Hiszpanie przekazali królowi Protektorat Południowego Maroka, ziemie, które historycznie zawsze należały do Saharyjczyków. Był to wymowny gest. Zduszenie Armii Wyzwolenia stało się początkiem współpracy francusko-hiszpańsko-marokańskiej, która trwając przez następne dziesięciolecia, okazała się zgubna dla saharyjskich ambicji niepodległościowych.

Tymczasem nieuchronny proces dekolonizacji zbliżał się wielkimi krokami również do posiadłości hiszpańskich. Hiszpanom jednak pomysł opuszczenia kolonii, która właśnie okazała się żyłą złota, ze zrozumiałych względów nie przypadł do gustu. W 1965 roku ONZ, widząc niechęć Hiszpanów, potwierdziła, że ludność Sahary Hiszpańskiej ma prawo do samostanowienia, i poprosiła, by przyspieszyć proces dekolonizacji. Lecz Hiszpania w tym czasie zajęta była eksploracją ogromnych złóż fosforytowych. Właśnie budowano gigantyczny pirs sięgający trzy kilometry w głąb oceanu, który miał zapewnić szybki załadunek przyplływających z całego świata statków. Nietrudno zrozumieć, że w takiej sytuacji generał Franco nie był szczególnie zainteresowany postanowieniami ONZ. Hiszpanie zaczęli więc starania, by pozyskać sobie sympatię starszyzny plemion saharyjskich, w nadziei, że Saharyjczycy sami będą przeciwni dekolonizacji rejonu. Utworzono coś w rodzaju marionetkowego saharyjskiego parlamentu, Dżama'a, składającego się z przychylnych Hiszpanom wodzów, którzy w podpisanym memorandum ogłosili, że wolą ludności Sahary Hiszpańskiej jest pozostanie w związku z Hiszpanią. Dżama'a była jednak zbyt ewidentną manipulacją, by móc przekonać ONZ. W 1966 roku ONZ po raz pierwszy wezwała Hiszpanię do zorganizowania referendum na terenie Sahary Hiszpańskiej. Referendum, w którym Saharyjczycy mogliby określić swoją przyszłość i opowiedzieć się za niepodległością lub integracją z Hiszpanią lub z którymś z ościennych krajów. Od tej pory słowo „referendum” wybrzmiewać będzie niemalże w każdej oenzetowskiej rezolucji dotyczącej regionu, a po latach stanie się symbolem

gorzkiej porażki prawa międzynarodowego i zawiedzionej nadziei ostatniej kolonii afrykańskiej.

*

Jest takie stare powiedzenie wśród Saharyjczyków, które rodzice powtarzali swoim dzieciom w zaciszu namiotów. Nie podróżuj na północ. Na północy znajdziesz zło. Nie jedź też na wschód. Tam znajdziesz wojnę. Możesz jechać na południe, ale jedynie w odwiedziny. Twoim miejscem jest zachód, tu mieszkasz. Tu znajdziesz bogactwo i pokój.

Gdy miasto Tantan wraz z całym obszarem Tarfaja zostało przekazane Maroku w 1958 roku, a powstanie marokańskich górali i saharijskich nomadów zgniecione przez francuskie lotnictwo, Mohammed Bassiri kończył właśnie szesnaście lat. Jego rodzinne miasto znalazło się pod marokańską okupacją. Ludzie wiedzieli, że to za pomoc, jaką Mohammed V okazał w stłumieniu rebelii. Już niedługo Saharyjczycy mieszkający w Tantanie i Tarfai mieli odczuć ciężar marokańskiej władzy i zapłacić wysoką cenę za sympatyzowanie z rebeliantami Armii Wyzwolenia. Pochodzący z tradycyjnej, cieszącej się dużym szacunkiem rodziny chłopak właśnie wybierał się do Maroka, by rozpocząć naukę. Najpierw zaczął studia w Marrakeszu, by chwilę później przenieść się do Rabatu. Ale pociąg do wiedzy i poznawania kultury arabskiej pchnął go jeszcze dalej. Wkrótce Bassiri opuścił Maroko i wyjechał do Egiptu, by studiować Koran i klasyczny język arabski. Z Kairu szybko przeniósł się do Damaszku w Syrii. Tam ukończył studia na wydziale dziennikarstwa, zostając pierwszym absolwentem wyższej uczelni pochodzącym z terenów Sahary Hiszpańskiej. W 1966 roku wrócił do Maroka i w rodzinnym mieście założył swoją gazetę o nazwie „Asz-Szihab” (Pochodnia), która stała się forum dla młodych Saharyjczyków marzących o swoim własnym kraju. Gdy w jednej z marokańskich gazet ukazał się tekst twierdzący, że Sahara jest częścią Maroka, nazajutrz Bassiri opublikował swój artykuł zatytułowany *Sahara dla Saharyjczyków*. Pisał w nim odważnie: „Sahara Zachodnia nigdy nie była częścią marokańską, władze Maroka nie mogą udowodnić, że te tereny stanowiły kiedyś część królestwa Alawitów. Przez wieki Marokańczycy nie posiadali na terenie Sahary Zachodniej nikogo, kto sprawowałby władzę w ich imieniu. Sahrawi nigdy nie przyjęli zwierzchnictwa sułtanów marokańskich. Między naszymi narodami nie występowały nigdy żadne powiązania poza

wymianą handlową i wspólną religią”. Wraz z tymi słowami tolerancja władz marokańskich się wyczerpała. Bezkompromisowa postawa i głoszone doniośle przekonania spowodowały, że w 1967 roku Bassiri musiał uciekać z Maroka. Wyjechał sekretnie na południe, do Smary, najstarszego miasta Sahary Hiszpańskiej, ważnego ośrodka kulturowego. Był tu obcy, ale swoją osobowością i głęboką znajomością Koranu szybko zyskał sobie sympatię. Dobrze wykształcony Bassiri założył w Smarze szkołę arabskiego, która szybko stała się miejscem spotkań Saharyjczyków przepelnionych rewolucyjnymi ideami. W Smarze Bassiri poznał również Mohammeda Mahmuda Beidela, starszego człowieka o niezwyklej charyzmie i autorytecie. Beidel był uznawany za mędrca, a jego mądrość była znana wśród Saharyjczyków od Smary po La Güerę. Dzięki Mohammedowi Beidelowi oraz ludziom, którzy przychodzili do niego po rady, Bassiri miał szansę lepiej zrozumieć kulturę i zawiłości społeczności Saharyjczyków. Mógł też ocenić nastroje, jakie w niej panowały. Znajomość z Beidelem oraz założona szkoła arabskiego budowały również autorytet Bassiriego i maskowały działalność konspiracyjną.

Wśród kilkunastu uczniów szkoły Bassiriego był Salem Labsir, dziś jeden z głównych polityków saharijskich. Spotykam go w obozie uchodźców w Algierii. Siedzimy w obskurnym budynku jednej z obozowych instytucji, uciekając przed pięćdziesięciostopniowym upałem. Salem, choć osiem lat młodszy od swojego nauczyciela, szybko stał się dla Bassiriego jedną z bardziej zaufanych osób.

– Którejś nocy na początku 1969 roku, gdy graliśmy jak zwykle w karty, dotarła do nas wiadomość, że Hiszpanie przewidują podział Sahary między Maroko, Mauretanię i Algierię – wspomina Labsir. – Taka informacja pojawiła się w radiu BBC, a potem została przedrukowana we francuskich gazetach. Byliśmy oburzeni, wybuchła między nami żywiołowa dyskusja. Zebraliśmy się również następnej nocy. Każdy rzucał jakieś pomysły, jedni, że trzeba zrobić manifestację, inni, że należy natychmiast chwycić za broń. A Bassiri mówił najmniej. Siedział z tyłu, słuchał, obserwował. On tak naprawdę nie lubił tych naszych spotkań, wolał działać w ciszy, potajemnie, nie zwracając na siebie uwagi. Chyba jako jedyny z nas rozumiał, że rozmawiamy o poważnych sprawach. A wtedy Hiszpanie mieli w Smarze przecież wielu szpiegów. Nazajutrz spotkałem się z nim sam na sam. Spytał mnie, czy uważam, że ci ludzie byli szczerzy i gotowi wziąć odpowiedzialność za swoje słowa. Po chwili wybrał pięć osób spośród nich i poprosił, bym je przyprowadził.

Tak wśród oparów tytoniu i herbaty zrodziło się tajne ugrupowanie o nazwie Harakat Tahrir Sakija al-Hamra wa Wadi az-Zahab. Ludzie Ignęli do Bassiriego, jego idee mknęły przez pustynię, docierając do najdalszych zakątków. Już w rok po utworzeniu Harakat Tahrir liczył sobie osiemnaście tysięcy członków i poza Smarą miał swoje komórki w El Aaiúnie, Tifariti, Villi Cisneros, Bu Craa, Mahbésie i La Güerze. Do Harakat Tahrir wstępowali nawet Saharyjczycy pracujący dla administracji hiszpańskiej, funkcjonariusze oddziałów Policía Territorial czy Tropas Nómadas. Idee Bassiriego były ambitne. Nie tyle politycznie, ile przede wszystkim społecznie. Bassiri, będąc jedynym Saharyjczykiem z wyższym wykształceniem, i to zdobytym w krajach Bliskiego Wschodu, zjednywał sobie ludzi, występując przeciw tradycyjnym hierarchiom plemiennym i pokazując możliwość budowy nowoczesnego społeczeństwa opartego na socjalistycznych ideałach równości. Program Bassiriego uderzał mocno w skostniałe plemienne struktury, w których upatrywał on przyczyn słabości Saharyjczyków. Bassiri jednoznacznie krytykował utworzony przez Hiszpanów parlament Dżama'a i jego przedstawicieli, przekupionych i lojalnych wobec kolonizatorów. Wśród Hiszpanów działania Bassiriego, uderzające w ich sposób sprawowania władzy, wzbudzały coraz większe zaniepokojenie.

– On miał niewiarygodny wręcz dar przekonywania – kontynuuje Labsir. – Zgodził się na spotkanie z przewodniczącym Dżama'a. To było niezwykle odważne posunięcie, wszyscy wiedzieli przecież, że to człowiek, który współpracuje z Hiszpanami. A Bassiri przekonał go, by wstąpił do Harakat Tahrir! Potem udało mu się nakłonić również pięciu Saharyjczyków, którzy byli członkami parlamentu hiszpańskiego!

Tymczasem rodzina Bassiriego nadal pozostawała w Tantanie, w którym trwały wówczas brutalne represje wobec ludności saharijskiej. Bassiri wiedział już, że, tak jak zawsze powtarzali mu rodzice, zło przyjdzie z północy. Przeczuwał również, że Hiszpanie nie opuszczą Sahary na drodze negocjacji. Choć, na wzór Gandhiego, potępiał walkę zbrojną jako sposób na odzyskanie niepodległości, oprócz struktur politycznych w Harakat Tahrir zaczęto tworzyć także formacje paramilitarne. Wsparcie w tym zakresie obiecała Bassiriemu już w 1969 roku Algieria, a budową batalionu zajął się jeden z sześciu założycieli Harakat Tahrir, były żołnierz armii hiszpańskiej.

Istnienie Harakat Tahrir udało się utrzymać w tajemnicy do czerwca 1970 roku. Wtedy to Mohammed Bassiri zdecydował się wysłać do gubernatora Sahary

Hiszpańskiej obszerny manifest. Bassiri w bardzo wyważonym tonie wyliczał swoje postulaty: „Sprzeciwiamy się przyłączeniu Sahary do jakiegokolwiek innego państwa, z północy czy południa, wschodu czy zachodu, bo jesteśmy wolnym narodem. [...] Jesteśmy zupełnie inni niż ludzie, którzy twierdzą, że Sahara to ich historyczne terytorium. [...] Prosimy władze Hiszpanii, by zapewniły nam możliwość rządzenia we własnym kraju”. Co ciekawe, Bassiri nie domagał się wcale natychmiastowej niepodległości. Przeciwnie, przyszłość Sahary Zachodniej widział raczej we współpracy z Hiszpanią, ale przy założeniu autonomii regionu i przekazaniu władzy w ręce Saharyjczyków. Pełna niepodległość była dla Bassiriego dopiero dalszą perspektywą, dziesięciu lub piętnastu lat. Bassiri, będąc intelektualistą, dostrzegał wyraźnie, że większym zagrożeniem dla Saharyjczyków są ambicje króla Hassana II niż obecność administracji hiszpańskiej, starał się więc szukać wsparcia ze strony Hiszpanów w konflikcie z sąsiadami z północy. By przekonać Hiszpanów do swoich racji, Bassiri zapewniał też, że Hiszpania mogłaby utrzymać udziały w eksploatacji dóbr naturalnych i uprzywilejowaną pozycję partnera handlowego. W ostatnich słowach Mohammed Bassiri, jasno odwołując się do nadciągającego z północy zagrożenia, prosił, by „Hiszpania nie opuszczała Sahary Zachodniej”.

Ale rząd generała Franco miał zupełnie inną wizję przyszłości Sahary Hiszpańskiej i nie było w niej miejsca dla ruchu Mohammeda Bassiriego. 17 lipca 1970 roku hiszpańskie władze kolonii zorganizowały pokazową manifestację mającą na celu udowodnić światu, że Saharyjczycy nie chcą dekolonizacji. Przeciwnie, że ich wolą jest, by ich kraj został włączony do Hiszpanii. Na Plaza de África w El Aaiúnie zaproszono hiszpańskich oficjeli, przedstawicieli Dżama'a oraz dziennikarzy ze świata. Zachęcano miejscową ludność, by wzięła udział w demonstracji. Jednakże do południa na Plaza de África zgromadziło się jedynie kilkaset osób, w większości Hiszpanów. Ludzie poszli gdzie indziej.

W tym samym czasie Harakat Tahrir zorganizował swoją własną demonstrację na przedmieściach El Aaiúnu, w dzielnicy zwanej Zemla. Słowo to w dialekcie hassanijja oznacza tyle co wzgórze. Ku zdziwieniu hiszpańskich władz w południe na Zemli, która dziś obejmuje osiedla Matallah i Linach, zgromadziło się ponad pięć tysięcy osób. Cała Zemla zastawiona była prostokątnymi saharyjskimi chajmami, tradycyjnymi nomadzkimi namiotami, w różnych kolorach, a gorące powietrze rozbrzmiewało rewolucyjnymi pieśniami. Istnienie tak silnego ruchu

politycznego było dla Hiszpanów zupełnym zaskoczeniem. Zdezorientowane władze próbowały przekonać manifestujących, by przyłączyli się do oficjalnego zebrania. Bezskutecznie. Napięcie w El Aaiúnie rosło z minuty na minutę. Do manifestujących Saharyjczyków wyszedł gubernator kolonii José María Pérez de Lerma. Przyszedł sam, bez żołnierzy, by wysłuchać żądań zgromadzonych na Ziemi ludzi i nakłonić ich, by się rozeszli. Zapewniał o dobrych intencjach i osobistym poparciu dla żądań zgromadzonych. Lecz odmówił wydania obietnic na piśmie. Około siedemnastej wobec braku porozumienia Pérez de Lerma wrócił na Ziemię z oddziałem policji, by aresztować organizatorów zajścia, lecz funkcjonariusze zostali obrzuceni kamieniami. Podobnie potraktowano grupę lojalnych przedstawicieli parlamentu, których demonstranci uznawali za zdrajców. Znowu poleciały kamienie. Chwilę później Pérez de Lerma wydał prawdopodobnie najgłupszy w swoim życiu rozkaz.

W piaski Ziemi wsiąkła krew dwunastu zastrzelonych osób i dziesiątek rannych. Wsiąkła również nadzieja Saharyjczyków na pokojowe odzyskanie niepodległości.

– Bassiri był od początku gotowy na największe poświęcenie – mówi Salem Labsir. – To był człowiek, który chciał wejść do historii przez wielkie drzwi. Późnym wieczorem po manifestacji przyszedłem do niego i powiedziałem, że musimy uciekać. A on odmówił.

Około trzeciej w nocy, gdy na Ziemi niszczone ostatnie ślady demonstracji, Mohammed Bassiri został aresztowany. Nie stawiał oporu, nie próbował uciekać. Na ostatnim zdjęciu Bassiri trzyma przed sobą tabliczkę z więziennym numerem B-2875. Kilka dni później został zakatowany w Czarnym Więzieniu. W latach osiemdziesiątych generał Pérez de Lerma zeznał, że szczątki Mohammeda Bassiriego zostały rozrzucone na wydmach na zachód od El Aaiúnu. Mohammed Bassiri stał się pierwszym męczennikiem trwającej do dziś saharyjskiej rewolucji.

Setki kilometrów na wschód od El Aaiúnu, na terenie Algierii, w obozach uchodźców, w których dziś żyje prawie połowa Saharyjczyków, pośród piasków hamady jest prowizoryczne Muzeum Wojny. Muzeum wita nas wielkim malowidłem przedstawiającym trzy postacie. Pierwszą z nich jest Mohammed Bassiri. Portret, wykonany na podstawie ostatniego więziennego zdjęcia, otoczony jest z jednej strony odchodzącymi w przeszłość namiotami i wielbłędami symbolizującymi dotychczasowe życie Saharyjczyków. Z drugiej strony Bassiriego ich miejsce zajmują ostre linie drutów kolczastych i ognia.

To był początek.

*

Hamida Abdullah nie wie, kiedy się urodził. Pamięta, że był to okres szczepionek, więc rok 1953 lub 1954. Wtedy hiszpańska administracja przeprowadzała w swojej kolonii program szczepień przeciw polio. Przyszedł na świat w chajmie nieopodal Villi Cisneros. Teraz w Tinghir, gdzie się urodził, jest plantacja pomidorów. Ogromna, szklarnie i magazyny ciągną się po horyzont. Pomidory rosną tutaj jak na drożdżach, bo okres wegetacji jest znacznie dłuższy niż w Maroku. Potem Marokańczycy naklejają im etykiety z napisem „Kraj pochodzenia: Maroko”, bo przecież „Kraj pochodzenia: okupowana Sahara” to by jakoś głupio brzmiało i nikt by tych pomidorów nie kupił. A tak bez wyrzutów sumienia sprzedają je w Europie jako swoje, a Europejczycy bez wyrzutów sumienia te pomidory kupują, podobnie jak ryby i wiele innych produktów pochodzących z terytorium okupowanego. Lecz gdy rodził się Hamida, Tinghir to było zaledwie kilka namiotów na wschodnim brzegu zatoki, przy której po drugiej stronie na półwyspie leżała Villa Cisneros. Ojciec Hamidy był kupcem, i to całkiem zamożnym, więc jako dzieciak Hamida ciągle był w drodze, pomagając ojcu w handlu. Ich karawana najczęściej podróżowała do oddalonej o ponad czterysta kilometrów La Güery. Leży ona na tym samym półwyspie co Nawazibu, drugie co do wielkości miasto Mauretanii i duży port. Z zakupionymi towarami wracali do Villi Cisneros, przemierzając niezamieszkane wydmy południowej części Sahary. Gdy chłopak miał piętnaście lat, ojciec posłał go na stałe do Villi Cisneros, by rozpoczął naukę. Gimnazjum w Villi Cisneros było pierwszą szkołą na Saharze Hiszpańskiej, Hiszpanie bowiem przez wiele lat nie budowali szkół w swojej kolonii, by Saharyjczycy nie mieli dostępu do edukacji. Ale Hamida, choć zdolny, zbyt długo nie utrzymał się w gimnazjum. Po tym, co stało się w 1970 roku na wzgórzach El Aaiúnu, młodzi masowo zaczęli odchodzić ze szkół, by wesprzeć rodzący się ruch niepodległościowy. Nie mieli ochoty na naukę, mieli ochotę na wolność. Zabójstwo Mohammeda Bassiriego, zamiast spacyfikować niepodległościowe nastroje, zainspirowało Saharyjczyków do walki.

– Hiszpanie popełnili straszną głupotę, proponowaliśmy im współpracę, my ich lubiliśmy nawet, a oni zaczęli do nas strzelać. Mogli mieć w nas sojuszników, ale wybrali inaczej. W takiej sytuacji my też nie mieliśmy innego wyjścia niż chwycić za broń – mówi Hamida.

W 1972 roku Hamida pierwszy raz pojechał na północ, w kierunku kraju, który

budził wśród Saharyjczyków znacznie większą trwogę niż Hiszpania. Matka zawsze powtarzała Hamidzie, że Marokańczycy to najwięksi wrogowie, więc gdy któregoś dnia ojciec oświadczył, że ruszają na wyprawę kupiecką do Marrakeszu, Hamida był przerażony. Nigdy wcześniej nie był dalej na północ niż w Villi Cisneros. Ukryta gdzieś za górami Atlasu północ była tajemnicza, z tej północy wiało grozą, ta północ rodziła lęk.

Lecz jeszcze zanim ich karawana dotarła do Maroka, Hamida zauważył, że wjeżdża do innego, niekoniecznie przyjaznego świata. W El Aaiúnie, który był na ich drodze, czuć było już strach.

– Nasze chajmy nie miały drzwi. Namiot nie ma drzwi, jest zawsze otwarty, także dla innych ludzi. Jak ktoś do nas przyjeżdżał, był gościem, należał mu się największy szacunek. Tak nakazuje nasza religia. Nikt nie pyta się gościa, skąd przybywa. Nieważne skąd. Z daleka. Gdziekolwiek by to było.

A w El Aaiúnie, z którego do granicy z Marokiem jest niespełna siedemdziesiąt kilometrów, drzwi domów pozamykane były na klucz. Wydarzenia z 1970 roku, buńczuczne przemówienia Hassana II sprawiały, że ludzie zaczęli się bać.

– Nocowaliśmy u znajomych mojego ojca. Któregoś wieczora wyszedłem na chwilę na ulicę zapalić papierosa, gdy wróciłem, drzwi domu były już zamknięte. Zapukałem, a głos zza stalowych drzwi zapytał mnie: „Kim jesteś, obcy?”. A ja nie znałem takiego słowa! Nie znałem słowa „obcy”, wśród nomadów ono nie istniało, nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

Z El Aaiúnu udali się do Tantanu. Miasto, choć od czternastu lat w ramach Królestwa Marokańskiego, było w większości zamieszkane przez Saharyjczyków i stanowiło ważny ośrodek rodzącego się ruchu niepodległościowego. Na demonstracje odbywające się w Tantanie Marokańczycy reagowali znacznie bardziej brutalnie niż Hiszpanie. W mieście czuć było terror. Tam Hamida po raz pierwszy w życiu widział, jak mężczyzna podnosi kamień i rzuca nim w kobietę. Zdał sobie sprawę, że jego matka nie kłamała. Następny przystanek, Agadir, był dla Hamidy jeszcze większym szokiem. Wychowany na pustyni, nigdy wcześniej nie widział tak wielkiego miasta i tak wielu ludzi. Bał się.

– Na wjeździe do Agadiru oznaczyli nas farbą, że Saharyjczycy, że kupcy. Mój ojciec zawsze chodził w czarnym turbanie i tradycyjnym stroju męskim – błękitnej dara'a. Marokańczycy nie noszą turbanów, oni noszą swoje czerwone fezy. Ojca było widać z daleka. Każdy wiedział, że jesteśmy obcy i że można nas łatwo okraść.

Kradzież Hamida widział po raz pierwszy w Marrakeszu, gdzie szajki złodzieiów krążących po bazarach były tak wprawne, że jednym ruchem odcinali całe sakwy i kieszenie, nim nieświadomy nieszczęśnik zdążył się zorientować. Między nomadami kradzież nie istniała.

– Wyobraź sobie, ja wychowałem się w społeczeństwie, gdzie nikt nie narusza niczyjej własności, każdy szanuje drugą osobę, a tu za parę dirhamów ktoś może ci wsadzić nóż pod żebra i nikt nie zareaguje. Któregoś dnia poszliśmy odwiedzić jakiś grób mędrców, który znajdował się w podziemiach pewnego budynku. By zobaczyć kryptę, trzeba było zejść wąskimi schodkami pod podłogę. Dokoła stali Marokańczycy. Nie zszedłem, bałem się, nie ufałem im ani trochę.

Saharyjczycy twierdzą, że o nieuniknionym konflikcie pisał już ich wieszcz narodowy szajch Mohammed El Mami w XIX wieku. Ponoć w swoim traktacie socjologicznym *Kitab El-Badia* przewidział, że wojna przyjdzie z północy. Jak i to, że Saharyjczyków zaatakują ich bracia z południa, Mauretańczycy. Hamida twierdzi też, że El Mami w swoich poematach pisał już o pociągach i helikopterach. Był prawdziwym mędrcem, ludzie mówili o nim, że policzył wszystkie ziarenka piasku na ziemi.

– Więc jak wróciliśmy z ojcem z Marrakeszu, od razu przyłączyłem się do konspiracji. Wtedy wszyscy już knuli, zwłaszcza młodzi. Przeprowadziłem się do La Güery i podjąłem pracę w tamtejszej przetwórni ryb. Ale praca była tylko przykrywką dla mojej tajnej działalności. Szefa fabryki często nie było, więc jakoś tak wyszło, że szefem właściwie byłem ja. Jeździłem często służbową ciężarówką do Mauretanii. Niby że z rybami, ale pod rybami ukrywaliśmy materiały propagandowe, transparenty, ulotki, flagi i pieniądze. Ryb przecież nikt nie przeszukiwał, bo śmierdziały. W Mauretanii mieszkało wielu Saharyjczyków, trzeba było ich werbować. Tak więc robiłem propagandę, i to za hiszpańskie pieniądze!

Za swoją wywrotową działalność Hamida trafił wkrótce do więzienia, jeszcze hiszpańskiego. Już niedługo ludzie będą z nostalgią wspominać czasy łagodnej okupacji hiszpańskiej. Gdy tylko wyszedł na wolność w 1974 roku, Hamida przystąpił do Frontu POLISARIO.

*

Nie wiadomo, czy kiedykolwiek się spotkali. Niektórzy twierdzą, że nie, inni, że

owszem – tak. Wiadomo, że raczej nie bywał na spotkaniach w szkole Mohammeda Bassiriego. Ale jego bliscy przyjaciele mówią jednak, że mieli okazję się spotkać kilka lat wcześniej, w 1966 roku w Kulmimie, niewielkiej miejscowości między Tantanem a Agadirem. Wyszukany, rozważny, acz stanowczy ton, w jakim Mohammed Bassiri prowadził polityczne rozmowy, urzekł osiemnastoletniego wówczas chłopaka, któremu na imię było El Wali Mustafa Sajed.

Saharyjczycy mówią o sobie, że są synami chmur. Chmury to dla nomadzkiej rodziny nadzieja na deszcz. Na życie. Gdy tylko na granatowym saharyjskim niebie pojawiały się obłoki, nomadzi pakowali swój dobytek, wsiadali na wielbłądy i wraz ze stadami kóz podążali za chmurami zwiastującymi deszcz. El Wali przyszedł na świat właśnie w takiej beduińskiej rodzinie, która podróżowała przez pustynię północnej Mauretanii i Sahary Hiszpańskiej. Nie znamy dokładnej daty urodzin El Waliego, poza tym, że był to najprawdopodobniej rok 1948. Nie jest też pewne, gdzie się dokładnie urodził. Niektóre źródła mówią, że miejscem jego narodzin była niewielka oaza Bir Umm Kurajn w północnej Mauretanii. Inne podają, że urodził się w osadzie Bir Lehlú na wschodzie Sahary Hiszpańskiej. Byłby to piękny zbieg okoliczności, gdyż właśnie tam zostanie w przyszłości proklamowana Saharyjska Arabska Republika Demokratyczna (RASD). Choć rodzina Sajedów posiadała niewielkie stado, ojciec El Waliego nie uważał się za pasterza. Jego nieodłącznym atrybutem była strzelba. Pochodzący z zacnego plemienia Erguibat, był wojownikiem, człowiekiem działania i prostych, surowych, jednoznacznych zasad. Tak też wychował swojego syna. El Wali dorastał w chajmie, która wypełniona była wojennymi historiami przodków i krewnych. Wieczorne opowieści o bohaterach, wojennych rajdach zwanych *ghazw*, zdobyczach i trofeach działały na wyobraźnię młodego chłopaka, określiły jego tożsamość i przyszły sposób działania.

Rok 1958 był niezwykle trudny dla rodziny Sajedów. Od długiego czasu na niebie nie pojawiały się żadne chmury, za którymi można by podążać. Przedłużająca się susza oraz wojna, jaka rozpętała się między Armią Wyzwolenia a połączonymi siłami Francji i Hiszpanii, zmusiły rodzinę do osiedlenia się w mieście. Wybrali Tantan. El Wali poszedł do szkoły założonej specjalnie dla przybywających licznie do miasta nomadów. Choć szkoła ta miała na celu marokanizację saharyjskiej młodzieży, efekt był zupełnie odwrotny. El Wali poznał tam innych młodych Saharyjczyków, którzy mimo że byli nastolatkami, marzyli o własnym, wolnym kraju. Wielu z nich stanie się jego przyszłymi

współpracownikami i towarzyszami broni. Podobnie jak Bassiri, El Wali był zdolnym, lecz zbuntowanym uczniem. W 1963 roku przeniósł się do szkoły w Marrakeszu, już po dwóch latach został jednak z niej wyrzucony za kłótnię z dyrektorem. By kontynuować naukę, musiał się przenieść do miasta Tarudant, gdzie za wzorowe wyniki w nauce dostał stypendium i wyjechał do Rabatu, by podjąć studia na Wydziale Prawa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Mohammeda v. Był jednym z najzdolniejszych studentów, choć nie dane było mu ukończyć studiów. Mimo sukcesów w nauce El Wali więcej czasu poświęcał polityce, organizował spotkania, wygłaszał przemówienia, pisał artykuły i manifesty o przyszłości Sahary Hiszpańskiej. Skupiał się na potrzebie uwolnienia swojego kraju spod kolonizatorskich rządów, nie wspominał jeszcze o przyszłości, jaką dla niego widział. Dyplomatyczną retoryką starał się sobie pozyskać sympatię różnych środowisk, w tym także marokańskich, włącznie z rządzącą partią Istiqlal. Nietrudno się domyśleć, że były to starania skazane na niepowodzenie. Niemniej El Waliemu udało się stworzyć wokół siebie grupę oddanych przyjaciół i zwolenników jego wizji, w dużej mierze wywodzących się ze środowisk o poglądach socjalistycznych, a nawet marksistowskich, popularnych wówczas wśród studentów. W tym czasie wybrał się również w podróż do Europy. Odwiedził Amsterdam i przepełniony po 1968 roku rewolucyjnymi ideami Paryż. Studencka rewolta w Paryżu i lewicowe idee były zresztą źródłem ogromnej inspiracji dla młodego Saharyjczyka.

Wróciwszy z Europy, przystąpił do działania. Porzucił studia w 1972 roku i pojechał do Tantanu, gdzie wraz ze znajomymi z uniwersytetu oraz młodszymi kolegami z gimnazjum zaczął organizować antyhiszpańskie demonstracje. Po pierwszej, która odbyła się w marcu, marokańska policja aresztowała dziewięć osób, w tym El Walię. Po drugiej, znacznie większej, w maju, aresztowano ponad czterdzieści osób. El Wali trafił po raz kolejny do aresztu, tym razem przekonał się na własnej skórze, jak wygląda przesłuchanie w marokańskim więzieniu. Wypuszczony po kilku dniach tortur, nie miał już żadnych złudzeń ani wątpliwości co do następnych kroków, jakie należy podjąć. Wraz ze swoimi kompanami El Wali ruszył w kilkumiesięczną podróż po Saharze Hiszpańskiej, Algierii i Mauretanii. W miastach, oazach, zaułkach zjednywał sobie ludzi i przekonywał, że zbrojne powstanie to jedyna droga do wolności. Po śmierci Bassiriego osieroceni Saharyjczycy potrzebowali nowego, charyzmatycznego przywódcy. Stał się nim El Wali Mustafa Sajed.

Zapytawszy o fenomen El Waliego pewnego starszego Saharyjczyka, otrzymałem prostą odpowiedź: „On po prostu był najlepszy. Był wzorem we wszystkim, co robił, czy była to walka, czy zmywanie podłogi. Był najlepszy”. Do roku 1973 większość z aresztowanych podczas wydarzeń z 1970 roku wyszła już na wolność i rychło przyłączyła się do nowej, rodzącej się, jeszcze nienazwanej organizacji.

Miasto Zuwirat leży w Mauretanii. Gdy spojrzemy na mapę, zobaczymy, że granica, która biegnie wokół rejonu, jest inna niż wszystkie. Zuwirat, choć w Mauretanii, zamieszkały był w znacznym stopniu przez Saharyjczyków i początkowo stanowił część hiszpańskiej kolonii. Saharyjczycy traktują go w pewnym sensie jak swój, mimo że leży poza granicami ich ojczyzny. Miasto, tuż przy granicy Sahary Zachodniej, ale poza zasięgiem Hiszpanów, idealnie nadawało się na kwaterę główną rodzącego się ruchu oporu. Na zjazd w Zuwiracie, ku zadowoleniu El Waliego, przyjechali ludzie reprezentujący różne frakcje, różne środowiska i plemiona. Byli tam kombatanci Armée de Libération, byli organizatorzy demonstracji na Ziemi, członkowie Harakat Tahrir, byli również aktywiści z Tantanu oraz studenci z marokańskich uniwersytetów. Rewolucjoniści obradowali w prywatnym domu jednego z nich, Ahmeda Saleha, który właśnie został wypuszczony z hiszpańskiego więzienia. Po kilku dniach, 1 maja 1973 roku, powołano Frente Popular de Liberación de Saguia el Hamra y Río de Oro, Front Wyzwolenia Saguia el Hamra i Rio de Oro, w skrócie Frente POLISARIO. Hasłem nowej, radykalnej organizacji stało się „Con el Fusil Arrebataremos la Libertad” (Z karabinem po wolność). W godle umieszczono dwie skrzyżowane strzelby, na których końcach wisiały czarno-biało-zielono-czerwone flagi z arabskim półksiężycem i gwiazdą w centrum. Pierwszym sekretarzem generalnym nie został jednak El Wali. Zgromadzenie wybrało Brahima Ghaliego, dziś będącego ambasadorem Sahary Zachodniej w Algierii. Do ścisłego zarządu organizacji weszli również Bachir Mustafa Sajed (brat El Waliego), Mohammed Lamin Ahmed, Mohammed Lamin Buhali, Mahfoud Ali Beiba, Omar Hadrami, Mohammed Abdelaziz oraz Lahbib Ayoub, którego talent wojskowy i niezwykła odwaga będą wkrótce siały postrach wśród Marokańczyków i Mauretańczyków. Prosto z kongresu w Zuwiracie członkowie Frontu POLISARIO ruszyli na wojnę.

W muzeum w Rabuni w pierwszej sali, obok malowidła przedstawiającego przywódców, stoi szklana gablota. W środku znajduje się protokół sporządzony po pierwszej bitwie Frontu POLISARIO stoczonej 20 maja 1973 roku. Stan przed

bitwą: 17 ludzi, 10 strzelb, 2 lornetki, 4 wielbłądy, 2 siodła. Atak na posterunek w oazie El Janga, obsadzony zresztą przez Saharyjczyków służących w hiszpańskich oddziałach, zakończył się sukcesem. Nie padł ani jeden strzał, nikt nie został ranny. Według raportu zdobyto: 5 strzelb, 240 nabojów, 5 wielbłądów i 5 jeńców. Zapewne tej nocy żaden z siedemnastu uczestników potyczki w oazie El Janga nie przypuszczał, że już wkrótce Front POLISARIO będzie musiał stawić czoło połączonym armiom Maroka i Mauretanii wspieranym przez Francję i USA.

*

Są takie decydujące momenty w historii, kiedy patrząc z perspektywy lat, wydaje się, że niewiele brakowało, by losy świata, regionu czy kraju mogły się potoczyć inaczej. Lepiej. Szczęśliwiej. I być może nie byłoby dziś potrzeby pisać tej książki. Lata 1973–1975 były takim krytycznym punktem w historii Sahary Hiszpańskiej, kiedy decyzje kilku osób i niefortunne zbiegi okoliczności zadecydowały, że Saharyjczycy na wiele lat musieli odłożyć marzenia o niepodległym kraju. Niebo nad Saharą ciemniało, a chmury, które gromadziły się nad złotymi wydmami, tym razem miały przynieść srogą burzę.

Do początku lat siedemdziesiątych w Afryce pozostało już jedynie kilka państw, w których nie przeprowadzono dekolonizacji. Cały obszar Maghrebu, Afryki Północnej i Zachodniej cieszył się już od lat wolnością. Państwa Afryki skupione w Organizacji Jedności Afrykańskiej coraz głośniej i bardziej stanowczo domagały się dokończenia ciągnącego się procesu dekolonizacji. Maroko, Mauretania, a także Algieria naciskały w OJA i ONZ, by Hiszpania natychmiast opuściła Saharę Hiszpańską, choć przyczyny tych nacisków były różne. Król Hassan II początkowo nawet miał nadzieję, że Saharyjczycy w planowanym referendum opowiedzą się za integracją z Marokiem. Gdy te złudzenia zostały rozwiane, w dużej mierze pojawieniem się na scenie Frontu POLISARIO, Hassan II zaczął prowadzić skomplikowaną, podwójną, przebiegłą grę. Był mistrzem manipulacji i podstępu. Hassan II zwykł mawiać, że Sahara Hiszpańska jest dla Maroka tym, czym Alzacja i Lotaryngia dla Francji. Argument ten trafiał w dziesiątkę, zwłaszcza w serca Francuzów, których poparcia król tak bardzo potrzebował.

Hiszpania tymczasem zaczęła rozumieć, że dalsze utrzymywanie kolonii wymaga coraz większych nakładów finansowych i wysiłków politycznych i po prostu przestawało to być w jej interesie. Generał Franco, rządzący w Hiszpanii od

1936 roku, właśnie skończył osiemdziesiąt lat i podupadał na zdrowiu. Jego reżim nieuchronnie chylił się ku upadkowi, ku uciechu wielu krajów i opinii międzynarodowej. Partyzanci POLISARIO, zaopatrzeni w niewielką ilość broni przez Mu'ammara Kaddafiego, dawali się we znaki kolonizatorom, organizując kolejne akcje sabotażowe, a nawet regularne bitwy. W październiku 1974 roku udało im się unieruchomić na kilka tygodni taśmociąg transportujący fosforyty z kopalni w Bu Craa do portu, co przysporzyło kolonizatorom sporych strat finansowych. Hiszpanie zaczęli rozmyślać, jakby wyjść z całej sytuacji, zrzucając z siebie obowiązki administratora Sahary, ale jednocześnie utrzymując możliwie największe korzyści gospodarcze z byłej kolonii. Generał Franco w końcu przystał na wysuwane od kilku lat postulaty ONZ i zgodził się zorganizować na terenie Sahary referendum, a władzom kolonialnym polecił natychmiast sporządzić spis miejscowej ludności uprawnionej do głosowania. Według przeprowadzonych w 1974 roku badań Saharę Hiszpańską zamieszkiwało 73 497 Saharyjczyków i 26 126 Europejczyków. W spisie nie uwzględniono jednak Saharyjczyków żyjących w Mauretanii, Maroku czy Algierii. Niemniej sprawy zdawały się przybierać pozytywny dla miejscowej ludności obrót.

Przyśpieszone działania Hiszpanów spowodowały, że Hassan II poczuł, że Sahara Zachodnia wymyka mu się z rąk. Co gorsza, nie tylko Sahara, ale także tron. Czterdzieste drugie urodziny monarchy nie były dla niego szczęśliwym dniem. Na wystawne przyjęcie w królewskim pałacu letnim wpadli nieproszeni, uzbrojeni po zęby goście, zabijając blisko sto osób, w tym belgijskiego ambasadora. Sam król ukrył się skutecznie w jednej z toalet, czekając na odsiecz królewskiej armii. Grupa oficerów, inspirowanych ponoć przez Libię, proklamowała w tym czasie powstanie nowej republiki. Zamach zakończył się jednak fiaskiem, a kilka dni później jego organizatorzy patrzyli w lufy plutonu egzekucyjnego. Również czterdzieste trzecie urodziny były pechowe dla Hassana II. Kilka tygodni po urodzinowej gali jego boeing wracający z Francji został ostrzelany przez cztery myśliwce Marokańskich Sił Powietrznych. Król cudem uszedł z życiem. Podając się za pilota, nadał z ostrzeliwanego samolotu wiadomość, że król został zabity. Piloci myśliwców uwierzyli i odstąpili od zestrzelenia maszyny. Wkrótce wykonawcy i organizatorzy zamachu zostali schwytani i rozstrzelani, a jednym z nich okazał się generał Mohammed Oufkir, minister obrony i prawa ręka króla. To on był odpowiedzialny za porwanie i morderstwo Mehdiego Ben Barki. Teraz podzielił jego los. Niektóre informacje

wskazują nawet, że Hassan II osobiście zastrzelił swojego ministra, choć według oficjalnej wersji Mohammed Oufkir popełnił samobójstwo. Tak czy inaczej, śmierć Oufkira nie wystarczyła Hassanowi II. Cała rodzina generała została porwana i przez osiemnaście lat była przetrzymywana w tajnym więzieniu. Hassan II, czując na sobie oddech opozycji i wzrastające niezadowolenie społeczeństwa, musiał działać, by uwierzytelnić swoją monarszą władzę. Utrata Sahary mogła być końcem jego panowania.

Pod koniec 1974 roku wraz z prezydentem Mauretanii Hassan II wysunął oficjalne zapytanie do Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości z prośbą o opinię na temat Sahary Zachodniej. Były w nim dwa zasadnicze pytania. Pierwsze: czy w momencie hiszpańskiej kolonizacji Sahara Zachodnia była ziemią niczyją. Drugie: jakie były więzi prawne między tym terytorium a Królestwem Marokańskim i Mauretanią. Nie czekając jednak na wynik ekspertyzy, Hassan II zaczął tajne negocjacje z Mauretanią dotyczące podziału Sahary. O determinacji króla świadczą słowa z sierpnia 1975 roku: „Maroko wyzwoli swoją Saharę bez względu na koszty”. Wkrótce król wraz ze swoim sztabem przeniósł się do Marrakeszu, a na południe zaczęły zmierzać potajemnie kolumny wojska.

W ostatniej z sal Muzeum Wojny w obozie Rabuni można znaleźć wiele dokumentów przechwyconych od marokańskich żołnierzy już w trakcie wojny. Z jednego z nich jasno wynika, że Hassan II rozpoczął przygotowania do ataku już w maju 1974 roku. Dokument ten nie jest zatytułowany „Odzyskanie marokańskiej Sahary” lub „Wyzwolenie Sahary spod hiszpańskiej okupacji”. Nie. Nosi tytuł „Préparatifs de l’invasion du Sahara Occidental” (Przygotowania do inwazji na Saharę Zachodnią).

Hiszpanie tymczasem, nie mogąc dłużej zostać na Saharze, spróbowali powołać marionetkową partię polityczną, która zapewniłaby im przyszłą współpracę z już wyzwoloną Saharą. PUNS (Partido de la Unión Nacional Saharaui, Partia Jedności Narodowej Saharyjczyków) miała być również przeciwwagą dla rosnącej i w oczywisty sposób nieprzyjaznej Hiszpanom siły Frontu POLISARIO. PUNS nie zdołała jednak odegrać w zasadzie żadnej roli, a już rok po jej powołaniu lider Khalihenna Ould Errachid uciekł do Maroka pod opiekę króla wraz z pieniędzmi, które dostał od Hiszpanów. W kwietniu 1975 roku na konferencji prasowej w Paryżu Errachid przyzna z rozbrajającą szczerością: „Gdyby nie fosforyty, nikt nie byłby zainteresowany tym terytorium. To, na czym zależy Maroku, to nie dobrobyt Saharyjczyków, to ich fosforyty”.

W maju 1975 roku na tereny Sahary przyjechała misja ONZ mająca na celu zbadać sytuację przed wydaniem opinii w sprawie marokańskiego zapytania. Gdy na główny plac w El Aaiúnie wjechały auta ONZ, zgromadzeni ludzie, ku zdziwieniu Hiszpanów, Marokańczyków i samych delegatów, wyrzucili w górę czarno-biało-zielono-czerwone flagi Frontu POLISARIO. Flag hiszpańskich, marokańskich czy niebiesko-żółtych sztandarów PUNS nie było w ogóle. Wśród wrzasków i krzyków delegacji ONZ mogli usłyszeć ten powtarzający się najczęściej: „Wolność!”.

Lato 1975 roku miało w oczekiwaniu na nieuchronny przełom, gorące i tak miesiące letnie tym razem były jeszcze bardziej nieznośne. Bojówki POLISARIO toczyły mniejsze i większe bitwy z Hiszpanami. Czasami podpisywano zawieszenie broni, by po chwili znów ruszyć do walk. Ale Hiszpanie coraz częściej opuszczali rozrzucone po całej Saharze posterunki i wycofywali się do głównych baz. Hiszpańskie sztandary tu i ówdzie zastąpiono flagami Frontu POLISARIO, a Saharyjczycy służący w oddziałach Tropas Nómadas i Policía Territorial masowo uciekali do wojsk POLISARIO. Pod koniec października hiszpańskie struktury policyjne i paramilitarne zostaną całkowicie rozwiązane, a ponad tysiąc dobrze wyszkolonych Saharyjczyków, ale również Hiszpanów, zasili szeregi partyzantki. Wraz z kombatantami wojny 1958 roku stworzą oni trzon ELPS (Ejército de Liberación Popular Saharaui, Saharyjska Ludowa Armia Wyzwolenia), zbrojnego ramienia Frontu POLISARIO. Widząc schyłek rządów Hiszpanii, na stronę Frontu przechodzili również członkowie Dzama'a, a nawet byli politycy partii PUNS. W El Aaiúnie wybuchały tymczasem bomby podkładane przez marokańską paramilitarną bojówkę FLU (Frente de Liberación y de la Unidad, Front Jedności i Wyzwolenia), a przy granicy trwały nieustanne potyczki z marokańskimi żołnierzami sprawdzającymi hiszpańską gotowość do obrony kolonii.

Raport misji i opinia Międzynarodowego Trybunału zostały opublikowane kolejno 15 i 16 października. Były druzgocące dla Hassana II. Z raportu jasno wynikało, że plemiona saharyjskie posiadają własną społeczną i polityczną organizację. Trybunał nie stwierdził „żadnej więzi terytorialnej suwerenności między Saharą Hiszpańską a Królestwem Marokańskim i Mauretanią”. Co więcej, jasne stało się dla wszystkich, że przedstawicielem Saharyjczyków i wyrazicielem ich woli nie jest hiszpańska PUNS ani marokańska bojówka FLU. Jest nim nikt inny tylko Front POLISARIO. Królowi Hassanowi II ziemia zaczęła się usuwać spod stóp.

*

Jak zawsze był elegancki tego dnia. Ubrany w lekko połyskujący grafitowy garnitur z czarnym krawatem, siedział na pozłacanym tronie z zielonymi pikowanymi obszyciami. Mówił spokojnym, lecz zdecydowanym tonem, najważniejsze słowa podkreślając lekkim klepieniem w stół. Mogłoby się wydawać, że to, co robi, to zagranie *va banque*. Ale tak nie było. Jego posunięcie było ryzykowne, owszem, ale nie musiał się obawiać. Śmiały plan był od tygodni drobiazgowo przemyślany i uzgodniony. Hassan II miał poparcie potężnych przyjaciół – Valéry’ego Giscarda d’Estaing i, co ważniejsze, Geralda Forda. W końcu przyjaźń amerykańsko-marokańska ma długie tradycje, sułtanat Maroka był pierwszym krajem, który w 1777 roku uznał rodzące się Stany Zjednoczone. Dla Amerykanów powstanie nowego państwa, i to niechybnie związanego z Algierią, czyli z blokiem wschodnim, było nie do przyjęcia. Groziło destabilizacją całego rejonu i upadkiem marokańskiej monarchii, najwierniejszego sojusznika w Afryce. Architektem i pomysłodawcą śmiałego ruchu, który król Hassan II właśnie ogłaszał na antenie marokańskiej telewizji, był sam Henry Kissinger, sekretarz stanu i laureat Pokojowej Nagrody Nobla z 1973 roku. Amerykanom do tego stopnia zależało, by Sahara stała się marokańska, że Henry Kissinger sugerował nawet fałszerstwa w ewentualnym głosowaniu w ONZ. Nie było więc siły, która mogłaby stanąć królowi na drodze.

„Mamy dowody na to, że ta ziemia należy do nas i że Sahara jest nasza, jeśli ktokolwiek spyta. Dlatego też, drogi ludu, mamy tylko jedno wyjście: musimy rozpocząć Zielony Marsz! Z północy na południe Maroka. Ze wschodu na zachód. Musimy, drogi ludu, stanąć jak jeden mąż, by odzyskać naszą Saharę, by zachować nasze więzy krwi” – mówił 16 października w telewizyjnym przemówieniu pewny swego Hassan II. Zgrabnie kłamiąc, dodał też, że trybunał haski wydał pozytywną dla Maroka opinię, potwierdzając przynależność Sahary do Królestwa, a sami Saharyjczycy w demonstracjach potwierdzili sympatię dla Maroka. Zapytany na konferencji prasowej, co się stanie, jeśli Front POLISARIO zaatakuje marsz, odpowiedział z dobrze udawaną nonszalancją, przesadnie artykułując dwa ostatnie wyrazy: „Dla nas oni są przemytnikami. Zjemy ich”.

Hassan II mógł być z siebie dumny. Politycy na całym świecie byli pod wrażeniem sprytu i determinacji, jakimi wykazał się król. Mimo oburzenia ONZ i wielu afrykańskich krajów za trzy tygodnie, 6 listopada 1975 roku, Al-Masira al-

Chandra, Zielony Marsz, miał ruszyć na południe. Ale by „pokojowy marsz” przypadkiem nie natrafił na jakikolwiek opór, który mógłby zniszczyć jego propagandowy wydźwięk, 30 października dwadzieścia pięć tysięcy marokańskich żołnierzy przekroczyło granicę Sahary Hiszpańskiej. Reakcji ze strony wojsk hiszpańskich nie było. Umierający generał Franco nie był już w stanie podejmować decyzji, a politycy przejmujący schedę po dyktatorze nie mieli ochoty na wojnę i przyjęli amerykańsko-francuskie sugestie. Już pod koniec października Hiszpania, Maroko i Mauretania z błogosławieństwem Stanów Zjednoczonych i Francji uzgodniły scenariusz wydarzeń przyszłych tygodni. Niebawem owe ustalenia zostały sformalizowane w tak zwanych porozumieniach madryckich, podpisanych przez premierów Hiszpanii i Maroka oraz przez ministra spraw zagranicznych Mauretanii. Wszystkie trzy strony mogły być zadowolone, targ został dobity. Hiszpania zachowała trzydzieści pięć procent udziałów w wydobywaniu fosforytów oraz dwudziestoletnie prawo do połowu ryb na wybrzeżu Sahary. Maroko i Mauretania natomiast dzieliły między sobą ziemię Saharyjczyków, przejmując obojętnie obowiązki administratora spornego terytorium. Państwa zachodnie nie musiały się już obawiać, że na atlantyckim wybrzeżu wykwitnie nagle socjalistyczny kraj. Porozumienie madryckie zawarte w tajemnicy przed Saharyjczykami miało tylko jeden szkopuł – było niezgodne z międzynarodowym prawem, nie mogło więc zostać uznane przez Organizację Narodów Zjednoczonych ani przez Organizację Jedności Afrykańskiej. Lecz to akurat nikogo nie martwiło.

Następnego dnia po płomiennym przemówieniu Hassana II Hiszpanie rozpoczęły ewakuację swojej ludności. Operacji nadali nazwę Golondrina – jaskółka. Hiszpańscy macho zabrali nawet swoich zmarłych z cmentarzy i zwierzęta z ogrodu zoologicznego w El Aaiúnie.

Ale 2 listopada stało się coś dziwnego. Do El Aaiúnu z niespodziewaną wizytą przyjechał książę hiszpański, przyszły król Juan Carlos. Ubrany w galowy mundur, stanął za mównicą z godłem Hiszpanii, ustawioną na placu apelowym przed koszarami. Zdania, które wtedy wypowiedział w El Aaiúnie, napełniły Saharyjczyków nadzieją, że sto lat wspólnej historii coś znaczy. Nie wiedzieli oni jednak o tym, że Juan Carlos wcale nie darzy ich sympatią. Wręcz przeciwnie, a to dlatego, że wielu Saharyjczyków podczas hiszpańskiej wojny domowej walczyło po stronie generała Franco.

„Hiszpania wypełni swoje zobowiązania i będzie stała na straży cennego pokoju. Utrzymamy go. Nie narazimy życia ludzkiego, gdy możliwe jest sprawiedliwe

rozwiązanie oparte na współpracy i porozumieniu między ludźmi. Będziemy również chronić prawa ludności saharyjskiej, do tego zobowiązuje nas bowiem nasza misja na świecie i nasza historia” – mówił król do zgromadzonych przed koszarami w niedzielne popołudnie.

Kłamał.

*

– Widziałem ich, jak szli – mówi Lhafed Yaya. – Piętnaście dni bez przerwy, dzień i noc, dzień i noc. Z flagami marokańskimi, francuskimi. Morze czerwonych marokańskich flag ciągnęło się po horyzont. Każdy z nich miał taką flagę, mniejszą, większą. Ale i tak największa flaga była ta amerykańska. W zasadzie ten marsz powinien się nazywać czerwony, a nie zielony, ale to by się chyba niedobrze kojarzyło w tamtych czasach. Wielu z nich niosło przed sobą niewielkie portrety króla, trzymając je dumnie przed sobą. Większe podobizny władcy jechały przymocowane do ciężarówek, jak jakieś ogłoszenia albo banery reklamowe. Śmieszne to było, król jechał autami, ze swoją srogą miną, telepiąc się na pustynnych wertepach. A te ciężarówki były zresztą amerykańskie. Każdy z Marokańczyków niósł też przed sobą Koran, by pokazać, że przychodzi w pokoju. Przecież muzułmanin nie może zabijać swoich braci, to niezgodne z naszą religią. Więc nieśli święte księgi jak jakieś usprawiedliwienie, alibi zagłuszające ich sumienie. Chociaż z drugiej strony to byli zwykli biedni ludzie pozbierani z całego Maroka, w dużej mierze z dalekiej północy, na rozkaz króla. Król powiedział: „Idźcie i weźcie waszą ziemię”, no to poszli. Chyba wierzyli w to, co robią, cieszyli się, skakali, machali rękoma. Czasami urządzali nawet jakieś występy, grali na instrumentach, gotowali kuskus. A ci, którzy nie wierzyli, też szli, no bo przecież nie mieli innego wyjścia, królowi się nie odmawia. Widziałem też, że są inni niż my. Widzieliśmy ich biedę i nadzieję w ich oczach, że idą zdobywać krainę mlekiem i miodem płynącą. Spotykaliśmy ich w sklepach, pytali nas, czy na Saharze jest dużo złota. Dolina przy Villi Cisneros nazywa się Rio de Oro. Powiedziano im więc, że Sahara jest pełna złota. I oni wierzyli w takie rzeczy. Trzysta tysięcy biedaków w łachmanach, niektórzy nie mieli nawet butów. Ludzie w Tantanie dawali im jedzenie, koce, bo większość z nich spała na ulicy. A nocami pisaliśmy do nich listy. Potem za dnia rzucaliśmy je im z ukrycia. Pisaliśmy: „Nie chcemy was tutaj” albo: „Nie idźcie tam, w El Aaiún czeka na was POLISARIO,

zabiją was”.

Lhafed Yaya jest mężczyzną w średnim wieku. Chudy, wysoki, energiczny. Jego wydatne zakola otoczone są przez krótkie siwe włosy przechodzące w gęstą siwą brodę. Wpadające przez drzwi słońce uwydatnia jego owalną, dostojną twarz z ostrym konturem. Lhafed za młodu był hipisem, na terenie byłej Sahary Hiszpańskiej nie było to nic nadzwyczajnego. Młodzi słuchali Hendrixa, nosili teksasy i długie włosy. Siedzi przede mną na otomanie ubrany w dzinsy i koszulkę z jakiegoś hiszpańskiego festiwalu muzycznego. Dziś Lhafed, ojciec trójki dorosłych już dzieci, mieszka w El Aaiúnie, w jednym z nowych osiedli we wschodniej części miasta. Mówi głębokim basem, którego pozazdrościłby niejeden prezenter radiowy.

– Bokami przemykały tymczasem ogromne ilości wojska. O tym nikt nie mówił, marsz był przecież pokojowy, nieśli w rękach Koran. Miałem trzynaście lat, ale widziałem, że coś się zaczyna dziać. Tantan, choć teraz leży w Maroku, był pełen Saharyjczyków, bo to nasze ziemie. Słyszało się tu i ówdzie rewolucyjne piosenki, hasła: wolność, niepodległość. A potem ni stąd, ni zowąd ludzie zaczęli zniknąć. Zniknął komuś sąsiad, komuś brat, ojciec czy matka. O tym, że oni wcale nie mają pokojowych zamiarów, zdałem sobie sprawę, gdy zaczęły zniknąć kobiety. Mężczyźni to co innego, stworzeni są do walki, jeśli oni się biją, giną, są aresztowani, to powiedzmy, że jest to normalne. Ale gdy zobaczyłem, że to samo dzieje się z naszymi kobietami, zrozumiałem, że idzie wojna. Przemoc wobec kobiet była szokiem dla naszego pokolenia, u nas nigdy się to nie zdarzało. Potem zaczęły się ataki na domy, wybijano szyby, rozbijano drzwi, porywano rodziny tych, którzy uciekli do POLISARIO. Wkrótce wystarczyło, że ktoś chodził w dara'a lub mówił, że jest Saharyjczykiem, i zniknął. Niedaleko naszego domu w Tantanie był las. Zakradaliśmy się tam wieczorami i widzieliśmy marokańskie wojsko. Bardzo dużo młodych ludzi tam było i bardzo dużo broni. W ciągu dnia przesiadywaliśmy przy głównej ulicy miasta i widzieliśmy te wszystkie wozy, czołgi i armaty zmierzające na południe. Ludzi z flagami już nie było. Nad naszymi głowami zaczęły latać samoloty i helikoptery. A potem ludzie zaczęli mówić o Saharyjczykach, którzy byli wyrzucani z tych helikopterów. I o samolotach, które rzucały napalm i biały fosfor na nasze wioski. I że zatrawali studnie i zabijali nasze wielbłądy.

– Pokażemy ci dziś miasto, jeśli chcesz – mówi niespodziewanie mój gospodarz. – Weźmiemy auto i zrobimy objazd po El Aaiúnie pod wieczór.

Moja radość nie zna granic. Wciąż nie wychodzę z budyniowego pokoju. Widziałem wiele filmów z El Aaiúnem, kręconych z ukrytych kamer, pokazujących, co dzieje się na jego ulicach. Pamiętam, że gdy oglądałem pierwsze z nich, to nie wierzyłem. Wieczorem przyjeżdża młodszy brat Hamzy, Brahim. Małe auto ma mocno przyciemniane szyby z tyłu, co sprawia, że czuję się trochę lepiej, ale i tak na wszelki wypadek zakładam kaptur na głowę.

– OK, siedź z tyłu. Jeśli chcesz robić zdjęcia, to nie wystawiaj aparatu za szybę. Ja będę patrzył w lusterka, ale ty też uważaj. A jak zrobisz zdjęcie, to szybko chowaj aparat. Tu ludzie nie lubią aparatów, a jeszcze bardziej nie lubi ich policja. Jedziemy, *jalla, jalla!*

Ruszamy, Brahim włącza muzykę. Z głośników płynie delikatna muzyka Mariem Hassan – najbardziej znanej saharyjskiej pieśniarki. Przez dwadzieścia siedem lat Mariem mieszkała w obozach uchodźców na terenie Algierii, po tym, jak jej rodzina musiała uciekać przed marokańską inwazją. Trzech jej braci zginęło na wojnie. Od kilku lat Mariem mieszka w Hiszpanii. W Europie jednak wcale nie może czuć się bezpieczna. Kilkakrotnie – w Madrycie, Amsterdamie i Sztokholmie – została dotkliwie pobita przez Marokańczyków. Za publiczne słuchanie jej muzyki na ulicach El Aaiúnu jeszcze kilka lat temu można było trafić do więzienia.



© Bartek Sabela

– Puść głośniej, Brahim – mówi Hamza, odkręcając swoją szybę.

El Aaiún jest miastem młodym i stosunkowo niewielkim. Został założony w 1938 roku na południowym brzegu doliny Saguia el Hamra, której dnem płynie okresowa rzeka o tej samej nazwie. Sam El Aaiún, choć to stolica Sahary Zachodniej, przez lata był jedynie niewielkim prowincjonalnym ośrodkiem administracyjnym hiszpańskiej kolonii. Na pocztówce z tego okresu z wieży kościoła Świętego Franciszka rozciąga się widok na architekturę białych modernistycznych budynków, położonych w otchłani piasków Sahary. Wiele z nich krytych jest bielącymi się w świetle, charakterystycznymi okrągłymi kopułami. Wyglądają trochę jak jakieś bąbelki przyczepione do dachów. Pod kościołem na pierwszym planie duży plac, Plaza de África, z kwietnikami, wytyczonymi alejkami, ławeczkami. Z niego wychodzi główna wówczas ulica miasta. Dokoła placu głębokie, odlane z betonu arkady zwieńczone pełnymi łukami. Z pomiędzy „bąbelków” wystają gdzieś większe prostopadłościenne gmachy, w tym największy z nich nazwany dumnie Casa de España. Widocznie musi być tuż po deszczu, bo dolina rzeki zwanej wtedy Saguia el Hamra jest wypełniona wodą. Miasto, które widzę na pocztówce, w niczym nie przypomina dzisiejszego.

Spokojne, uporządkowane, czyste i zadbane. Ówczesny El Aaiún był jedynie niewielkim północno-zachodnim skrawkiem dzisiejszego miasta. Ta stara część jest teraz zamieszкана wyłącznie przez Marokańczyków. Mówi się, że dolina Saguia el Hamra to miejsce, do którego zbiegali wszyscy prześladowani, nie tylko z Sahary, ale także z ościennych krajów. Oaza wolności, bezpieczny azyl poza zasięgiem królów, książąt i władców. Legenda głosi, że żaden król nigdy nie zdołał osiąść i ujarzmić tej ziemi i jej mieszkańców.

Gdyby dzisiaj jakiś malarz chciał namalować miejskie pejzaże El Aaiúnu, potrzebowałby niewielu kolorów. W zasadzie wystarczyłaby mu paleta ziemistych barw w rodzaju czerwonej ochry, sjeny palonej czy umbry. Plus troszkę czerwonego i zielonego, by zaznaczyć wszechobecne w tym krajobrazie marokańskie flagi. Innych kolorów tu nie ma, miasto sprawia wrażenie uformowanego z jednego kawałka materiału, jednej kostki gliny. W czasach hiszpańskich wystarczyłoby także jeden kolor – biały. Ale po 1975 roku białe niegdyś budynki zostały przemalowane na ten charakterystyczny błotnoczerwonawy kolor.

Cały El Aaiún ma trudny do zdefiniowania klimat miasta, w którym wieloletni konflikt uniemożliwia normalne funkcjonowanie i zagospodarowanie. Zdaje się niedokończony, trochę jak plac budowy. Tu są budynki, ale nie ma ulic, gdzie indziej na odwrót, w jeszcze innych miejscach jest tylko piach lub gruz. Starsze dzielnice, a tu oznacza to na przykład trzydzieści lub czterdzieści lat, mające bardziej zwartą zabudowę, wąskie uliczki zastawione straganami, sklepikami, graniczą bezpośrednio z nowymi, nieukończonymi kwartałami, poprzecinanymi szerokimi, geometrycznie ułożonymi ulicami. Na pierwszy rzut oka El Aaiún sprawia wrażenie w zasadzie normalnego arabskiego miasta, z dużą ilością bałaganu, przypadkowości, brudu i przestrzennej spontaniczności. Gdy nie wiemy, że toczy się w nim wieloletni konflikt, trudno nam będzie znaleźć jego oczywiste ślady.

Widać je jednak w detalach. O poczuciu bezpieczeństwa mieszkańców najlepiej świadczą masywne kraty w każdym niemal oknie. Wejść do domów strzegą obowiązkowo ciężkie stalowe, ryglowane kilkoma zamkami drzwi. Czasami do wejścia domurowany jest niewielki przedsionek z drugimi stalowymi drzwiami lub metalową siatką. Wierzchy murów okalających wewnętrzne dziedzińce domów jeżą się zatopionym w betonie porozbijanym szkłem. Domy wyglądają niczym wieże warowne, gotowe stawić czoło wszelkim przestępcom. Tylko że w El

Aaiúnie przestępczość w zasadzie nie istnieje. Te wszystkie wyszukane środki ochrony mają zabezpieczyć mieszkańców przed stróżami prawa – policją.

Każdy aktywista w El Aaiúnie zaczyna swoją karierę jako dzieciak od malowania po murach. Ale w El Aaiúnie nie znajdziemy odważnych murali pokrywających całe ściany budynków, jak w Irlandii Północnej czy Izraelu. Tutaj ogromnej odwagi wymaga namazanie sprejem choćby małej flagi lub krótkiego hasła – już za to można trafić do więzienia i cierpieć kilka dni wymyślnych tortur. Ale ewentualne konsekwencje nie zniechęcają młodych Saharyjczyków. Mury starych dzielnic pokryte są koślawymi, malowanymi w popłochu flagami Saharyjskiej Arabskiej Republiki Demokratycznej. Życie takiej flagi jest bardzo krótkie i już następnego dnia rewolucyjna twórczość ginie pod warstwą czarnej, spływającej strugami farby. Podobnie dzieje się z napisami w stylu: „La badil la badil an takrir al-masir!” (Nie ma innej drogi niż samostanowienie), „VivaRASD!”, „Tahijja nidalijja li-l-dżabha sza’bijja” (Bojowe pozdrowienia dla Frontu Ludowego) czy uniwersalnym „Fuck the Police!”. Flaga RASD działa na policję jak płachta na byka, jest symbolem zakazanym na terenie Sahary Zachodniej. Niewiele mniejszą nienawiścią władze darzą flagę Algierii – największego sojusznika Saharyjczyków.

– Gdy otworzyli ten hotel – mówi Hamza, gdy wjeżdżamy na ulicę Smara – właściciel wywiesił przed nim, wśród wielu flag z całego świata, także biało-zieloną flagę Algierii. Już następnego dnia policja kazała mu ją zdjąć.

Ulica Smara, oficjalnie Boulevard Mekka, to kręgosłup El Aaiúnu. Ciągnie się przez całe miasto z zachodu na wschód przez ponad pięć kilometrów. Ta ulica to historia, w dwupasmowy asfalt głównej arterii miasta wsiąkło przez lata wiele krwi. Wszystkie demonstracje odbywają się właśnie tutaj, bo to jedyna tego typu ulica w mieście, szeroka, zdolna pomieścić dużo ludzi i jeszcze więcej policji. Wozy policji, ciężkie, opancerzone, z szybami osłoniętymi stalową siatką, stoją rozstawione wzdłuż ulicy o każdej porze dnia i nocy. Zazwyczaj zgrupowane po trzy lub cztery białe terenówki, do tego granatowe transportowe toyoty.

Chodniki przy ulicy Smara już dawno nie mają bruku. Za to policyjne auta mają karoserię jak po gradzie wielkości piłek tenisowych, całe poobijane od kamieni – jedynej broni demonstrantów. Przy autach rozstawionych co kilkadziesiąt, kilkaset metrów stoją patrole policji szybkiego reagowania, służącej do rozbijania demonstracji. Panowie w granatowych strojach, ciężkich butach i kaskach z charakterystycznymi osłonami w rękach trzymają pałki i tarcze, a na plecach

karabiny. Są gotowi do akcji w każdej chwili, wydają się wręcz czekać na nią z utęsknieniem. A dziś jest normalny dzień, taki jak każdy inny, nie ma demonstracji ani nawet meczu piłkarskiego. Nieopodal, jakby nigdy nic, grupka starców z długimi brodami, siedząc na chodniku, gra spokojnie w domino. Ponoć są tu zawsze.

Z niedowierzaniem patrzę zza przyciemnionej szyby peugeota 205, którym się poruszamy, na obraz miasta będącego w czymś, co można by porównać z naszym stanem wojennym w 1981 roku. Chris Niedenthal mógłby zrobić tutaj takie samo zdjęcie jak 14 grudnia w Warszawie. Tylko że w El Aaiúnie nie ma kina, w którym mogliby wyświetlić *Czas apokalipsy*. Ostatnie kino zostało zamknięte w latach dziewięćdziesiątych, nikt do niego nie chodził, bo władze puszczały jedynie bollywoodzkie produkcje. Próżno też szukać teatru czy sali koncertowej. El Aaiún, choć mieszka w nim dwieście tysięcy ludzi, nie ma ani jednej wyższej uczelni. Nie ma jej też żadne inne miasto okupowanej Sahary Zachodniej. El Aaiún nie posiada domów kultury czy klubów, nie ma tutaj księgarni czy bibliotek. Są za to inne rozrywki. W dzielnicy rządowej znajdziemy bogatą ofertę jednostek policyjnych różnego rodzaju, od drogówki po oddziały szybkiego reagowania. Są również koszary jednostek wojskowych, żandarmerii, różnorodnych służb specjalnych. GUS, RG, FA, DGST, DGAI, DGED, SRGR to skróty nazw niektórych z nich. Są też jeszcze bardziej tajemnicze, których same nazwy nasuwają mało optymistyczne skojarzenia rodem z orwellowskiego *Roku 1984*: Deuxième Bureau i Cinquième Bureau.

Do miasta nigdy nie została doprowadzona linia kolejowa. Nie ma też dworca autobusowego. Autokar, którym przyjechałem, zatrzymał się po prostu na ulicy. Choć budynek nowego, pierwszego dworca autokarowego został niedawno ukończony, władze wstrzymują się z jego oddaniem. Podobnie jest z pierwszą publiczną biblioteką. Wybudowany gmach o całkiem zgrabnej architekturze stoi pusty.

– Czasami jest tak, że władza musi wykazać pod naciskiem ONZ lub innych instytucji choć trochę dobrej woli – tłumaczy Hamza. – Wtedy mogą powiedzieć, że przecież zbudowaliśmy dworzec, zbudowaliśmy bibliotekę. Tylko że nigdy ich nie otworzyli. El Aaiún jest jak księżyc, ma dwie strony, teraz zabierzemy cię na tę drugą, oficjalną, jasną i piękną.

Jadąc ulicą Smara, docieramy do hotelu Nagjir, jednego z kilku hoteli wysokiej klasy, przeznaczonych głównie dla oficjeli ONZ i marokańskich biznesmenów. Za

hotelem ulica skręca najpierw ostro w prawo, a potem w lewo, by w końcu wpaść w prestiżową dzielnicę, wypełnioną bankami, hotelami, biurami i drogimi butikami. Jednym z pierwszych budynków jest luksusowa willa, zwracająca uwagę długim, bogato zdobionym ogrodzeniem i portalem wejściowym jak do pałacu królewskiego. To dom Khalihenny Ould Errachida, szefa nieistniejącej dziś marionetkowej partii PUNS. Dziś Errachid jest bliskim współpracownikiem króla Mohammeda VI, który powierzył mu kierowanie królewską instytucją o nazwie CORCAS (Conseil Royal Consultatif pour les Affaires Sahariennes, Królewska Rada Doradcza do spraw Sahary). CORCAS została założona, by promować ideę autonomii Sahary Zachodniej w ramach Królestwa Marokańskiego. Przez Sahrawich Errachid został zgodnie uznany za zdrajcę i jest, po królu, jedną z bardziej znienawidzonych osób. Choć jego dom stoi w centrum El Aaiúnu, on sam spędza większość czasu w Rabacie.

Dalej na zachód mijamy hotel o wdzięcznej nazwie El Massira, czyli Marsz, ten zielony oczywiście, przez Saharyjczyków zwany jednak czarnym. Nad wejściem góruje sporych rozmiarów płaskorzeźba ukazująca zdobywców Sahary z 1975 roku. Zresztą wiele instytucji tutaj nosi nazwę upamiętniającą Zielony Marsz. Tak nazywa się jedna ze szkół, klub piłkarski, meczet w Tantanie, a także lotnisko w Agadirze, skąd wyruszył ów marsz. Wydarzenie jest uwiecznione również na studirhamowym banknocie z królem Hassanem II na awersie. Pod hotelem El Massira zaparkowane są wyłącznie duże białe wozy terenowe. Wozy ONZ. Pracownikom misji nie przeszkadza dwuznaczny wydźwięk tej sytuacji. Przeszkadza natomiast Saharyjczykom. Ze względu na nazwę hotelu konsekwentnie odmawiają spotkań w tym miejscu. Dalej wjeżdżamy na reprezentacyjny plac El Mchawar. Piękny, dostojny, monumentalny, z palmami, fikuśnymi kandelabrami i granitowymi płytami. W każdym innym mieście byłby to plac, na którym organizowano by festyny i koncerty. Tu świętuje się na nim urodziny króla. Lub rocznicę Zielonego Marszu. Boulevard Mekka to El Aaiún, który pokazuje się przyjezdnym, delegacjom, politykom. El Aaiún ładny, czysty i uporządkowany, z ładnymi chodnikami, wolny od przemocy. Tu już nie zobaczysz opancerzonych wozów ani policjantów w kaskach. Tu co najwyżej możesz spotkać kulturalnego oficera drogówki w białych rękawiczkach. Gdy na ulicy Smara trwają krwawe demonstracje, lokalna telewizja Laayoune TV pokazuje biurowce i Marokańczyków spokojnie idących do pracy.

Zjeżdżamy powoli w stronę rzeki Saguia el Hamra, do starej części miasta.

Niegdyś zamieszkaną przez Hiszpanów i Saharyjczyków, dziś wyłącznie przez Marokańczyków. To dobra dzielnica, pożądany adres. Tu znajduje się centrum administracyjne miasta, merostwo, urzędy, instytucje, z których spora część należy do rozbudowanego aparatu kontroli i opresji. Dostojne gmachy sądów, ministerstw, kwatery główne policji i wojska, a pośród nich, ku mojemu zdziwieniu, działający kościół katolicki. Jadąc na wschód ulicą El Bahria, mijamy szpital wojskowy i dojeżdżamy do jądra ciemności El Aaiúnu. Brahim zwalnia i ścisza lekko muzykę. Tu ulice są puste, jakby wyludnione. W El Aaiúnie jest jeden szpital miejski. Są za to dwa więzienia. Jedno tajne, zwane PCCMI (Point de Commandement de la Campagne Mobile d'Intervention, Komenda Krajowej Komórki Interwencyjnej). Tajne, choć każdy o nim wie, bo każdy zna kogoś, kto tam trafił, lub miał okazję wizytować samemu. Do przestronnych cel i pokojów przesłuchań prędzej czy później trafia każdy Saharyjczyk, któremu marzy się wolność. Drugie więzienie jest w zupełności jawne, oficjalne. Choć jego budynek jest niepozorny, funkcję zdradzają zwoje drutu kolczastego wieńczące mury. Gmach przy ulicy El Bahria jest dobrze znany. To Czarne Więzienie.

Na końcu tej smutnej ulicy znajduje się biały budynek otoczony barykadą, zasiekami i drutem kolczastym. Inny niż poprzednie gmachy, wygląda jak przybysz z kosmosu i w istocie nim jest. Choć poskładany z tymczasowych kontenerów, stoi tu już ponad dwadzieścia lat. Nad jego dachami znajdują się wycelowane w niebo liczne mniejsze i większe anteny. Przed nim zaś zastęp marokańskiej policji i kilka wozów. To kwatera główna misji pokojowej ONZ. Niespełna pięćset metrów od Czarne Więzienia.

Najpierw myjesz dłonie. Trzy razy. W określony sposób, okręcając jedną dłoń wokół drugiej. Potem płuczesz usta, dokładnie, również trzy razy. W ogóle każdą czynność powtarzasz trzy razy. Dalej płuczesz nos – wciągasz wodę i płuczesz, aż go całkiem oczyścisz. Trzy razy rzecz jasna. Tak, byś mógł swobodnie oddychać. Następnie obmywasz twarz, policzki, czoło, nos. Teraz przedramiona, tak do łokci. Zawsze najpierw prawą rękę, potem lewą. Kolejno włosy. Moczysz delikatnie ręce i przeciągasz po włosach od czoła do potylicy. To wystarczy jeden raz. Raz myjesz też uszy, a następnie stopy, znów najpierw prawą, potem lewą. Sprawa się komplikuje, jeśli uprawiałeś właśnie seks ze swoją żoną. Wtedy musisz najpierw wykonać rytuał ablucji po seksie, najpierw prawa połowa ciała, następnie lewa. Ale potem i tak musisz wykonać mycie przed modlitwą, inaczej nadal jesteś nieczysty.

W rogu drugiego pokoju leży kamień, okrągły, wypolerowany jak nos Tuwima na Piotrkowskiej w Łodzi. Przez wiele dni pozostaje dla mnie tajemnicą, aż któregoś dnia mój gospodarz wyjaśnia mi jego funkcję. Kamień modlitewny. Jak nie możesz się umyć przed modlitwą, bo nie ma wody lub jesteś w drodze na pustyni, to myjesz się kamieniem. Nie jak mydłem, nie o to chodzi. „Przelewasz” na niego swoją nieczystość, brud, tak symbolicznie. Dlatego taki wypolerowany. W każdym domu znajdzie się taki kamień, czasami nawet w każdym pokoju. Kamień przejmuje cały ziemski brud, a ty, czysty, oczyszczony, uwolniony, możesz iść na spotkanie z Bogiem.

Gdy leżę na otomanie w budyniowym pokoju i patrzę się w dyndającą żarówkę, przychodzi mi do głowy dość banalne pytanie.

– Hamza, czy ty się nie boisz, że kiedyś trafisz do Czarnego Więzienia albo PCCMI?

Hamza spogląda na mnie znad umywalki, myjąc swoją lewą stopę, a na jego twarzy pojawia się lekko gorzki uśmiech.

– Jak się tu urodziłeś, to już się niczego nie boisz. Żyjesz bez strachu. Oswajasz go. Zresztą to jest tutaj coś naturalnego, nie wiem, czy potrafię ci to wytłumaczyć.

Za Hassana II w domach nie rozmawiało się o polityce. Nasi rodzice nie musieli nas uczyć. Którejś nocy, jak szukali mojego starszego brata, do domu wpadł oddział policji. Wyważyli drzwi. Ja się obudziłem, jak rzucili mną o ścianę, a byłem nastolatkiem, to były lata dziewięćdziesiąte. Wokół mnie wszystko fruwało, matka krzyczała, ojciec szamotał się w objęciach policjantów. Moje dwie młodsze siostry wyrzucili z kołyszek. Potem pobili rodziców, przeszukali całe mieszkanie. Wtedy bałem się okrutnie, ale teraz już nie. Wiesz, kim jesteś i co masz robić. I nikt ci tego nie musi tłumaczyć, po prostu wiesz, co jest słuszne i właściwe.

Ojciec Hamzy, Mohammed, był pierwszym z rodziny, który sprowadził się do miasta, w 1954 roku. Kupił sporo ziemi, zbudował dom i ściągnął resztę rodziny, żyjącą jeszcze wtedy na pustyni. Dostał dobrą pracę, był rzeźnikiem miejskim, zabijał kozy i wielbłądy, dzięki temu dorobił się, rodzina żyła w dostatku. Znał się dobrze z Mohammedem Bassirim, choć sam nie brał czynnego udziału w działaniach. Wspierał jednak finansowo Harakat Tahrir, każde wolne pieniądze oddając Bassiriemu. Nie on jeden, wszyscy tak robili. Mohammed nigdy nie nauczył się pisać i czytać, zadbał za to, by jego synowie i córki zdobyli stosowne wykształcenie. Żona Mohammeda zmarła, gdy Hamza miał pięć lat. Na żóltaczkę. W latach osiemdziesiątych w El Aaiúnie nie istniała opieka zdrowotna, zwłaszcza dla Saharyjczyków. Jest kilka rodzin w El Aaiúnie – Haidar, Yaya, Djimi, Bemba, Lili, Ahl Abdesamad – których domy są pod stałą obserwacją marokańskich służb bezpieczeństwa. Dom rodziny Lakhalów w centrum osiedla Linach jest jednym z nich.

Wszystko zaczęło się w 1984 roku. Najstarszy syn Mohammeda, urodzony w roku 1966 Abdelrahman, dostał możliwość studiowania. Po inwazji marokańskiej językiem urzędowym i wykładowym, obok arabskiego, stał się francuski. Mówiący w większości po hiszpańsku Saharyjczycy z dnia na dzień zostali pozbawieni dostępu do edukacji. Jedyne wyższe uczelnie, gdzie można było studiować po hiszpańsku, znajdowała się w Tangerze, tysiąc czterysta kilometrów na północ od El Aaiúnu. Abdelrahman wraz z dwudziestoma pięcioma innymi osobami wyjechał na studia. Lecz żaden z tych chłopaków nie myślał o nauce. Już na drugim roku dwudziestu jeden z nich uciekło do pobliskiej hiszpańskiej enklawy Ceuta, prosząc o azyl polityczny. Wtedy Ceuta jeszcze nie była otoczona murem, który dziś możemy zobaczyć na zdjęciach tego miasta. Można było do niego wjechać dość swobodnie, pod warunkiem przedostania się przez marokańskie

posterunki graniczne. Plan ucieczki przygotowywali przez ponad pół roku, pomogli im w tym nawet hiszpańscy wykładowcy uczelni w Tangerze i pracownicy Amnesty International. Wszystkim udało się przedostać do hiszpańskiej enklawy, ale władze Ceuty odmówiły przyjęcia Saharyjczyków, by nie wchodzić w otwarty konflikt z Marokiem. W zamian jednak zaproponowano im pomoc w przedostaniu się do Algierii. Na około, przez Madryt, Barcelonę i Tunis. Dwudziestu jeden młodych ludzi, w tym Abdelrahman, w obstawie hiszpańskich policjantów wkrótce wyruszyło do Tunezji, a potem przez Algier do Tindufu, gdzie ochoczo zasilili szeregi armii Frontu POLISARIO. Po tym incydencie władze Maroka zlikwidowały możliwość studiowania w Tangerze. Abdelrahman był pierwszym z braci Lakhalów, który ruszył na wojnę. Kolejni synowie Mohammeda konsekwentnie wstępowali na ścieżkę konspiracyjnej walki, jeden po drugim, często jeszcze w gimnazjum.

– W szkole nasze stosunki z Marokańczykami były, można powiedzieć, poprawne – opowiada Hamza, wróciwszy z modlitwy. – Nie biliśmy się z nimi, ale też nie przyjaźniliśmy, byliśmy po prostu obok. Byli oczywiście tacy, co w ogóle z nimi nie gadali ani ręki nie podawali. Ja ich tolerowałem, nawet miałem kilku marokańskich kumpli, uważałem, że wrogość wobec nich nie ma żadnego sensu, to nie oni są naszym wrogiem, tylko ich król. Oni są takimi samymi ofiarami tego reżimu jak my, współczuję im. Nienawiść do nich nic nam przecież nie da. Oczywiście nie wszyscy tu tak myślą, ale ja tak sądzę. Mam kilku znajomych Marokańczyków, choć nigdy nie przychodzą do mnie do domu. Mnie też nie zaproszą do swojego. Ale szanujemy się, rozmawiamy, podamy sobie rękę. Są i tacy, którzy są negatywnie nastawieni do polityki swojego kraju, ale nie mogą tego powiedzieć. Nie mogą nam okazać żadnego wsparcia, zostaliby uznani za zdrajców. Tak czy inaczej, to niewielka grupa ludzi. Marokańczycy i Saharyjczycy to bardzo prości ludzie, naprawdę łatwo nimi manipulować. W szkole najgorsze było śpiewanie marokańskiego hymnu i oddawanie hołdu królowi. Ja już wtedy wiedziałem, że to nie jest nasz król. Mówiliśmy na niego pogardliwie *l'majlik*, mały król, królik. Bo choć bardzo chciał, nigdy nie stał się naszym królem. Nauczyciele wkładali nam do głowy historie o Maroku od Tangeru po Senegal, brednie. Ukradli nam naszą historię nawet, próbowali nam wmówić, że Bassiri był Marokańczykiem, który zbuntował się przeciw kolonialnej władzy. A o El Walim Sajedzie mówili, że przed śmiercią przyznał rację królowi. O latach po 1975 roku nie uczy się wcale, ten czas dla nich nie istnieje. Historia kończy się na Zielonym

Marszu. Mówią o nim jak o świętym wydarzeniu, błogosławionym przez Allaha. Dorobili do tego piękną historię, w którą chyba sami uwierzyli. Mówią, że odzyskali swoje pradawne ziemie. Najbardziej bawi mnie kłamstwo, że zrobili to w pokojowy sposób, za pomocą Koranu, a nie karabinów. Jakoś zapominają powiedzieć o bombardowaniach, tysiącach ofiar i uchodźców. Ale tej wersji nie usłyszysz. W szkole nie mogłeś wstać i powiedzieć, że nauczyciel kłamie, bo w klasach często siedzieli tajniacy. Obserwowali klasę z tylnych ławek. Po intifadzie z 2005 roku wszystkie gimnazja i licea były pod stałym nadzorem policji. Przed bramą szkoły zawsze stały zaparkowane radiowozy, a w klasach siedzieli oficerowie. Jak ktoś powiedział coś nie tak albo przyznał się na głos, że jest Saharyjczykiem, to na przerwie od razu go zabierali albo przynajmniej dostawał łomot za rogiem. W ogóle na przerwach wcale nie było lepiej. Na dziedzińcu zawsze zbierało się kilku tajniaków, pilnowali, żebyśmy się nie gromadzili, nie rozmawiali ze sobą. Jak stało nas trzech obok siebie, to od razu rozganiali. My się oczywiście łatwo nie dawaliśmy, więc co chwilę któryś kończył z siniakami od pałek. Zdarzało się, że uczniów ze szkoły porywali, bili, a potem wyrzucali przy rzece. Teraz jest już lepiej. Od kilku lat trochę się zmieniło, tajniaków już w klasach nie ma, choć suki przed szkołami nadal można zobaczyć.

Za oknem słycać wrzaski i śmiechy dochodzące z pobliskiej podstawówki. Jak byłem mały, też mieszkaliśmy niedaleko szkoły. Pamiętam, że w letnie dni powietrze wypełniało się tymi samymi dźwiękami. Dźwiękami dzieciństwa, radości, bez troski, może co najwyżej lekkiej bójki o piłkę czy zabawkę.

– To wszystko dlatego, że tu nawet dzieciaki potrafią nieźle knuć – kontynuuje Hamza, wrywając mnie z chwilowej podróży w dziecięce czasy. – Nie że są wykorzystywane przez starszych, tego tutaj nie tolerujemy. Dzieciaki działają same, rodzice często nawet nie wiedzą. Nie mówię o rzucaniu kamieniami w radiowozy, tylko o zorganizowanych, konspiracyjnych akcjach. W 2006 roku wydarzyła się taka historia w El Aaiunie. W mieście pojawiła się masa sloganów na ścianach. Flagi RASD i rewolucyjne hasła były wszędzie. Oni tego nie znoszą i zazwyczaj dość szybko udaje im się znaleźć autorów takich wybryków. Ale nie tym razem. Napisy pojawiały się przez długie miesiące. Oni je zamalowywali, ale następnego ranka znów były, i tak w kółko. Po blisko roku złapali w końcu autora. Okazało się, że chłopak miał dziewięć lat! Ale to nie wszystko. Wzięli go na komisariat, przesłuchiwali, zapewne też torturowali. Jak się o tym dowiedzieliśmy, to poszliśmy pod komendę i zrobiliśmy demonstrację. Wzięliśmy koce, usiedliśmy

na ulicy przed budynkiem i siedzieliśmy tak, by wiedzieli, że nie odejdziemy, póki go nie puszczą. Z komendy co chwilę wyjeżdżały auta, bo szukali współników dziewięciolatka. Po paru godzinach znaleźli pierwszego, miał jedenaście lat. Ten, jak go wzięli na przesłuchanie, to sygnął, że szefem ich komórki jest ktoś o imieniu Mansur. Całą policję postawili na nogi, żeby go dopaść. Wszyscy szukali Mansura, superbohatera. A nawet my nie wiedzieliśmy, kim był Mansur, sami byliśmy ciekawi. Po kilkunastu godzinach, jakoś w środku nocy, przywieźli go w końcu. Miał dwanaście lat! Jak go wyprowadzali z radiowozu, to szedł jak stary kowboj. Cały tłum zaczął się śmiać z policji, dzieciak przez prawie rok grał im na nosie. Jak rozpracowali całą komórkę, okazało się, że najstarszy miał szesnaście lat, ale szefem był Mansur, dwunastolatek. A my go znaleźliśmy z sąsiedztwa, taki kurdupel z niego był, nikt nie wiedział, że to on maluje te wszystkie flagi, nawet jego rodzice.



© Bartek Sabela

A wiesz, dziś mój brat do nas wpadnie. Ten starszy, Abdelhay. Bo mam w ogóle czterech starszych braci.

*

Na sporym półmisku przed nami leży jedno z większych bogactw Sahary Zachodniej – ryby. Szelf atlantycki ciągnący się wzdłuż wybrzeża o długości ponad tysiąca stu kilometrów jest jednym z najlepszych obszarów rybołówstwa na świecie. Układ prądów oceanicznych i sprzyjający kształt dna sprawiają, że ogromne ławice sardynek, dorszy, tuńczyków są niemalże na wyciągnięcie ręki. Państwa europejskie, ale również azjatyckie, biją się o koncesje przydzielane przez marokański rząd. Koncesje, które sprzedawane są nielegalnie, Sahara Zachodnia bowiem według prawa międzynarodowego jest terytorium niesamodzielnym, a co za tym idzie – Maroko nie ma prawa korzystać z jej zasobów naturalnych. Niemniej ponad połowa tych ryb, solonych, mrożonych, w sosie własnym i w oleju, trafia na stoły Europejczyków. Kraje zachodnie są niezwykle skłonne ignorować podstawowe zasady moralne oraz prawo, które same stworzyły, gdy w grę wchodzi wymierne, liczone w miliardach euro interesy. Sami Saharyjczycy dostępu do pracy przy połowie ryb nie mają, mogą co najwyżej dostać pozwolenie na niewielką łódź przybrzeżną. Koncesje na kutry i większe jednostki są zarezerwowane wyłącznie dla Marokańczyków. Kalmary w panierce, smażone sardynki, ośmiornice, płaskie jak naleśnik sole, patrzące wyłupiastym okiem, które leżą dziś na naszym stole, są więc dla Saharyjczyków drogą i raczej niedostępną delicją.

Abdelhay, starszy brat Hamzy, przyszedł wraz z przyjacielem i kompanem z więziennej celi, Mahfoudem. Mahfoud, Abdelhay i jego dwaj starsi bracia Salama i Malainin Lakhalowie to pokolenie urodzone na początku lat siedemdziesiątych. Rok 1975 obserwowali z perspektywy kołyski, więc nie mają wspomnień związanych z początkiem konfliktu. Ich świadomość kształtowała się w połowie lat osiemdziesiątych, najczarniejszym okresie marokańskiej okupacji. W domach jak ognia unikano wszelkich rozmów o polityce, okupacji, ambicjach niepodległościowych, zwłaszcza w obecności dzieci. Malainin nie przypomina sobie, by kiedykolwiek słyszał swojego ojca rozmawiającego o polityce. Dorośli nie chcieli wprowadzać swoich dzieci w świat polityki i wojny. Ze strachu. Wyrażanie poglądów, nawet w domu, było niezwykle niebezpieczne. Ściany miały uszy, i to potężne. Zdarzało się, że całe rodziny były porywane przez marokańskie służby i nagle dom sąsiadów czy kuzynów stawał się pusty, już ich nigdy nie widziano. Za słuchanie radia można było trafić do więzienia, a znaleziona kaseta z tradycyjną muzyką saharijską gwarantowała pobicie lub tortury. Jak mawiają Saharyjczycy, Hassan II zamienił wówczas Saharę Zachodnią w największe więzienie świata.

Owszem, słyszało się czasami o wojnie. O sytuacji na froncie świadczyły latające do szpitala wojskowego helikoptery. Jak było ich dużo, wtedy mieszkańcy okupowanego miasta mieli powody do radości, znaczyło to, że Front POLISARIO wygrał jakąś potyczkę. Ale o przyczynach, źródłach okupacji, pod którą żyli, młodzi Saharyjczycy wiedzieli niewiele. W szkołach historia kończyła się na 1975 roku, na triumfalnym Zielonym Marszu. Poruszanie tematów następnych lat było surowo wzbronione. Młodzi nie posiadali dostępu do źródeł historycznych, książek, artykułów, nagrań, czegokolwiek, na czym mogliby polegać. Nie mieli też żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym. Telefony na Saharze były niedostępne, a te nieliczne funkcjonujące były ściśle kontrolowane. Na okupowany obszar nie wpuszczano też żadnych obcokrajowców. Wiedzę o swojej sytuacji młodzi Saharyjczycy musieli zdobywać sami, z własnego doświadczenia. Dla większości z nich przełomowy był rok 1987, gdy przyszli aktywiści, już mężczyźni, mieli po szesnaście, siedemnaście lat. Wtedy to pewnego dnia z El Aaiúnu zniknęło ponad czterystu Saharyjczyków.

– Ja osobiście znałem dziesiątki z nich, każdy znał – wspomina Malainin Lakhal, starszy brat Hamzy. – To byli moi znajomi, przyjaciele, przyjaciele moich braci, bracia moich przyjaciół, sąsiedzi, wielu w moim wieku. I nagle zniknęli. Z domów, z ulic, ze sklepów. Nikt nie wiedział, co i dlaczego się z nimi stało. To wtedy porwano Aminetu Haidar.

W 1987 roku El Aaiún obiegała wieść o zbliżającej się wizycie delegacji ONZ. Tak jak w 1974 roku, Saharyjczycy tłumnie wyszli na ulice, by przywitać przedstawicieli flagami POLISARIO. Ale zamiast delegatów z Europy i Ameryki napotkali kordony policji. Czterysta osób trafiło do więzień. Prawdziwa misja ONZ przybyła do miasta kilka dni później.

Tuż po tym zdarzeniu z ulic El Aaiúnu zniknęły kolejne osoby. Tym razem 10 000. Słownie: dziesięć tysięcy, w większości młodych ludzi, bo ci byli uważani za największe zagrożenie. To tak, jakby dziś z Warszawy zniknęło dwieście tysięcy ludzi. Władze marokańskie, by odciągnąć ich od nieprawych myśli o rewolucji i wolności, wysłały ich w głąb Maroka, kusząc pracą, dobrymi zarobkami. Nie zostali porwani, ale większość z nich nie miała wyboru, władza bowiem nie proponowała, lecz nalegała i nie znosiła odmowy. Młodzi musieli porzucić rodziny, szkołę i udać się do Rabatu czy Tangeru, setki, a nawet tysiące kilometrów na północ. Ulice El Aaiúnu opustoszały.

– Naszym pierwszym odruchem było po prostu znaleźć jakiegokolwiek informacje

na temat osób, które zniknęły. – Malainin nie siedzi z nami przy rybnej uczcie. Rozmawiam z nim przez Skype'a, dziś mieszka w Addis Abebie. Do El Aaiúnu przyjechać nie może. Już nigdy. – Słuchaliśmy potajemnie radia, pytaliśmy ludzi, węszyliśmy, szperaliśmy. Rozpoczęte studia w Agadirze dały mi nowe możliwości. Agadir w porównaniu z El Aaiúnem to była oaza wolności. Mogliśmy się swobodnie przemieszczać, spotykać, rozmawiać. Mieliśmy też jakieś możliwości kontaktu z obcokrajowcami. W Agadirze udało się nam dowiedzieć, że te czterysta osób zostało porwanych przez służby bezpieczeństwa. Ludzie mówili o tajnych więzieniach porzucanych po Maroku. Wtedy przecież działało się tak wiele w sprawie naszego kraju! Koniec lat osiemdziesiątych to negocjacje zawieszenia broni, działania ONZ, OJA. My tego wszystkiego nie wiedzieliśmy! Zbieraliśmy więc książki, gromadziliśmy wycinki z gazet, robiliśmy kopie i próbowaliśmy je szmuglować na tereny okupowane, by wzbudzić świadomość i potrzebę walki wśród naszych rodaków, uczniów liceum, gimnazjum. 1987 rok otworzył nam oczy.

Wojna trwała długich szesnaście lat i nie przyniosła żadnej ze stron zwycięstwa. Ale jesień 1991 roku rozpałała wśród Saharyjczyków nową nadzieję. Wtedy pewnej wrześniowej nocy nad miastem pojawiły się białe boeingi, niczym gołębie pokoju. Na burtach miały wielkie czarne litery UN. Ludzie wchodzili na dachy domów, by zobaczyć, jak lądują na lotnisku w El Aaiúnie.

Do miasta przybyło prawie trzy tysiące ludzi, cywilów, policjantów i żołnierzy w niebieskich hełmach. Przyjechali, by wprowadzić w życie uzgodniony przez wszystkie zainteresowane strony Settlement Plan, czyli mówiąc krótko – pokój. Cele i założenia misji były szczytne i ambitne, a przeznaczony budżet w wysokości stu siedemdziesięciu ośmiu milionów dolarów miał wystarczyć na jej realizację. Tak jak w 1975 roku nad Saharą Zachodnią zaczęło znów rozbrzmiewać magiczne, niosące nadzieję słowo „referendum”, a zapach wolności niósł się ponad pustynią aż do obozów uchodźców na terenie Algierii. Saharyjczycy rozrzucając po całym świecie zaczęli pakować swój dobytek i wracać do opuszczonych przed laty domów, by wziąć udział w głosowaniu. Mediacyjne wysiłki ONZ i OJA przyniosły upragnione zawieszenie broni, wyznaczone formalnie na 6 września 1991 roku na szóstą rano, a referendum miało się odbyć już w styczniu 1992 roku. Opcje miały być tylko dwie: integracja z Marokiem lub niepodległość. Wojska marokańskie miały rozpocząć wycofywanie już po dwudziestu czterech godzinach od ogłoszenia wyników. Pracownicy misji ONZ, którą nazwano MINURSO (Mission des Nations

Unies pour l'Organisation d'un Référendum au Sahara Occidental, Misja Organizacji Narodów Zjednoczonych do spraw Referendum na Saharze Zachodniej), rozpięzchli się po całej Saharze, zakładając bazy i posterunki w białych, klimatyzowanych kontenerach. Ich głównym zadaniem, oprócz nadzorowania zawieszenia broni, było sporządzenie listy uprawnionych do głosowania, bazującej na spisie ludności przeprowadzonym przez Hiszpanów siedemnaście lat wcześniej. Obecność międzynarodowego stróża porządku miała się też wiązać z częściową demilitaryzacją całej Sahary Zachodniej. Strony konfliktu zostały zobowiązane do redukcji sił i zwolnienia przetrzymywanych więźniów wojennych i politycznych. Nad Saharą od El Aaiúnu po La Güerę roztoczyła się atmosfera ulgi i oczekiwania, a niebo zaczęło się przejaśniać.

Zadanie wydawało się proste. Planowano, że misja MINURSO potrwa nie dłużej niż sześć miesięcy. Saharyjczycy zmęczeni wojną i okupacją oddali swój los w ręce międzynarodowego prawa i obdarzyli przybyszy z zachodniego świata sporym kredytem zaufania. Ale ku zaskoczeniu Saharyjczyków nad kwaterą główną MINURSO w El Aaiúnie obok błękitnej flagi wkrótce zawisła też czerwona z zieloną gwiazdą. To nie zdarzyło się nigdzie indziej na świecie, przecież żołnierze w niebieskich hełmach mieli gwarantować bezstronność i sprawiedliwość. O tej bezstronności przekonał się pod koniec 1991 roku młody chłopak o imieniu Mohammed Mleiha, gdy przeskoczył barykady i wbiegł do silnie strzeżonego budynku misji ONZ. Chciał przekazać światu listę więźniów politycznych przetrzymywanych w pobliskim Czarnym Więzieniu. Personel ONZ wydał go marokańskiej policji.

– W 1991 i 1992 roku zaczęły się masowe manifestacje na fali frustracji niezrealizowanym referendum – opowiada pełen energii Mahfoud, bogato gestykułując nad półmiskiem z rybami. – Przecież obiecali, przecież przyjechała ONZ, przecież zawieszono broń. Mówili, że referendum jest tuż-tuż. A referendum to znaczy wolność, bo tu nikt nie miał wątpliwości, jaki będzie jego wynik. Wszyscy zaczęliśmy się przygotowywać na wyczekaną, wywalczoną wolność. Ludzie z zagranicy, z obozów w Algierii zaczęli wracać do El Aaiúnu, bo chcieli głosować. A tu nic. Minął rok, dwa i nic się nie stało! Nadzieje, które pokładaliśmy w misji ONZ, topniały w zastraszającym tempie, czuliśmy się coraz bardziej oszukani. Nie chcieliśmy, by o nas zapomniano, no to wyszliśmy na ulice. Tutaj, w Smarze, w Bojador. Manifestacje rozlały się po całej Saharze. Pierwsza połowa lat dziewięćdziesiątych to cały czas manifestacje, domagaliśmy się, by w końcu

zrobili to obiecanie referendum. Tymczasem zamiast wolności ludzie zaczęli trafiać do więzień, PCCMI i Czarne pękały w szwach. Jednych zamykali, to ich znajomi wychodzili na ulicę i protestowali. Tak w kółko, napędzani frustracją i gniewem. Ale tu nagle w 1993 roku zaczęli ludzi stawiać przed sądem wojskowym. Cywili! I dawać po piętnaście, dwadzieścia lat! Lub dożywocie. Padł na nas blady strach, zaczęliśmy się naprawdę bać. Dwadzieścia lat w marokańskim więzieniu to nie żarty. Wcześniej wyroki za udział w manifestacjach nie były wysokie, co najwyżej kilka lat, więc ludzie się nie bali. Pracowaliśmy w tak zwanych ulach. Ul to była taka mała komórka konspiracyjna, składająca się z kilku osób. Członkowie poszczególnych uli nie znali członków innych uli. To tak na wszelki wypadek, bo w więzieniu potrafią z ciebie wyciągnąć wszystko, więc lepiej po prostu nie wiedzieć. Zbieraliśmy pieniądze, szyliśmy flagi, pisaliśmy listy do organizacji międzynarodowych, drukowaliśmy ulotki. Często pracowaliśmy na pustyni, daleko od miasta, tam było bezpieczniej. Pustynia to zawsze był, nadal jest, taki azyl dla nas. Jak masz już dość wszystkiego, to jedziesz na pustynię, tam masz ciszę i spokój, i szansę, że nikt cię nie śledzi.

W ONZ szybko zrozumiano, że pół roku nie wystarczy na rozwiązanie konfliktu. Obecność misji była więc sukcesywnie przedłużana o kolejne sześć lub dwanaście miesięcy w zależności od sytuacji politycznej. Król Hassan II dostrzegł, że jakkolwiek przeprowadzone, referendum skończy się niechybnie jego klęską, więc rozpoczął sprytną grę, oficjalnie przekonując o palącej potrzebie organizacji głosowania, a w praktyce skutecznie blokując jego przeprowadzenie. Pretekstem do obstrukcji stał się cenzus dopuszczonych do głosowania. Choć według początkowych ustaleń podstawą list wyborczych miał być spis z 1974 roku uzupełniony o osoby narodzone po tym roku, król szybko znalazł drogę, by skutecznie sabotować ustalenia, na które sam przystał. Do El Aaiúnu ni stąd, ni zowąd ściągnęły dziesiątki tysięcy osadników z Maroka podających się za Saharyjczyków. Król nazwał ich nawet Drugim Zielonym Marszem. W Maroku powstały specjalne tajne szkoły, które uczyły „farbowanych” Sahrawich mówić w trudnym dialekcie hassanijja. Znajomość dialektu była bowiem jednym z kryteriów weryfikacji pochodzenia. W El Aaiúnie zbudowano dla przesiedlonych specjalny obóz w centrum miasta. W swoich namiotach i tymczasowych lepiankach tkwili tam przez prawie dziesięć lat. Nie byli to tylko Marokańczycy. Część z nich stanowili również zmarokanizowani Saharyjczycy z plemion żyjących na obszarze Tarfai. Do dziś widać w centrum ogromne gruzowisko obejmujące kilka

kwartałów, na których mieszkali. Marokańska administracja, wciąż obecna na terenach okupowanych, skutecznie utrudniała działania nie tylko Saharyjczyków, ale także pracowników MINURSO. Blokowano dostawy sprzętu, utrudniano łączność z kwaterą główną ONZ w Nowym Jorku, podsłuchiowano rozmowy, czytano korespondencję. Pracownicy Czerwonego Krzyża, UNHCR, Parlamentu Europejskiego, którzy pojawili się wraz z misją ONZ, nie mogli swobodnie podróżować po kraju ani spotykać się z Saharyjczykami. Białe wozy i tony zaopatrzenia tkwiły tygodniami w komorach celnych portu w Agadirze. Siedziba MINURSO obrosła tymczasem drutami kolczastymi i zasiekami, a oddziały marokańskiego wojska skutecznie dbały o izolację pracowników w „trosce o ich bezpieczeństwo”.

Javier Pérez de Cuéllar, Peruwiańczyk, sekretarz generalny ONZ do końca 1991 roku, nawet nie starał się za bardzo ukryć swoich prawdziwych sympatii. Zwierzchnik międzynarodowej misji powołanej, by zaprowadzić pokój i wyegzekwować fundamentalne prawo ludzi do samostanowienia, dość otwarcie popierał politykę Hassana II i jego sojuszników. Podczas swojej dziesięcioletniej kadencji spotkał się z władzami marokańskimi aż sto trzydzieści dwa razy. Z przedstawicielami Frontu POLISARIO tylko trzydzieści trzy razy. Wdzięczny za nieoficjalne wsparcie, król Hassan II miał nawet zaproponować de Cuéllarowi posadę w jednym z marokańskich koncernów. Javier Pérez swoją biografię zatytułował *Pilgrimage for Peace*.

Podobną politykę prowadził następca Javiera Péreza, wybrany w 1992 roku Egipcjanin Boutros Boutros-Ghali. Król Hassan II musiał się naprawdę ucieszyć z tego wyboru, Boutros-Ghali był bowiem jego przyjacielem i od lat prezentował promarokańskie stanowisko. Król mógł się czuć pewny siebie. W 1992 roku Maroko pozwoliło sobie nawet na kilkukrotne naruszenie zawieszenia broni. Bez żadnych konsekwencji. Czas mijał, pracownicy misji próbowali skompletować listę uprawnionych do głosowania, ale ich syzyfowe wysiłki były sabotowane regularnie nie tylko przez władze marokańskie, co zrozumiałe, ale także przez Radę Bezpieczeństwa i samego sekretarza generalnego. Część państw członkowskich misji szybko dostrzegła absurd zaistniałej sytuacji. Swoich pracowników wkrótce wycofały Australia, Szwajcaria i Kanada. Oczy świata zwróciły się zresztą w inną stronę. Konflikt w Iraku, potem porażka Amerykanów w Somalii, ludobójstwo w Rwandzie, wojna w byłej Jugosławii i w Czeczenii. Referendum na Saharze Zachodniej ginęło w natłoku ważniejszych, bardziej krwawych i bardziej

spektakularnych wydarzeń. Czas nadziei Saharyjczyków dobiegał końca, a brudna geopolityka triumfowała nad zgrabną, ładnie opakowaną iluzją, jaką jest prawo międzynarodowe. Jawiąca się na horyzoncie niepodległość Sahary Zachodniej znów okazywała się fatamorganą. Hassan II zacierał rękę.

– W 1995 roku mieliśmy już naprawdę dość. Widać było jak na dłoni, że to wszystko prowadzi zupełnie donikąd. Ruszyliśmy do działania. Ja organizowałem protesty przed hotelem Nagjir w centrum, Abdelhay przed kwaterą MINURSO. Śpieszyliśmy się, bo chcieliśmy zdążyć na 10 maja, święto założenia POLISARIO. I zdążyliśmy. Dziesiątego rozpoczęły się protesty. Ale ludzie się bali, widmo dwudziestu lat za kratami paraliżowało wszystkich. Trzeba przyznać, że król miał dobry pomysł. Tego dnia aresztowali kilka osób, naszych przyjaciół, nam jakoś udało się uciec. Szukała nas cała policja w El Aaiúnie, bo uważali nas za organizatorów protestów, co w dużej mierze było prawdą.

Opowiada cały czas Mahfoud. Abdelhay, brat Hamzy, siedzi z boku, nie mówiąc za wiele. Rysuje coś na kartce.

– No to następnego dnia sami poszliśmy na komendę. Zgłosiliśmy się, by przełamać ten paraliżujący strach przed długim wyrokiem, pokazać innym, że nie ma się czego bać, a to, co robimy, jest właściwe. Przed manifestacją umówiliśmy się z przyjaciółmi, że ci, których nie złapią, rozpoczną nowe manifestacje. I tak to działało, takie mieliśmy zasady. Ci, co już siedzieli, mieli przynajmniej odrobinę nadziei i poczucia, że nie są sami, że kumple będą o nich pamiętać. Najpierw policjanci chcieli nas przekonać do współpracy, żebyśmy szpiegowali środowisko aktywistów. Myśleli, że dlatego przyszliśmy, jakoś nie mieściło im się w głowach, że dobrowolnie zgłosiliśmy się do więzienia. Ale gdy odmówiliśmy, no to wtedy się zaczęło.

Scenariusz zawsze jest ten sam. Zawijają oczy, krępują ręce. Zaczynają bić. Tak żeby pokazać, kto tu ma władzę i że mogą zrobić, co tylko chcą. Również zabić, jeśli będą mieli taki kaprys. To nie problem. Jak czują, że delikwent jest miękki, pęknie szybko, to od razu zabierają na przesłuchania. Co robiłeś, z kim, po co i dlaczego, zestaw standardowych głupich pytań rodem z taniego filmu sensacyjnego. Ale jeśli wyczują opór, to jedziesz do PCCMI i tam jest gorzej. Zanim wylądujesz w celi, każą ci stać pod ścianą, godzina, dwie, pięć, czasami i dwadzieścia cztery. Co jakiś czas podejdzie któryś z nich i spyta, jak masz na imię i co tu robisz. Potem przyjdzie inny, który zada ból. Kopnie, uderzy pałką. Powie coś w stylu: „Aaa, to ty jesteś Abdelhay? No to ja ci teraz pokażę, kim jesteś dla

nas!”. I się zamachnie. Stoisz, czekasz, bez picia, bez jedzenia. Nie pozwolą ci pójść do kibla, nie pozwolą ci zasnąć. Gdy trochę zmięknie, to wezmą na przesłuchanie i znów te same pytania. Skąd masz pieniądze, kto jest twoim oficerem łącznikowym od POLISARIO, kto cię zwerbował. Nie przyjdzie im do głowy, że nikt nie werbował, nikt nie płacił. Że to twoja własna inicjatywa. A potem będzie ciemna cela o wymiarach metr na metr. Tak że nie możesz się ani położyć, ani wyprostować, bo sufit za nisko. Metr kwadratowy to bardzo dużo, czasami wepchną tam i cztery osoby.

Małomówny dotąd Abdelhay podaje mi kartkę i mówi krótko: „W ten sposób”. Rysunek na kartce przypomina obrazki, jakie rysują dzieci na ostatnich stronach zeszytów do matematyki albo geografii. Tylko że przedstawia więzienne tortury. Na pierwszym obrazku rozebrany do naga ludzik w opasce na oczach ma skrępowane ręce i nogi. Nie jestem pewien, czy dobrze interpretuję lekko koślawy rysunek. Widząc moje zakłopotanie, Abdelhay przekręca w moich rękach kartkę, mówiąc, że patrzyłem do góry nogami. Teraz ludzik wisi powieszony u sufitu za nogi. Dynda tak godzinami, aż któryś ze znudzonych oprawców zdecyduje o zmianie. Wtedy rysowany długopisem ludzik zawisa w innej pozycji. Tym razem jak kurczak na rożnie. Bo to zresztą trochę rożen właśnie jest. Wisząca twarzą do podłogi, wygięta w łuk postać przywiązana jest za ręce i nogi do stalowej belki. Obok niej stoi pan w policyjnej czapce z daszkiem. W ręku ma pałkę i zapalniczkę. Zresztą nie trzeba wcale przypalać ogniem, wystarczy samo wiszenie, od którego kręgosłup chce pęknąć. Zwłaszcza gdy ręce są coraz bliżej nóg, a na plecach kładą ci kolejne cegły. Repertuar funkcjonariuszy PCCMI jest bogaty, a ich fantazja nie zna granic. Na kolejnej ilustracji ludzik już nie wisi. Tym razem siedzi nago, po turecku, na podłodze. Nad nim stoi dwóch panów, w chwili obecnej wyłącznych dyspozytorów jego życia. Jeden ze stojących panów wylewa na siedzącego wiaderko czegoś. To szczyzny, świeżo skomponowana mieszanka, na którą zrzucili się wszyscy uczestnicy zabawy prócz rzecz jasna siedzącego. Moje zainteresowanie wzbudzają duże, wysokie buty, jakby kalosze, w których występują funkcjonariusze tajnej policji. Wszystko nabiera sensu, gdy Abdelhay dorysowuje kałużę wody pod siedzącym, a w ręku jednego z oprawców kabel z piorunkiem.

Abdelhay mógłby zapewne narysować więcej zarówno swoich przeżyć, jak i tych, w których mieli pecha uczestniczyć jego przyjaciele, znajomi, bracia. Wtedy zapewne narysowałyby na przykład ludzika z głową owiniętą plastikową folią, łapiącego przedostatni oddech. Lub innego, skulonego w rogu sali i zaszczutego

przez policyjne psy. Mógłby też narysować ludzika policjanta, który pałąką, butelką lub innymi przyborami, w zależności od możliwości, gwałci tego drugiego nagiego, związanego ludzika. Albo też ludzika, któremu drugi ludzik wylewa gorącą stearynę na genitalia. Tak, taka scena też by mogła być. Na obrazkach mógłby się również pojawić ludzik z głową w wiaderku pełnym wybielacza lub rozpuszczalnika i drugi ludzik – trzymający tę głowę. Gdzieś z boku kartki zapewne zmieściłby się mały rysunek dłoni i leżących obok paznokci. Albo głowy ludzika z przystawionym pistoletem. Wielu scen nie musiałby rysować, bo przecież są aż nazbyt oczywiste. To te, w których jeden ludzik bije drugiego lub wyzywa. Nie musiałby też rysować tych, w których jeden ludzik uderza głową drugiego ludzika o ścianę. Abdelhay za to mógłby narysować tygodnie, miesiące, a czasami nawet lata spędzone w celi samotnie, wciąż z zawiązanymi oczami. Lub, wprost przeciwnie, te spędzone w przepełnionych celach bez okien, bez dostępu do toalety czy wody. Mógłby też w tych samych celach narysować leżące całymi dniami trupy tych ludzików, które nie wytrzymały, lub tych, które po prostu zostały zamordowane. Mógłby w końcu narysować białe ludziki siedzące w oddalonym o kilkaset metrów klimatyzowanym biurze. Te ludziki miałyby czapeczki z napisem UN. Gdyby chciał to wszystko narysować, mogłoby zabraknąć kartek.

– Po dziesięciu dniach zawieźli nas do Rabatu i postawili przed trybunałem wojskowym. Jechaliśmy w stalowej budzie w osiem osób przez czternaście godzin, a zaczynało się lato. Wodę dostaliśmy dopiero w Marrakeszu. Od pierwszego dnia aresztu, czyli od dwóch tygodni, mieliśmy opaski na oczach. Zdjęli nam je dopiero, gdy dowieźli nas do Rabatu i postawili przed sędzią trybunału. Potem trafiliśmy do słynnego więzienia Zaki w Sali, największego w Maroku. 20 czerwca ogłosili nasz wyrok. Szybko. Ale wtedy nie było mowy o jakichkolwiek obrońcach, obserwatorach czy uczciwym procesie. Nic z tych rzeczy. No i usłyszeliśmy: Elbachrawi Ennabat i Lakwara Ahmed, piętnaście lat. Boh Achwaijato, Baba El'Arabi, siedemnaście lat. Lambarki Ahmadou, Nisan Mrabih Rabou dwadzieścia lat, a potem my, El Mahfoud Daho i Abdelhay Lakhal, dwadzieścia lat. Dwadzieścia lat.

Ale wszyscy oni mieli szczęście. Pod koniec 1996 roku król Hassan II pod naciskiem Stanów Zjednoczonych, Niemiec i Czerwonego Krzyża ogłosił amnestię. Wrota marokańskich więzień otworzyły się, a setki wychudzonych, poobijanych, białych więźniów politycznych i wojennych powróciło do domów.

Saharyjczycy nie opowiadają sobie, co przeżyli w więzieniach. Nikt nie chwali

się torturami, które przetrzymał, ani latami spędzonymi w celi. Hamza pierwszy raz słyszał o tym, co przeszedł jego brat. Gdy wcześniej pytał go o te wydarzenia, Abdelhay zbywał pytania uśmiechem. Mówił wtedy, że wszystko OK, że w porządku, że nie ma o czym mówić, przecież wyszedł. To taka zasada. By nie straszyć młodszych.

Abdelhay po latach wycofał się z działalności politycznej i oddał pole braciom. Dziś wraz z żoną prowadzi inną walkę, cichą, lecz nie mniej ważną niż ta uliczna. Nie chcę, by moje dzieci były mniejszością w swoim własnym kraju – mówi Abdelhay. Właśnie urodziło mu się szóste dziecko, tym razem córeczka. Muzułmańskim zwyczajem, po tygodniu od narodzin, dostała imię. Aziza. Po babci, która zmarła na kilka dni przed jej urodzinami.

*

Na liście, którą Mohammed Mleiha próbował przekazać pracownikom ONZ w 1991 roku, było też nazwisko Malainin Lakhal. Malainin, starszy brat Abdelhaya i Hamzy, odsiadywał wtedy bliżej nieokreślony wyrok. Nieokreślony, bo nie został aresztowany, oskarżony, osądzony. Został porwany. A jak się jest porwanym, to nikt nie wie, gdzie jesteś, kiedy wrócisz i czy w ogóle. W czasie gdy Malainin oraz około stu innych osób siedziało w Czarnym Więzieniu lub w katowniach PCCMI, na wolność wypuszczono tych porwanych w 1987 roku. Ale z czterystu osób do domów wróciło jedynie około trzystu. Los reszty pozostał nieznany. Na Saharze właśnie rozgościły się wojska ONZ, więc klimat sprzyjał nowym działaniom. Wśród wypuszczonych była między innymi Aminetu Haidar, dziś ikona ruchu oporu, nazywana saharyjskim Gandhim. Przez cztery lata więzienia ani razu nie zdjęto jej opaski z oczu. Jej kolorowa melhfa – tradycyjny strój saharyjskich kobiet – jest dziś symbolem walki Saharyjczyków o wolność. Malainin wyszedł na wolność po osiemnastu dniach tortur i miesiącu spędzonym w więzieniu, przyłączył się do działań prowadzonych przez Aminetu Haidar i Brahima Dahanego. To oni stworzą przyszły ruch oporu i doktrynę *peaceful resistance*, pokojowych demonstracji mających obnażyć brutalność marokańskiej okupacji. Aktywistom udało się sprowadzić do El Aaiúnu przedstawicieli Amnesty International, Human Rights Watch, AFAPREDESA (Asociación de Familiares de Presos y Desaparecidos Saharauis, Stowarzyszenie Rodzin Więźniów i Zaginionych Saharyjczyków), dziś największej organizacji działającej na rzecz

praw człowieka na Saharze Zachodniej, co przed rokiem 1991 było wykluczone, i nakłonić zastraszonych Saharyjczyków, by opowiadali swoje historie. Po raz pierwszy świat oraz sami Saharyjczycy mogli usłyszeć zeznania byłych więźniów. Odwaga Saharyjczyków zainspirowała też opozycję wewnątrz samego Maroka. W Królestwie w końcu zaczęło się mówić o prawach człowieka. Niestety okres odwilży wymuszony na marokańskim królu przez obecność sił ONZ i opinię międzynarodową trwał krótko. Wkrótce spośród trzystu uwolnionych więźniów spora część ponownie trafiła za kratki.

Protesty z 1995 roku, organizowane przez Abdelhaya i Mahfouda, nie przyniosły większych efektów. Nie przybliżyły też ani o krok upragnionej wolności. Proces weryfikacji potencjalnych wyborców utknął w miejscu dzięki staraniom króla Hassana II i wsparciu prezydentów Francji i USA. Również ONZ nie wykazywała się większą skutecznością, publikując corocznie raporty tej samej nudnej i przewidywalnej treści, a o uzgodnionym w bólach Settlement Plan pamiętali już chyba tylko sami Saharyjczycy. Kolejny sekretarz generalny ONZ, Kofi Annan, znów okazał się stronnikiem króla Hassana II. Przedłużający się impas, podtrzymywany przez Radę Bezpieczeństwa i dyplomację państw zachodnich, powoli, lecz nieubłaganie przez zasiedzenie legalizował marokańską okupację. Stan pokoju bez pokoju i wojny bez wojny był na rękę królowi.

Ale w lipcu 1999 roku świat obiegnęła wiadomość, że król Hassan II, wielki przyjaciel Zachodu, obrońca wolności, wysłannik pokoju, wielki reformator, potomek Allaha w linii prostej i kawaler niezliczonych orderów, zmarł. Tak najzwyczajniej w świecie, 23 lipca, w piątek. Mało kogo brakowało na pogrzebie monarchy. Do Rabatu zawitali Bill i Hillary Clintonowie, George Bush, Jacques Chirac, Jasir Arafat, Szimon Peres, Juan Carlos. Ku zdziwieniu wszystkich na pogrzebie obecny był również prezydent Algierii Abdelaziz Buteflika. Bill Clinton, pochylając się nad trumną króla, rzekł: „Hassan II pracował niestrudzenie, by zapewnić swojemu ludowi dobrobyt [...], i podjął istotne kroki, by pogłębić wolność w swoim kraju”. Jacques Chirac dodał: „Straciliśmy człowieka, który kochał Francję i Francuzów – czujemy głęboki ból”.

Na Saharze śmierć Hassana II została przyjęta zgoła inaczej, może nie tyle z radością, której manifestować oczywiście nie było wolno, ile po prostu z ulgą. Przedwcześnie, jak się okazało. Wkrótce rozpacz marokańskich osadników, osieroconych przez władcę, a podburzonych skutecznie przez lokalne władze, obróciła się przeciw Saharyjczykom. Na ulicach rozległy się krzyki: „Śmierć

Saharyjczykom, umierajcie, król ma syna!”. W oknach domów znów tłuczono szyby.

*

To Mohammed VI powitał mnie w Maroku. Niemalże osobiście. Ze zdjęcia wiszącego na ścianie na lotnisku w Agadirze. Potem jeszcze witał mnie przy wielu innych okazjach, na dworcach, w hotelu, w gazetach, w kafejkach, aż w końcu przywitał mnie również na komisariacie. Najczęściej jednak spotykaliśmy się, gdy trzeba było coś kupić. Wtedy uśmiechał się do mnie z awersów marokańskich banknotów, prawie wszystkich. Na starszych, tych drukowanych przed 1999 rokiem, można spotkać jeszcze Hassana II, lecz na tych nowszych, na wszystkich nominałach – 20, 50, 100 i 200 dirhamów – zasiada Mohammed VI. Ojciec został już jedynie na banknotach dwudziestodirhamowych, i to nie osobiście, ale reprezentowany przez meczet swojego imienia w Casablance. Banknoty to chyba ulubione miejsce Mohammeda VI. W ogóle banknoty to chyba ulubiona rzecz króla.

Na oficjalnej stronie Królestwa Marokańskiego można przeczytać:

Jego Wysokość Król Mohammed VI, Król Maroka, jest potomkiem dynastii Alawitów, pochodzącej z Janbu an-Nachil, małej oazy nad brzegiem Morza Czerwonego. Rodzina, wywodząca się w linii prostej od Mahometa, Proroka Islamu [...], osiedliła się w Sidzilmasie na południu Maroka w połowie XIII wieku. Jego Wysokość Król Mohammed VI jest dwudziestym trzecim królem dynastii Alawitów, której panowanie rozpoczęło się w połowie XVII wieku.

Jego Wysokość Król Mohammed VI, syn zmarłego Króla Hassana II, urodził się 21 sierpnia 1963 roku w Rabacie. Na tron Jego Królewska Wysokość Księżę Sidi Mohammed El Hassan Ben Mohammed, Król Maroka, wstąpił 30 lipca 1999 roku.

Obok można zobaczyć portret króla, siedzącego na tronie, uśmiechającego się życzliwie i przenikliwie patrzącego na poddanych swoimi czarnymi oczami. Ale fotograf jakoś niefortunnie skadrował zdjęcie. Oprócz króla i zielonej gwiazdy za nim w oczy rzuca się... zad złotego tygrysa, będącego częścią królewskiego godła.

W wieku czterech lat został zapisany przez ojca do szkoły koranicznej w Pałacu Królewskim.

Wyższe wykształcenie zdobył na Wydziale Prawa Uniwersytetu Mohammeda v.

Studia skończył w 1985 roku, broniąc pracy licencjackiej na temat: „Unia arabsko-afrykańska i strategia Królestwa w stosunkach międzynarodowych”.

W 1987 roku otrzymał tytuł magistra nauk politycznych, a w lipcu 1988 roku tytuł doktora prawa międzynarodowego; obydwie z wyróżnieniem.

W celu pogłębienia wiedzy i zdobycia doświadczenia w dziedzinie prawa Król Hassan II w listopadzie 1988 roku wysłał go na kilka miesięcy do Brukseli na praktyki do Jacques'a Delors'a, przewodniczącego Komisji Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Mimo młodego wieku Księcia ojciec zawsze powierzał mu różne misje na różnych szczeblach: narodowym, arabskim, muzułmańskim, afrykańskim i międzynarodowym. Jego Wysokość brał zatem udział w wielu międzynarodowych i lokalnych konferencjach.

29 października 1993 roku Jego Wysokość otrzymał z wyróżnieniem tytuł doktora prawa Uniwersytetu w Nicei we Francji. Tytuł doktoratu brzmiał: „Współpraca między Europejską Wspólnotą Gospodarczą a Arabską Unią Maghrebu”.

22 czerwca 2000 roku otrzymał tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Jerzego Waszyngtona.

Jest autorem książki i wielu artykułów poświęconych współpracy między Europą a Maghrebem.

Mówi po arabsku, francusku, hiszpańsku i angielsku.

Jego Wysokość Król Mohammed VI uprawia wiele sportów.

Potem jeszcze kilka ciekawych informacji:

W wieku czterech lat towarzyszył swojemu ojcu podczas oficjalnej wizyty w Stanach Zjednoczonych, która odbyła się 9 i 10 lutego 1967 roku.

6 kwietnia 1974 roku odbył pierwszą oficjalną wizytę, reprezentując swojego ojca Króla Hassana II na uroczystości pogrzebowej Prezydenta Francji Georges'a Pompidou.

Jego Królewska Mość jest także przewodniczącym kilku stowarzyszeń, w tym: Fundacji dla Solidarności im. Mohammeda v, Fundacji na Rzecz Resocjalizacji Więźniów im. Mohammeda VI.

Jego Wysokość Król Mohammed VI wspiera działalność organizacji społecznych. Jest honorowym przewodniczącym wielu stowarzyszeń

aktywnie działających na polu społecznego i ekonomicznego rozwoju.

Potem długa lista zasług, wyróżnień, nagród, orderów, odznaczeń.

Można by pomyśleć, że Hassan II przygotował sobie godnego następcę, który będzie kontynuował jego politykę. Ale Mohammed VI był inny niż jego ojciec. Chciał być reformatorem. Gdy przejął władzę, miał ponoć powiedzieć do swoich ministrów: „Otwórzcie drzwi i okna. Pozwólcie ludziom oddychać”. Obiecywał „trzecią drogę” – system rządów między absolutną monarchią a demokracją, coś, co byłoby unikatem w świecie arabskim. Być może dlatego Hassan II pod koniec swojego życia wcale nie był pewien, czy to właśnie jego namaści na swojego następcę. Oczekiwania Hassana II wobec synów zawsze były niezwykle wysokie, a wychowanie, które odebrali na królewskim dworze, szorstkie, twarde i pozbawione uczuć. W wywiadzie udzielonym francuskiemu dziennikarzowi Ericowi Laurentowi Hassan II, mówiąc o swoim synu, miał wspomnieć: „Nigdy bym sobie nie życzył, by ten kraj był ofiarą pomyłki chromosomów”.

Bezsprzecznie jednak Mohammed VI radził sobie jako biznesmen. Na stronie Królestwa wśród wielu informacji nie znajdziemy słowa o tym, że Jego Królewska Mość jest jednym z najbogatszych ludzi na świecie, z osobistym majątkiem szacowanym na dwa i pół miliarda dolarów. A to głównie dzięki temu, że Maroko jest trzecim po USA i Chinach producentem fosforytów na świecie. Co więcej, król Mohammed VI nie musi martwić się o przyszłość. Przy obecnym poziomie wydobywania zasoby konkurencji starczą jeszcze na nie więcej niż dwadzieścia pięć do trzydziestu lat. Tymczasem, według raportów U. S. Geological Survey, na terenie Maroka oraz Sahary Zachodniej znajduje się trzy czwarte światowych zasobów tego minerału. Ponad dziesięć razy więcej niż w USA i Chinach razem wziętych. Nigdzie jednak nie znajdziemy informacji, jak dużą część tych rezerw kryją piaski w okolicy Bu Craa. Obecnie tona tego towaru używanego do produkcji nawozów rolniczych kosztuje około stu dziesięciu dolarów, ale jeszcze w 2008 roku kosztowała ponad czterysta dolarów. Zyski z handlu fosforytami stanowią prawie połowę dochodów Maroka.

Na stronie Królestwa pominięto nie tylko tę informację. Nie napisano również, że Jego Wysokość jest pierwszym bankierem, pierwszym ubezpieczycielem oraz pierwszym właścicielem gruntów w swoim Królestwie. Od wstąpienia na tron fortuna króla Mohammeda VI zwiększyła się pięciokrotnie. Ogromny holding SNI, niegdyś państwowy, dziś należy prawie w całości do rodziny królewskiej. Król jest

zatem właścicielem banków, kopalni, instytucji finansowych, zakładów ubezpieczeń, sieci hipermarketów, koncernu telekomunikacyjnego, firm budowlanych, firm produkujących żywność, cementowni, hut żelaza, cukrowni, farm wiatrowych. Jest też wyłącznym dystrybutorem marek Maserati, Peugeot i Renault, właścicielem pól golfowych oraz browarów i winiarni. Holding SNI kontroluje większość gałęzi marokańskiej gospodarki. Każdy Marokańczyk, chcąc nie chcąc, jest klientem króla i pomnaża jego bogactwo.

Jesienią 2001 roku Jego Królewska Mość przybył z kilkudniową wizytą na Saharę Zachodnią. Pierwszy raz. Nigdy wcześniej księżę, a potem król nie był na „odwiecznych marokańskich ziemiach”. Podręczne rzeczy Jego Wysokości i dworu przywieziono czterema samolotami transportowymi typu Hercules.

Według magazynu „Forbes” budżet pałacu królewskiego to dziewięćset sześćdziesiąt tysięcy dolarów. Dziennie. W skali roku utrzymanie monarchii kosztuje Marokańczyków ponad trzysta milionów dolarów. Na osobiste wydatki Jego Królewskiej Mości Mohammeda VI przeznaczone jest sześćdziesiąt cztery miliony dolarów. Dla porównania budżet monarchii brytyjskiej jest pięć razy skromniejszy. Królewski budżet nie jest przedmiotem dyskusji w żadnej z dwóch izb marokańskiego parlamentu. Jest tam tylko akceptowany, w ostatnich latach przez aklamację. Maroko zamieszkuje trzydzieści trzy miliony ludzi. Pięć milionów żyje za mniej niż dziesięć dirhamów (jedno euro) dziennie.

Gdy wstępował na tron w 1999 roku, francuska prasa, zachwycona obiecanymi reformami, okrzyknęła go „królem biedaków”.

*

Napięcie i rozgoryczenie lat dziewięćdziesiątych skumulowało się pod koniec roku 1999. Wtedy to rząd marokański głupim i nieprzemyślanym ruchem zlikwidował studenckie zniżki na transport. Dwudziestoosmioletni wówczas Malainin, choć sam skończył studia dwa lata wcześniej, wciąż miał wielu znajomych na uniwersytetach w całym Maroku.

9 września na skrzyżowaniu przed hotelem Nagjir, w reprezentacyjnej części El Aaiúnu, ku zaskoczeniu wszystkich wyrósł namiot. Tradycyjna saharyjska kwadratowa chajma z jednym masztem. Malaininowi, który stał się głównym inicjatorem protestu, udało się tego dnia zgromadzić na placu przed hotelem setki osób. Moment był dobry. Nowy król Mohammed VI, chcąc przypodobać się

międzynarodowej opinii i własnemu narodowi, głosił zerwanie z przemocą i potrzebę respektowania praw człowieka. ONZ pobudzona przez działania Jamesa Bakera, nowego osobistego wysłannika sekretarza generalnego, próbowała, przynajmniej pozornie, znaleźć nowe rozwiązania konfliktu. Główni organizatorzy, wśród nich Malainin Lakhal, Aminetu Haidar, Ali Salem Tamek, Brahim Dahane, wciąż jeździli po mieście, starając się pozyskać do współpracy kolejne grupy społeczne. Do protestujących studentów dołączyli niebawem bezrobotni, byli więźniowie polityczni, wyrażający sprzeciw wobec nadal zdarzających się porwań, byli pracownicy Fosbucraa sprzeciwiający się drastycznym obniżkom emerytur. Do protestu przyłączyli się również, dotąd nieufni, Saharyjczycy przesiedleni do El Aaiúnu w 1991 roku z terenów Maroka. Kolejne namioty wyrastały na placu jak grzyby po deszczu. Nocami większość osób rozchodziła się do domów, a w obozie zostawało dwieście, trzysta osób. Rankiem plac znów wypełniał się ludźmi, transparentami, flagami. Mieszkańcy El Aaiúnu donosili protestującym jedzenie, koce, a także pieniądze. To jest na twoją walkę, mówili, dając Malaininowi zwinięte dirhamy.

– Wokół naszego namiotu zbierały się za dnia setki, a potem tysiące ludzi. Organizowaliśmy debaty na tematy polityczne, historyczne, gospodarcze, a także te o naszej tożsamości. Rozmawialiśmy o toczącym się procesie identyfikacyjnym i działalności ONZ. Zadawaliśmy ważne, niejednokrotnie kłopotliwe pytania. Nie mówiliśmy o niepodległości, to nie był główny temat protestu. Mówiliśmy o prawach człowieka i ograniczanych prawach socjalnych. To przyciągało nawet Marokańczyków, czasami przychodzili i brali udział w naszych rozmowach. Dla pokolenia mojego młodszego brata Hamzy to była szkoła.

Cierpliwość władz marokańskich trwała dwanaście dni i skończyła się 22 września. O trzeciej rano. Aresztowanych było niewielu. Większość została po prostu pobita, a potem wyrzucona przez policję daleko za miasto lub na cmentarz. Ponoć krew na chodnikach było widać przez wiele następnych dni. Zwłaszcza z okien hotelu Nagjir, gdzie mieszkają pracownicy MINURSO.

– O czwartej rano ktoś przyszedł do naszego domu i powiedział, że mój brat nie żyje – wspomina Hamza. – Ojciec zaczął szaleć z rozpacz, matka wpadła w histerię. Salama wyszedł go szukać. Mnie nie pozwolili rodzice, ale i tak się wymknąłem i dogoniłem Salamę. Biegliśmy w stronę hotelu. A wtedy stamtąd już wszyscy uciekali. Mijali nas zakrwawieni, pobici ludzie. Jedni trzymali się za rozbite głowy, inni za połamane nosy. Krzyczeliśmy, żeby brali kamienie w ręce

i wracali pod hotel, ale oni uciekali.

Wiadomość o śmierci brata okazała się nieprawdziwa, Malaininowi udało się wymknąć z obławy. Już następnego dnia wraz z bratem Salamą i innymi uczestnikami protestu zaczął sporządzać raporty, gromadzić zdjęcia i zeznania pobitych, by przemyścić je za granicę i wysłać do Amnesty International i Human Rights Watch. Pięć dni potem dwa tysiące osób wróciło pod hotel Nagjir. Tym razem tłum domagał się wolności i referendum. W odpowiedzi władze potajemnie wypuściły z więzień marokańskich chuliganów, przestępców i rzezimieszków, zachęcając ich do ataków na domy i sklepy Saharyjczyków. Ale wtedy rozpalony przez studentów ogień płonął już nie tylko na Saharze, ale i w całym Maroku. Saharyjczycy studiujący na marokańskich uniwersytetach rozpoczęli protesty przeradzające się w uliczne zamieszki. El Aaiún na wiele miesięcy zamienił się w pole bitwy, a władze musiały ściągnąć do miasta regularne wojsko, by opanować sytuację. Malainin tymczasem stał się najbardziej poszukiwanym człowiekiem na Saharze.

– Nie mogliśmy wrócić do domu. Najpierw rozdzieliliśmy się, bo myśleliśmy, że tak będzie łatwiej. Ale po kilku dniach zdecydowaliśmy, że lepiej będzie ukrywać się razem. Rażniej. Każdej nocy spaliśmy w innym miejscu. Zmieniałem fryzury, zapuszczałem i ścinałem brodę, czasami nosiłem turban i dżalabiję, a czasami dzinsy i koszulkę. Nigdy nie miałem przy sobie żadnych dokumentów. Całe dni spędzaliśmy, przemykając ostrożnie z miejsca na miejsce, a pod wieczór wpadaliśmy bez zapowiedzi do kogoś ze znajomych. Po nieprzespanej nocy uciekaliśmy wczesnym rankiem. A następnego dnia spaliśmy już gdzie indziej.

Tropem Malainina podążała nie tylko policja i żandarmeria, ale także kilku wyszkolonych kryminalistów będących na usługach stróżów prawa. Wśród nich Hariz Larbi, wieloletni szef marokańskiej SN (Sûreté Nationale, Służba Bezpieczeństwa) w El Aaiúnie, a potem w Dakhli. Larbiemu przypisuje się znęcanie psychiczne i fizyczne, porwania oraz morderstwa. Jego postać pojawia się w zeznaniach wielu więźniów PCCMI i Czarnego Więzienia. Malainin również znał Larbiego, bo to on osobiście torturował go przez osiemnaście dni spędzonych w więzieniu w 1991 roku. Przez długie miesiące, podczas których Malainin ukrywał się w El Aaiúnie, trafił na Hariza Larbiego kilkakrotnie. Musiały to być niezwykle ciekawe spotkania. W ciemnych zakamarkach El Aaiúnu w nocy łatwo zabić. Rano znaleziono by ciało gdzieś na wysypisku lub nad rzeką Saguia el Hamra, przysypane śmieciami bądź pokryte mułem rzeczonym. A jednak mimo że

próbował czterokrotnie, Harizowi nie udało się zabić Malainina ani jego brata Salamy. Malainin po prostu bardzo dobrze się bił.

Dom Lakhalów prawie codziennie odwiedzała policja. Na ulicy założono kamery, by żaden szczegół nie umknął czujnemu oku władzy. Kilka razy, podejrzewając obecność Malainina, policja przypuszczała szturm na jego rodzinny dom. Wtedy Lakhalowie musieli od nowa ustawiać książki na półkach, naprawiać rozbite meble, łątać dziury w rozbebeszonych otomanach. Mohammed i jego druga żona, Hamza i młodszy Brahim byli przez całą dobę śledzeni przez funkcjonariuszy. Ojca próbowano nawet nakłonić wpierw prośbą, potem groźbą, by zdradził, gdzie ukrywają się jego synowie. Ale ani on, ani młodszy synowie nie wiedzieli, gdzie przebywają Malainin i Salama. Wiedzieli jedynie, że żyją. Po czterech miesiącach ciągłego ukrywania się bracia postanowili wrócić do domu bez względu na konsekwencje. Dom Lakhalów zamienił się wówczas w twierdzę, bracia byli przygotowani na wszystko, a ojciec otwarcie poinformował policjantów, że żywcem Malainina nie wezmą. W przedpokoju leżały pałki i noże. Na dachu kamienie.

Po tygodniu spędzonym w ciągłym oczekiwaniu na atak policji Malainin postanowił znów ukryć się w mieście. Obecność w rodzinnym domu znacznie utrudniała jego ruchy i uniemożliwiała konspiracyjną pracę. Ale wyrok wydany na niego przez marokańskie władze ciągle wisiał w powietrzu i było jedynie kwestią czasu, kiedy zostanie wykonany. W sierpniu, prawie rok po wydarzeniach przed hotelem Nagjir, bracia podjęli zapewne najtrudniejszą decyzję w życiu. Mieli do wyboru: zostać i prędzej czy później trafić do jednego z tajnych więzień gdzieś na marokańskiej pustyni, z którego najpewniej już by nie wyszli, albo uciekać. Malainin zawsze uważał, że tu jest ich miejsce i ich rola, którą muszą odegrać. Przecież jeśli wszyscy uciekną do Algierii, to kto zostanie tutaj, by bronić ich ziemi? Ewentualne aresztowanie mogło jednak oznaczać zgubę nie tylko dla niego, ale także dla całej siatki współpracowników, pomocników, mniejszych i większych sponsorów. Malainin i Salama wiedzieli zbyt dużo, by móc dalej zostać na Saharze. Ich wątpliwości rozwiał ojciec, mówiąc: róbcie, co chcecie. Tylko nie dajcie się złapać.

Uciekali w trójkę. Bracia Hamzy Malainin i Salama oraz ich przyjaciel. Z okupowanego El Aaiúnu wywiozła ich zaufana osoba, przemytnik, dobrze znający drogę i południowe rubieże kraju. Są dwie drogi ucieczki z okupowanej Sahary. Jedna przez Maroko do Algierii. Trudna, ryzykowna, wiodąca przez góry

i zamkniętą granicę. Druga możliwość to ucieczka na południe, w stronę Mauretanii. Nie przez granicę. Przez marokański mur, gigantycznych rozmiarów fortyfikację.

Niecały mur jest jednakowo strzeżony. Są odcinki, gdzie linie wałów są podwójne, a nawet potrójne lub poczwórne, najeżone posterunkami i bazami. Inne, oddalone od newralgicznych miejsc, bywają zaniedbane, obsadzone mniejszą ilością wojska. Auto zatrzymało się pośród wydm. Tam przemytnik udzielił im instrukcji, jak mają iść dalej. Opowiedział im również, jak wyglądają zazwyczaj linie marokańskich fortyfikacji. Po kilku kilometrach mieli je zobaczyć przed sobą. Na zachód od nich biegła główna droga w kierunku granicznego przejścia z Mauretanią, dwukilometrowego pasa ziemi niczyjej usianego wrakami aut, które nie znalazły odpowiedniej drogi między minami. Na wschód była tylko Sahara. Był sierpniowy zmierzch 2000 roku, a księżyc w nowiu.

– Wiedzieliśmy tylko, że trzeba iść na południe – opowiada Malainin. – Kierunek określaliśmy dzięki gwiazdom i bryzie od oceanu, bo byliśmy nie dalej niż dziesięć kilometrów od brzegu. Czuło się ocean, nocą było go prawie słychać. Więc dopóki wiało z prawej strony, szliśmy dobrze. Do granicy mieliśmy jakieś piętnaście kilometrów. Liczyliśmy, że zajmie nam to maksymalnie trzy, może cztery godziny, nie więcej, w końcu wszyscy byliśmy w miarę wysportowani.

Planowali, że przy granicy będą około godziny dwudziestej drugiej, tak by po światłach móc określić położenie marokańskich baz. Ale minęła północ, a oni nadal szli. Na horyzoncie nie było żadnych świateł.

– Zaczęliśmy się niepokoić, czy aby jesteśmy w dobrym miejscu, czy na pewno idziemy na południe. Wiesz, choć jestem Saharyjczykiem, to jedyna pustynia, którą znałem, to plaża nieopodal El Aaiúnu. Jestem chłopakiem z miasta – roześmiał się Malainin. – Nawet nie wiedziałem, jak określić kierunki świata! Człowiek, który nas dowiózł, opowiedział nam, jak będzie wyglądać granica, te wszystkie mury, pola minowe, zasieki. Żaden z nas tego nigdy wcześniej nie widział.

Budowę marokańskiego muru znali jedynie z opowiadań. Szukali więc charakterystycznych punktów, na które mieli trafić według instrukcji przemytnika, ale dokoła była jedynie płaska pustynia. Gdy nie ma księżyca, nocą na Saharze potrafią być czarne jak smoła. Zdezorientowani i lekko wystraszeni zatrzymali się i przeczekali do świtu. Gdy się obudzili, dokoła nich rozciągał się bezkres wydm, a na horyzoncie zamiast granicy widać było stada gazeli. To uświadomiło im, że najprawdopodobniej ich przemytnik się pomylił i wysadził ich znacznie wcześniej,

niż powinien. Jak się potem okazało, jakieś sto kilometrów wcześniej. Szli więc cały kolejny dzień. Dopiero pod wieczór drugiego dnia na horyzoncie zobaczyli obłoki dymu.

– Schowaliśmy się za jedną z wydm i zaparzyliśmy herbatę. Jak z piosenki The Police *Tea in Sahara*. Mieliśmy świadomość, że może to być ostatnia herbata w naszym życiu. Gdy zrobiło się w pełni ciemno, zaczęliśmy iść. Wszystko było tak, jak opowiedział nam przewodnik. Najpierw szeroka droga wyorana w wydmach przez buldożery. Ta droga służyła do patrolowania terenu przed murem. Za nią był kilkusetmetrowy pas pustyni. Szliśmy w odstępach kilku metrów, bo wiedzieliśmy, że będziemy przechodzić przez pole minowe. Do dziś nie wiem, czy faktycznie przez nie przeszliśmy, czy nie. Czy mieliśmy tyle szczęścia, czy tych min tam wcale nie było. W każdym razie nic nie wybuchło. Słyszeliśmy muzykę i rozmowy żołnierzy w bazie po lewej stronie. Na szczęście było tak ciemno, że ledwo widzieliśmy się nawzajem, oni nie mogli nas dostrzec. Mogli za to usłyszeć. Zbyt głośny oddech, nieostrożne stąpienie na kamień, potknięcie. W takich chwilach przychodzą ci do głowy naprawdę dziwne myśli i bardzo trudno je odgonić. Bo co na przykład, jeśli któryś z nas wdepnie na minę? Albo jeśli nagle wyrośnie przed nami marokański żołnierz? Mieliśmy noże, ojciec nam dał. Ale co innego mieć nóż, a co innego wbić go w człowieka. Użyłbyś noża? Zabiłbyś kogoś? Co by się stało, gdybyśmy się znaleźli w takiej sytuacji, czy któryś z nas potrafiłby zabić? A jeśli nie, to co by się z nami stało?

Przejście przez pierwszy wał, ku ich zaskoczeniu, nie było żadnym problemem. Wał był niewysoki, raptem około trzech metrów, więc łatwo było się na niego wdrapać. Nie natrafili też na żadne druty kolczaste, zasieki czy rowy, choć wiedzieli, że mogą takie przeszkody napotkać. Wszystko szło zgodnie z planem do momentu, w którym zobaczyli przed sobą malutkie, żarzące się światełko.

– W nocy na pustyni naprawdę trudno ocenić odległość, poruszasz się w nieokreślonej, enigmatycznej przestrzeni, ledwo widzisz swoje ręce. A to światełko to był papieros. Tylko nie potrafiliśmy określić, czy jest trzydzieści, pięćdziesiąt czy sto metrów przed nami. Ktoś przed nami palił papierosa, widzieliśmy, gdy się zaciągał, wtedy światełko stawało się wyraźne, jakby bliższe.

Na piachu nie słyhać, jak ktoś idzie. Co innego na kamieniach. Dlatego między kolejnymi wałami muru układa się kamienie. To trochę jak pole minowe – jeden nieostrożny krok kończy przygodę ewentualnego uciekiniera. Żar papierosa nagle zniknął.

– I wtedy baza, którą mieliśmy po lewej stronie, rozbłysła światłami. Usłyszeliśmy ryk włączanych motorów, krzyki żołnierzy. Biegliśmy co sił w nogach wzdłuż drugiego wału w kierunku bazy w nadziei, że nie przyjdzie im do głowy tam nas szukać, najciemniej pod latarnią przecież. Biegliśmy dobre dwadzieścia minut, choć wydawało mi się, że biegnę całą wieczność. Widzieliśmy światła aut wyjeżdżających z bazy,jechały tą drogą przed pierwszym wałem. Jechały w naszą stronę. W końcu padliśmy wycieńczeni na wydmy w nadziei, że nas nie zauważą, że te auta, te psy przebiegną gdzieś obok nas. I wtedy Salama powiedział, że musi zapalić. Zapalić? Myślałem, że źle słyszę! Ściga nas właśnie całe marokańskie wojsko, a ty chcesz palić?! A on mi na to, że nie pójdzie dalej, póki nie zapali papierosa. Tu i teraz. No to wykopaliśmy mu szybko jamę w piasku, tak by mógł włożyć tam głowę razem z papierosem. A sami swoimi ciałami osłoniliśmy wejście. I on tam wypalił tego papierosa.

Malainin właśnie przyrzekał sobie w tej chwili, że nigdy nie weźmie papierosa do ust. Ale światła i odgłosy pościgu, który zmierzał w złym kierunku, powoli się oddalały. Gdy Salama wypalił papierosa, przeczołgali się przez drugi, a potem trzeci wał. Biegli przez ponad dziesięć kilometrów na oślep, byle dalej i na południe. Zatrzymały ich dopiero tory kolejowe, które są rozmieszczone wzdłuż granicy. Ale już po mauretańskiej stronie. Więc Mauretania. Kłopot w tym, że mauretańskie patrole graniczne często chwytają uciekinierów z Sahary Zachodniej, tych, którzy myśleli, że już są bezpieczni, że mury, pola minowe i okupacja już za nimi. I oddawały w ręce marokańskiego wojska w imię dobrych stosunków sąsiedzkich. Do portu w Nawazibu, gdzie na Malainina, Salamę i ich kompana czekał już zaufany człowiek, było nadal ponad pięćdziesiąt kilometrów.

– Nieopodal torów kolejowych schowaliśmy się za jedną z wydm. Zaparzyliśmy herbatę. Tamta jednak nie była naszą ostatnią.

Przez Nawazibu, potem Zuwirat bracia dostali się w końcu do obozów uchodźców w pobliżu algierskiego miasta Tinduf. Dwa tysiące kilometrów. W obozach, ku swojemu zaskoczeniu, odnaleźli Abdelrahmana, zaginionego najstarszego brata, który uciekł z Sahary Zachodniej piętnaście lat wcześniej, jeszcze podczas wojny.

W obozach Front POLISARIO ma swoją stację radiową. W okupowanym El Aaiunie się jej nie złapie, bo Marokańczycy skutecznie zagłuszają. Ale gdy wyjedziesz poza miasto na pustynię i staniesz na wzgórzu, to usłyszysz audycje płynące z odległej bazy w Algierii. Któregoś dnia w radiu RASD pojawił się

matowy, lekko zachrypnięty głos Malainina. Hamza płakał. A do domu Lakhalów w dzielnicy Linach przychodzili ludzie, by gratulować staremu Mohammedowi synów.

– Jeśli chcesz z nimi porozmawiać, musimy zaryzykować, nie ma innego wyjścia – mówi Hamza któregoś ranka.

Jest wiele osób na Saharze Zachodniej, które poświęciły walce o niepodległość kraju całe swoje życie. Ich bezkompromisowa i pokojowa postawa, lata spędzone w więzieniach oraz nagrody przyznane przez poważane międzynarodowe instytucje sprawiły, że jeszcze za życia stały się legendą. Trudno się jednak z nimi spotkać. Nie wszyscy mieszkają na terenie Sahary, niektórzy zmuszeni byli opuścić kraj, inni siedzą w więzieniu, a ci, którzy są na wolności, znajdują się pod stałą obserwacją tajnych służb. Ale dziś całkiem niespodziewanie pojawia się szansa na spotkanie z Ahmedem Hammadem. Domyślam się, że najpewniej zakończy się to kłopotami, ale i tak wieczorem przemykam się chyłkiem do zaparkowanego tuż pod drzwiami auta, trzymając w rękach notatnik, iPada i aparat fotograficzny. Dołącza do mnie Hodan – Somalijka mieszkająca w Norwegii. Hodan ma idealne wręcz warunki do reporterskiej konspiracji. Ubrana w melhfę nie wzbudza najmniejszych podejrzeń.

Dom Hammada jest zawsze otwarty, zawsze pełen opozycjonistów. Tak jest i tego wieczora. W salonie spotykamy kilkunastu znanych aktywistów, w różnym wieku, z różnymi historiami. Jest Mohammed Hamija, starszy człowiek z długimi włosami lekko opadającymi na ramiona, wraz z Mohammedem Bassirim organizował demonstrację na Zemli w 1970 roku. Jest Lafkir Bemba, siedzący w błękitnej dara'a tuż obok mnie, prowadzący organizację na rzecz uwolnienia więźniów politycznych. Jest też Mohammed Ali Sidi Zain, jeden z organizatorów protestów z 2010 roku, które przeszły do historii pod nazwą Gdeim Izik. Jest też kilku byłych więźniów różnych marokańskich więzień. Jest też oczywiście sam Hammad. Wielki człowiek. Także w sensie czysto fizycznym. Dwa metry wzrostu, ręką jak bochen chleba. Krąży historia, że podczas demonstracji w 2005 roku sam stawiał czoło ponad dziesięciu policjantom, broniąc pobitej do nieprzytomności Aminetu Haidar.

Ahmed jest człowiekiem starej daty, mówi bardzo dobrze po hiszpańsku, co wśród młodszego pokolenia jest już rzadkością. Zachwycony przybyciem obcokrajowców, Hammad pragnie nam przekazać jak najwięcej faktów z historii swojego kraju, zakładając, że jej oczywiście nie znamy. Gestykułuje, czasami niemal krzyczy, gdy mówi o dramatycznych wydarzeniach. Emocje wręcz kipią. Mam wrażenie, że gdyby teraz ktoś chciał go aresztować, musiałby przysłać cały dywizjon wojska. Hammad najchętniej opowiada o wydarzeniach z 1975 roku.

– Byłem wtedy w liceum, jeszcze nie do końca wiedziałem, co się rozgrywa na moich oczach. Ale pamiętam ten dzień w listopadzie 1975 roku, kiedy nasz nauczyciel, Hiszpan, wszedł do klasy i ze łzami w oczach powiedział nam: „Hiszpania was zdradziła, moi drodzy. Król was opuścił”. Wszyscy byliśmy w szoku, bo jeszcze poprzedniego dnia całe miasto żyło przemówieniem króla, w którym zapewniał, że Hiszpania zawsze będzie bronić Sahary Zachodniej i jej ludności. A teraz, po prawie stu latach wspólnej historii, sprzedali nas Marokańczykom za ryby. Następnego dnia przyszedłem do szkoły, a tam nie było już nikogo, budynek stał pusty.

Dwa lata później, w 1977 roku, Ahmed siedział już po raz pierwszy w więzieniu. Za malowanie flag. Był najmłodszym lokatorem Czarnego Więzienia. Dziś z Mohammedem Daddashem, innym weteranem marokańskich więzień, prowadzi organizację o nazwie CODAPSO (Comité para la Defensa del Derecho de Autodeterminación del Pueblo del Sahara Occidental, Komitet Obrony Prawa do Samostanowienia Ludności Sahary Zachodniej), nielegalną w świetle marokańskiego prawa.

Ahmeda Hammada trudno namówić na osobiste zwierzenia. Zadane pytanie zawisa w powietrzu, próżno oczekując odpowiedzi, a Hammad jakby wcale nie usłyszał, dalej rozprawia o wydarzeniach sprzed czterdziestu lat. Bo Hammad jak ognia unika mówienia o sobie. Na moje pytania o jego prywatne doświadczenia z lat spędzonych w więzieniach, z walk na ulicy zawsze odpowiada ogólnie lub zmienia temat. Zaczyna wtedy mówić o losach całego narodu, o sytuacji politycznej lub po prostu o innych aktywistach. Nigdy o sobie. Zazwyczaj też unika wywiadów. W żadnym wypadku nie chce, by myślano o nim jak o bohaterze. Powie wtedy, że inni wycierpieli jeszcze więcej, on żyje, inni nie mieli tyle szczęścia. Tu każdy jest bohaterem, ale nikt nie chce być za takiego uważany.

Po spotkaniu Ahmed postanawia sam odwieźć nas do domu. Zaprasza do swojego wielkiego, starego mercedesa w123, chyba tylko takie auto jest w stanie

pomieścić Ahmeda. Mercedes ten jest zresztą dość sławny. To z niego z ukrytej kamery Javier Bardem kręcił sceny do dokumentu *Sons of the Clouds*, opowiadającego historię Sahary Zachodniej. Film wywołał niemały skandal, więc marokańska policja, nie mogąc przecież pobić ani Bardema, ani (przynajmniej chwilowo) Hammada, postanowiła wyżyć się na aucie, rozbijając szyby i niszcząc karoserię. Gdy tylko ruszamy spod domu, światła naszego auta padają na niewielki samochód zaparkowany nieopodal. W nim czterech mężczyzn. Ahmed od razu zaczyna się śmiać.

– Widzicie ich? – mówi tubalnym głosem. – Idioci, zaraz pojedą za nami. Zawsze tu u mnie stoją, nigdzie się bez nich nie ruszam!

Ahmed jest wręcz rozbawiony. Ja, Hodan i Hamza trochę mniej. Jedziemy uliczkami, ale wiemy, że teraz już wyjścia nie ma, widzieli nas i trudno będzie ich zniechęcić.

– To jak już za nami jadą, no to niech sobie chwilę pojeżdżą – rzuca wesoło Ahmed, skręcając powoli w coraz to nowe wąziutkie uliczki.

Śledzące nas auto nawet nie stara się ukryć, jedzie tuż za nami, do tego ma jedno światło zepsute, więc trudno pomylić samochód z innym. Widzę dobrze kierowcę i jego trzech kolegów o poważnych minach. Tu gra się w otwarte karty: oni znają nas, my ich – mówi Hammad. Nasz mercedes buja się nieśpiesznie po uliczkach El Aaiúnu dobry kwadrans, a auto z jednym światłem cierpliwie snuje się za nami, czekając, aż się zatrzymamy, co nieuchronnie następuje pod domem Hamzy. Parkują kilkanaście metrów przed nami. Choć wiemy, że sytuacja jest beznadziejna, ja, Hamza i Hodan opuszczamy szybko auto Hammada i prześlizgujemy się ukradkiem do domu w nadziei, że może jednak nas nie zauważyli. Biegniemy na górę, w pośpiechu chowam iPada z nagranyymi wywiadami pod stertę poduszek, podobnie notatnik.

Pukanie w stalowe drzwi. Nie pukanie, łomot. Jeszcze raz, tym razem mocniej. A potem kolejny raz, tak żeby nie pozostawiać złudzeń. Chwila, której obawiałem się od kilku dni, a która niechybnie musiała nadejść. Hamza rzuca w naszym kierunku: ani słowa, cisza – i idzie otworzyć. Po kilku minutach wraca i prosi, bym zszedł z nim. Do Hodan mówi po cichu, puszczając oko: znów masz szczęście, dziewczyno – myślą, że zostałeś w aucie Hammada, nie zauważyli cię, jak wchodziłaś, więc cisza.

Wychodzimy z domu powoli, ale pewnym krokiem i w tej chwili uświadamiam sobie, że nigdy nie ustaliliśmy z Hamzą jakiejś wspólnej wersji wydarzeń. Na ulicy

czeka dwóch panów haniebnego wręcz wzrostu, nastawionych dość bojowo, aczkolwiek wobec obcokrajowca zmuszeni są trzymać nerwy na wodzy. Nieumundurowani. Z auta wysiada dwóch następnych, tym razem słusznego wzrostu. No to już cała ulica wie, że u Lakhalów jest obcokrajowiec. Jakiś dzieciak krzyczy zza rogu: „Polisariooo!”. I pokazuje w błyskawicznym geście znak wiktorii.

– Paszport poproszę. Kim pan jest i co pan tu robi? – Najniższy, z wydatną łysiną, podobny z urody do króla Mohammeda VI nie stara się być miły i nie owija w bawełnę. Zaskakuje mnie jego płynny angielski.

– Turysta, na wakacjach u kolegi – odpowiadam, ale nie udaje mi się ukryć tego, że kłamię. I on to widzi. Zerkam lekko w stronę Hamzy, szukając potwierdzenia.

– Doprawdy?

– Nie inaczej – potwierdza Hamza.

– Zawód? – W głosie słyhać wieloletnią wprawę w prowadzeniu przesłuchań.

– Architekt.

Architekt, myślę sobie, jest dobrym zawodem na takie wczasy. Od razu widzi się oczami wyobraźni poważnego pana w białym kasku, który dyryguje wielką budową, dajmy na to, meczetu, trzymając pod pachą zwinięte w rolki rysunki rzutów i przekrojów czy elewacji. Ktoś taki nie może przecież kłamać, a tym bardziej być dziennikarzem, architekt to niemalże zawód zaufania publicznego.

Ten podobny do króla bierze moje dokumenty i przekazuje tym wyższym, którzy wyglądają jak ci od mniej wdzięcznych zadań. Sprawdzają. On tymczasem rozmawia z Hamzą. Już mniej spokojnie. Z potoku arabskich słów wychwytyję jedynie „nassrani”, co oznacza „obcokrajowiec” (dosłownie „chrześcijanin”). Po paru minutach emocjonalnej rozmowy jeden z wysokich wraca z moim paszportem. Panowie bez słowa wsiadają do swojego auta z jednym światłem i powoli znikają w mroku bocznej uliczki.

– Wróć, skurwysyny – mówi Hamza. Stoimy na pustej nagle ulicy.

Z minaretu wybrzmiewa ostatnie tego dnia wezwanie do modlitwy.

Następnego dnia do zwykłej porannej melodii ulicy wkrada się fałsz – łomot w stalowe drzwi. Echo niesie się po pustych budyniowych ścianach i od razu wiem, że przed naszym domem nie stoi sąsiad czy kumpel. Poprzedniego wieczora przezornie przygotowałem się na ewentualną deportację i spakowałem plecak. Weź swój paszport, będziemy musieli gdzieś pojechać – mówi spokojnie Hamza, jakby przerabiał ten scenariusz wielokrotnie. Wychodzimy na ulicę w oślepiające poranne

światło, przed domem czeka tych samych czterech smutnych panów co wczoraj. Ale tym razem w asyście kolejnych czterech, tak jakbyśmy zamierzali stawiać opór albo uciekać. Panowie grzecznie, acz stanowczo zapraszają do auta. Młody kierowca, elegancki, przystojny, z precyzyjnie przystrzyżoną brodą, wygląda trochę jak Enrique Iglesias, aż zanadto uprzejmie przeprosza mnie za kłopot i tłumaczy się obowiązkami.

– Taka praca, sam pan rozumie, wybaczy pan, że niepokoiimy, ale to rutynowe działanie, chcemy tylko z panem porozmawiać, dla pana dobra – mówi tym typowym dla tajniaków słodkim głosem, za którym zawieszona jest groźba.

Dalej rozmowa toczy się już po arabsku między kierowcą a Hamzą.

– Hamza, my cię przecież znamy – zaczyna miłym, protekcyjnym tonem kierowca – wiemy dobrze, jakie masz poglądy. I ja ci powiem, że ja cię szanuję za to i za to, że jesteś poetą. Bez obrazy, ja nic do ciebie nie mam. Ale musimy szanować prawo i państwo, w którym żyjemy, nawet jeśli ci się ono nie do końca podoba – kończy, zerkając w tylne lusterko.

Hamza spogląda na wyludnione ulice nowych osiedli wschodniej części miasta.

– Ty jesteś muzułmaninem i ja jestem muzułmaninem, więc mamy obowiązek się szanować nawzajem. Możemy mieć nawet różne poglądy, tylko – kierowca zawiesza głos na krótką chwilę – trzeba mieć świadomość konsekwencji tych poglądów.

Hamza siedzi na tylnym siedzeniu pomiędzy dwoma wielkimi typami, którzy nie odzywają się i obserwują. Jednego z nich rozpoznaje jako kolegę z liceum. Jedziemy gdzieś dość daleko, na wschód miasta, albo może mi się tylko tak wydaje. W każdym razie zaczynam się czuć lekko niepewnie, choć robię, co mogę, by na twarzy utrzymać szeroki uśmiech i ciekawsko przypatrywać się miejskiemu krajobrazowi przesuwającemu się za szybą.

– Ja mam nawet przyjaciół wśród was. Lubię ich. Ale praca to praca – dodaje kierowca. Dziś chyba on jest najważniejszą osobą.

Auto parkuje gdzieś w zakamarku między domostwami. Zastanawiam się, gdzie dojechaliśmy, bo nie widzę niczego, co by mogło być komisariatem czy biurem. Panowie prowadzą nas do jakiegoś obskurnego budynku, który wziąłem za ruinę. Długie ciemne schody na piętro, potem korytarz, w nim kilku krzątających się ludzi, w końcu mały gabinet, w nim biurko, fotel i portret króla na ścianie. Na podłodze dokoła biurka pełno segregatorów, akt, teczek, zeszytów. Na szczęście nie ma komputera – to daje nadzieję, że przepływ informacji między wydziałami

nie jest zbyt szybki. Kierowca proponuje, bym usiadł na fotelu za biurkiem, Hamzę sadza w rogu na krześle. Dobra, bawmy się – myślę sobie i rozsiadam się w miękkim biurowym fotelu, jakbym był we własnym biurze, i uśmiecham się do portretu króla. Zerkam na Hamzę, ten zupełnie skupiony dyskretnie lustruje ściany, żując patyk do czyszczenia zębów. Potem powie mi, że szukał kamer. Ale nie znalazł. Wyjmuje papierosy z kontrabandy, częstuje funkcjonariuszy. Jeden z nich, patrząc na paczkę bez banderolki, mówi:

– To chyba niezdrowe, Hamza, nie wydaje ci się?

Po czym wyjmuje papierosa z własnej paczki.

– Tu wszystko jest niezdrowe. Nie wydaje ci się? – Hamza odpala papierosa.

Zamieszanie. Różni funkcjonariusze, wszyscy bez mundurów, po cywilnemu, wchodzą i wychodzą, oglądają mój paszport, spisują, wertyują jakieś teczki, dokumenty. W końcu przychodzi jeden z aparatem fotograficznym i prosi, bym ustawił się do zdjęcia. Takiego na tle tych numerków, *en face*, lewy profil, prawy profil, tabliczka z nazwiskiem w rękach? – myślę sobie. Potem pewnie roześlą je na lotniska z dopiskiem: „Tego pana już nie wpuszczamy”. Ustawia mnie pod ścianą. Portret będzie piękny, po lewej król, po prawej paprotka i ja. Cały w bieli.

– Chce pan, żebym się uśmiechnął, zrobił jakąś minę? – pytam, ale pan z aparatem nie zna się na żartach i nawet nie odpowiada. Widzę kątem oka, jak Hamza dusi w sobie śmiech. Pan z aparatem pstryka kilka zdjęć, z fleszem i bez, po czym wychodzi bez słowa.

Teraz wchodzi następny, już po zamaszystym kroku widać, że szef. Hamzę zabierają do innego pokoju, a ja znów przypominam sobie, że nie ustaliliśmy wspólnych zeznań. Zostajemy sami, ja oraz wysoki, gruby funkcjonariusz w przepoconej koszuli. Bujam się na fotelu, by rozładować rosnące napięcie. On zaczyna rozmowę bez zbędnych ceregieli.

– Przyjechał pan do naszego kraju jako turysta – mówi szybkim, zdenerwowanym głosem – czemu więc pracuje pan jako dziennikarz? Był pan wczoraj na spotkaniu politycznym, na spotkaniu wrogich naszemu krajowi separatystów. Tak nie zachowuje się turysta. Tak zachowuje się dziennikarz. Kim pan jest?

Przez chwilę myślę, jaką strategię przyjąć w obecnej sytuacji i co odpowiedzieć. Rozkładałam ręce i z szerokim uśmiechem odpowiadam:

– Jakim spotkaniu politycznym? Przepraszam, chyba nie wiem, o czym pan mówi. Byłem, owszem, na spotkaniu, kolega Hamzy zaprosił nas na herbatę, coś

w tym złego? – mówię po angielsku. Jego angielski jest słabszy, odpowiada mi więc po francusku, co mnie cieszy, bo pozostawia przestrzeń do ewentualnych nieporozumień.

– Proszę pana – odchyła się na krześle, strużki potu spływają mu po twarzy – my naprawdę wszystko wiemy. Gdzie pan był. Z kim pan był. Wiemy też, kto był z panem w domu Ahmeda Hammada. I wiemy, o czym rozmawialiście.

– Ahmeda Hammada, no tak, on chyba miał tak na imię, faktycznie.

– Czy jest pan świadom, w jakiej sytuacji się pan znalazł i co panu grozi? Zadeklarował pan jako cel swojej wizyty turystykę, tymczasem jest pan po prostu dziennikarzem i spotyka się pan z separatystami. – Zaczynam dochodzić do wniosku, że nawet mi miło, że mnie nazywają dziennikarzem, jaka nobilitacja.

– Separatystami? To oni chcą coś odłączyć od Maroka? – Głupota jest zawsze najlepszą obroną. – Zupełnie nie wiedziałem. To tacy mili ludzie byli.

– My tu szanujemy prawo, proszę pana, szanujemy prawa człowieka, szanujemy wolność słowa i nietykalność osobistą. Tu panują takie same zasady jak w każdym innym kraju.

Chyba trochę wyprowadziłem go z równowagi. Jego tupet jest wręcz onieśmielający, on to mówi na poważnie.

– Czy pan byłby zadowolony, gdybym przyjechał do pańskiego kraju i spotykał się z separatystami po kryjomu?

Retoryka funkcjonariusza zaczyna mnie przerastać i powoli czuję, że zaraz nie wytrzymam. Spuszczam wzrok i ku swojemu zadowoleniu widzę, że mam na sobie koszulkę z napisem „Let’s settle this like adults” i wymowną ilustracją.

– Mogę pana zapewnić, że jak pan kiedyś przyjedzie do mojego kraju jako turysta, dziennikarz, policjant czy ktokolwiek inny, a ja pana serdecznie zapraszam, to będzie pan mógł się spotkać i rozmawiać, z kim pan chce, gdzie pan chce i jak pan chce. Proszę wpaść. Naprawdę.

Nagle rozmowa przyjmuje inny obrót. Funkcjonariusz wzdycha i mówi, teraz już spokojnie:

– Są tutaj elementy... sytuacja tutaj jest... dość skomplikowana, tak to nazwijmy. Żebyśmy się dobrze zrozumieli: nie tolerujemy tutaj obcokrajowców, którzy ingerują w nasze wewnętrzne sprawy, w politykę. A pan to właśnie robi. My naprawdę chcemy dobrze, może mi pan wierzyć lub nie. Król kocha Saharę z całego serca. Kocha też Saharyjczyków, bo to nasi bracia. Jak tu przyszliśmy w 1975 roku, to tu nie było nic. Piach i pustynia. Wszystko, co pan widzi dookoła,

zbudowaliśmy my. Dzięki nam Sahara rozkwita. Odzyskaliśmy w końcu nasze pradawne ziemie.

Siedzę i słucham uważnie. Zadziwia mnie przewidywalność argumentów.

– Pochodzi pan z pięknego kraju. Polska to nasz wielki przyjaciel, a Polacy są zawsze mile widziani i ciepło przyjmowani w Maroku. Znałem nawet kiedyś jednego Polaka, mieszkał przez lata w Rabacie, bardzo lubił Maroko. To był dobry człowiek. A pan swoim zachowaniem kładzie głęboki cień na naszych stosunkach. Nie wstyd panu? Czy wie pan, jak my to możemy potraktować? Dlaczego chce pan przedstawiać nasz kraj w czarnych barwach?

Od odpowiedzi na to pytanie szczęśliwie ratuje mnie funkcjonariusz, który właśnie wszedł do pokoju ze szklaneczkami herbaty. W rogu pokoju cały czas stoi drugi policjant, nie włącza się do rozmowy, obserwuje, nie spuszcza ze mnie oka. Ponoć, powie mi później Hamza, zawsze tak jest, jeden prowadzi rozmowę, a drugi obserwuje reakcje przesłuchiwanego.

Tymczasem w pokoju piętro niżej na podobne pytania odpowiada Hamza.

– Nie może być tak, że ktoś tu przyjeżdża jako dziennikarz, a ty mu pomagasz, Hamza, wiesz dobrze o tym. Jaki jest zatem charakter waszej znajomości? – pyta policjant.

– Mamy tutaj, nazwijmy to, współpracę kulturalną. Ja jestem poetą, on jest artystą, architektem i malarzem. Nasza znajomość opiera się na wymianie poglądów i doświadczeń. Pracujemy nad takim... polsko-saharyjskim projektem kulturalnym. – Trudno zarzucić Hamzie kłamstwo. – Kultura tu chyba jeszcze nie jest przestępstwem, prawda? Jeśli chcecie, to go wywalcie, proszę bardzo, dla mnie to żaden kłopot. Tylko tego tu chyba jeszcze nie było, żeby wyrzucać artystów, ludzi kultury, nie?

– Hamza, ja jestem tu już dość długo. – Marokański policjant pochyła się w kierunku mojego przyjaciela i nagle zaczyna mówić w dialekcie hassanijja.

– I nadal tak bardzo kaleczysz język?

– Ja was lubię. Lubię hassanijję, lubię El Aaiún, Sahara jest moim domem od dwudziestu sześciu lat.

– Dwadzieścia sześć lat nie czyni cię jeszcze Saharyjczykiem – przerywa mu Hamza, uśmiechając się życzliwie, lecz z nieukrywaną pogardą.

Mój policjant uderza natomiast w coraz to bardziej czułe tony, próbując wzbudzić moją sympatię.

– Widzi pan, proszę docenić naszą gościnność. Siedzi pan na moim fotelu,

częstuję pana herbatą. Czy to nie jest dowód naszej dobrej woli? Niekoniecznie by tak musiało być.

– Proszę pana – decyduję się na ostrzejszą odpowiedź w nadziei, że skończymy tę idiotyczną rozmowę – mnie naprawdę mało obchodzi, co wy tu robicie. Jestem architektem, przyjechałem odwiedzić mojego przyjaciela, wasza polityka mnie nie interesuje. Maroko to piękny kraj, szkoda by było zniszczyć to wrażenie, nie sądzi pan?

– Dobrze, jeśli jednak chciałby się pan dowiedzieć czegoś więcej o naszej historii, to proszę, my nie mamy nic przeciwko. Ja mogę panu opowiedzieć. Może pan przyjść do naszego komisariatu w każdej chwili. Dostanie pan komplet rzetelnych informacji, a nie te wypaczone separatystyczne bzdury. Podsumowując: przyjechał pan jako turysta, więc niech się pan zachowuje jak turysta. Może pan sobie chodzić po mieście, pójść do kafejki, do restauracji, pojechać na plażę, napić się wina. Nie mamy z tym żadnego problemu. Niech się pan czuje swobodnie. Niech pan sobie pozwiedza zabytki... przepraszam, przecież w El Aaiúnie nie ma zabytków, tu zabytkami są chajmy, ale już ich nie ma i nie będzie – wtrąca nieopatrznie, myśląc, że nie zrozumiałem. – Ale ostrzegam pana przed braniem udziału w jakichkolwiek spotkaniach politycznych, bo będziemy zmuszeni skrócić pański pobyt.

– To może niech mi pan wyjaśni – nie mogę się powstrzymać – bo tu chyba wszystko jest spotkaniem politycznym. Z kim mogę się spotykać, a z kim nie? Bo trochę się czuję zagubiony.

Policjant prawie uderza ręką w biurko.

– Niech pan pozostanie turystą – mówi wolno, akcentując słowo „turysta”. – Sądzę, że dobrze się rozumiemy. Jak długo pan zabawi w El Aaiúnie?

*

Na murze komisariatu namazana flaga marokańska z koślawym napisem: „Vive le Maroc!”. Za rogiem kilka zamazanych flag saharyjskich, w tym ta jedna, której nie udało się zamalować – odcisnięta w betonie.

– Rewolucja jest jak kamień wrzucony do wody. Kolejne kręgi są coraz większe – mówi Abdelhay. Intifada z 1999 roku była pierwszą tego typu akcją od czasów Bassiriego w 1970 roku. A potem jakoś tak wyszło, że średnio co pięć lat na Saharze wybuchały kolejne coraz większe intifady.

James Baker jako osobisty wysłannik sekretarza generalnego ONZ zaczął faktycznie poszukiwać kompromisu między stronami konfliktu. Pierwszą próbą było podpisane jeszcze w 1997 roku porozumienie zwane Houston Agreement. Wypracowane w kilka letnich miesięcy, a sygnowane we wrześniu przywracało zapomniany przez wszystkich Settlement Plan z 1991 roku jako podstawę do dalszych rozwiązań. Strony, zwłaszcza Maroko, czując autorytet byłego sekretarza stanu USA i stojącą za nim potęgę Stanów Zjednoczonych, zgodziły się, że jedyną możliwością rozwiązania konfliktu jest wolne i nieskrępowane referendum, które przewidziano na grudzień 1998 roku. Jednakże pod hasłem „referendum” strony już od dawna rozumiały zupełnie co innego. Dla Frontu POLISARIO jedyną dopuszczalną możliwością było referendum, w którym będą mogli zdecydować o pełnej niepodległości.

Stanowisko Maroka było dokładnie odwrotne. Król uważał, że owszem, referendum można przeprowadzić, ale tylko w taki sposób, by potwierdziło ono przynależność Sahary do Maroka. Otwartym sporem pozostawał sposób weryfikacji wyborców spośród wielu plemion saharyjskich żyjących nie tylko na Saharze, ale i w Maroku, Mauretanii i Algierii. Ich nastawienie wobec niepodległości było skrajnie różne, niektóre plemiona, zwłaszcza te żyjące na północy, otwarcie popierały króla. Houston Agreement gwarantowało też wolność przetrzymywanym przez obie strony jeńcom wojennym i więźniom politycznym. Niestety, ku rozczarowaniu Saharyjczyków, Houston Agreement wkrótce zostało pogrzebane przez nieustanne wysiłki Maroka mające na celu sabotowanie porozumienia. Do baz MINURSO, gdzie działały punkty weryfikacyjne ludności, napływały tysiące podstawionych przez Marokańczyków osadników, którzy

z Saharą mieli nierzadko niewiele wspólnego. Niemniej, zupełnie nie po myśli króla, w 1999 roku urzędnicy MINURSO oświadczyli, że zakończono proces identyfikacji uprawnionych do głosowania. Z blisko dwustu tysięcy osób aplikujących o prawo głosu w referendum weryfikację przeszło jedynie 86 386. Dla wszystkich zaangażowanych stron było jasne, że kompozycja listy wyborców określi wynik referendum. W przeciągu następnego roku do biur MINURSO trafiło ponad sto trzydzieści tysięcy apelacji, co sparaliżowało prace komisji. Procedurę zaczęto od nowa. Tym razem już nikt nie wierzył w jej sens.

W tym samym czasie na drugim końcu świata wydarzył się z pozoru niewiele mający wspólnego z Saharą Zachodnią precedens. W 2002 roku Timor Wschodni, niewielka była kolonia portugalska, uzyskał niepodległość. I nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie stało się to na drodze referendum przeprowadzonego pod auspicjami ONZ, dokładnie takiego samego, jakiego od ponad trzydziestu lat nie mogli się doprosić Saharyjczycy. Historia Timoru Wschodniego jest łudząco podobna do historii Sahary Zachodniej.

Houston Agreement rozpląnęło się na dobre, a wprawny dyplomata James Baker zmuszony był szukać kolejnego rozwiązania. Nowego terminu referendum nikt nawet nie starał się określić. James Baker, nie tracąc nadziei, opracował jeszcze dwie propozycje porozumienia. W 2001 roku we Framework Agreement zaproponowano referendum po pięciu latach okresu przejściowego na korzystnych dla Maroka warunkach, bo zakładających udział w nim marokańskich osadników. Plan został odrzucony przez Front POLISARIO. Dwa lata później James Baker przedstawił Peace Plan, według którego referendum, oprócz całkowitej integracji lub niepodległości, zawierać miało jeszcze trzecią opcję w postaci stałej, szerokiej autonomii. Propozycja zyskała akceptację Frontu, ale niespodziewanie została odrzucona przez Mohammeda VI. Władze Maroka najpewniej zdawały sobie sprawę, że włączenie do głosowania osadników niekoniecznie musi skończyć się wygraną. Coraz więcej z nich, żyjących od ponad dziesięciu lat w slamsach w centrum El Aaiúnu, wyrażało sympatię dla niepodległej Sahary. Ewentualne porozumienie i wygrana POLISARIO w referendum były czarnym snem nie tylko marokańskiego monarchy, ale także rządów Francji i USA. W kłopotliwej sytuacji postawiłyby także samą ONZ, bo musiałaby ona wyegzekwować jakoś wybrane przez Saharyjczyków rozwiązanie, co nie obyłoby się zapewne bez zbrojnej interwencji. Wszyscy rozumieli, że najlepszą strategią jest ułuda wytężonej pracy, za którą kryły się działania zmierzające w dokładnie przeciwnym kierunku.

„Jesteśmy w błędzie, gdy posługujemy się kartezjańską logiką i myślimy, że każdy problem ma swoje rozwiązanie. Są również problemy, które nie posiadają rozwiązań, to jest jeden z nich. Brak rozwiązania jest właśnie rozwiązaniem” – mówił Roland Dumas, były minister spraw zagranicznych Francji, w filmie *Sons of the Clouds*. James Baker podał się do dymisji w czerwcu 2004 roku.

Początek nowego wieku przyniósł jednak Saharyjczykom coś znacznie ważniejszego niż prowadzące donikąd, pokrętne negocjacje. Na Saharę triumfalnie zawitała telefonia komórkowa. Była to tym większa rewolucja, że na Saharze nie funkcjonowała w zasadzie telefonia stacjonarna, przynajmniej nie w prywatnych domach. Ta, uznana za zbyt duże zagrożenie dla królewskiego reżimu, była nie tyle zakazana, ile po prostu niedostępna. Nieliczne telefony funkcjonujące w miastach były podsłuchiwane i ludzie bali się z nich korzystać, nawet jeśli rozmawiali o pogodzie. Dlatego też rodzina Lakhalów do roku 2000 nie wiedziała, co stało się z Abdelrahmanem. Rozmowa telefoniczna z zagranicą, a z Algierią w szczególności, oznaczała problemy, jeśli nie więzienie. Kto chciał wykonać zagraniczne połączenie, musiał jechać do Agadiru, a i to nie gwarantowało bezpieczeństwa. Wraz z nowym tysiącleciem na Saharę dotarła również telewizja satelitarna. Białe talerze wycelowane z nadzieją w granatowe niebo wyrastały na budynkach w El Aaiunie jak huby na drzewach. Jeden kanał państwowej telewizji został przytłoczony setkami kanałów z całego świata. W domach Saharyjczyków pojawiło się BBC, CNN i cukierkowe MTV. Dostęp, możliwości, wybór, informacja. To były tutaj towary deficytowe i ściśle reglamentowane. Jako ostatni z nieuchwytnych, efemerycznych wynalazków ludzkości na Saharze rozgościł się internet – demon rewolucji i od tej pory największy sprzymierzeniec Saharyjczyków. Niebawem otrzymali oni też nową broń, znacznie skuteczniejszą niż kamienie – aparat cyfrowy. Te cztery nowe atrybuty, w które, zupełnie przypadkowo, uzbrojeni zostali Saharyjczycy, zrewolucjonizowały ich walkę.

*

Tego dnia młody Bachir Yaya, znajomy Hamzy, szedł właśnie ulicą, gdy napotkał grupkę ludzi zgromadzonych przed domem jego sąsiadów. Był tam Ahmed Hammad, wyróżniający się wzrostem i posturą, oraz kilku innych opozycjonistów. Była też kobieta w kolorowej melhfi, lamentująca, że jej syn Ahmed Haddi ma

zostać przeniesiony z więzienia w El Aaiúnie gdzieś w głąb Maroka. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, bo władze często tak robiły, chcąc odizolować zatrzymanych od rodzin i przyjaciół. Ale wtedy, pod koniec maja 2005 roku, sprawy przybrały inny obrót. Może zadecydowała fala goryczy spowodowana fiaskiem kolejnych planów pokojowych. A może po prostu tak się akurat złożyło.

Następnego dnia, 21 maja, ulica przed więzieniem wypełniła się zdesperowanymi, niemającymi nic do stracenia ludźmi. Dalej poszły osiedla Matallah i Linach. Było inaczej niż pięć lat wcześniej. Teraz nie trzeba było ich namawiać, przekonywać, agitować. Nie było też lidera. Ludzie wyszli sami, spontanicznie. Tym razem się nie bali. Nad ich głowami powiewały uszyte w domach flagi i transparenty. Nie mówili o równouprawnieniu, dostępie do nauki czy pracy. Krzyczeli o wolności: „Kullu’l-watan aw shahada” (Cała ojczyzna lub męczeńska śmierć). Naprzeciw nim wyszły ubrane na czarno, niczym słudzy śmierci, oddziały specjalnej policji GUS. Mieli duże prostokątne tarcze, uderzali w nie miarowo pałkami.

Wiść o zamieszkach w El Aaiúnie, dzięki telefonom i internetowi, niosła się błyskawicznie. Już po kilku dniach Intifada al-Istiklal (intifada na rzecz niepodległości), jak później zostanie nazwane to wydarzenie, objęła ulice Dakhli, Smary, ale również Tantanu i Kulmimu. Ruszyli studenci w Agadirze, Fezie, Casablance i Rabacie. Saharyjczycy organizowali się przez internetowe chat roomy, które wkrótce zaczęto nazywać Sahrawi CNN. Miasta Sahary zamieniły się w pola bezwzględnych, toczonych od rana do nocy bitew. Bili się wszyscy, ci starsi rzucali kamieniami, budowali barykady, ci młodszy wieszali flagi na słupach elektrycznych i budynkach. Jedną dzieciaki powiesiły nawet na placu przed liceum, zdzierając tę znienawidzoną – czerwoną z zieloną gwiazdą. Zresztą w te dni nawet wychudzone koty biegały po El Aaiúnie z przywiązanymi do ogonów flagami. Ludzie zaczęli organizować w domach szpitale polowe, bo wizyta w miejskim szpitalu kończyła się aresztem. Na ulice miasta wyjechały ciężkie wozy z armatkami wodnymi i gazem łzawiącym. Gdyby ktoś chciał wjechać latem 2005 roku do El Aaiúnu, napotkałby na swojej drodze wojskowe posterunki blokujące dostęp do miasta, a z daleka mógłby widzieć jedynie gęsty, czarny dym palonych opon. Młodzi Saharyjczycy, którzy bili się dzień i noc na ulicach, mówili potem, że to była „kontynuacja negocjacji, tylko innymi metodami”.



© Mohammed Dchira

Bachir Yaya został aresztowany już piątego dnia intifady wraz z dziesiątkami

innych osób. Najpierw kilkudniowe tortury, potem pierwszy podczas intifady 2005 roku proces. Na ławie oskarżonych zasiadło trzydziestu siedmiu Saharyjczyków.

– Na proces wszyscy założyliśmy nasze błękitne dara'a, jeden z nas miał nawet mundur Frontu POLISARIO. W sądzie, mimo że każdy przeszedł tortury, powtarzaliśmy nasze żądania, skandowaliśmy rewolucyjne hasła i jednym głosem krzyczeliśmy: „Fuera Marruecos!” (Wynocha, Marokańczycy). Na pytania odpowiadaliśmy tylko w dialekcie hassanijja. Albo po hiszpańsku. Wcześniej to się nie zdarzało, to było naprawdę doniosłe wydarzenie. Przed sądem zgromadziło się setki naszych braci, słyszeliśmy ich, czuliśmy się dumni. Byliśmy adwokatami intifady.

Wyrok: sześć lat więzienia. Za rozbój, podżeganie do przemocy i członkostwo w nielegalnej organizacji. Najmłodszy z zasiadających na ławie oskarżenia, siedemnastolatek, dostał dwadzieścia lat. Potem sąd apelacyjny i znów tortury. W lipcu do zatrzymanych dołączyła Aminetu Haidar. Pobita na ulicy próbowała znaleźć pomoc w miejskim szpitalu. To zdjęcie zakrwawionej kobiety, które można znaleźć w internecie, wpisując jej nazwisko, zostało zrobione właśnie wtedy. W szpitalu na Haidar czekała już policja.

– No to zaczęliśmy głodówkę – wspomina Bachir, paląc nerwowo papierosa. – By zaprotestować przeciw tym absurdalnym wyrokom. Strajk trwał prawie pięćdziesiąt dni. Któregoś dnia przyszła siostra odwiedzić mnie w więzieniu i powiedziała, że ojciec jest ze mnie dumny. Wyobraziłem sobie uśmiech na jego twarzy. Dopiero wtedy poczułem, że moja walka miała sens. Potem, podczas ramadanu, przyszła moja matka, ale już jej nie wpuścili. Wraz z innymi matkami została pobita przed więzieniem.

Bachir Yaya, podobnie jak Aminetu Haidar i większość oskarżonych, wyszedł w styczniu 2006 roku. Ale na ich miejsce trafiali nowi więźniowie, codzienne manifestacje trwały bowiem jeszcze wiele miesięcy. Za każdym razem, gdy policja kogoś aresztowała, Saharyjczycy organizowali zbiórki pieniędzy i pomoc dla rodziny. W 2006 roku policja porwała piętnastu demonstrantów. Władze odmówiły wszelkich wyjaśnień, sugerując, że zapewne uciekli na Wyspy Kanaryjskie lub utopili się w oceanie. Do dziś ich los pozostaje nieznan.

Do mediów międzynarodowych tymczasem przedostały się zdjęcia zrobione w celach Czarnego Więzienia, pokazujące warunki, w jakich przetrzymywani są więźniowie. 27 października 2005 roku Parlament Europejski przyjął rezolucję wzywającą do uwolnienia przetrzymywanych więźniów politycznych i potępiającą

przemoc wobec demonstrantów. Trzy dni później, w nocy, na jednym z budynków przy głównej ulicy miasta ktoś wywiesił dużą saharyjską flagę. Nic tak nie działa na policjantów jak flaga. Zwłaszcza taka, której nie mogą zdjąć. Wściekli funkcjonariusze skupili więc swoją uwagę na kilku cieszącym się Saharyjczykach. Hamdi Lembarki, trzydziestojednoletni mężczyzna, był tym, który nie zdążył w porę uciec. Jedenastu policjantów otoczyło go i zatłukło na śmierć. Na środku ulicy. Hamdi stał się pierwszym męczennikiem intifady. Wtedy też, pierwszy i zarazem ostatni raz w blisko czterdziestoletniej historii okupacji, dwóch marokańskich policjantów zostało pociągniętych do odpowiedzialności. Za morderstwo skazano ich na dziesięć lat więzienia. Zostali zwolnieni po dwóch latach. Pogrzeb Lembarkiego odbył się dopiero w styczniu 2006 roku, bo władze nie chciały wydać ciała, obawiając się jeszcze potężniejszych demonstracji. Na ceremonię zorganizowaną na cmentarzu Gdeim Izik nieopodal El Aaiúnu przybyły setki Saharyjczyków. Ciało Lembarkiego leżało owinięte w flagę RASD.

*

Saharyjczycy nie mieli pisanej historii. Narodowe legendy przez wieki przekazywane były z ust do ust, tworząc swoistą mówioną encyklopedię. Limam Boisha, poeta, mówi, że gdyby ją spisać, najważniejszym słowem w tej księdze byłaby „chajma”. To coś więcej niż prostokątny namiot z koziej lub wielbłądziej skóry, wsparty na jednym lub dwóch masztach. Chajma to nie tylko schronienie od pustynnego upału, to nie tylko dom. To coś więcej niż ochrona przed zimnymi nocami i piaskowymi burzami. Namiot dla Saharyjczyka to symbol jedności, wspólnoty, a co za tym idzie – rodziny. Trzy lub więcej namiotów tworzy załazek osady – frig. Ale chajma to również cień, który chroni tradycję, mądrość i tożsamość. A dziś to nostalgiczna metafora utraconej wolności i wytęsknionego domu.

Ale od 2010 roku chajma, obok land rovera i błękitnej dara'a, dla marokańskiego reżimu stała się symbolem znienawidzonym i zakazanym. Jak flaga RASD. Dziś nie można w El Aaiúnie nawet na swojej ziemi postawić namiotu. Można to zrobić co najwyżej na dachu domu, w zaciszu wysokiej betonowej attyki. Ale czym jest nomadzki namiot, który nie ma dokoła siebie piasków pustyni?

Więc jeśli masz dość otaczającego cię świata gwałtu i przemocy, bierzesz swój namiot i jedziesz na pustynię, daleko od miasta. Tam nie musisz udawać, kłamać,

ukrywać, konspirować i uważać na każde słowo. Pustynia to wolność. Pustynia to spokój. Pustynia to bezpieczeństwo. Miejsce, gdzie znów możesz poczuć się człowiekiem. Chyba że za tobą pojedą, tylko po to, by nie dać chwili wytchnienia, by zadawać kretyńskie pytania, by kopnąć czajnik z herbatą, by powiedzieć: nie wolno, wracaj do miasta.

*

Najpierw była Tunezja. Potem Egipt, a tuż za nim Jemen. Chwilę później ruszyła już prawdziwa lawina. Algieria, Jordania, Oman, Irak, Libia, Maroko, Kuwejt, Liban, aż w końcu Syria. Rządzący od lat dyktatorzy padali jeden za drugim. Zajn al-Abidin ibn Ali, po nim Husni Mubarak, Ali Abdullah Saleh. Nie wytrzymał nawet rządzący od czterdziestu dwóch lat Mu'ammara Kaddafi, choć łatwo się nie poddał. Ci, których arabska wiosna nie zmiotła z prezydenckich, królewskich, ministerialnych stanowisk, musieli pójść na mniejsze lub większe ustępstwa i spełnić żądania zbuntowanego społeczeństwa. Świat arabski przynajmniej częściowo wyzwał się ze stanów wyjątkowych, represji, ograniczeń swobód obywatelskich. Rozwiązywano tajne policje, na wolność wychodzili więźniowie polityczni, powstawały nowe konstytucje. Ale zanim 17 grudnia Mohammed Bouazizi oblał się benzyną i zapalił zapałkę przed siedzibą gubernatora w tunezyjskim Sidi Bu Zajd, Sahara Zachodnia stała w ogniu już od dwóch miesięcy.

Dwudziestosześcioletni Said Dambar został zastrzelony w nocy 22 grudnia 2010 roku. Ciało Dambara pozostawało w miejskiej kostnicy przez siedemnaście miesięcy i piętnaście dni. Rodzina nie zgadzała się bowiem na pochówek bez uprzednio przeprowadzonej autopsji, której władze odmawiały. By przekonać rodzinę Saída, że autopsja to zły pomysł, policja kilkakrotnie szturmowała ich dom, a rodzicom zagrożono zwolnieniem z pracy. Dambar został w końcu pochowany potajemnie przez marokańskich policjantów na cmentarzu komunalnym. Rodziny nie poinformowano o pogrzebie, a okoliczności śmierci Dambara nie zostały nigdy wyjaśnione. Władze marokańskie twierdzą, że Said znał policjanta, który go zastrzelił. Przekonują, że zginął w wyniku sprzeczki w domu swojego mordercy. Pijany Dambar miał zaatakować funkcjonariusza, a ten musiał się bronić. Ale ludzie mówią co innego. Mówią, że kula dosięgnęła młodego Dambara na ulicy i że nie był to przypadek. Mówią, że to dlatego, że rodzina Saída brała udział w Gdeim

Izik.

*

Wzięli swoje namioty, koce, otomany, poduszki, czajniki, herbatę, dzieci, starców, zwierzęta i wyszli. Z miast, których swoimi już nie mogli nazwać. By znaleźć choć chwilę wytchnienia od marokańskiej okupacji, opuścili domy i poszli na pustynię, tę, która zawsze była ich i zawsze witała ich z otwartymi rękoma. Jedni szli na piechotę, inni jechali autami terenowymi, ale wszyscy cieszyli się na myśl o wolności. Ostateczny gest desperacji, rozpacz, ale też determinacji i chyba nadziei. Rozbili swoje chajmy kilkanaście kilometrów od miast. We wrześniu 2010 roku na wschód od Dakhli stanęły tuziny namiotów. W tym samym czasie koło Smary w dolinie rzeki Saguia el Hamra pustynia gościła już ponad dwieście namiotów i tysiąc trzystu mieszkańców. Nad brzegiem oceanu, przy El Marsa, Playa de Aaiún stało sto dwadzieścia namiotów. Te mniejsze obozy zostały po kilku dniach zlikwidowane przez marokańską policję. Saharyjczycy ruszyli więc w stronę El Aaiúnu.

Jest takie miejsce, dwanaście kilometrów na południowy wschód od miasta, położone niedaleko drogi prowadzącej do Smary. Droga biegnie tutaj tuż obok klifu schodzącego stromym urwiskiem do doliny suchej rzeki Saguia el Hamra. Gdy staniemy nad jego brzegiem, w dole zobaczymy niewielką oazę Lemsejed, z pióropuszcami palm daktylowych i wysokimi trawami kołysanymi wiatrem. Po przeciwległej stronie doliny w oddali majaczyłyby niskie zabudowania niewielkiej osady Edchera wraz z ruinami starego garnizonu hiszpańskiego. Za swoimi plecami moglibyśmy zaś zobaczyć rozległą równinę, poprzeplataną niewysokimi wydymami. To zadziwiające, ale miejsca na pustyni, choć nikt tam nie mieszka, mają swoje nazwy. Czasami są one tak stare, że nikt już nie pamięta, skąd się wzięły i co oznaczają. To miejsce też ma nazwę: Gdeim Izik.

Wbrew pozorom nie było tam nic szczególnego. Nie było legend z nim związanych czy symboli. Piach, żwir i wydmy jak gdziekolwiek indziej. Gdeim Izik było po prostu miejscem na pustyni, gdzie udało się postawić pierwsze namioty. Z początku niewiele, dziesięć, dwadzieścia, lecz po dwóch dniach już blisko setki. Codziennie stawały nowe, jeden obok drugiego, wzdłuż wytyczonych uliczek i przejść. Z miasta ciągnęły całe rodziny z tobołami na plecach i w land roverach załadowanych po dach. Wkrótce zaczęli też przybywać Saharyjczycy ze

Smary, Bojador, a nawet z odległej Dakhli. Do połowy października w Gdeim Izik zakwitło około siedmiu tysięcy namiotów mieszczących dwadzieścia cztery tysiące ludzi.

Pogłoski dochodzące do El Aaiúnu były sprzeczne i niejasne, więc Hamza poszedł do Gdeim Izik zorientować się, co się dzieje. Ruszył na piechotę wraz z młodszym bratem Brahimem i przyjacielem Bachirem Yaya. To był jeden z pierwszych dni, gdy namioty jeszcze liczone w setkach, a nie w tysiącach, ale marokańska policja już postawiła barykady na wschodzie El Aaiúnu, by zablokować napływ kolejnych Saharyjczyków. Wschodnie dzielnice miasta i wyjazdy w kierunku Smary były obstawione przez patrole policji. Zatrzymano również Hamzę, Brahima i Bachira. Ale że posterunkowi musieli akurat zająć się terenowym autem, które próbowało objechać barykadę, to trzem chłopakom udało się swobodnie wyjść w kierunku pustyni. Po kilku godzinach dotarli do rosnącego obozu. Następnego dnia wrócili ze swoimi chajmami. Bachir zabrał całą rodzinę.

Cztery dni po tym, jak na równinie Gdeim Izik postawiono pierwsze namioty, 14 października, władze El Aaiúnu zaczęły niechętnie negocjacje z przedstawicielami protestujących. Założony przez Saharyjczyków Komitet Dialogu został uznany za stronę i dopuszczony do stołu rozmów, co w poprzednich latach nigdy nie miało miejsca. W późniejszych dniach na spotkanie z komitetem przyjedzie nawet sam minister spraw wewnętrznych Maroka Taïeb Cherkaoui. Postulaty komitetu miały podobnie jak w 1999 roku charakter w głównej mierze socjalny. Choć Marokańczycy uparcie twierdzili, że miejscowa ludność ma dostęp do swoich bogactw naturalnych, do miejsc pracy, a poszanowanie praw człowieka to na Saharze norma, prawda była inna. Saharyjczycy byli ostatnimi w kolejce po pracę, mieszkanie czy zasiłki, a ich dzieci miały ograniczony dostęp do edukacji. Ogromną większość pracowników dochodowych gałęzi przemysłu takich jak rybołówstwo i wydobywanie fosforytów stanowili Marokańczycy. Nie zdarzało się, by Saharyjczycy sprawowali jakiegokolwiek wyższe funkcje czy urzędy, zazwyczaj byli kierowani do pracy na niższych, fizycznych stanowiskach, a ich pensje były niższe niż te marokańskie. Ktoś zażartował, że jeśli zderzą się dwa auta na ulicy, winny zawsze jest Saharyjczyk, bez względu na okoliczności. Tego samego dnia, gdy rozpoczęto negocjacje, w rejon Gdeim Izik jechały już niekończące się kolumny wozów policyjnych, zarówno tych lekkich, jak i tych ciężkich. Wkrótce przed obozem utworzyła się gęsta kawalkada białych i granatowych policyjnych transporterów, a u wjazdu do obozu wyrosła masywna barykada owinięta drutem

kolczastym. Któregoś dnia wokół coraz liczniejszego obozu zaczęły gromadzić się buldożery. Namioty zostały otoczone wysokim na dwa metry wałem ziemnym, tak by jedyna droga wjazdu prowadziła przez silnie strzeżoną barykadę. Złowrogi krąg zacieśniał się, a protestujący mieli coraz mniej czasu, by przyciągnąć uwagę świata. Gdy pytam Hamzę o to, jak było w obozie, po chwili wymownej ciszy mówi: poczekaj, muszę zapalić, żeby ci to opowiedzieć.

– To było dla nas po prostu kilka dni wolności. Przez kilka dni mieliśmy swoje małe państwo, z rządem, instytucjami, usługami. Każdy w obozie miał jakieś zadanie. Jedni pracowali jako służby porządkowe, inni roznosili jedzenie, wodę, jeszcze inni dbali, by w obozie było czysto. Nawet szpital mieliśmy w jednym z namiotów. Każdy, kto przyjeżdżał, przywoził coś ze sobą albo przynajmniej dawał pieniądze. Ulice w obozie miały swoje nazwy, główną nazwaliśmy ulicą Intifady. Nawet policję drogową mieliśmy! Przez ten miesiąc byliśmy jak rodzina, sami Saharyjczycy. Nie podobało nam się miasto, w którym żyliśmy, no to zbudowaliśmy sobie swoje. Zobaczyliśmy, jak pięknie mogłoby być, gdybyśmy mieli własne państwo. To była taka namiastka wolnej Sahary.

Marokańczycy szybko podjęli próby infiltracji obozu. Wśród protestujących pojawili się szpiedzy i agenci próbujący sabotować działania organizatorów. Przy wejściu do obozu za marokańską barykadą pojawił się zatem posterunek, przy którym Saharyjczycy kontrolowali każdego, kto chciał wejść. Kontrola była nadzwyczaj prosta, wystarczyło sprawdzić, czy delikwent płynnie mówi w dialekcie hassanijja. Marokańczycy nie są w stanie wymówić wielu słów dialektu. Posterunkowi sprawdzali też, czy na teren obozu nie są wnoszone narkotyki, broń palna albo alkohol. Hamza, jako poeta, odpowiadał za morale zgromadzonych ludzi. Chodził między namiotami i informował, zwłaszcza starsze osoby, o obecnej sytuacji w obozie, o postępach negocjacji, o ruchach oddziałów policji, dementował pogłoski, tak by nie byli podatni na próby sabotażu. W stanie ciągłej niepewności i zagrożenia od morale protestujących zależało bardzo wiele. Nad namiotami Saharyjczyków ciągle słychać było krążący policyjny helikopter.

– Czasami w nocy marokańskie wojsko podejmowało takie pozorowane próby ataku. Choć reżim twierdzi co innego, było tam regularne wojsko, tylko w mundurach żandarmerii. Włączali syreny, odpalali silniki transporterów, oślepiali nas światłem szperaczy. Wtedy wychodziliśmy z namiotów, chwytaliśmy się za ręce i szliśmy w ich kierunku. Stawaliśmy tuż przed nimi. Nie atakowali. Ale kilka dni potem zabili pierwszego chłopaka.

Dochodziła dziewiętnasta, gdy Nayem Elgarhi wraz z bratem Zubairem i trójką znajomych podjechali pod wjazdową barykadę. Minęły już dwa tygodnie od początku protestu. Wozy policji krążyły po otaczającej obóz pustyni, starając się przechwytywać land rovery dostarczające do obozu żywność, wodę, leki, a także po prostu ludzi. Odcięto zasięg telefonii komórkowej. Poprzedniego dnia piętnaście aut zostało zatrzymanych przed barykadą i obrzuconych kamieniami. Niebo przeszyły strzały ostrzegawcze. Napięcie rosło z każdym dniem. Gdy nissan patrol braci Elgarhich zbliżał się do posterunku żandarmerii, przednią szybę auta przebiły pierwsze pociski, kończąc krótkie, bo czternastoletnie raptem życie Nayema. Trzy dni później Nayem został potajemnie pochowany w nieznanym miejscu. Rodzinie zabroniono udziału w pogrzebie.

Śmierć Elgarhiego była cicha. Wokół nie było kamer, nie było dziennikarzy. Ci, podobnie jak działacze praw człowieka, przedstawiciele parlamentu hiszpańskiego czy jakichkolwiek organizacji międzynarodowych, byli zatrzymywani już na lotnisku w El Aaiúnie czy Agadirze. Na teren obozu udało się wjechać jedynie kilku obcokrajowcom. Włoch Gilberto Mastromatteo był jednym z nich, spotkałem go w Tifariti, we wschodniej części Sahary, przy granicy z Algierią.



– Przyjechaliśmy do El Aaiúnu i zaczęliśmy kombinować, jak dostać się do obozu. Oczywiście obcokrajowcom, a zwłaszcza dziennikarzom, nie było łatwo. Pierwszy pojechał Hugo, polityk. Zabawna historia, to starszy facet i choć jest Włochem, ma bardzo arabską urodę, więc łatwo było przebrać go za Saharyjczyka. Ubraliśmy go w dara'a i turban, tylko musiał udawać niemego, bo oczywiście nie mówił po arabsku. Udało mu się. Ze mną i z moim kumplem było trochę trudniej, byliśmy zbyt biali i nawet w przebraniu nie wyglądaliśmy przekonująco. Więc postanowiliśmy się po prostu ukryć w jednym z wozów przywożących żywność. Schowali nas pod workami z jedzeniem, a na wierzchu siedzieli jeszcze ludzie. Mieliśmy dużo szczęścia, była okropna pogoda, burza piaskowa i padał deszcz. Wszędzie było błoto, więc żołnierze tylko otworzyli przyczepę, zobaczyli siedzących ludzi, ale nie chciało im się sprawdzać ładunku. Tak znaleźliśmy się wewnątrz obozu, to było 1 listopada, kilka dni po zabójstwie tego młodego chłopaka. Jeszcze jak tam byliśmy, dokoła obozu pojawiły się wozy opancerzone, ciężarówki i coraz więcej wojska. Po naszym wyjeździe z obcokrajowców w Gdeim Izik została tylko dwójka z Resistencia Saharai, Meksykanin Antonio i Hiszpanka Isabel, oraz dwójka Hiszpanów z Sahara Thawra. Oni widzieli akcję pacyfikacji obozu.

6 listopada, podczas uroczystości upamiętniającej Zielony Marsz, król Mohammed VI wygłosił płomienną przemowę, w której stanowczo odniósł się do sytuacji w Gdeim Izik. Stwierdził, że nie będzie tolerować żadnych prób podważania integralności terytorialnej i marokańskiego zwierzchnictwa nad rejonem Sahary. Tego dnia policja całkowicie zablokowała wjazd na teren obozu, Saharyjczycy w Gdeim Izik zostali odcięci od świata. Zgromadzeni przed policyjną barykadą ludzie zostali brutalnie rozpędzeni, a pod obóz przybyły nowe zastępy wojska, straży pożarnej i karettek.

Hamza był od kilku dni chory. Swój namiot już wiele dni temu odstąpił pewnej wielodzietnej rodzinie i przeniósł się do namiotu znajomych, rozstawionego na skraju obozu, w pierwszej linii, jakieś sto metrów od kordonów policji. Strach w obozie gęstniał, a organizatorzy starali się powstrzymać wybuch paniki. Hamza, leżąc z gorączką w namiocie, miał dobry widok na zacieśniającą się pętlę czarnych policjantów.

– A ja byłem pewny, że zaatakują. Wielu myślało, że przecież świat patrzy, nie odważą się, ale ja wiedziałem, że to tylko kwestia czasu. Powiedziałem do Bachira, że jutro może umrzemy. Poprosiłem go, tak pół żartem, pół serio, żeby tylko mnie

obudził, bo nie chcę zginąć we śnie.

W Nowym Jorku trwała właśnie kolejna runda prowadzonych przez ONZ nieoficjalnych rozmów między przedstawicielami Królestwa Marokańskiego a POLISARIO. Gdyby nie dwie kamery, jakie były w obozie, jedna w rękach Antonia, druga w rękach przyjaciółki Hamzy, młodej Saharyjki o imieniu Diana, prawdopodobnie nie dowiedzielibyśmy się, jak wyglądał 8 listopada w Gdeim Izik.

*

Syreny, dziesiątki, tysiące, cały horyzont ogłuszających syren, zielone światła policyjnych kogutów kręcące się w miarowym, jednakowym rytmie, reflektory wycelowane w protestujących, mur opancerzonych transporterów, oddziały specjalne żandarmerii, wojska i GUS skryte za wysokimi tarczami, ruszające w stronę pierwszych namiotów, tym razem na serio, helikopter, filmuj, nie przestawaj filmować!, niebo, rój kamieni jak meteoryty w sierpniu, ryk motorów, panika, klaksony policyjnych wozów, dziecko, jeszcze gwiazdy na niebie, chrzęst stali, uniesione w niebo pięści i pałki, uciekająca starsza kobieta, znów kamienie, krzyk, namioty, piach, land rover wywożący kobiety i starców, ciemno, morze namiotów i te pierwsze niszczone przez policjantów, a potem podpalane, ciężarówka, strumienie wrzątku wystrzeliwane z armatek wodnych, Allahu akbar!, śmigła helikoptera tuż nad głowami, dym, płomienie, biegną, gaz, łzy, kule gumowe, choć niektórzy mówią, że również te prawdziwe, viva POLISARIO, fuera Marueccos!, syreny, syreny, syreny.

Szósta rano, świta.

– Stałam naprzeciw nich i wyjęłam kamerę. – Diana jest przyjaciółką Hamzy. Śmieje się, gdy pytam, czy jej imię ma saharyjskie korzenie. Marzy o tym, by zostać stewardesą, ale nie w Royal Air Maroc. – Oni szli powoli, waląc pałkami w tarcze. Oglądałam ich przez wizjer kamery, to było coś nierealnego, marzyłam, że jestem wielką dziennikarką, że filmuję coś niezwykle ważnego. A oni byli tuż-tuż, może ze trzydzieści metrów. Weszłam więc na auto stojące obok. I jakoś nagle okazało się, że jestem sama, że reszta się wycofała, że nie ma wokół mnie nikogo, tylko oni. Schowałam kamerę, bo ona była na wagę złota, i wyjęłam telefon. Podbiegło może dziesięciu, zrzucili mnie z auta, nie miałam melhfy, myśleli, że jestem Hiszpanką. Upadłam na ziemię, a oni zaczęli bić i kopać. Krzyczeli, że dostanę teraz za swoje.

Dianę uratowali koledzy i ich kamienie. Hamza mówi, że gdy zakrwawiona wstała z ziemi, na pytanie, czy wszystko w porządku, odparła: „Nie zniszczyli kamery!”. Śmiała się, choć po twarzy ściekała jej krew. Marokańskie władze zaprzeczały, jakoby policjanci pacyfikujący Gdeim Izik używali broni i ostrej amunicji. Ale to właśnie Diana nakręciła scenę, na której widać strzelającego do tłumu policjanta. Sfilmowała również swojego znajomego i jego dziurę w brzuchu. Oraz starca z balkonikiem i czterech pałujących go policjantów. Także kobietę przed namiotem, która nie mogła wstać, więc podeszli do niej i pomogli jej pałkami.

– Staraliśmy się ewakuować starców i dzieci, żeby jak najszybciej wyjechali z obozu. Marokańczycy zostawili przejazd w stronę El Aaiúnu, tamtędy wszyscy uciekali. Nasze land rovery kursowały w tę i w tę. Czasami było na nich po kilkanaście osób. Tymczasem my chwyciliśmy kamienie i wyszliśmy na front.

Oglądamy film na YouTube, na którym widać moment pacyfikacji obozu.

– Widzisz tego gościa, co właśnie schyla się po kamienie? – pokazuje palcem Hamza. – To ja. Bo im zależało, żeby jak najszybciej wjechać transporterami w głąb obozu, by rozbić go od środka. Wjechało cztery albo pięć wozów, ale zablokowaliśmy je między namiotami i obrzucaliśmy kamieniami. W tym samym czasie próbowali nas atakować z boku, by odciąć nas od reszty obozu, więc w końcu musieliśmy się zacząć cofać. Namioty ułatwiały nam sprawę, bo mieliśmy się za czym chować. To zaczęli je palić.

Tych, którzy nie zdążyli się wycofać, zaspali lub nie mogli uciec, natychmiast wrzucano do policyjnych ciężarówek i wywożono z obozu. Podczas pacyfikacji aresztowano blisko trzy tysiące osób.

– Biliśmy się z nimi ze cztery godziny, cały czas się cofając, tak by ci ludzie za nami mogli uciec. Przy wale otaczającym obóz znaleźliśmy starszą kobietę, nie mogła chodzić, próbowała się przeczołgać przez mur. Wziąłem kilku kumpli i przeciągnęliśmy ją na drugą stronę, cholernie ciężka była. A potem ktoś włożył w moje ręce małego dzieciaka, płakał okrutnie, na szczęście matka się odnalazła. Byłem jednym z ostatnich opuszczających obóz, za nami nie było już nikogo, tylko dym palonych namiotów i policja przeczesująca zgłiszczca.

Obdarci, pobici, wracali do El Aaiúnu w większości na piechotę. Ci, którym udało się załapać na auto, jechali na dachu lub uczepleni kurczowo drzwi czy bagażnika. Znów musieli uciekać. Za sobą zostawiali płonące obozowisko i trzydzieści dni wolności. Przed sobą mieli miasto, które ich nie chciało. El Aaiún

witał ich pustymi, wyludnionymi ulicami. Gęstym, czarnym dymem płonęły auta, porozrzucone opony i budynki. Na ulicach widać było zbudowane naprędce barykady, zniszczone sklepy i urzędy. Saharyjczycy, którzy zostali w mieście, machali flagami, skandując: „La badil la badil an takrir al-masir”. Na kilka godzin miasto było ich.

Oddziały wojska i policji przybyły do El Aaiúnu dopiero po południu, rozpoczynając fale represji wobec wszystkich Saharyjczyków. Do zamieszek szybko przyłączyli się marokańscy osadnicy. Gaz łzawiący szczypał w oczy, a rany paliły od wrzątku lejącego się z armatek. Na ulicach miasta rozgorzała wojna. Strony konfliktu podają bardzo rozbieżne dane o ofiarach. Władze twierdzą, że podczas pacyfikacji zginęło 11 policjantów, a rannych zostało 238. Mówią również o 134 rannych cywilach marokańskich. POLISARIO podał do wiadomości raport, w którym wskazano 36 zabitych Saharyjczyków, 700 rannych i 163 zaginionych. Liczby te nie zostały zweryfikowane. Dwudziestu czterech członków Komitetu Dialogu, który prowadził negocjacje z władzami, zostało aresztowanych. Nazwano ich terrorystami i postawiono przed sądem wojskowym. 17 lutego 2013 roku otrzymali wyroki od siedemnastu do trzydziestu lat pozbawienia wolności. Dziewięciu z nich zostało skazanych na dożywocie. Wyroki odsiadują w więzieniu Zaki w Sali na przedmieściach Rabatu. Parlament Europejski przyjął uchwałę potępiającą brutalną pacyfikację Gdeim Izik i wezwał ONZ do przeprowadzenia niezależnego śledztwa w tej sprawie. Rezolucja została zablokowana w Radzie Bezpieczeństwa przez Francję, państwo, w którym narodziła się idea praw człowieka.

Antonio i Isabel przez tydzień ukrywali się w podziemiach niezamieszkanego budynku, bojąc się o własne życie. Ich materiał tymczasem udało się zabezpieczyć i przesłać za granicę. Po tygodniu nieudanych poszukiwań władze za pośrednictwem Laayoune TV nadały informację, że będą mogli bezpiecznie opuścić Maroko. Dianę od represji uratowało pewne zdjęcie, które policjanci znaleźli w zgliszczach jej namiotu. Wzięła je do Gdeim Izik przypadkiem w przeddzień ataku. Nie może powiedzieć, co na nim było. Bachir Yaya ponownie trafił do więzienia i jako jedna ze stu sześćdziesięciu osób stanął przed sądem. Hamza tygodnie po ataku ukrywał się w El Aaiúnie, jak niegdyś jego brat Malainin. Nie mógł się pokazać w domu, znajomi myśleli, że został aresztowany. Potem śmiali się, że przecież on nie może trafić do Czarnego Więzienia, bo ma na nazwisko Lakhal, co znaczy czarny. Kończąc swoją opowieść i dopalając ostatniego

marlboro z przemytu, Hamza mówi:

– Czasami w życiu trzeba być wszystkim naraz, poetą, dziennikarzem i bojownikiem.

Wizyta na komisariacie wymusiła na nas zmianę strategii. Odtąd nie mogliśmy się już spotykać ze znanymi aktywistami, bo każdy nasz ruch był śledzony. Spotkania z Aminetu Haidar czy Mohammedem Daddashem nie wchodziły w grę. Wiedziałem, że najmniejsza wpadka zakończy się natychmiastową deportacją. I tak zadziwiające było to, że pozwolili mi zostać. El Aaiún przygotowywał się przecież do nadchodzących demonstracji. Na koniec kwietnia 2014 roku Rada Bezpieczeństwa ONZ wyznaczyła termin głosowania nad kolejnym przedłużeniem misji MINURSO. Demonstracje i zamieszki były nieuniknione, wisiały w powietrzu, przygotowywało się na nie całe miasto. Na wszelki wypadek zabezpieczyłem wszystkie notatki i nagrania, przesłałem zdjęcia, zrobiłem kopie kart. W zgrywaniu materiału musiało pomagać kilka osób, bo ani ja, ani Hamza nie mogliśmy ot tak sobie pójść do sklepu, by kupić mobilny internet czy kabel USB. Teraz, gdy i tak wiedzieli, gdzie mieszkam, musiałem się zachowywać jak normalny turysta. Normalni turyści chodzą do kafejki, idą się przejść po ulicy, wejdą do sklepu kupić pamiątki, potargują się w warzywniaku. Raczej nie kupują kabli, nie pożyczają laptopów.

– To teraz przyślą zapewne kogoś, kto będzie obserwował dom przez cały czas – mówi Hamza, budząc się nazajutrz po wizycie w komendzie. – Pewnie już gdzieś tu stoi. My dobrze znamy ich sposoby, facet będzie stał ze dwa, trzy dni, inny będzie za nami chodził. Ci dadzą się łatwo zauważyć, tak byś się do nich przyzwyczaił i nabrał przekonania, że wiesz, kto to jest, że potrafisz ich rozpoznać. I wtedy oni znikną po paru dniach. Więc pomyślisz sobie: odpuścili, dali sobie spokój i zaczynasz zachowywać się normalnie. Bo nie wiesz, że nadal jesteś obserwowany, tylko przez innych, tych, którzy nie dali się zauważyć. To taki sposób, wtedy popełniasz błędy, a oni mają cię jak na talerzu. Albo poproszą okolicznych ludzi, sąsiadów czy sklepikarzy. Ci wszyscy sprzedawcy warzyw, którzy stoją na ulicy, to Marokańscy. I oni nie odmówią. Nie dlatego, że nie chcą, tylko dlatego, że nie mogą, policji się nie odmawia.

Hamza włącza muzykę, dziś na dzień dobry gra nam Norah Jones, i idzie na górę po śniadanie. Ja biorę się do parzenia herbaty. Ponoć jak poćwiczę jeszcze trochę, to będę robił całkiem dobrą. Na razie Hamza jeszcze krzywi się lekko, pijąc przyrządzoną przeze mnie herbatę.

– OK, więc dziś idziemy na miasto, mój przyjacielu. A co, teraz nam wolno, nawet musimy, nie możemy siedzieć w domu, bo to będzie dziwne. Jesteś przecież turystą! Poza tym chyba muszę iść do fryzjera. Zarosłem: broda, włosy. – Hamza przeciąga ręką po zaroście i zaczyna się śmiać, szczerząc wielkie białe zęby. – Czasami, jak jest intifada, to zapuszczam włosy prawie na afro i długą brodę do tego. Chodzę wtedy cały czas w arafatce. Widać mnie z daleka. Oni tego nie znoszą. Idziemy do fryzjera, a potem na mecz, dziś gra Bayern z Realem!

Lata życia w okupowanym mieście, lata konspiracji wykształciły w ludziach szósty zmysł ułatwiający rozpoznawanie zagrożenia. Hamza taki zmysł posiada. Gdy wychodzimy z domu, teraz już nie ukrywając się, Hamza w kilka sekund rozpoznaje w ulicznym tłumie tajniaków, którzy będą nas śledzić.

– Nie odwracaj się i nie rozglądaj zanadto. Widziałeś tego z motorynką pod meczetem? To właśnie on. Zaraz za nami ruszy, zobaczysz.

Po chwili słyszymy za sobą wyraźne terkotanie silnika motorynki. My idziemy nieśpiesznym krokiem w stronę głównej ulicy Smara. On za nami, kilkanaście, kilkadziesiąt metrów. Czasami się zatrzymuje, czeka, potem znów rusza, czasami nas wyprzedza, parkuje kawałek przed nami, by ruszyć, jak tylko go minimy. Nie stara się za bardzo, byśmy go nie rozpoznali. Wręcz przeciwnie, jest oczywisty. My go widzimy, on widzi, że my go widzimy. I o to właśnie chodzi. To taka gra, takie podchody. Na ulicy spotyka nas brat Hamzy, wsiadamy do jego auta, Hamza się cieszy, że nasz szpieg będzie miał trochę trudniej. Mówi do brata, żeby pojeździł trochę, zanim nas podrzuci do kafejki. Więc kluczymy po mieście, lewo, prawo, góra, dół, nad rzekę i z powrotem, zanim nasze auto zatrzymuje się przed uroczą kafejką w bogatej części dzielnicy Matallah. Motorynka parkuje tuż za skrzyżowaniem. I czeka na nas przez następne dwie godziny. Biedak nie obejrzy sobie meczu.

Kafejka pełna. W końcu to półfinał Ligi Mistrzów, do tego gra drużyna hiszpańska. W El Aaiunie jest jeden klub piłkarski JSM Laayoune – Jeunesse Sportive d'El Massira. Znów marsz i znów zielony. JSM grał nawet w marokańskiej pierwszej lidze Botola. Ale to klub marokański, założony tuż po inwazji, w 1977 roku, Saharyjczycy mu nie kibicują.

– My mamy tutaj dwie drużyny: Barcę i Real – śmieje się Hamza. – Ludzie tu uwielbiają futbol. Bo to jedyna rozrywka w tym mieście i jedyna możliwość, żeby się spotkać, trochę pokrzyczeć. Czasami po meczu okrzyki „Real, Real” zmieniają się w „La badil la badil an takrir al-masir”, ludzie chwytają kamienie i zaczyna się zadyma. W zasadzie zawsze po meczu jest zadyma, mogę się założyć, że dziś też coś się będzie działo.

Gdy Real prowadzi już 2 : 0, ku radości wszystkich zgromadzonych, do naszego stolika przysiada się kolega Hamzy. Przyniósł nam obiecane laptopa. Ale przecież nie możemy wyjść z kafejki z komputerem. To na pewno nie umknęłoby uwadze naszego opiekuna, który nazajutrz w raporcie napisałby: „Obcokrajowiec wyszedł z kafejki z komputerem, którego wcześniej nie posiadał”. W przekazanie laptopa znów zaangażować trzeba inne osoby. Najprostsze czynności mogą tu być podejrzane i przynieść niespodziewane konsekwencje, nawet jeśli nie jest się śledzonym. Bo ogromna liczba Marokańczyków donosi. Sklepikarze, sprzedawcy, mechanicy. Władza daje im nawet telefony, by raportowali o nastrojach w dzielnicy, o tym, co ludzie mówią, co kupują, jak kupują, czy są zadowoleni, czy narzekają, a jak narzekają, to na co. Po laptopa przyjeżdża zatem brat Hamzy i zabiera go zawiniętego w reklamówkę. Real wygrywa 4 : 0, my spokojnie wychodzimy z kafejki, słysząc za sobą odpalany silnik motorynki.

Kluczymy powoli po uliczkach bogatej północnej części dzielnicy Matallah. W przeciwieństwie do części południowej, to rejon zamieszkały w dużej mierze przez Marokańczyków, lecz nie tylko. Wiele z tych potężnych domów skrytych za wysokimi murami należy do Saharyjczyków. Tych, którzy podjęli współpracę z marokańskimi władzami. Jest ich wcale niemało. Marokański reżim odwdzięcza się hojnie, król ma gest wobec tych, którzy go popierają. Nazywa się ich tutaj Richmen of War. Zajmują lukratywne stanowiska we władzach miasta, ale przede wszystkim w potężnym kombinacie zajmującym się wydobywaniem fosforytów. Richmen of War cieszą się przywilejami, możliwościami, których zwykli ludzie nie mają. Nie oznacza to jednak prostych podziałów „biedni przeciw władzy”, „biedni kontra bogaci uprzywilejowani”. Sytuacja jest bardziej skomplikowana. Są również zamożni Saharyjczycy, kupcy, handlowcy, biznesmeni, którzy dorobili się swoich fortun ciężką, uczciwą pracą. Większość z nich po cichu, w obawie przed utratą majątku, wspiera aktywistów walczących o wolność. Hamza tłumaczy mi to tak:

– Każdy walczy w taki sposób, w jaki może. Jedni idą na demonstracje, drudzy szyją flagi, inni biją się z policją, a inni finansują nasze działania. To także walka.

I jesteśmy im za to ogromnie wdzięczni, bo naszym podstawowym problemem jest brak środków finansowych.

Skrećmy w główną ulicę Matallah, potocznie nazywaną ulicą Mohammeda Daddasha. Daddash jest postacią legendą dla Saharyjczyków. Nazywają go Mandela. Spędził w marokańskim więzieniu dwadzieścia trzy lata. To tylko cztery lata mniej niż Nelson Mandela. W 1976 roku próbował uciec do formujących się wojsk Frontu POLISARIO, walczących z marokańsko-mauretańską inwazją. Nie udało mu się. Jego jeep został ostrzelany przez Marokańczyków, a Daddash trafił do więzienia. Po dwóch latach został przymusowo wcielony do marokańskiej armii i zmuszony, by walczyć na terenie Sahary Zachodniej przeciw swoim współplemieńcom. W 1979 roku wraz z kilkoma innymi podjął kolejną próbę ucieczki, znów niestety nieudaną. Tym razem został skazany na karę śmierci, na którą czekał w celi aż do 2007 roku. Ułaskawiony przez króla Mohammeda VI, obecnie prowadzi z Ahmedem Hammadem CODAPSO. Daddash mimo wieku do dziś bierze udział w ulicznych demonstracjach.

Dzielnica Matallah to centrum wszystkich starć i zamieszek, punkt zapalny, jak Falls Road w Belfaście. Wszystkie duże demonstracje zaczynają się tutaj. Hamza mówi, że to przez krew męczenników z 1970 roku. Południowa część, zamieszкана prawie wyłącznie przez Saharyjczyków, jest miejscem, w którym koncentruje się ogromna część marokańskich sił bezpieczeństwa. Tu policjanci muszą być czujni cały czas. Nigdy nie wiedzą, skąd i kiedy polecą w ich stronę kamienie. W niebezpiecznych okresach niewielki stadion Moulay Raszid u wejścia do dzielnicy zamienia się w bastion wojska i milicji.

Gdy godzinę po meczu wracamy autem do domu, nieustannie śledzeni przez pana na motorynce, kamienie leżą już na ulicy. Spóźniliśmy się. Jeszcze tylko kilka ostatnich trafia z ogłuszającym trzaskiem w jadący przed nami radiowóz. Policjanci powoli podnoszą osłony swoich kasków i chowają za pas czarne pałki, a bojownicy kryją się w ciemnych zakamarkach dzielnicy Matallah.

*

Zaplanowane na 21 kwietnia 2014 roku głosowanie w Radzie Bezpieczeństwa ONZ z nieznanymi przyczyn przełożono o tydzień. Dziś podano informację, że Mohammed VI pojechał z niespodziewaną prywatną wizytą do Francji. I nie jest to nic nadzwyczajnego. Trwająca już dwadzieścia trzy lata misja ONZ przedłużana jest

średnio co rok lub co pół roku. Głosowanie nad przedłużeniem mandatu misji jest jedyną możliwością rozszerzenia jego zakresu. Bo misja pokojowa MINURSO, dzięki francuskim staraniom, choć działa w rejonie konfliktu, jest jedyną misją ONZ niemającą mandatu, by monitorować prawa człowieka. Nie widzi. Nie słyszy. Nie mówi. Uspokaja jedynie wyrzuty sumienia. Przecież w ogóle jest. Wszystkie manifestacje na Saharze organizowane są między innymi po to, by instytucja, której podstawowym celem jest ochrona praw człowieka, mogła to w ogóle robić. I zawsze jest tak samo. Dziś Ban Ki-moon w swoim wystąpieniu stanowczo podkreślił potrzebę rozszerzenia mandatu. Ale król ma potężnych przyjaciół we Francji. I oni swoim wetem zadbają, by *status quo* zostało utrzymane.

Bo jak wygląda monitorowanie praw człowieka w Organizacji Narodów Zjednoczonych? Głównym organem zajmującym się tym tematem jest Rada Praw Człowieka, utworzona w 2006 roku w miejsce Komisji Praw Człowieka funkcjonującej od roku 1946. Jednym z głównych zadań Rady jest dokonywanie uniwersalnych okresowych przeglądów praw człowieka w poszczególnych krajach członkowskich. A krajów jest obecnie sto dziewięćdziesiąt trzy. Saharyjska Arabska Republika Demokratyczna nie ma statusu nawet „państwa obserwatora”, którym cieszy się choćby znajdująca się w podobnej sytuacji Palestyna. RASD nie jest nawet „niepaństwowym obserwatorem”, choć jest nim na przykład tak ważne dla międzynarodowej polityki ciało jak Zakon Maltański. Ale ONZ równocześnie nie uznaje marokańskiego zwierzchnictwa nad Saharą Zachodnią. Taka schizofrenia polityczna, właściwa zresztą nie tylko Narodom Zjednoczonym. Sahara Zachodnia z punktu widzenia ONZ jawi się jako biała plama, chyba ostatnia na mapie świata.

Raz na cztery i pół roku czterdzieści siedem państw Rady Praw Człowieka weryfikuje przestrzeganie praw człowieka wśród wszystkich stu dziewięćdziesięciu trzech członków ONZ. Zatem każdego roku lustracji poddawane są czterdzieści dwa państwa, po czternaście na każdą z trzech sesji. Wyniki weryfikacji podawane są później do wiadomości publicznej. Można je znaleźć w internecie. Na dwudziestej pierwszej sesji w lipcu 2012 roku, świeżo po wydarzeniach w Gdeim Izik, jednym z badanych państw było Maroko. Podczas takiej sesji każde państwo ma możliwość wypowiedzenia się, zadania pytań lub udzielenia zaleceń badanemu krajowi, a w raporcie można potem przeczytać ich treść. Na przykład:

Hiszpania pogratulowała Maroku wysiłków w promowaniu praw człowieka...

Rosja podkreśliła zabiegi Maroka mające na celu wzmocnienie ochrony praw

człowieka...

Monako pogratulowało Maroku reform zmierzających do przyjęcia nowej konstytucji...

Kuwejt był pod wrażeniem wysiłków Maroka na polu ochrony praw człowieka...

Indie doceniły modernizację systemu sądownictwa...

Niemcy doceniły zaangażowanie we wprowadzaniu zaleceń Rady Praw Człowieka...

Z dziewięćdziesięciu trzech oświadczeń, które znajdziemy w raporcie, słowa „Sahara Zachodnia” pojawiają się jedynie w wystąpieniu delegatów ze Szwecji, z Ukrainy, Wielkiej Brytanii, Austrii, Kostaryki, Urugwaju i Irlandii. Siedem na dziewięćdziesiąt trzy wystąpienia. Słowo MINURSO pojawia się jedynie w wystąpieniu delegata Kostaryki. W końcowych wnioskach i przyjętych zaleceniach pochwalone i docenione Maroko przyjmuje sto dwadzieścia osiem uwag i zaleceń członków rady. Nie przyjmuje siedmiu, w tym propozycji Norwegii, by zapewnić możliwość rejestracji organizacji cywilnych opowiadających się za samostanowieniem Sahary. Jedna propozycja zostaje stanowczo odrzucona przez Maroko, które twierdzi, że nie powinna być ona w ogóle przedmiotem prac Rady. To wniosek Urugwaju, by mandat MINURSO rozszerzyć o monitorowanie praw człowieka.

*

Siedzę w pokoju Hamzy, słucham historii, które mnie przytłaczają. Przed naszymi drzwiami szpieg, który dziś przebrał się za ulicznego żebraka. Jest mi ciężko, budyniowy pokój przez dwa tygodnie mojego pobytu napełnił się zbyt dużą ilością traumy. Tej traumy akceptowanej, tej, na którą przymyka się oko, tej czynionej pod przykrywką międzynarodowego prawa, by potem podać rękę sprawcom i podpisać lukratywne kontrakty. I przecież nie powinno mnie to jakoś szczególnie dziwić, bo jest to ogólnie panująca na świecie norma. A jednak nie wytrzymuję tego. Chyba nie byłem gotowy na aż taką dawkę. Gdzie twój dystans i obiektywizm, mógłby ktoś zapytać. Przecież chciałeś się bawić w reportera, no to masz. Odpowiedziałbym, że w dupie mam ten obiektywizm, wzbiera we mnie złość, mam ochotę pójść na demonstrację i rzucać kamieniami w policyjne wozy. A tymczasem gdzieś wysoko ponad naszymi głowami tajemnicze lobby przeciągają między sobą

grube liny cynicznej międzynarodowej polityki, w której szczytne wartości dawno już pozostały nic nieznaczącymi frazesami. Siłują się, radzą, deliberują, handlują w długich ciemnych korytarzach gmachów o pięknych nazwach. A potem wydają po cichu wyrok, oświadczenie, raport. Lub rezolucję.

– Tylko że tu ludzie w to wierzą, wiesz? Znaczna część Saharyjczyków czeka na to głosowanie i za każdym razem ma nadzieję, że coś się jednak zmieni. Niektórzy nawet myślą, że nadejdzie ta nasza niepodległość. Jest wielu ludzi, którzy wierzą, że wolność jest już blisko, za tydzień, może za miesiąc, najdalej za pół roku. Bo przecież świat nie może tak obojętnie stać obok cały czas. A jednak może. I co z tym zrobić? Ja wiem, że czeka nas jeszcze wiele długich lat trudnej walki, której finałem będzie najpewniej wojna. WOJNA. Czasami czuję się paskudnie, należę przecież, chcąc nie chcąc, do grupy, którą określa się mianem intelektualistów. Nie znoszę tego słowa. Mój ulubiony filozof Edward Said, Palestyńczyk, twierdzi, że rolą intelektualisty jest mówienie prawdy zarówno ludziom, jak i władzy. Tylko że my stoimy w rozkroku. Jak my mamy powiedzieć prawdę? Znamy prawdę, nie mamy złudzeń co do naszej sytuacji, ale jednocześnie podtrzymujemy w prostych ludziach tę naiwną wiarę, że zwycięstwo jest już blisko. Czasami myślę, że ich okłamujemy. I źle mi z tym. Z drugiej strony jednak, jeśli ta wiara zginie, to nie mamy już żadnych szans. Jesteśmy niewielkim narodem, balansujemy na krawędzi. Może jednak naszą rolą nie jest mówienie prawdy, tylko stanie przy marzeniach ludzi, tak by nie pozwolić im zginąć, nie pozwolić, by wpadło w nie choć ziarno zwątpienia?

29 kwietnia do El Aaiúnu przyjechał specjalny wysłannik ONZ, by spotkać się z aktywistami. Spotkanie miało odbyć się w kwaterze głównej MINURSO, ale marokańskie władze nie zgodziły się, co dobrze obrazuje pozycję, jaką ma misja w Maroku. W zamian zaproponowano naszpikowany kamerami i podsłuchami hotel El Massira. Do spotkania nie doszło. Nazajutrz ma za to dojść do masowych manifestacji. Bo mandat MINURSO został jak zwykle przedłużony, ale Rada Bezpieczeństwa nie rozszerzyła go o monitorowanie praw człowieka, nawet nie wyraziła takiej ochoty bądź nadziei. Więc jutro białe land cruisery z napisem UN znikną na kilka godzin z ulic miasta i zaparkują za ogrodzeniem z drutu kolczastego. Aby przypadkiem się nie pobrudziły. Gdy w mieście trwają większe wielodniowe manifestacje, marokańskie władze organizują dla pracowników ONZ imprezy nad brzegiem morza albo atrakcyjne wycieczki na pustynię, z winem, muzyką i występami artystów.

Terminy manifestacji nie są tajne. Całe miasto wraz z policją wie, kiedy będzie demonstracja. Gdzie? Zawsze na ulicy Smara, to oczywiste. O której? Pod wieczór. Każdy wie, o której to jest. Wsiadamy do naszego auta. Brahim za kierownicą, Hamza na siedzeniu pasażera, ja z tyłu, nisko, prawie mnie nie widać. Aparat fotograficzny w rękach, choć wolałbym, żeby to był kamień. Brahim włącza muzykę. Jak na manifestację, to tylko Mariem Hassan. Tym razem płyta *El Aaiún Egdat* – El Aaiún w ogniu. Jedziemy powoli w kierunku centrum, z otwartymi szybami. Zamknięte byłyby podejrzane. Pytam Hamzę, czy mają jakieś piosenki, które śpiewają podczas manifestacji.

– Piosenki? – śmieje się. – Tam nie ma czasu na śpiewanie, tam od razu trzeba się bić.

Gdyby ktoś przypadkiem dziś zawitał do El Aaiúnu, mógłby pomyśleć, że miasto przygotowuje się właśnie na wojnę. Uznałby zapewne, że przypadkowo trafił na zamieszki w Palestynie, Iraku lub, dajmy na to, w Sudanie. Na pewno nie w Maroku, przecież Maroko to taki kraj, do którego jedzie się na wczasy *all inclusive* z dziećmi. Jeśli w normalny dzień ilość policji na ulicach El Aaiúnu sprawia niepokojące wrażenie, to dziś jest jej kilka razy więcej. Można by rzec, że w mieście jest tylko policja. Najwięcej jest tych w ciemnogrnatowych mundurach. To siły szybkiego reagowania GUS, specjalizujące się w rozbijaniu demonstracji. Ale są też mundury zielone. To FA (Forces Auxiliaires, Siły Wsparcia). Imponująco prezentuje się też wyposażenie tychże sił. Zwykłe policyjne suki i opancerzone terenówki już nie wystarczają. Dziś na ulicach miasta pojawiły się ciężkie wozy z armatkami wodnymi, zaparkowane ładnie w rzędzie pod stadionem. To, co znajduje się w zbiornikach tych aut, to nie jest woda. To specjalna mieszanina, po której dostajesz przeraźliwego swędzenia przez kilka dni. Do tego trudno ją zmyć. By łatwiej było odnaleźć tych, którym uda się uciec. Na ulicy Smara oddziały już w pełnej gotowości, osłony kasków spuszczone w dół, w dłoniach czarne pałki i tarcze z napisem „Police”. Funkcjonariusze zwierają szyki, tworząc coś w rodzaju rzymskiego żółwia. Inni patrolują uliczki, wyłapując przechodniów. Wjazd na ulicę Smara jest już zablokowany, więc jeździmy bocznymi uliczkami przylegających dzielnic, próbując podjechać jak najbliżej.

Myśląc „demonstracja”, widzimy zwarte tłumy setek lub tysięcy osób, wielkie transparenty, flagi, megafony, auta. Słyszymy skandowane hasła bądź śpiewane pieśni. Nie tutaj. Na Saharze demonstracje wyglądają inaczej, a ich scenariusz jest zazwyczaj podobny. Najpierw na ulicach pojawia się bardzo dużo jednostek policji.

Obstawiają wszystkie ulice prowadzące do centrum, całe Matallah i Linach. To rodzaj chwytu psychologicznego, by zbudować w ludziach strach i zniechęcić do wzięcia udziału w manifestacji, nie dopuścić, by komukolwiek w ogóle udało się dojść w rejon ulicy Smara. Od rana w mieście roi się od tajnych, nieumundurowanych funkcjonariuszy obserwujących wszelkie ruchy aktywistów i organizatorów. Tajniaków jest kilka rodzajów, jedni to wywiad, drudzy są odpowiedzialni za filmowanie demonstrantów, by można ich było potem wyłapać, a rolą jeszcze innych jest po prostu bicie. Na filmach z El Aaiúnu widać, że często tymi, którzy znęcają się nad demonstrantami, są właśnie nieumundurowani funkcjonariusze.

Ale ludzie są odważni i taka manifestacja siły ich nie zniechęca. Małe grupki Saharyjczyków przedzierają się tu i ówdzie na główną ulicę mimo zastępów policji. Jadąc, spotykamy znajomego, to Bachir Yaya. Idzie na manifestację. Cieszy się, jakby szedł na imprezę.

Strategia policji to rozbijać wszystkie grupy ludzi, nie dopuścić, by powstały na ulicy zgromadzenia, bo te zachęcą innych i momentalnie manifestacja obejmie całą ulicę. Zadaniem pierwszych osób jest więc przełamać tę barierę strachu i pokazać, że da się wejść na ulicę Smara. Wtedy za nimi pójda inni. Często tymi pierwszymi są kobiety.

– My działamy w takiej organizacji kobiet, nieoficjalnej oczywiście, na rzecz braci przetrzymywanych w więzieniach. – Mahfouda jest jedną z tych młodych kobiet, które są na każdej demonstracji. – Stowarzyszamy rodziny, matki, żony, siostry więźniów. Wspierają nas również mężczyźni oczywiście. Każdy protest przygotowujemy kilka dni wcześniej. Chodzimy po domach, namawiamy ludzi do udziału, szyjemy flagi i transparenty. Mamy swoje logo nawet: ręce zaciśnięte na kratkach. Ale tym razem nawet nie udało nam się go pokazać, policja nam zabrała. Jeśli chcesz dotrzeć na manifestację, musisz wyjść z domu o świcie. Potem może już być za późno i policja aresztuje cię przed twoim domem. Oni doskonale wiedzą, kto organizuje protesty. Więc wychodzimy wcześniej rano i już nie wracamy do domu. Przez cały dzień kombinujemy, by nie wpaść w ręce policji. Potem po południu próbujemy się dostać w miarę blisko ulicy Smara, co nie jest łatwe, bo wszędzie mundurowi i tajniacy. To taki chwyt, masz się przestraszyć, chcą cię zniechęcić, żeby w ogóle wejść na ulicę. Zaczynasz sobie wyobrażać, że przecież się nie da, bo wszędzie ta policja,

wszędzie wozy, to działa na wyobraźnię, boisz się, wiesz, że będzie bardzo bolało. Trzeba to przełamać. Bo we wszystkich rośnie strach. Więc my zawsze staramy się odważnie wejść na ulicę, tak by też zachęcić innych. Przecież to jest nasza ulica, nasze miasto, nie? Dobrym sposobem jest wsiąść w autobus po prostu i spróbować dojechać na Smarę, choć bywa, że ulica jest już zablokowana dla pojazdów. Potem wysiadamy i mamy niewiele czasu. Łądujemy od razu w samym centrum, policja jest wszędzie. My zawsze mamy zakryte twarze, policja zna nas zbyt dobrze. Ale tu to nic dziwnego, kobiety, zwłaszcza po południu, gdy praży słońce, zakrywają twarze, zakładają ciemne okulary. Wtedy wyglądamy jak ninja – zaśmieje się Mahfouda, opowiadając wydarzenia, które miały miejsce tego dnia.

Mahfouda i Amidan przyjdą do domu Hamzy następnego dnia. Usiądziemy wokół stolika, zaparzemy herbatę. Tylko ja nie będę miał ochoty jej pić tym razem. W ogóle trudno mi będzie nawet zadawać pytania. Każda z kobiet będzie mieć na ciele ślady wczorajszej demonstracji, tu siniak, tam stłuczenie, gdzie indziej jakaś rana. Będą je pokazywać niczym trofea, tak jakby myślały, że im nie wierzę, że muszą pokazać dowody. Bo uwierzyć jest faktycznie trudno. Trzecia kobieta z ich grupy, Soukaina, niestety nie przyjdzie, będzie w ciężkim stanie po wczorajszym pobiciu. Nie będzie mogła nawet wstać z łóżka.

– Kilka lat temu byłam jeszcze naiwna – powie Amidan. – Kiedy mnie pobili pierwszy raz, napisałam do władz miasta, wysłałam nawet listy do władz w Rabacie. Nie dostałam żadnej odpowiedzi. Instytucje międzynarodowe? Możesz sobie pisać do Amnesty International czy Human Rights Watch. W 2010 roku, po Gdeim Izik, nawet przyjechali do El Aaiúnu. Ja wtedy właśnie wyszłam z aresztu po trzech dniach tortur.

– Zadzwoń do Amidan – wtrąci Hamza – by powiedzieć jej, że Human Rights Watch jest w mieście i że trzeba się z nimi spotkać, koniecznie. I wtedy usłyszałam w słuchawce jakiś hałas, trzaski, kopanie w drzwi. Szturmowali właśnie jej dom. Zadzwoń więc szybko do tych ludzi z Human Rights. Wtedy wszystkie telefony były podsłuchiwane, więc gdy przyjechali pod jej dom, policjantów już nie było, uciekli.

– Dzień później poszłam do domu zastrzelonego Saida Dambara, by spotkać się z jego rodziną, i tam mnie złapali – będzie kontynuować Amidan. – Zawiązali mi oczy, wrzucili do auta, potem wieźli gdzieś, nie wiedziałam gdzie. Zdjęli mi opaskę dopiero w jakimś małym ciemnym pokoju. Wtedy zorientowałam się, gdzie jestem,

wiedziałam, że to budynek żandarmerii. Na ścianach były wszędzie ślady krwi. Wszedł oficer i powiedział: „I co teraz powiesz, kurwo? Tu nie obroni cię żadne Amnesty, szmato, nikt cię tu nie obroni, słyszysz?”. Zakneblowali mi usta, zawiązali oczy i związali nogi. Przyszło kilku innych. Powiesili mnie do góry nogami na haku. Jeden z nich powiedział: „Jak w końcu dojrzejesz do tego, żeby mówić, to porusz palcem u nogi, wtedy przestaniemy”. I zaczęli bić. Ale jak się wisi do góry nogami, to trudno poruszyć palcem. Chciałam nawet, już miałam dość, ale nie mogłam, po prostu nie mogłam. Więc oni nie przestawali. Torturowali sprytnie, tak by nie zostawiać śladów. Do ust włożyli mi szmatę umazaną w gównie, zaczęli bić po piętach, wyzywać, pluć. Po jakimś czasie zdjęli mnie z haka, rzucili na podłogę. Jak wiesz do góry nogami, to potem trudno jest stanąć na nogi. Rozerwali mi ubrania i kazali stać. Zaczęli mi robić zdjęcia, śmiali się. Szamotałam się i nagle z moich oczu spadła opaska. Zobaczyłam ich. Stali przede mną, wśród nich szef żandarmerii i kilku wyższych rangą inspektorów. Śmiertelnie się przestraszyłam, byłam przekonana, że teraz to na pewno mnie zabiją. Bo przecież widziałam ich. Ale nie zrobili tego. Zagrozili, że jeśli komukolwiek opowiem tę historię, wtedy opublikują te zdjęcia, że całe miasto je będzie znało. Znowu mnie związali, wyprowadzili z sali i wrzucili do radiowozu. Jechaliśmy jakąś chwilę, ale ja już wiedziałam, gdzie zmierzamy, bo słyszałam o tym od innych. Otworzyły się drzwi i nagle wylądowałam w szlamie. Był środek nocy. Wyrzucili mnie nad rzeką, w dolinie Saguia el Hamra, tam gdzie wpadają miejskie ścieki. Jeden z nich, wsiadając do auta, powiedział: „Masz szczęście, szmato, bo mogliśmy się jeszcze z tobą zabawić”. Dolina rzeki to nie jest miłe miejsce nocą. Nóż pod zebra można zarobić łatwo. Siedzą tam bezdomni, pijacy, i to głównie Marokańczycy. Byłam przytomna, więc jakoś udało mi się wrócić do domu.

Po chwili Amidan doda jeszcze:

– A ci policjanci potem dostają promocje, ordery, wiesz? Im większe bestie, tym wyższe odznaki. A któregoś dnia spotykasz ich na ulicy, w warzywniaku. I się z ciebie śmieją. Co może zrobić takie Amnesty International? Może potępić. Może wyrazić zaniepokojenie. Może przysłać przedstawiciela, który jak będzie miał szczęście, to może go wpuszczą do miasta. I tyle. Tyle. Oni się tu czują zupełnie bezkarni. W 2012 roku Aminetu Haidar rano spotkała się z Christopherem Rossem, a wieczorem tego samego dnia pobili ją na ulicy. – Amidan wstrzyma na chwilę głos i zmieni temat. – Ja mam męża i dzieci. Kiedyś zaczęli nas przed manifestacją, zaczęli nas bić. Na oczach naszych dzieci. Od tej pory moje dzieci,

jak tylko widzą policjanta, mówią mi: „Uciekaj, mamó, uciekaj szybko!”.

Z perspektywy samochodu demonstracja wygląda trochę inaczej. Widzę, że rośnie napięcie, obie strony czekają na wybuch. Saharyjczyków pojawia się tu i ówdzie coraz więcej, formują się w małe grupki, skandują „La badil la badil an takrir al-masir”. Ktoś wyjmuje flagę RASD, ktoś rozwija na krótką chwilę transparent, ktoś pokazuje znak wiktorii, ktoś inny usiądzie na chodniku. Oddziały czarnych policjantów błyskawicznie ruszają do akcji.

– W momencie, gdy oni zaczną bić tych ludzi, z dzielnic wybiegną chłopaki z kamieniami i się zaczną na całego. Ale dopiero, gdy oni zaczną, nigdy wcześniej – objaśnia Hamza. – Wszystko zaczyna się od pierwszej pały, od pierwszego głupiego policjanta.



© Bartek Sabela

– Więc wczoraj udało nam się dojść na ulicę Smara – opowie nazajutrz Mahfouda. – Jak tylko wyjęliśmy nasz niewielki skądinąd transparent, zaraz zobaczyliśmy policjantów biegnących w naszą stronę. Ale nie uciekaliśmy, stałyśmy dalej, trzymając nasz transparent. Otoczyli nas, wyrwali go nam, jeden z nich go podarł. Zawsze tak robią, otaczają ludzi, żeby kamery nie widziały, co się

dzieje.

Bo kamera jest jedyną bronią Saharyjczyków. Skuteczniejszą niż transparenty, niż kamienie. W budynkach sąsiadujących z ulicą Smara ukryci są członkowie tak zwanych grup medialnych, czyli ludzie odpowiadający za filmowanie i fotografowanie zbrodni, jakich dopuszcza się policja. Materiały te są jeszcze tego samego wieczora wrzucane do internetu, na YouTube'a, na Facebooka, rozsyłane do organizacji międzynarodowych. Kamerzyści ryzykują nie mniej niż bijący się na ulicach. Złapani, zazwyczaj trafiają prosto do więzienia. Kamera jest tutaj jak karabin. Kłopot tylko w tym, że filmów z Sahary Zachodniej nikt nie ogląda.

– Zaciągnęli nas na bok, w jedną z bocznych uliczek – będzie mówić Mahfouda. – Tam często kamery nie sięgają, więc policjanci mogą popuścić wodze fantazji. Czasami tak ustawiają auta, by nie było nic widać. Zaczęli bić, potem kopać. Soukaina upadła na twarz. Potem zaczęły się groźby, że nas zgwałcą. Soukaina nie mogła się podnieść, więc bili po plecach, stanęli dokoła i kopali. Potem jeden z nich stanął jej na plecach, jakby chciał ją wgnieść w chodnik. Podbiegł jej brat, zaczęła się szamotanina, próbował pomóc, ale złapali go, przycisnęli do muru.

Z tylnych uliczek zaczynają lecieć w kierunku patroli policji kamienie. Na ulicę wjeżdżają radiowozy i pierwsze karetki. Jedni trafiają do szpitala, inni do aresztu.

– Zobaczysz, co się stanie, jak w telewizji skończy się mecz, wtedy z tych wszystkich kafejek wyjdą setki ludzi – mówi Hamza. – To jest dopiero początek.

Nasze auto krążące od trzech godzin po ulicach El Aaiúnu zaczyna przyciągać uwagę jednego z patroli policyjnych. Zauważyli nas, pokazują sobie auto pałkami, rozmawiają przez krótkofalówki. Auto z obcokrajowcem uzbrojonym w aparat to spore zagrożenie dla przestępców w mundurach. Rok wcześniej na jednej z demonstracji trójka Hiszpanów została pobita tylko dlatego, że mieli koszulki z napisem „Sahara Libre”, a jeden z nich miał aparat. Policjanci zdarli z nich te koszulki i podarli na strzępy. A w Laayoune TV można było potem usłyszeć doniesienia o hiszpańskich ekshibicjonistach, którzy próbowali zakłócić spokój na ulicy.

Większość policjantów specjalnych oddziałów GUS w El Aaiúnie pochodzi z odległych stron Maroka. Nie mają tu rodzin, przyjaciół, znajomych. Niejednokrotnie werbowani z domów dziecka, są w zupełności oddzieleni od lokalnej społeczności. Poniżani i uczeni nienawiści w akademiach policyjnych,

wyrastają na gotowych na wszystko kryminalistów, bez żadnych skrupułów i bez żadnej litości. Stephen Zunes, profesor nauk politycznych Uniwersytetu w San Francisco, autor książki *Western Sahara: War, Nationalism and Conflict Irresolution*, w filmie *Sons of the Clouds* mówi tak: „Byłem w ponad sześćdziesięciu krajach i nigdzie nie widziałem bardziej zorganizowanego i bezwzględnego systemu opresji niż w okupowanej Saharze Zachodniej”. Jeśli wierzyć szacunkom AFAPREDESA, na Saharze Zachodniej stacjonuje około 160 000 żołnierzy, 35 000 żołnierzy sił wsparcia, 31 000 funkcjonariuszy żandarmerii, 17 000 policjantów, 9000 policjantów specjalnych grup interwencyjnych do rozbijania demonstracji. Oraz 19 500 tajnych agentów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Tereny okupowane zamieszkuje niewiele ponad pół miliona ludzi, z czego Saharyjczycy stanowią tylko jedną trzecią.

Jedziemy na północ miasta, w stronę szpitala My Hassan Ben El Mehdi, nie możemy jednak podjechać bliżej niż sto, sto pięćdziesiąt metrów. Wejście do szpitala jest już obstawione przez policjantów wyłapujących rannych demonstrantów. W El Aaiúnie idziesz do szpitala w ostateczności i często zamiast na oddział ratunkowy trafiasz prosto do celi. Obdukcji i tak nikt nie wyda, bo mogłaby posłużyć za dowód pobicia. Szpital El Mehdi znajduje się dokładnie naprzeciwko kwatery głównej misji pokojowej MINURSO.

W nocy po demonstracji odwiedza nas w domu Mohammed Dchira, szef jednej z grup medialnych. Ma już ze sobą listę pobitych, a na niej ponad sześćdziesiąt nazwisk, kobiet, mężczyzn, młodszych i starszych. Jedną z kobiet pobito w szpitalu. Ofiarą był też jeden niepełnosprawny.

– Ten niepełnosprawny – mówi Mohammed, odpalając jednego papierosa od drugiego – to nazywa się Said, ma ksywę Flaga, bo działa na policjantów jak nasza flaga. Zawsze jest na demonstracjach i zawsze dostaje łomot. To dlatego, że jest chory na stwardnienie rozsiane i jego obydwie dłonie samoistnie zaciskają się w znak wiktorii.

Mohammed przyniósł także komplet zdjęć i nagrań wideo. My z auta nie widzieliśmy tego, co jego reporterzy widzieli z okien i dachów budynków. Podobne manifestacje odbywają się w El Aaiúnie, Smarze, Bojador i Dakhli bardzo często. Gdy manifestacje rozciągają się na dni, tygodnie, miesiące, Marokańczycy zwalniają z więzień przestępców, by ludzie musieli prosić policję o pomoc. Moi saharijcy znajomi codziennie publikują na Facebooku filmy i zdjęcia ofiar marokańskiego reżimu. Gdy je oglądałem przed wyjazdem, miałem wrażenie, że

muszą to być jedynie kadry, wycinki, uchwycone chwile, a nie codzienność.

– To, co tu dziś widziałeś, to nie było nic wielkiego. Nic nadzwyczajnego. I tej policji dzisiaj też wcale nie było tak dużo – mówi Mohammed, chowając do kieszeni listę ofiar.

*

Ściany wokół domu Mohammeda Mayary gdzieś we wschodniej części miasta pełne są nasprejowanych naprędce flag RASD. Nie on je maluje, ot, taka dzielnica. Mohammed jest szefem największej grupy medialnej w El Aaiúnie. Grupy medialne, jak tutaj nazywa się saharyjskich dziennikarzy, zaczęły powstawać po intifadzie z 2005 roku, gdy na Saharę dotarły aparaty i kamery cyfrowe. Prowadzona przez Mohammeda Equipe Media została jednak oficjalnie założona dopiero w 2009 roku. „Oficjalnie” oczywiście jak na okupacyjne realia. Nie mówimy tu o rejestracji w urzędzie, klimatyzowanym biurze przy głównej ulicy, to nie wchodzi w grę. Żadne stowarzyszenie czy organizacja zajmujące się prawami człowieka i sytuacją na Saharze Zachodniej nie zostaną zarejestrowane przez władze. W świetle prawa organizacje jak CODAPSO, CODESA (Colectivo de Defensores Saharais de Derechos Humanos, Stowarzyszenie Saharyjskich obrońców Praw Człowieka), AFAPREDESA i Equipe Media nie istnieją. „Oficjalnie” oznacza tyle, że któregoś dnia kilkanaście osób zebrało się na pustyni, bo w mieście to zbyt niebezpieczne, i umówiło się, że zaczynają. Było ich piętnaścioro, mieli dwa aparaty i jeden stary komputer, to wszystko. Wyposażeni w tę skromną broń zaczęli dokumentować otaczającą ich przemoc. Zdobyte z narażeniem życia materiały nie zostaną nigdy opublikowane w Laayoune TV czy jakiegokolwiek innej marokańskiej telewizji. Konstytucja Królestwa jednoznacznie traktuje „podważanie terytorialnej jedności państwa” jako przestępstwo, a publikowanie materiałów dotyczących Sahary jest właśnie takim przestępstwem. Nieliczni dziennikarze marokańscy, którzy zajmują się tematem, mieszkają w Europie.

Equipe Media nie ma siedziby. Każdy z trzydziestu pięciu członków grupy rozrzuconych po całej Saharze pracuje u siebie w domu, najczęściej pod nieustanną obserwacją służb specjalnych. Miejscem, w którym publikuje się materiały, jest internet. Equipe Media ma swoją stronę, fanpage na Facebooku i kanał na YouTube. Jako jedyni piszą nie tylko po arabsku, ale także po francusku,

angielsku i hiszpańsku. Niemniej zasięg działania Equipe Media jest bardzo ograniczony. Marokańskie embargo informacyjne jest niezwykle szczelne, a król ma ogromny dar przekonywania, wspomagany nieograniczonymi niemal środkami finansowymi. Zaplanowana na 2 lutego 2014 roku emisja dokumentu *Broken Families* w stacji Al Jazeera, prezentującego historię rodziny aktywisty Brahima Dahanego, została odwołana w przeddzień premiery. Chętnie za to materiały grupy przyjmują Radio Algerie oraz RASD TV. Zdarza się jednak, że filmy z logo grupy zostają wyemitowane w światowych mediach. Wtedy Mohammed Mayara ma powody do satysfakcji, nawet jeśli ktoś z pracowników zostanie pobity, inny wtrącony do więzienia, a drogocenny sprzęt rozbity na krawężniku.

Zanim założył Equipe Media, Mohammed pracował w urzędzie miasta El Aaiún jako szeregowy urzędnik. Po tym, jak w 2007 roku wziął udział w konferencji na temat praw człowieka, która odbyła się w Genewie, został jednak zwolniony z pracy w trybie natychmiastowym. Dziś jest nauczycielem historii, jednym z nielicznych Saharyjczyków, którym pozwolono wykonywać ten zawód. Mohammed uczy historii ogólnej, I wojna światowa, II wojna światowa, sprawy międzynarodowe. Nauczania historii współczesnej Maroka odmówił, nie zamierzał kłamać. Choć król Mohammed VI zapowiadał zmiany w trybie nauczania, a nawet „pisanie historii od nowa”, słowa pozostały jedynie słowami, a historia po 1975 roku nadal jest historią „odzyskania pradawnych ziem marokańskich”. Reżim wie, że to Mayara prowadzi Equipe Media. Jego działalność oficjalnie jest tolerowana, Maroko to przecież kraj, w którym wolność słowa jest jedną z fundamentalnych zasad, tak przynajmniej mówili mi na komisariacie. Nieoficjalnie większość członków Equipe Media zna aż nazbyt dobrze przestronne wnętrza Czarnego Więzienia.

W 2004 roku Mohammed VI powołał do życia instytucję IER (Instance Équité et Réconciliation, Komisja Sprawiedliwości i Pojednania), której zadaniem miało być zadośćuczynienie ofiarom prześladowań i ich rodzinom na terenie całego Maroka w latach rządów jego ojca Hassana II. Lata 1956–1999, przepełnione terrorem i wojną, nazywane są przez Marokańczyków „latami ołowiu”. Na czele IER król postawił Drissa Benzekriego, dawnego opozycjonistę, który siedemnaście lat spędził w więzieniu. W skład komisji weszło też kilku innych opozycjonistów. Niestety, przyjęta aplauzem organizacji międzynarodowych pierwsza taka komisja w świecie arabskim miała jednak bardzo ograniczony mandat. Wbrew nazwie nie zajmowała się wcale sprawiedliwością czy pojednaniem. Prace komisji musiały być

prorowadzone tak, by nie naruszać dobrego imienia Hassana II oraz nie ujawniać danych osób odpowiedzialnych za realizację jego polityki. Komisja nie mogła się również zajmować ściganiem zbrodniarzy, czego domagały się ofiary, ani działaniem na rzecz wolności słowa. Winni porwań, morderstw, pobić mogli się zatem czuć bezpieczni, żaden z nich nie został pociągnięty do odpowiedzialności. Prace Instance Équité et Réconciliation obejmowały jedynie okres między 1956 a 1999 rokiem, późniejsze wydarzenia, z lat panowania Mohammeda VI, twórcy komisji, były wyłączone z badań. Komisja działała rok, dziś po niej została jedynie strona internetowa. W końcowym raporcie komisja ustaliła los 742 ofiar, a 16 000 osób zostało zakwalifikowanych do wypłaty odszkodowań. W większości dotyczyły one jednak rodzin marokańskich dysydentów i opozycjonistów. Na Saharze zadośćuczynienie przyjęło wymiar czysto symboliczny, żeby nie powiedzieć propagandowy. Ofiarom i ich rodzinom przyznano wynagrodzenie finansowe lub zagwarantowano pracę. To dzięki Instance Équité et Réconciliation Mohammed Mayara może uczyć historii.

– To był 27 lutego 1976 roku. Dzień proklamowania RASD. Mój ojciec był tego dnia w Tantanie. Wtedy nawet cień podejrzenia o sympatyzowanie z POLISARIO kończył się porwaniem i najczęściej zniknięciem. A moja rodzina poparcia dla POLISARIO nie ukrywała. Tego dnia zniknął mój ojciec, trzech wujów i sześciu kuzynów. Miałem wtedy dwa miesiące, więc nawet go nie pamiętam. Oczywiście wtedy nikt nie wiedział, co się z nim stało. Po prostu zniknął. Za pytanie się o los bliskich można było skończyć tak jak oni. Chcesz się dowiedzieć, czemu zniknął twój mąż albo ojciec? To pokażemy ci, gdzie jest, tylko już stamtąd nie wrócisz. Takich sierot jak ja były setki. Moja mama powiedziała mi, że tata wyjechał. Bała się powiedzieć prawdę, bo widziała terror, który panował dokoła. Pamiętam, że jak miałem cztery lata, czyli w 1979 roku, zacząłem rozumieć, że rzeczywistość, w której żyjemy, nie jest normalna, zacząłem widzieć i czuć strach. W szkole kiedyś nauczyciel pytał uczniów, co robią ich rodzice. Ja powiedziałem, że mój tata zniknął. Nauczyciel dobrze wiedział, o co chodzi, na szczęście był wyrozumiały, chyba nawet mi współczuł, choć nie mógł tego okazać. Ale potem, wiele lat później, w liceum inny nauczyciel nazwał mnie wrogiem Maroka. Tak mi mówił: „Ty jesteś POLISARIO, a twój ojciec był wrogiem Maroka!”. Pokłóciłem się z nim, wyleciałem ze szkoły na dwa lata. A mniej więcej wtedy dowiedziałem się, co się stało z moim ojcem. W 1991 roku wraz z zawieszeniem broni różne organizacje, AFAPREDESA, Amnesty International i inne, zaczęły wywierać naciski na rząd

w Rabacie. Hassan II zdecydował o amnestii dla więźniów politycznych. Wrota więzień i przede wszystkim tajnych więzień miały się otworzyć. W mojej rodzinie wybuchła radość, wszyscy liczyli na powrót ojców, braci, synów. Ale wrócili jedynie wujowie.

Instance Équité et Réconciliation przyznała, że ojciec Mohammeda był wśród czterdziestu innych osób zamordowanych w tajnym więzieniu w Akdazie, nieopodal Warzazatu. Większość zginęła w ciągu miesiąca od porwania. Oczywiście słowo „zamordowany” nigdy nie padło. Ofiary „zaginięły” lub „zmarły”. W szlachetnym geście pojednania i zadośćuczynienia król obiecał, że zbuduje zbiorowy pomnik ofiar. Ładny i duży, z marmuru.

– Ale my nie chcieliśmy pomnika, i to setki kilometrów stąd. Chcieliśmy, by okoliczności mordów zostały wyjaśnione. Kto, jak, dlaczego. I żeby oddali nam prochy naszego taty. Poprosiliśmy o ekshumację i identyfikację szczątków w obecności Amnesty International i Human Rights Watch. Ale w odpowiedzi usłyszeliśmy, że taka procedura jest zbyt droga i ze względów technicznych niemożliwa do przeprowadzenia. Jestem historykiem, zapytałem, jak to możliwe, identyfikuje się zwłoki sprzed tysięcy lat, więc czemu nie można zidentyfikować tych sprzed trzydziestu? Zabiliście mi ojca, co mnie obchodzą wasze koszty! Wtedy jeden z członków Instance Équité et Réconciliation powiedział nam tak: „Bądźcie rozsądni, to będzie ładny pomnik. Inaczej dostaniecie zwłoki psów i kotów”.

17 grudnia 1989 roku gościem popularnego francuskiego programu telewizyjnego *L'Heure de vérité* był Jego Wysokość Hassan II. Dwugodzinne spotkanie z królem zostało zarejestrowane we wnętrzach pałacu królewskiego w Rabacie. Hassan II, siedząc za eleganckim biurkiem w kolorze oczywiście zielonym, odpowiadał na pytania francuskich dziennikarzy, zarówno tych zgromadzonych na sali, jak i tych będących w studiach we Francji. Na sali same osobistości, w tym François Mitterand i następca tronu, przyszły król Mohammed VI. Wywiad rzeka. O islamie, o imigracji, o prawach kobiet, o Bliskim Wschodzie, o rozpadzie Związku Radzieckiego. Od czasu do czasu król palił swobodnie papierosa, był przecież u siebie, i błyskotliwymi żartami zjednywał sobie zgromadzoną publiczność. Dystyngowany, wytworny, spokojny. Nawet wtedy, gdy pada pytanie o raport Amnesty International dotyczący tortur stosowanych w marokańskich więzieniach, zwłaszcza w stosunku do więźniów politycznych. „Mogę panią zapewnić, że jeśli

choć jeden procent tego, co jest napisane w tym raporcie, którego nigdy nie czytałem, okazałoby się prawdą – tu zawiesił głos na krótką chwilę – nie mógłbym spokojnie spać, dopóki nie miałbym pewności, że uczyniłem wszystko, by położyć temu kres”.

W latach 1975–1987 na terenie Sahary Zachodniej uprowadzono trzy i pół tysiąca osób. Od 1987 roku ponad tysiąc kolejnych. Uprowadzone osoby przetrzymywane są w tajnych więzieniach bez procesu, a władze odmawiają podania jakichkolwiek informacji na ich temat, tym samym uniemożliwiając ochronę prawną tych osób. Takie „wymuszone zniknięcie” jest zbrodnią przeciw ludzkości w świetle międzynarodowego prawa. Wiele z porwanych osób zostało po latach uwolnionych, niemniej dziś za zaginionych uznaje się nadal 526 Saharyjczyków. Władze marokańskie utrzymują, że za dążeniami niepodległościowymi Saharyjczyków stoi marginalna grupka separatystów, podburzanych przez Algierię.

*

Abdelrahman, najstarszy z braci Lakhalów, mieszka obecnie we Francji. Salama wraz ze swoją rodziną przeprowadził się do Mali. Malainin mieszka w obozie uchodźców na terenie Algierii. Obecnie pracuje w Addis Abebie jako tłumacz w Unii Afrykańskiej. Żaden z nich nie może swobodnie wjechać na teren Sahary Zachodniej. Po ucieczce w 2000 roku Malainin był w El Aaiúnie tylko raz, w 2011 roku. Przyjechał na pięć dni w ramach organizowanego przez ONZ programu dla rozdzielonych rodzin. Ulica, przy której stoi dom Lakhalów, wypełniła się wiwatującymi ludźmi.

Hamza i jego młodszy brat Brahim nadal mieszkają w El Aaiúnie. Hamza zdał ostatnio maturę, być może władze pozwolą mu studiować wymarzoną filozofię.

A ja, wyjechawszy z El Aaiúnu z moim notatnikiem, aparatem, kartami pamięci i iPadem, mogę wam powiedzieć, smutni panowie, którzy czekaliście każdego dnia przed naszym domem, tobie, który udawałeś żebraka, by móc obserwować nasze drzwi, i tobie, który jeździłeś za nami motorynką, i tobie, który tak cierpliwie siedziałeś dzień i noc na murku pod meczetem, i wam, którzy śledziliście nas swoim citroenem berlingo bez jednego światła, wam, którzy tak miło, ale stanowczo zapraszaliście do auta, wam, którzy przeszukiwaliście moje bagaże na posterunkach, i wam, którzy pokazywaliście sobie pałkami nasze auto w dzień

protestów, ale przede wszystkim wam, którzy przesłuchiwaście mnie i Hamzę na komisariacie: udało się nam. A raczej: wam się nie udało.

*

Nad plażą w Agadirze łagodnie zachodzi słońce, kryjąc się za wzgórzem z podświetlonym napisem „Allah, Ojczyzna, Król”.

II Moja pustynia murem podzielona

*El Sahara,
hermanos míos,
no se vende^[4].*

Selama Fatma Brahim

Resztkę pierwszego parzenia, tę niewypitą, wylewa do jednej ze szklaneczek i odstawia na bok. Bo nie ma dolewek. Pije się tylko po jednej szklaneczce z każdego parzenia. Na rękę znów wysypuje sobie trochę herbaty, ale tym razem mniej, szczyptę, dwie, i wrzuca do czajniczka. Dodaje wrzątku i stawia na węgielkach. Drugie parzenie saharyjskiej zielonej herbaty gotuje się dwa razy, inaczej niż pierwsze. Więc gdy herbata zaczyna wrzeć, on zdejmuje ją z ognia i przelewa w szklaneczkę. I z powrotem do czajnika. W szklaneczkę i znów do czajnika, kilkakrotnie. By trochę ostudzić przed drugim gotowaniem.

W tych pokojach zawsze jest tak pusto. Dywan, kilka poduszek, koc, taca ze szklankami i elektryczny palnik do gotowania herbaty, wpięty w dyndające ze ściany gniazdko. I telewizor. Telewizor jest ważny. Choć mały, stary i ledwo odbiera, skupia uwagę wszystkich zgromadzonych. Gdy za bardzo śnieży, ktoś podejdzie do niego, trzepnie w pudło albo wyjdzie na zewnątrz pokręcić stojącym na piasku białym talerzem. O, jest lepszy obraz. Mówią, że w Iżewsku w wieku dziewięćdziesięciu czterech lat zmarł Michaił Kałasznikow. I że na świecie wyprodukowano około stu milionów sztuk jego najsłynniejszego wynalazku.

Pokój znów wypełnił się słodkawym zapachem. To herbata bulgocze, znaczy, że jest gotowa. Teraz wlewa do czajniczka tę resztkę herbaty z pierwszego parzenia. Bo ona ma już cukier, dlatego nie można było jej gotować. Ale zanim rozleje gościom drugie parzenie, znów trzeba zrobić piankę w każdej szklaneczce. Więc z pierwszej do drugiej, z drugiej do trzeciej i tak dalej. Bo idealnie jest, jak w szklaneczce jest 1/3 herbaty, 1/3 pianki i 1/3 pustego. Teraz jeszcze cukier, choć już nie tak dużo, bo liście herbaty trzymają słodycz z pierwszego parzenia. Ta druga szklaneczka będzie inna w smaku, łagodniejsza i mniej cierpka.

Saharyjczycy mówią, że jest słodka jak miłość.

To nie była wielka wojna. Zwłaszcza w porównaniu z toczącymi się konfliktami w Wietnamie, Afganistanie, Angoli czy Etiopii, gdzie ginęły setki tysięcy, a nawet miliony ludzi. Nie było dywanowych nalotów, nie było płonących miast, nie było paradujących lotniskowców, nie było dywizji czołgów, nie było amerykańskich czy rosyjskich chłopców. Nuda. Bo nie było też kamer telewizji i reporterów z napisem PRESS na plecach, którzy mogliby zapewnić przekaz na żywo siedzącym w wygodnych fotelach przedstawicielom zachodniej cywilizacji. Podczas szesnastu lat wojny na terenie Sahary Zachodniej zginęło raptem dwadzieścia tysięcy ludzi. Więc ani wielka, ani nawet krwawa. Jakoś niewystarczająco spektakularna.

Mohammed Moulud stoi za kontuarem w swoim malutkim sklepiku z pamiątkami. Ubrany niemal odświętnie, nienagannie wyprasowana koszula w prążki, elegancki kołnierzyk, na to narzucona dara'a. Błękitny, lekko błyszczący materiał, wykwiśnięty zdobiony haftowanymi lamówkami, miękko spływa po ramionach. Świetnie komponuje się z jego siwymi włosami i ogorzałą cerą. Przystojny jak wszyscy diabli, mógłby być hollywoodzkim aktorem. W jego sklepiku drobiazgi, które można sobie przywieźć jako pamiątkę z obozów saharyjskich uchodźców. „Pamiątka z obozów uchodźców” – już samo to stwierdzenie zdaje się jakoś wewnętrznie sprzeczne, dziwne, perwersyjne. Ale tak, owszem, możemy kupić sobie u Mohammeda na przykład bransoletkę, różne bransoletki, do wyboru, do koloru, mniejsze, większe, metalowe, plastikowe, malowane bądź grawerowane. Zdobione w geometryczne wzorki lub kwieciste esy-floresy. Albo koraliki czarno-biało-zielono-czerwone na nitce, jedne drobne jak ziarenka piasku, inne wielkości groszku lub fasolki. Można też, jeśli ktoś pali, nabyć elegancką mosiężną fifkę, taką, do której wkłada się nie papierosa, tylko kulkę tytoniu. Żeby fifka się nie zniszczyła od razu, dostaniemy do niej skórzany, wyszywany pokrowiec na rzemyczku, ręcznie malowany. Jeśli ktoś gustuje w tkaninach, Mohammed ma do zaoferowania kilka rodzajów. Damskie melhfy, kolorowe, wzorzyste, szalone wręcz, można by powiedzieć – dyskotekowe albo ładniej: karnawałowe. Iść w takiej na bal, można zadać szyku. A dla mężczyzn turbany. Niebieski, zielony, czarny. Cięte z metra, z dużej rolki. Ile? Dwa metry to mało, nie starczy na twoją głowę, trzy, może nawet trzy i pół! Jest też dara'a, taka sama jak Mohammed ma na sobie, lub dżalabija, wersja uboższa, wyglądająca trochę jak worek na kartofle, ale za to z kapturem, ciepła, w sam raz na zimne saharyjskie noce. Na półkach, mocno przykurzonych pustynnym pyłem, znajdziemy też mapę Sahary Zachodniej, bardzo dokładną, z zaznaczoną każdą oazą, każdą wioską, każdym uedem i każdą studnią. Mogłoby się wydawać, że powinna być raczej rozległą, pustą plamą z kilkoma jedynie miastami. A tu pełno nazw! Jakbym oglądał mapę Japonii albo Holandii.

Jest też kilka starych książek, lekko sfatygowanych, pożółkłych, zmęczonych saharyjskim klimatem. Ale tych raczej mało, bo ludzie tu nie czytają. Są za to przedmioty użyteczne, codzienne. Nożyk można sobie sprawić, taki niewielki, z rzeźbioną rączką, lekko wygięty, coś tępy jakiś tylko, może do masła. To szpilka do włosów, nie nożyk – śmieje się Mohammed. Możemy też nabyć breloczki, różnego rodzaju przypinki, spinki, broszki, guziki, koszulki, wszystko obowiązkowo z czterokolorową flagą i jakimś napisem w stylu „Sahara Vencerá” albo „Sahara Libre” czy „VivaRASD”. Oczywiście jest i sama flaga, w kilku rozmiarach, trochę niezdarnie pozszywana, z gwiazdą niezupełnie pięcioramienną i półksiężycem przypominającym banana. Te flagi to zamawiają w Algierii – mówi Mohammed – tu w obozach nie produkują nic. Bo i reszta towaru w sklepiku Mohammeda nie jest stąd. Pochodzi z Mauretanii, do której Mohammed jeździ od czasu do czasu, gdy ma pieniądze. Jak nie ma, sklepik stoi zamknięty.

Dla miłośników muzyki jest CD z nagraniami o tytule *30 años de exilio Saharaui*. Ale ta jest stara, tu jest nowsza edycja z tego roku *38 años de exilio Saharaui*. Co roku wydają nową, licznik lat spędzonych w obozach tyka bezlitośnie. Ta sprzed ośmiu lat ma ładniejszą okładkę, graficzną, ładnie zaprojektowaną, wysmakowaną. Nagrana w domu kultury obozu El Aaiún. Na ścianach wiszą mniej lub bardziej, zazwyczaj bardziej, kiczowate obrazki, ten z wielbłądem, tamten z wydmami, inny z palmami pośród pustyni lub z zachodem słońca. Usypywane z piasku z klejem, a potem malowane. Sam wielbłąd też jest dostępny, w trzech wymiarach, w formie rzeźby, mały, większy oraz całkiem spory, kosmaty, przyozdobiony kolorowymi sznureczkami. Do tego możemy do kompletu dokupić kawał drewnianej, pięknie rzeźbionej deski o kształcie tak wymyślnym, że trudno uwierzyć, że to część tradycyjnego saharyjskiego siodła.

U Mohammeda Mouluda możemy też nabyć czajniczek do parzenia herbaty, to przecież najważniejsza rzecz pod słońcem. Taki fikuśny z ciężkiej stali, polerowany, z rączką z złotego metalu, pięknie wywiniętym dziobkiem i wieczkiem, co wygląda jak czapka Aladyna. W ogóle ten czajniczek wygląda, jakby zaraz miał z niego wyskoczyć potężny dżin i zadać swoje pytanie. Ale tutaj odpowiedź na nie jest oczywista, a pytanie zdaje się głupie. Zresztą takiego czajniczka nikt tutaj nie posiada. Kto by chciał wydać na głupi czajnik cztery tysiące dinarów. Zdecydowanie bardziej popularny jest model za sto pięćdziesiąt dinarów, chiński, byle jaki, krzywy, ale za to dostępny w kilku kolorach, zielony, czerwony (ten nie cieszy się powodzeniem, bo czerwony to kolor Maroka),

niebieski. Ten możesz postawić na węgielkach, na ognisku, na gazie, nawet na płycie elektrycznej, której tu oczywiście nikt nie ma. Czajniczek może być malowany w kwiatki, wtedy parę dinarów droższy, lub gładki, zwykły. W takich czajniczkach parzy codziennie swoją herbatę prawie dwieście tysięcy Saharyjczyków mieszkających w obozach uchodźców w południowo-zachodniej Algierii.

Sklepek Mohammeda mieści się w małym, murowanym, podobnym do wszystkich innych dokoła budynku, położonym przy jedynej utwardzonej drodze w obozie. Niebieskie drzwi, na murze napis, że pamiątka. Centrum obozu Bojador, downtown, ekskluzywna dzielnica. Dokoła same poważne instytucje. Jest więc Muzeum 27 Lutego, sto metrów dalej, za rogiem, szkoła, a po drugiej stronie ulicy przedszkole, akurat nieczynne, bo dzieci mają ferie. W białym budynku z dużym dziedzińcem mamy merostwo, siedzibę gubernatora obozu. Jest tam również biuro Związku Kobiet Saharyjskich oraz, naprzeciwno, Stowarzyszenie Ofiar Min Lądowych z namalowanym przy wejściu człowiekiem bez jednej nogi. W tym samym rozległym parterowym budynku znajduje się także dom kultury imienia jednego z wielu męczenników, jest obozowe wydawnictwo literackie, a nawet małe studio nagrań lokalnej muzyki. Wszystko pogrążone w otchłani piachu, zatopione w wydmach, pochłonięte przez pył. Można powiedzieć, że sklepek Mohammeda ma pierwszorzędną lokalizację, w Warszawie Mohammed musiałby zapewne płacić za taką klitkę pięciocyfrową cenę. Zwłaszcza gdy ktoś nam powie, kto mieszka w domu dokładnie naprzeciwno, po drugiej stronie ulicy. Dom taki sam jak wszystkie inne, parterowy, murowany z glinianych cegieł, przykryty kilkoma arkuszami blachy falistej. Ta blacha przykryta natomiast kamieniami, żeby nie odleciała podczas burzy piaskowej. Jedyne, co wyróżnia ten dom, to kraty w oknach. Bo mieszka w nim prezydent Saharyjskiej Arabskiej Republiki Demokratycznej. Biały Dom, tylko że szary i stojący pośrodku pustyni. Mohammed ma za sąsiada najważniejszą osobę w nieistniejącym, obozowym, lepiankowo-namiotowym państwie na wygnaniu.

Zatem Mohammed Moulud stoi za kontuarem swojego przykurzonego kramiku przy głównej ulicy, z Białym Domem naprzeciwno i błękitną dara'a na sobie. Pozuje do zdjęcia, które mu robię. Tym razem role są odwrócone, bo zazwyczaj to on fotografował. Teraz nie dość, że jest po drugiej stronie aparatu, to jeszcze trzyma w ręku inne zdjęcie. Trzyma je dumnie, pierś wypięta do przodu, a jego oczy robią się szkliste. Na zdjęciu młody, przystojny chłopak, z wąsem i rzadkim

czarnym zarostem na twarzy. Na głowie turban, w dłoni karabin uniesiony lufą ku niebu. Oczy wypatrujące czegoś na horyzoncie. Te same oczy. Za nim, w tle, pędzący przez chmury pustynnego pyłu land rover z kilkoma żołnierzami na przyczepie. Zapewne młody chłopak siedzi na takim samym aucie. Więc partyzantka. Wojna. Misja. Pustynia, wiatr, pył i kurz. Gdzie jadą te młode chłopaki? Co zamierzają zrobić? Kogo zaatakować? Marokańczyków? Mauretańczyków? Słońce jeszcze wysoko, środek dnia. Jest ich więcej? Czy poza kadrem kryją się inne auta wypakowane młodymi partyzantami? Może to tylko niewielki patrol przeczesujący niezmiernie pustynne przestrzenie? A może jedno z dziesiątek lub setek aut wracających z bitwy? Zapewne wygranej, bo twarz głównego bohatera ma ten lekki uśmiech, który nie pojawiłby się na obliczu pokonanego żołnierza. „El viento y la arena curten el rostro de Moulud, protagonista de muchas batallas” (Wiatr i piasek smagają oblicze Mouluda, bohatera wielu bitew) – można przeczytać pod fotografią.



© Mohammed Moulud

– A to nie był nawet mój kałasznikow – śmieje się Mohammed. – Bo ja swojego nigdy nie miałem. W ogóle nie miałem broni.

Kałasznikow ze zdjęcia należał do pewnego Hiszpana walczącego w szeregach Frontu POLISARIO. Bo i tacy byli. Po tym, jak Hiszpania opuściła Saharę, wielu przyłączyło się do powstającego ruchu oporu. Woleli zostać tutaj. Niektórzy z nich, choć nie byli muzułmanami, zostali męczennikami.

– Siedzieliśmy wtedy w jednym aucie. On poprosił mnie, bym pottrzymał jego broń na chwilę, i wtedy zrobił mi to zdjęcie. Chyba jedyne, jakie mam z karabinem.

Gdzieś koło Tifariti i chyba w 1977 roku. Mohammed nigdy nie był żołnierzem, nie miał broni ani nawet wojennego imienia jak większość jego kompanów. Miał za to aparat fotograficzny. A z aparatem było wystarczająco dużo roboty, tym bardziej że o fotografii wiedział wtedy jeszcze niewiele. Zwłaszcza o takiej szybkiej, reporterskiej, w pyle wojny, w hałasie strzałów i ogniu wybuchów. Albo strzelasz, albo fotografujesz. Migawka, przesłona, zmienić kliszę, naciągnąć rolkę, znów przesłona, czułość, kadr, a land rover pędzi przez pustynię sto na godzinę i jest pod ostrzałem. Karabin by tylko zawadzał. Ale nawet bez broni Mohammed Moulud miał zawsze miejsce w land roverze, i to tym pierwszym, bo był jednym z trzech reporterów wojennych w saharyjskim wojsku.

Land rovery zresztą uwielbiał, zwłaszcza te pikapy, gdzie mógł jechać z tyłu na pace i swobodnie robić zdjęcia. Być w pierwszej linii. Nie znosił za to transporterów, wozów opancerzonych i ponad wszystko czołgów. Siedzisz w takim i nic nie widać, jedynie gębę drugiego faceta obok ciebie, do tego ciemno i gorąco. Nie da się robić zdjęć!

Na początku wiele fotografii nie wychodziło. Źle ustawiona migawka i cała rolka, trzydzieści sześć zdjęć, do śmietnika. Przepalone lub częściej niedoświetlone, bo większość akcji prowadzono nocą lub o świcie. A partyzanci sprzęt fotograficzny mieli kiepski, zawsze lepiej było kupić nowy karabin niż aparat.

Swój pierwszy Mohammed Moulud dostał w 1974 roku od przyjaciela, który sam był fotografem. Wymarzonym aparatem fotografował wszystko dokoła, rodzinę, znajomych, przyjaciół, zwierzęta, bo zawsze chciał to robić. Gdy wybuchła wojna, miał osiemnaście lat i już od roku był członkiem Frontu POLISARIO. Wtedy mało kto wśród Saharyjczyków znał się na fotografii. Mohammed też nie miał o niej większego pojęcia, ale przynajmniej miał już swój aparat. Został więc oficjalnym reporterem wojennym Frontu. Na początku 1976 roku POLISARIO zorganizował w Algierze szkolenie dla trójki fotografów. Adepti wojennej reporterki nauczyli się, jak obsługiwać aparaty, jak robić i jak

wywoływać swoje fotografie. Nie uczono ich strzelać. Z czasem w Algierze zbudowano dla nich również małą, ale przyzwoicie wyposażoną ciemnię. Mohammed dostał też dwa nowe aparaty, srebrno-czarne kanciaste nikony. Ruszył z nimi na front w lutym 1976 roku.

*

Zielony Marsz wcale nie zdobył Sahary. Trzysta pięćdziesiąt tysięcy marokańskich osadników w blasku fleszy przeparadowało jedynie przez punkt graniczny w Tah, ten sam, na którym wita nas dziś pomnik Hassana I. Wkroczywszy kilka kilometrów w głąb Sahary, marsz wycofał się, a setki tysięcy biedaków, marzących o bogactwie południa, musiało powrócić do swoich nędznych domów na dalekiej północy. Taki scenariusz wydarzeń był zresztą zaplanowany i uzgodniony między władzami Hiszpanii i Maroka. Wojska hiszpańskie na pewien czas wycofały się z granicznych posterunków, by Zielony Marsz mógł odnieść odpowiedni propagandowy sukces. Był to również wyraźny znak dla Saharyjczyków, że wbrew zapewnieniom króla Juana Carlosa Hiszpanie nie będą bronić swojej kolonii. Kilka dni później, 14 listopada 1975 roku, ogłoszono postanowienia podpisanych przez Hiszpanię, Maroko i Mauretanię porozumień madryckich, przewidujących podział Sahary na dwie części. Ostatni hiszpański żołnierz miał opuścić Saharę do 26 lutego 1976 roku.

Hiszpanie pakowali się w pośpiechu. W popłochu. Zupełnie niegodnym hiszpańskich macho. Wielu z nich odczuwało, że zostali zdradzeni przez własny rząd z premierem Ariasem Navarro na czele. Być może historia Sahary Zachodniej potoczyłaby się inaczej, gdyby 20 listopada 1975 roku bomba podłożona przez grupę zbuntowanych hiszpańskich oficerów w hotelu Parador w El Aaiúnie wybuchła zgodnie z planem o siódmej rano. Ale nie wybuchła. I nie zabiła grupy marokańskich dygnitarzy wojskowych odpowiedzialnych za przejmowanie władzy z rąk Hiszpanów. Godzinę później w Madrycie zmarł za to Francisco Paulino Hermenegildo Teódulo Franco y Bahamonde Salgado Pardo, w skrócie generał Franco.

Było już słyhać szcęk żelaza unoszący się nad pustynnym krajobrazem. Niektórzy mówili, że widzieli marokańskich żołnierzy na obrzeżach miast. Zło, które miało nadciągnąć z północy, 27 listopada zajęło Smarę, a 11 grudnia czołgami wjechało do El Aaiúnu. Od południa wojsko mauretańskie zmierzało

w kierunku Villi Cisneros.

Mohammed Moulud nie pamięta, gdzie dokładnie zrobił to zdjęcie. Mówi, że gdzieś koło Tifariti, ale nie jest pewien. Nie pamięta dokładnie kiedy, ale jest pewien, że pod koniec lutego 1976 roku. Nie wie też, skąd jechali ci ludzie, nie zdążył z nimi porozmawiać. Jego patrol zatrzymał się przy konwoju jedynie na chwilę, tyle by zrobić kilka zdjęć i pojechać dalej. Bo czasu było wtedy mało, a chaos wszechogarniający. Mohammed ma jeszcze kilka podobnych fotografii, z delikatnie innym kadrem, z inną kompozycją, ale ta jest najlepsza. Mimo że niewiele może o nim powiedzieć, jest to zdjęcie ważne dla Mohammeda. Jako jedno z niewielu jest wywołane, oprawione w plastikową folię. Bo reszta czeka na kliszach lub slajdach, schowana w przykurzonych kopertach, klaserach, zeszytach. Gdy pytam go, które ze zdjęć uważa za najważniejsze, jako pierwsze daje mi to.

Te ciężarówki to amerykańskie GMC, zabrane Marokańczykom przez partyzantów. Własnych Saharyjczycy nie posiadali, a wielbłądy im zabito lub musieli je zostawić. Więc kto mógł, pakował się na te ciężarówki. Bagażów nikt nie miał, kto zdążył pozbierać podręczne rzeczy, i tak miał szczęście. Najważniejsze było zabrać chajmę, namiot, ale i to nie wszystkim się udało. Te kije, co wystają z ciężarówek, to maszty namiotów właśnie. Czasami ktoś wrzucił jakieś koce, ubrania, czajnik czy garnek. Lub kozę. To wszystko załadowane na naczepy, przytroczone do burt, poprzywiązywane do błotników, jak tylko się dało. A na tym ludzie. Czasami po kilkadziesiąt osób. Wystraszonych, głodnych, spragnionych, często rannych lub oddzielonych od swoich rodzin, zagubionych. A ciężarówek było niewiele. Mimo że kursowały tam i z powrotem, mogły zabrać tylko starców, kobiety, dzieci. Ci, którzy mogli, szli na piechotę, czasami całą drogę.

Ze Smary do bezpiecznej Algierii to ponad pięćset kilometrów. Z El Aaiúnu już siedemset, a z Capo Bojador więcej niż dziewięćset. A ci, którzy mieszkali w tych miastach, i tak mieli najkrótszą drogę. Bo mieszkańcy Auseru lub Villi Cisneros mieli przed sobą ponad tysiąc dwieście kilometrów. Najdalej

mieli mieszkańcy południowych rubieży kraju, Zug, Tichli, Bir Gandús i okolic La Güery, bo blisko tysiąc pięćset. Bez dróg, przez pustynię, w środku saharyjskiej zimy. Granica z Algierią ma raptem czterdzieści kilometrów długości. Wszędzie dokoła wróg, na północy Maroko, na południu i na wschodzie Mauretania. Ale dla większości, mimo odległości i niebezpieczeństwa, wybór był oczywisty. Ucieczka.

Opuszczając swoje domy, wielu myślało, że to tylko na kilka dni, może miesiąc. Nie dłużej.

*

W styczniu 1976 roku nieliczne oddziały Saharyjskiej Ludowej Armii Wyzwolenia zorganizowały tymczasowe obozy dla ewakuowanej ludności cywilnej. Dziesiątki tysięcy ludzi uciekających z każdego zakątka Sahary Zachodniej zgromadziło się w osadach Tifariti, Guelta Zemmur i Umm Dreiga przy wschodniej granicy kraju. Nadal setki kilometrów od granicy Algierii, jedyne go kraju, który udzielił im schronienia. Saharyjczycy do dziś wspominają wsparcie, jakie okazała im Algieria już w pierwszych dniach konfliktu. Oprócz pomocy finansowej i militarnej Algierczycy, ryzykując otwarty konflikt z Marokiem, wysłali nawet swoje wojska, by zabezpieczyć ewakuację ludności. Pierwszy z obozów stał się chwilowym domem dla mieszkańców El Aaiúnu, Smary, Capo Bojador, Bu Craa. W pozostałych dwóch schronienie znaleźli ci, którzy opuścili Villę Cisneros, Tichlę, Zug, Ausert, La Güerę, oraz tysiące tych, którzy prowadzili koczowniczy tryb życia, podróżując po nieskończonych piaskach południa kraju.



© Mohammed Moulud

Więc kim są ci ludzie na pierwszym planie fotografii, którą zrobił Mohammed Moulud? Rodzina? Czy tylko przypadkowi towarzysze podróży, którym przyszło dzielić naczepę ciężarówki? Skąd jadą, co przeszli? Czy ich krewni zostali tam, skąd oni uciekają? Czy żyją? Na zdjęciu większość to kobiety i dzieci, czy wiedzą zatem, co z ich ojcami, mężami, starszymi braćmi? Czy kiedykolwiek ich jeszcze zobaczą? I kim jest ta kobieta na ziemi, w czarnej chuście, podpierająca się jedną ręką? Tak przyciąga wzrok. Czy jest ranna bądź u kresu sił? Potrzebuje pomocy? Czy tylko przysiadła na ziemi, by skorzystać z chwili wytchnienia w długiej drodze, i teraz próbuje się podnieść? Jak ma na imię? Może to ktoś z rodziny Ahmed Baba? Lub Berray? Może ktoś z rodziny Yauguihy Aya? Albo ktoś od Machnanów lub Buhów? Może to jednak rodzina Ahmed Zein? Nie, ci raczej nie, wszyscy zginęli przecież kilka dni wcześniej. Więc może to trzydziestoczteroletnia Tercha Malainine, która ucieka z Villi Cisneros? Albo osiemnastoletnia Maaluma Bujari?

*

Maaluma pamięta, że matka uczyła ją, że żadne bogactwo nie jest wieczne, każdy

majątek kiedyś przeminie, więc nie należy do niego przywiązywać większej wagi. Dziś mamy stado kóz, a jutro już go nie ma. Dlatego należy się dzielić i dobrze żyć ze swoimi sąsiadami. A sąsiedzi w rozumieniu nomadów to czterdzieści namiotów w każdą stronę świata. W pustynnych warunkach to czasami dziesiątki lub setki kilometrów. Ale mówiło się też wśród Saharyjczyków, że sąsiedzi to ci, którzy usłyszą twój krzyk.

1975 rok był nadal rokiem spokojnym dla rodziny Bujari. Ze swoim stadem wielbłądów i kóz, zapewniającym dostatnie życie, kilkusobowa rodzina wędrowała między Villą Cisneros a El Aargub i Imilili po drugiej stronie zatoki. Nie zapuszczali się dalej. Trójkąt wyznaczony tymi miejscowościami to była ich ziemia. I choć cała rodzina była zaangażowana w konspirację przeciw Hiszpanom, życie płynęło raczej powoli i spokojnie.

O Marokańczykach wiedzieli niewiele. Nikt z nich nigdy żadnego nie znał ani nawet nie widział. Słyszeli jedynie, że to naród rządzony przez dyktatora, despotę, króla, przed którym trzeba klękać i całować go w rękę. Już to było dla nich trudne do zrozumienia, bo Saharyjczycy klękają jedynie przed Bogiem. Co innego Mauretańczycy. Tych rodzina Bujari znała całkiem dobrze. W okolicy Villi Cisneros przybysze z południa pojawiali się często, a i sami Saharyjczycy nierzadko wybierali się na handel do położonego tuż za granicą Nawazibu. Mauretańczyków uważano za spokojny i raczej pokojowo nastawiony naród. Do tego też mieli wielbłądy, mówili w dialekcie hassanijja i ubierali się podobnie. Prawie bracia. Algieria i jej mieszkańcy to była tajemnica. Wiedziano o niej niewiele, tyle że jest daleko i że w Tindufie, najbliższym mieście, co roku odbywa się wielki targ, na który czasami jeździły karawany z okolic Villi Cisneros.

Na jesieni w pobliżu Imilili Maalunie urodziła się córeczka. Wtedy też z radia, które zawsze miała przy sobie, zaczęły płynąć złowrogie dźwięki. Już same te odgłosy, przemówienia króla, wojskowych dygnitarzy, przerywane szumem, sprawiały, że Maaluma zaczęła się bać. Niedługo potem w radiu zaczęli mówić, że z północy i z południa idzie wojna.

– A następnego dnia w oddali usłyszeliśmy wybuchy – wspomina Maaluma, siedząc przede mną w niewielkim domu w obozie uchodźców. Obok niej dwie inne kobiety, bo wszystkie chcą się podzielić swoją historią. – Wieczorem do naszego domu przyszło trzech mężczyzn z rodziny Ahmed Zein. I powiedzieli, że żołnierze są już blisko i trzeba uciekać. Teraz, już.

Jej córka miała wtedy czterdzieści dni, Maaluma pamięta to dobrze, dokładnie

czterdzieści. Zawinęła ją w chustę i wzięła na plecy. Zabrała starszą matkę i siostrę, w jedną rękę chwyciła butelkę z wodą, a w drugą radio. By słuchać muzyki po drodze. I poszła za trójką mężczyzn. Za sobą zostawiła swój frig i zwierzęta, bo myślała, że niedługo wróci.

Poszli do oddalonego o dwadzieścia parę kilometrów miejsca. Tam, ku zdziwieniu Maalumi, byli już ludzie z innych okolicznych osad i przysiołków. Znała wielu z nich, w końcu to sąsiedzi. Mimo panującego chaosu punkt zbiórki był dobrze zorganizowany, nawet jedzenie dla nich przygotowali. Nie było tylko samochodów, a wszyscy mówili, że trzeba jechać na wschód.

Ciężarówki przyjechały następnego dnia. Na tej, na której jechała Maaluma wraz z córką, matką i siostrą, było jeszcze osiemdziesiąt innych osób. Ci, którzy się nie zmieścili, jechali uczeplieni kurczowo burt auta. Byle tylko nie zostać.

Oddalona o dwieście pięćdziesiąt kilometrów Umm Dreiga była niewielką oazą położoną u stóp pasma pustynnych brunatnych wzgórz. Były tam też drzewa rosnące w korycie wyschniętej rzeki i dobre źródło słodkiej wody. Ale przede wszystkim Umm Dreiga była odległa, otulona bezkresem pustyni, a to przynajmniej w jakimś stopniu dawało poczucie bezpieczeństwa.

– Namioty budowaliśmy z własnych ubrań, najczęściej z kobiecych melhf. Zresztą mężczyzn w obozie było niewielu, bo ci, jak mój brat, bili się już z wojskami Maroka i Mauretanii. W kilka dni zbudowaliśmy szpital polowy, magazyn żywności, nawet tymczasową szkołę dla dzieci!

Do obozu wciąż napływali nowi ludzie, pozbierani z pustynnych przysiołków południowej Sahary. Większość z nich przychodziła na piechotę, niektórzy boso. Każdego przybysza rejestrowano i kwaterowano w odpowiednim sektorze obozu. Dostawali małe tymczasowe namioty i przydział jedzenia, mąki i oliwy do odbioru w magazynie żywności. Nie wiadomo dokładnie, ile osób przebywało w Umm Dreidze, ludzie mówią, że tysiące, niektórzy podają liczbę dziesięciu tysięcy. Wiadomo, że obóz ciągnął się wzdłuż wschodniego brzegu rzeki przez kilka kilometrów, tak by każdy mógł korzystać z cienia dużych drzew rosnących w uedzie. Maaluma i jej rodzina spędzili w obozie Umm Dreiga blisko trzy tygodnie. Dni wyglądały podobnie. Ze względów bezpieczeństwa ludziom zalecono, by za dnia ukrywali się na pobliskich wzgórzach. O świcie więc większość osób wyruszała w poszukiwaniu cienia, w którym mogliby przeczekać dzień. Wracali o zmierzchu, by spędzić noc w swoich namiotach. Mimo że Umm Dreiga była daleko, bali się. Po obozie krążyły pogłoski, że widziano lecące

wysoko samoloty. Ludzie mówili też, że słyszeli helikoptery. I że ponoć robią zdjęcia. Ale Maaluma, jak większość ludzi, nie wierzyła w te historie. Tym bardziej gdy któregoś dnia do obozu powrócili zwiadowcy i powiedzieli, że nie ma się czego obawiać, bo wojska nie dotrą szybko w pobliże Umm Dreigi. Złagodzone więc środki bezpieczeństwa. Ludzie już nie chodzili w góry, całe dni spędzali w obozie.

Tego dnia wiele osób mówiło o samolocie, który przeleciał nad obozem około piątej rano, ponoć niżej i bliżej niż poprzednie. Maaluma poszła z córką do obozowego szpitala usytuowanego na północnym skraju obozu. Szpitalem opiekowała się Chaia Azman Ahmed Zein, młoda pielęgniarka, będąca w dziewiątym miesiącu ciąży. Cała rodzina Ahmed Zein mieszkała zresztą tuż obok prowizorycznej przychodni. Wróciwszy z wizyty, Maaluma spotkała przed namiotem swoją matkę zbierającą chrust na ogień. Zostawiła jej córkę, bo miała iść w gości do namiotu znajomych, tuż obok.

*

Ze zdjęcia znalezione w dokumentach muzeum Mohammed Betich patrzy na nas dość srogim wzrokiem. Nienagannie ułożona fryzura zaczesana na prawy bok, do tego bujne, lekko wywinięte wąsy i nieznacznie zmarszczone czoło. Brwi ściągnięte i mocno zakrzywione. Wygląda trochę jak oficer z dziewiętnastowiecznej armii pruskiej.

Kim był Mohammed Betich? Informacji jest niewiele. Urodzony w 1945 roku w Khémissecie (Al-Chamisat) w Maroku, żonaty, dwójka dzieci, piętnastoletni syn Hakim i młodsza córka Sonia. A żona miała na imię Renee. Do wojska wstąpił w 1962 roku, został pilotem w jednostce BAFRA 2, stacjonującej w Marrakeszu. Latał na myśliwcach F-5, smukłych, nowoczesnych jak na tamte lata samolotach amerykańskiej produkcji. Marokańska armia zakupiła wiele maszyn tego typu. Były one zresztą przeznaczone właśnie dla krajów rozwijających się. Producent, koncern Northrop, nadał im nawet niezwykle wzniosłą nazwę: Freedom Fighter.

Mohammed Betich, w stopniu podoficerskim adjudant-chef, przybył na Saharę 15 stycznia 1976 roku i już wkrótce rozpoczął loty bojowe. Jaki rozkaz dostał o poranku 20 lutego? Czy był on podpisany tak jak inne: „Que Dieu vous protège et vous aide à accomplir dans la dignité et l'honneur votre noble mission fidèle à votre devise éternelle DIEU PATRIE ROI. Signé: Sa Majesté Le Roi, Chef Suprême et

Chef d'Etat Major, Général des FAR. El Hassan Ben Mohammed” (Niech Bóg was chroni i pomaga wam z godnością i honorem wypełnić misję, której przyświeca hasło: Allah, Ojczyzna, Król. Podpisano: Jego Królewska Mość, Najwyższy Przywódca, Głowa Państwa, Generał FAR. El Hassan Ben Mohammed)? O czym myślał, startując z lotniska w El Aaiunie i obierając kurs na południe? Co zajmowało jego głowę w ciągu tych dwudziestu paru minut lotu, które dzieliły go od celu? Czy rozmawiał o czymś ze swoim skrzydłowym? Czy był przekonany o sensie swojej misji? Czy tylko ślepo wykonywał rozkazy? Czy może nie miał wyjścia? Czy był kiedyś wcześniej na Saharze Zachodniej? Może znał kogoś z tych terenów? Czy wierzył w Zielony Marsz i ideę Wielkiego Maroka? Czy kochał swojego króla? Być może wcale się nad tym nie zastanawiał, był przecież żołnierzem, ale ja i tak zadam więcej pytań.

Co widział Mohammed Betich, gdy jego Freedom Fighter zniżał lot kilka kilometrów przed celem? Czy zagościło w nim choć na chwilę zwątpienie? Jakaś refleksja? Może przedwczesny wyrzut sumienia? Co widział, gdy nadlatywał nad tysiące czarnych namiotów rozstawionych przy rzece? F-5 to nie jest bombowiec strategiczny, to myśliwiec, bomby zrzuca z niewielkiej wysokości. Zwłaszcza gdy pod skrzydłami ma ładunki z napalmem i białym fosforem. Wtedy pilot musi zniżyć maszynę tuż nad ziemię, nie więcej niż sto metrów. Tak by tysiące litrów lepkiej substancji zapalającej, uwolnionej z bomb, mogło swobodnie rozlać się po jak największej powierzchni, przylgnąć do jak największej liczby ciał, wsiąknąć w jak najwięcej ubrań, przylepić do jak największej liczby namiotów.

Więc co widział Mohammed Betich, przelatując o godzinie 11.45 tuż nad obozem? Czy widział krzyczących ludzi? Czy widział tych, którzy w panice uciekali na wzgórze? Lub tych, którzy szukali schronienia pod drzewami? Albo tych, którzy upadli na ziemię, przykrywając głowę rękoma? Lub tych, którzy z niedowierzaniem wpatrywali się w niebo? Czy widział Terchę Malainine i jej córkę Zuenanę, którą zaraz trafi odłamek jego bomby? Czy zobaczył rodzinę Ahmed Zein zgromadzoną wokół szpitala, która cała zginie w lepkich płomieniach? Buchra, Embarca, Hamadha, Takbir, Taufa, Bad, Azman. To ich imiona. Czy widział będącą w ciąży pielęgniarkę Chaię Ahmed Zein, której wybuch jego bomby wyrwie z brzucha nienarodzone dziecko? Lub namioty rodziny Berray, które spłoną wraz z Etfarrhem, Fueilą, Saabuhem i Sidi Dadahim? Czy ze swojego kokpitu zauważył rodzinę Buh, której zada długą i dość powolną śmierć? Albo rodzinę Machnan, Fulę i jej dwójkę dzieci, którym zaraz odbierze

życie? Czy widział ludzi wybiegających ze szpitala i tych uciekających z magazynu jedzenia, które to były głównym celem jego nalotu? A może zdążył się przyjrzeć choćby tym stojącym przy studni, zanim zrzucił na nich bomby? Może chociaż zobaczył biegające między chajmami dzieci? Czy dostrzegł w końcu Maalumę Bujari, stojącą przed swoim namiotem, i jej matkę próbującą rozpalić ogień? Czy miał choć ułamek sekundy, by się im przyjrzeć? Jaka myśl gościła w głowie Mohammeda Beticha, gdy naciskał czerwony przycisk w kokpicie? Czy zadrżała mu ręka?

I co widział, gdy spokojnie zawrócił swój samolot, zatoczył koło nad wzgórzami i ponownie nadleciał nad obóz, by zrzucić kolejne bomby z napalmem i białym fosforem? A potem raz jeszcze. Dla pewności. Co czuł Mohammed Betich, zostawiając za sobą ogarniętą płomieniami Umm Dreigę i kierując się w stronę lotniska w El Aaiunie? Czy dobrze spał tej nocy?

*

Namiotu, do którego Maaluma Bujari była zaproszona na obiad, już nie było. Jej samej też nie było, przynajmniej przez krótką chwilę, gdy leżała na ziemi ogłuszona wybuchem. Odłamek bomby zrzuconej przez Mohammeda Beticha przeleciał między nią a stojącą tuż obok matką. Ta krzyczała, by Maaluma wzięła córkę i uciekała czym prędzej pod drzewa, bo samoloty na pewno wrócą.

Córka Maalumy umarła kilka dni później, już na terenie Algierii, wskutek poparzeń dróg oddechowych. Podobnie jak trzyletnia córka i roczny syn Terchy Malainine i dziesiątki, może nawet setki innych dzieci i dorosłych, którzy nie zginęli w samym bombardowaniu.

– Ale wtedy jeszcze siedzieliśmy pod drzewami, ona cały czas płakała i ja ją pierwszy raz w życiu uderzyłam. Żeby już przestała. Bo tak się strasznie bałam, że Marokańczycy nas usłyszą i zrzucą na nas kolejne bomby. Myślałam, że cisza nas uratuje. Pod wieczór ktoś przyszedł i powiedział, że trzeba wrócić do obozu, by zabrać żywność i poszukać wody. Więc poszłam pomóc. A tam wszędzie leżało mięso. Ludzkie. I zwęglone. Znalazłam rękę. Znałam tę rękę. Miała tasbih na palcach. Ale była tylko ręką, reszty nie było. Dni po nalocie spędzaliśmy, chowając się na wzgórzach. Baliśmy się nawet rozmawiać, nie mogliśmy rozpalić ognia, byliśmy pewni, że samoloty wrócą. Niektórzy wykopali sobie jamy w piasku. Ludzie nie ruszali się stamtąd, byli sparaliżowani, niektórzy postradali zmysły.

Żeby ich wyciągnąć, trzeba było ich straszyć, że samoloty lecą, wtedy w panice wybiegali – opowiada Maaluma.

Ze wzgórz schodzili po zmroku, wychodzili spod drzew, spod głazów, z wykopanych dziur i szli do obozu szukać resztek jedzenia. Inni ukryci w górach nawet nocą nie schodzili do obozu, bo tam wszędzie leżały trupy. Zresztą nie było do czego wracać, płomienie napalmy strawiły wszystko. W wykopanych w pobliżu koryta rzeki dołach pochowano szczątki ludzi. By podbudować morale, ktoś wpadł na pomysł, by na wzgórzu ustawić drewniane działo. Z daleka, z obozu, wyglądało jak prawdziwe, nikt nie wiedział, że to tylko konar drzewa.

– Powiedzieli, że już jesteśmy bezpieczni, że teraz żaden samolot nie odważy się tu przylecieć.

*

Maaluma twierdzi, że widziała jeden samolot. Inni, że były dwa, a nawet trzy. Tego samego dnia marokańskie lotnictwo zbombardowało również obóz uchodźców w Tifariti, a następnego dnia w Guelcie Zemmur i jeszcze raz w Tifariti. W żadnym z nich nie było broni, celów wojskowych ani partyzantów Frontu POLISARIO. Po dwóch tygodniach ludność obozu Umm Dreiga została ewakuowana ciężarówkami w stronę Algierii. Wielu setki kilometrów przeszło znowu na piechotę. Ludzie na zdjęciu, które Mohammed Moulud zrobił pod koniec lutego, to najprawdopodobniej ci, którym udało się przeżyć bombardowanie.

Gdy dotarli do Algierii, El Wali Sajed, przywódca Frontu POLISARIO, zalecił, by ofiary bombardowań osiedlić w oddalonej o blisko dwieście kilometrów oazie, którą nazwano Dakhla. Tak by nie słyszały dźwięku algierskich samolotów startujących z lotniska w Tindufie.

Latem 1976 roku w jedenastu rozrzuconych na pustyni, prowizorycznych obozach żyło już pięćdziesiąt tysięcy ludzi. W okupowanym El Aaiunie zostało niespełna sześć tysięcy Saharyjczyków, piąta część populacji, która żyła tam przed marokańską inwazją.

Ale wróćmy jeszcze na chwilę do pilota Mohammeda Beticha. Co sobie pomyślał, gdy 17 grudnia 1976 roku, dziesięć miesięcy po zbombardowaniu obozów, jego F-5 Freedom Fighter zaczął niespodziewanie spadać, trafiony pociskiem ziemia–powietrze, nieopodal oazy Hagunía? Czy wyskoczywszy z samolotu, wiedział, że jest nad terytorium kontrolowanym przez Front

POLISARIO? Czy był gotowy na śmierć lub niewolę, gdy przez długie minuty szybował nad pustynią? Czy ogarnął go strach, gdy wylądowawszy na ziemi, zobaczył przed sobą wycelowane lufy saharyjskich partyzantów? I przede wszystkim co czuł, gdy kilka dni później, wraz z sześcioma innymi pojmanymi pilotami, został wprowadzony do namiotu, gdzie siedziała pewna kobieta, na której ciele nadal widać było ślady poparzeń? Co zobaczył w oczach stojącej przed nim Terchy Malainine, która kilka miesięcy wcześniej pochowała dwójkę swoich dzieci? Jak mocno biło mu serce, gdy jeden z partyzantów spytał: który z was rzucił bomby na tę kobietę? Czy łatwo przyszło mu podnieść rękę i się przyznać? Ile miał w sobie wiary, gdy partyzant podał kobiecie pistolet i spytał: czy chcesz go zabić? Czy długa cisza wyrażała skrucę, czy pogardę, gdy nie zdobył się na słowo „przepraszam”? A może zubożenie? Czy pozostał niewzruszony, gdy Tercha Malainine nie wzięła do ręki pistoletu i spytała go: co zrobisz, jak puścimy cię wolno? Co miał na myśli, gdy odrzekł, że lepiej dla niego, by zginął tu, niż wrócił do Maroka?

Ciekawi mnie również, nad czym Mohammed Betich zastanawiał się przez lata, które spędził w więzieniu w Rabuni. Czego najbardziej żałował? Za czym najbardziej tęsknił? Jak był traktowany w więzieniu? Czy naprawdę miał nadzieję, że wkrótce wróci do rodziny, gdy pisał życzenia noworoczne zakończone tymi słowami: „[...] avec un grand espoir que cette guerre finisse” (z nadzieją, że ta wojna wreszcie się skończy). Jak się poczuł, gdy okazało się, że Jego Wysokość odmówił przyjęcia marokańskich więźniów wojennych przetrzymywanych przez Saharyjczyków i zaprzeczał, by tacy w ogóle istnieli? Co zrobił, gdy w końcu po dwudziestu siedmiu latach wyszedł na wolność i wrócił do domu?

– Spójrz na to zdjęcie, widać ten sam ogień w oczach. On przemawiał jak Fidel Castro, z tą samą siłą i wiarą. A do tego był wizjonerem. Już wtedy mówił o wielu rzeczach, które teraz są częścią naszej rzeczywistości. Przewidział, że nasze ziemie zostaną podzielone murem. Mówił też, że Sahara nie będzie wolna tak długo, jak długo nie będą wolne inne narody regionu.

Mohammed Moulud oprowadza mnie dziś po Muzeum Wojny. Wziął ze sobą nawet starą minoltę, reporterską kamizelkę w kolorze khaki i okulary à la amerykański policjant. Wygląda, jakby zaraz miał ruszyć na akcję lub grać w filmie sensacyjnym. W sali, w której prezentowane są zdobyczne działa, armaty i pojazdy, Mohammed pozuje mi nawet do zdjęć, celując niedziałającym aparatem w unieruchomione dawno pojazdy.

Szesnaście lat wojny zostawiło po sobie wiele wspomnień i jeszcze więcej złomu. Dokumenty, książki, pisma, gazety, tablice wypełnione cyferkami. Do tego wszelkiego rodzaju wojenne żelastwo, od pistoletów, karabinów i moździerzy przez miny, bomby, armaty różnego kalibru po czołgi, działa samobieżne, a nawet zestrzelony marokański samolot. Człowieka można zabić na bardzo wiele sposobów.

W muzeum jest też sala poświęcona El Waliemu Sajedowi, który w sierpniu 1974 roku objął stanowisko sekretarza generalnego Frontu, zastępując Brahima Ghaliego. W gablotach znajdziemy dokumenty, metryki, legitymacje, notatki, listy i całą kolekcję zdjęć przywódcy. Na jednym z nich El Wali z Huarim Bumediem, prezydentem Algierii, przy stole konferencyjnym. Na innej fotografii El Wali podaje sobie rękę z Mu'ammarem Kaddafim, prezydentem Libii, na jeszcze innej rozmawia z jednym z generałów armii Wietnamu Północnego. Znajdziemy też szereg portretów młodego lidera, w tym ten najważniejszy, który dla Saharyjczyków stał się takim samym symbolem jak słynne zdjęcie Che Guevary dla Kubańczyków. Większość tych fotografii zrobił Mohammed Moulud.

A potem jest to zdjęcie. Z 20 maja 1976 roku, zrobione tu, w Rabuni, podczas

przemówienia z okazji rocznicy pierwszej bitwy Frontu POLISARIO.

– Są tacy ludzie, którym Bóg pomaga być dobrymi, wspaniałymi pod każdym względem. My słuchamy do dzisiaj jego słów – mówi Mohammed, przyglądając się swojemu zdjęciu. – Bo to było nie tylko historyczne przemówienie. To było również pożegnanie, choć wtedy jeszcze tego nie wiedzieliśmy.

*

Gdy marokańskie myśliwce zrzucały napalm na obozy uchodźców w Tifariti, Guelcie Zemmur i Umm Dreidze, Sahara Zachodnia formalnie nadal pozostawała pod administracją Hiszpanów. Ale ci byli wówczas zajęci pośpiesznym pakowaniem resztek kolonialnej władzy. Saharyjczycy nie doczekali się więc żadnej reakcji ze strony byłego kolonizatora, nie wydano nawet oświadczenia, które potępiłoby bombardowania. 26 lutego 1976 roku, zgodnie z ustaleniami porozumień madryckich, ostatni hiszpański żołnierz opuścił teren Sahary, pozostawiając kraj pod administracją Maroka i Mauretanii, które ustanowiły między sobą nową granicę przecinającą Saharę w poprzek, mniej więcej na wysokości Villi Cisneros.

Bir Lehlú znaczy tyle co słodka studnia. Choć woda, którą znajdziemy w tej odległej oazie, wcale słodka nie jest. Trudno Bir Lehlú nazwać nawet oazą. Nie ma tutaj żadnych drzew, nie znajdziemy też palm daktylowych czy malowniczych wydm. W ogóle w Bir Lehlú jest niewiele. Krajobraz osady to głównie setki czerwonych, pomarańczowych, czasami zielonych beczek po oleju napędowym, stojących bezładnie wzdłuż głównej drogi. To prowizoryczne stacje benzynowe. Do tego opony walające się tu i ówdzie, części aut terenowych, pojedyncze namioty, parę blaszanych wiat, kilka glinianych domków i wiatr. Zagubiony na pustyni land rover znajdzie tu bezpieczny azyl, benzynę i części zamienne. Patrząc na swoje zdjęcia z tego miejsca, robione w pośpiechu pewnego grudniowego popołudnia, gdy nasze auto zatrzymało się przy jednym ze sklepików tylko po to, by po chwili pomknąć dalej w kierunku następnej oazy. Trudno coś więcej napisać o Bir Lehlú poza tym, że jest daleko i nie prowadzi do niego żadna droga. A mimo to Bir Lehlú wpisane jest w historię Sahary Zachodniej jak żadna inna miejscowość.

„W imieniu narodu Sahrawich, w zgodzie z jego wolą, flaga Saharyjskiej Arabskiej Republiki Demokratycznej wzniesiona została nad ziemią Saguia el

Hamra i Rio de Oro” – zaczynał swoje wystąpienie przed kamerą algierskiej telewizji El Wali. Sajed, który podobno miał się urodzić właśnie tutaj, w Bir Lehlú. Tego samego wieczora proklamację wygłosił też Mohammed Ould Zion, przewodniczący Tymczasowej Saharyjskiej Rady Narodowej.

„Narodziny nowego afrykańskiego państwa, z głębokimi korzeniami w historii naszego ludu, z cywilizacją, która obejmuje cały rejon Maghrebu, zostały tym samym proklamowane. Siła tego państwa pochodzi z wiary jego synów w prawo do życia w wolności, a jego główną bronią jest ich determinacja i wytrwałość w walce”.

Tego dnia, w piątek 27 lutego 1976 roku, w Bir Lehlú zbudowano specjalne obozowisko. Do malutkiej oazy zjechali przedstawiciele Frontu POLISARIO ze wszystkich części Sahary, jak również mieszkańcy obozów w Algierii i wielu nomadów zamieszkujących okoliczną pustynię. Na uroczystość zaproszono też kilkudziesięciu zagranicznych dziennikarzy.

„Nowa karta w historii naszego narodu zostanie wkrótce zapisana walką ludzi, którzy dziś odważyli się przeciwstawić kolonializmowi swoich sąsiadów. Ich heroiczna postawa doprowadziła poprzednią kartę historii wrogiego kolonializmu do końca. Dziś naród Sahrawich zdecydował się otwarcie wykonać wiekopomny krok, by powołać instytucje czerpiące z rewolucyjnej tradycji, a niezbędne, by zwyciężyć w walce o wolność i prawdziwie demokratyczną władzę.

By wypełnić wolę naszego ludu, Front POLISARIO, z jednogłośnym poparciem Tymczasowej Rady Narodowej, zdecydował o powołaniu rządu, który przyjmie na siebie obowiązki prowadzenia dalszej walki, wzniesienia sztandaru wolności wyżej i wyżej aż do ostatecznego zwycięstwa, gwarantującego pokój i bezpieczeństwo naszego narodu i otwierającego przed nim i przed bratnimi narodami arabskimi i afrykańskimi drogę do jedności i wolności.

Przy tej okazji pragniemy raz jeszcze podkreślić nasze przywiązanie do wartości reprezentowanych przez Organizację Narodów Zjednoczonych i Organizację Jedności Afrykańskiej, w szczególności tych, które dotyczą ochrony praw człowieka, terytorialnej integralności i poszanowania granic jako gwarancji pokoju i bezpieczeństwa w Afryce i na świecie.

Chcemy zwrócić uwagę Organizacji Narodów Zjednoczonych, Organizacji Jedności Afrykańskiej i Ligi Państw Arabskich na ich historyczną odpowiedzialność wobec pokojowego narodu, który staje się ofiarą zagłady i prawdziwego ludobójstwa.

Wzywamy wszystkie narody świata, bo jest to także ich odpowiedzialność, by wspomogły ofiary agresji, tak by imperialistyczne zakusy obcych państw się nie powiodły. W tym historycznym momencie, gdy na naszej ziemi ustanowiony zostaje rząd Saharyjskiej Arabskiej Republiki Demokratycznej, a w tym samym czasie jest on proklamowany w Algierze, Trypolisie, Antananarywie, Konakry, Bużumburze, wyciągamy przyjacielską dłoń do bratnich narodów Maroka i Mauretanii i prosimy je, by wsparły nasze dążenie do wolności i zrozumiały, że przyszłość należy do ludu. Wzywamy je, by powstrzymały rozlew niewinnej krwi, i domagamy się, by ta wojna narzucona nam przez ich rządy, a służąca jedynie interesom obcych państw została zakończona”.

Była północ, gdy stojący na prowizorycznej mównicy El Wali Sajed wypowiadał te słowa. Ceremonię zorganizowano w nocy w obawie przed marokańskimi samolotami. Na maszcie przy placu apelowym wciągnięto czarno-biało-czerwono-zielony sztandar nowego państwa. Uroczystość trwała zaledwie kilkanaście minut.

„Wyciągamy także przyjacielską dłoń do wszystkich narodów i państw na świecie, prosząc je, by wsparły naszą słuszną walkę i uznały Saharyjską Arabską Republikę Demokratyczną. Przy tej okazji podkreślamy naszą szczerą wolę, by ustanowić przyjacielskie stosunki i współpracę ze wszystkimi państwami na bazie wzajemnego szacunku i narodowej suwerenności.

Jesteśmy zdeterminowani – kończył wystąpienie El Wali Sajed – kontynuować naszą walkę aż do ostatecznego zwycięstwa, niezależnie od ofiar, których będzie ona wymagać. Albowiem tak długo, jak trwać będzie agresja na nasz naród, tak długo, jak nie wyzwolimy naszej ziemi, nasz region nie zazna pokoju ani stabilności”.

Tekst proklamacji rozesłano do afrykańskich ambasad, a El Wali Sajed został pierwszym prezydentem Saharyjskiej Arabskiej Republiki Demokratycznej. El Wali wystosował również listy do Hassana II i Moktara Ould Daddaha, w których żądał uznania Saharyjskiej Republiki. Ogłoszono dwa dni święta narodowego. Niebo nad Bir Lehlú rozświetliło kilka fajerwerków, a echo niesło odgłos oklasków i karabinowych wystrzałów. Ludzie wznosili w górę ręce zaciśnięte w znak wiktorii, niektórzy myśleli, że wraz z proklamacją republiki nadeszła wolność. Że to już.

Rankiem 28 lutego w oazie nie było już nikogo. Jeszcze tego samego dnia nowa republika została oficjalnie uznana przez Madagaskar, a kilka dni później przez Algierię.

*

Juan Carlos miał powiedzieć Hassanowi II, że inwazja na Saharę Zachodnią nie zajmie dłużej niż tydzień, Saharyjczycy to bowiem naród pasterski, niemający większego pojęcia o wojnie. Zwycięstwo sześćdziesięciopięciotysięcznej armii marokańskiej wyposażonej w amerykańskie samoloty, francuskie czołgi i rakiety zdawało się łatwe i raczej pewne. Przed sobą mieli przecież partyzantkę liczącą kilka tysięcy kiepsko uzbrojonych ludzi, bez ciężkiego sprzętu, o lotnictwie nie wspominając.

– Tylko że oni walczyli o coś, co do nich nie należało. I wiedzieli o tym – mówi Mohammed Moulud, gdy pytam go o pierwsze miesiące wojny. – My walczyliśmy o swoją ziemię i wolność. Dla nas to było być albo nie być. Dla nich tylko mieć. Mieliśmy bardzo proste, podstawowe uzbrojenie, stare karabiny francuskie MAS36, jeszcze z lat trzydziestych! Co niektórzy mieli tylko pistolety maszynowe MAT49. Ale mieliśmy motywację, nawet z kijem w rękę byśmy się bili. A Allah zawsze pomaga tym, którzy walczą o swoją wolność.

Zakończona ewakuacja ludności cywilnej pozwoliła partyzantom Saharyjskiej Ludowej Armii Wyzwolenia skupić się na działaniach wojennych. Ogromna część żołnierzy, choć często w sandałach i starych łachmanach, posiadała jednak bezcenne doświadczenie z wojny 1958 roku oraz perfekcyjną wręcz znajomość terenu. Do tego partyzanci mieli wsparcie algierskich instruktorów, dobrze wyćwiczonych w wojnie przeciw armii francuskiej, i bezpieczną bazę Rabuni w Algierii, pozostającą poza zasięgiem marokańskiego wojska. Z czasem przybyli również zaprawieni w boju instruktorzy z Kuby oraz Wietnamu. Niemniej, w pierwszych miesiącach wojny, zanim Algieria i Libia uruchomiły bezpośrednią pomoc finansową i militarną, cały sprzęt, jakim dysponowali partyzanci, był zdobywany na wojskach przeciwnika.

Słabszym ogniwem inwazji była niewątpliwie Mauretania, posiadająca na początku wojny jedynie niewielką armię poborową, składającą się z trzech tysięcy źle wyszkolonych i jeszcze gorzej wyposażonych żołnierzy. Niewielkie i tak morale mauretańskiego wojska obniżał fakt, że w większości składało się ono z Murzynów, poniżanych i źle traktowanych przez arabskie dowództwo. Inwazja na Saharę od samego początku nie szła zgodnie z planem. Zdobycie pierwszego miasta, oddalonej zaledwie o kilka kilometrów od Nawazibu La Güery, zajęło Mauretańczykom ponad tydzień. A La Güera była broniona jedynie przez setkę

partyzantów. Jeszcze większy kłopot był z Villą Cisneros, do której wojska mauretańskie w ogóle nie zdołały dotrzeć w terminie ustalonym przez porozumienia madryckie. Miasto zostało zajęte przez Marokańczyków, a potem przekazane wojskom mauretańskim. W przeciwieństwie do Maroka, w Mauretanii poparcie społeczne dla działań wojskowych było nieznaczne, a ogromna część plemion żyjących na północy kraju otwarcie sympatyzowała z Saharyjczykami, a nawet wstępowała w szeregi wojsk ELPS. W ideę Wielkiej Mauretanii wierzyło niewiele, być może jedynie prezydent Moktar Ould Daddah.

Pierwsze drobne zwycięstwa partyzanci zaczęli odnosić już w grudniu 1975 roku, gdy nadal trwała ewakuacja ludności cywilnej. W styczniu zestrzelono nawet pierwszy marokański samolot. Na początku wojny każdego miesiąca z rąk partyzantów ELPS ginęło nawet do dwustu żołnierzy, a więzienie w Rabuni wypełniało się zarówno marokańskimi, jak i mauretańskimi jeńcami wojennymi. Sposób walki wybrany przez El Waliego Sajeda i jego kompanów przynosił zaskakujące rezultaty.

– W dniu, kiedy zrobiłem mu to zdjęcie tu, w Rabuni, El Wali powiedział jeszcze coś, co zapadło mi w pamięć. – Mohammed Moulud wraca do przemówienia z 20 maja 1976 roku. – Powiedział: „Przynieśliście wojnę na nasze ziemie, teraz my przyniesiemy ją na wasze”.

Zszedłszy z mównicy, El Wali Sajed pojechał wprost do bazy wojskowej nieopodal Bir Lehlú.

*

Jak wielkie musiało być zdziwienie prezydenta Mauretanii Moktara Ould Daddaha, gdy rankiem 8 czerwca 1976 roku przed jego pałacem prezydenckim w centrum Nawakszutu zaczęły wybuchać jeden po drugim pociski artyleryjskie. Nie byłoby w tym nic dziwnego, biorąc pod uwagę trwający konflikt, gdyby nie fakt, że Nawakszut był oddalony od baz Frontu POLISARIO o blisko dwa tysiące kilometrów, a Saharyjczycy nie dysponowali przecież lotnictwem.



© Mohammed Moulud

– Potem śmialiśmy się, że wpadliśmy na śniadanie do Daddaha – opowiada mi

siwowłosa, starszy kombatant ELPS.

Operacja Nawakszut przez czterdzieści lat obrosła legendami i mitami. Czytając na jej temat, nie znajduję zbyt wielu precyzyjnych informacji, a te, które udaje mi się znaleźć, często są sprzeczne. Ale Mamuni Andala, który siedzi teraz przede mną, brał udział w tej akcji i mimo blisko czterdziestu lat, które minęły, zdaje się pamiętać wiele szczegółów. Mamuni przyszedł na spotkanie w mundurze, takim bez dystynkcji, bo w wojsku ELPS dystynkcji nie ma, generał wygląda tak samo jak szeregowy. Zdjął wojskową czapkę z daszkiem, odsłaniając bielutkie włosy, usiadł naprzeciw mnie i podziękował za spotkanie.

– W tym czasie Hiszpania, Maroko i Mauretania ogłosiły światu, że konflikt na Saharze został już zażegnany, a działania wojenne przerwane. Mówili, że miejscowa ludność poparła aneksję. Tocząca się u nas wojna w ogóle nie była znana na świecie, bo szczelna blokada informacyjna utrudniała przepływ jakichkolwiek informacji. Musieliśmy więc zrobić coś spektakularnego, po prostu chcieliśmy pokazać, że to wszystko nieprawda. Że jesteśmy tutaj i się nie zgadzamy.

Na lipiec 1976 roku zaplanowano szczyt Organizacji Jedności Afrykańskiej. Na spotkanie nie zaproszono przedstawicieli Frontu POLISARIO, mimo że Saharyjską Republikę uznawało wtedy już dziesięć afrykańskich państw. Na początku czerwca z baz ELPS w okolicy Bir Lehlú wyjechało kilkaset land roverów uzbrojonych w ciężkie karabiny maszynowe i moździerze 120 mm. Konwój, składający się w większości z aut odebranych wojskom marokańskim, skierował się na południe, jadąc wzdłuż granicy mauretańsko-saharyjskiej. Saharyjczycy swoje land roverowe kolumny nazywali kataibami, a o śmiałych rajdach, które stały się ich strategią, mówili *ghazw*. To nie była nowa taktyka. *Ghazw* to tradycyjny sposób pustynnej walki polegający na błyskawicznych wypadach daleko w głąb terytorium wroga. Nim ten miał szansę się zorientować, bojownicy w turbanach rozplywali się już w piaszczystym bezkresie. Saharyjczycy walczyli w ten sposób od wieków, *ghazw* to część beduińskiej tożsamości. Ale teraz zamiast wielbłądów mieli land rovery, a stare strzelby zamienili na karabiny maszynowe. Mamuni Andala jako oficer łączności jechał w wozie dowodzenia, tym samym, którym kierował El Wali Sajed. Zresztą dwaj partyzanci znali się i przyjaźnili od wielu lat, gdy obaj mieszkali jeszcze w Tantanie.

– On był bojownikiem niezwykle odważnym. Nie bał się albo przynajmniej bardzo dobrze maskował swój strach. Zawsze uczestniczył w bitwach w pierwszej

linii. Pozostać w bazie, gdy inni jadą na wojnę, to był wstyd przecież. Nie był geniuszem wojennym, nie miał przecież żadnego wykształcenia wojskowego. Ale zawsze otaczał się bardzo kompetentnymi osobami, chciał i umiał ich słuchać. Strategia walki nie była tworem El Waliego, tylko całego sztabu, w którym znajdowało się wielu doświadczonych wojowników. W końcu na sztandarach Frontu POLISARIO było napisane: „Con el Fusil Arrebataremos la Libertad”.

Tysiąc czterysta kilometrów dzielących Bir Lehlú od mauretańskiej stolicy konwój przebył bez najmniejszych problemów, nie napotkawszy nawet jednego patrolu wojsk przeciwnika. W armii ELPS byli bowiem ludzie, którzy dobrze znali mauretańskie pustkowia, a doświadczenie wynieśli ze służby w mauretańskiej armii. Auta kataibu, pędzącego wprost w kierunku Nawakszutu, miały zresztą rejestracje mauretańskiego wojska, a bojownicy byli w zdobytych na Mauretańczykach mundurach. Nie wzbudzali większych podejrzeń nawet w mijanych wioskach i osadach, a w niektórych byli nawet życzliwie witani. Równolegle inne, również spore kolumny saharyjskich land roverów mknęły w kierunku Zuwiratu, Ataru, Wadanu, Szinkitu, Tiszitu, by odwrócić uwagę od głównych sił. Niektóre z nich zostały nawet zauważone przez samoloty mauretańskie, ale zanim zdezorientowani dowódcy w Nawakszucie skoordynowali działania, nad ranem 8 czerwca wielka kolumna terenówek swobodnie dotarła w pobliże mauretańskiej stolicy. Pierwsza z trzech grup zaatakowała znajdujący się w sąsiedztwie lotniska Pałac Prezydencki, druga budynki Sztabu Generalnego Wojska. Trzecia grupa, w której byli Mamuni Andala i El Wali Sajed, została z tyłu, by dowodzić akcją. W Nawakszucie w tym czasie stacjonowały nieliczne siły mauretańskie, jako że większość niewielkiej armii walczyła na terenie Sahary Zachodniej. Partyzantom bez większego kłopotu udało się ostrzeliwać stolicę wrogiego kraju przez blisko godzinę, powodując niewielkie straty, ale za to ogromny chaos i zamieszanie. Wieczorem, zachęceni łatwym sukcesem, wrócili pod Nawakszut i ponownie obstrzelali siedzibę Moktara Ould Daddaha. Gdy umilkły moździerze, dumny z akcji El Wali Sajed miał powiedzieć do swojego przyjaciela: „Teraz, nawet jeśli wszyscy zginiemy, cel został osiągnięty w trzystu procentach”.

Niemniej podczas wycofywania część wojsk saharyjskich została zaatakowana przez zorganizowany naprędce pościg. W stronę partyzantów zmierzały również mauretańskie oddziały z Ataru, Ausertu i Zuwiratu. Trzy grupy uderzeniowe partyzantów, wycofując się z Nawakszutu, rozdzieliły się, utraciły ze sobą łączność

i wracały w stronę Bir Lehlú samodzielnie.

– Spędziliśmy noc jakieś osiemdziesiąt kilometrów od Nawakszutu, w pobliżu wodociągu, który doprowadzał wodę do więzienia wojskowego i kopalni miedzi w Akdzudzt. – Mamuni Andala rozrysowuje na kartce plan sytuacyjny, bym lepiej zrozumiał wydarzenia. – Rankiem, gdy nasz oddział zaopatrzył się już w wodę, El Wali wpadł na pomysł, żeby korzystając z okazji, zniszczyć wieżę ciśnień i uprzykrzyć życie Mauretańczykom. Pojechały więc trzy auta, moje, El Waliego i jeszcze jedno. Reszta oddziału ruszyła już na północ, w stronę Ataru. Mieliśmy ich dogonić.

Wieża ciśnień rozpadła się jak domek z klocków, a hektolitry wody wsiąkły w rozgrzany piach. Ale niesione pustynnym echem wybuchy zdradziły pozycję partyzantów i zaalarmowały będącą już w pobliżu odsiecz.

– Zaczęliśmy uciekać. Mieliśmy przed sobą szeroki pas wydm, które przy złych warunkach mogły być bardzo niebezpieczne. Zazwyczaj ja i El Wali jeździliśmy jednym autem, ale tego dnia on wziął innego land rovera, zdobytego dzień wcześniej na Mauretańczykach. I ugrzązł w tych wydmach. Nasze auto minęło wóz El Waliego, widziałem, jak on stoi i krzyczy do nas, byśmy uciekali, *jalla, jalla!* Nam pomogła niespodziewanie natura, bo gdy nadjechały mauretańskie wozy, skryliśmy się w odmętach burzy piaskowej. Ale za sobą słyszeliśmy dudnienie wybuchów.

Choć udało im się uciec, land rover Mamuniego nie wrócił do bazy w Bir Lehlú. Po ośmiuset kilometrach, niedaleko mauretańskiego Zuwiratu, partyzantom skończyła się benzyna. Mamuni Andala wraz z pięcioma kompanami trafił do niewoli. Szczęścia nie miały też inne kolumny kataibu, z których wiele nie wróciło nigdy do Bir Lehlú.

– W więzieniu podczas tortur mówili nam, że on nie żyje, ale nikt z nas nie wierzył. Nie dopuszczaliśmy do siebie tej myśli. Dopóki nie przewieźli nas do Nawakszutu, by na głównym placu miasta zrobić propagandowy pokaz, że niby złapali tych, co odważyli się podnieść rękę na stolicę Mauretanii. I wtedy pokazali jego zdjęcia.

Saharyjczycy mają takie powiedzenie: w dniu twojego życia nie ma śmierci, w dniu twojej śmierci nie ma życia. Gdy zginął, El Wali Sajed miał dwadzieścia siedem lat. Obok Mohammeda Bassiriego jest drugą postacią widniejącą na wielkim malowidle w Muzeum Wojny obozu Rabuni. Obok jego portretu, wzorowanego na najsłynniejszym zdjęciu, jest karabin, a dokoła ostrza rozcinające

żółty geometryczny kształt Sahary.

9 czerwca, dzień jego śmierci, jest obchodzony wśród Saharyjczyków jako Dzień Męczenników. Na terenach okupowanych przez Maroko imię El Wali jest zakazane. Dziecko o takim imieniu nie zostanie zarejestrowane przez marokańskie władze.

*

Rok później, 2 lipca 1977 roku, państwa Organizacji Jedności Afrykańskiej spotkały się na szczycie zorganizowanym w Libreville w Gabonie. Reprezentacja Frontu POLISARIO po raz kolejny nie została zaproszona na obrady. Pod wieczór 3 lipca pod Nawakszudem ponownie więc zaparkowała długa kolumna saharijskich land roverów. Nieproszona delegacja dobitnie wyraziła swoje stanowisko, bombardując przez godzinę stolicę Mauretanii. Przyjechał też zupełnie nowy nabytek partyzantów, prezent od Mu'ammara Kaddafiego – przeciwlotnicze karabiny maszynowe 14,5 mm, zamontowane na pace ciężarowego mercedesa 1113. Za sterami nowej broni siedział Hamida Abdullah, ten sam, który nie znał słowa „obcy”. Wracając z akcji, Hamida podśpiewywał pod nosem:

Mauretańskiej stolicy dowaliliśmy,
Naszą odpowiedź OJA daliśmy!

Oprócz tego z pamiątkami Mohammed Moulud ma też drugi sklepik, równie mały i równie przykurzony. W tym oferuje wszelkiego rodzaju ładowarki do telefonów, baterie, małe latarki oraz całą masę innych, na pozór niepotrzebnych, lecz w obozowych realiach niezbędnych tanich rupieci, gadżetów made in China. Tutaj też można zrobić sobie zdjęcie, bo przecież Mohammed jest fotografem. Ale dziś, w erze cyfrowych zabawek, jego praca odarta została z całego rzemiosła i artyzmu. Jakoś przykro patrzeć, jak były reporter wojenny wyjmując mały cyfrowy aparat z przykręcaną nóżką, przesuwając gablotę stojącą przy wejściu i sadza klienta na krześle. Nie ma patrzenia przez wizjer, nie ma przesłony, migawki, o kliszy nie wspominając. Oświetlenie też nie gra większej roli. Po prostu pstryk. Jakkolwiek. Pstryk. Byleby postać, która znajdzie się na zdjęciu, była w jakimś stopniu podobna do tej, która siedziała na krześle. Zamiast ciemni Mohammed ma małą drukarkę, która po chwili wypłukuje z siebie dokumentowe zdjęcie.

– Szmelc, badziewie. Widzisz, jest za gorąco dla tej maszyny – mówi, podając mi fotografię, na której rozjechane kolory ledwo przypominają siedzącego na krześle czarnoskórego mężczyznę.

Mohammed Moulud marzy o tym, by jego wojenne fotografie zostały kiedyś wydane w pięknym albumie, takim z kredowym papierem i twardą okładką. Nie wszystkie, tych jest zbyt dużo, ale choćby pięćdziesiąt. Wtedy jednym z tych pięćdziesięciu, no może siedemdziesięciu, mogłoby zapewne być to zdjęcie, na którym kilku partyzantów w sandałach stoi na marokańskim czołgu.



© Mohammed Moulud

– Ten z przodu z kałasznikowem to Sidi Haydug, a za nim Mohammed Buzeid. Obydwaj nie żyją, zostali męczennikami. Zrobiłem to zdjęcie po jednej z operacji we wrześniu 1976 roku w rejonie Tukat, czyli wtedy północnym regionie wojskowym, dziś czwartym regionie.

Zastanawia mnie, jak Mohammed pamięta, gdzie i kiedy zrobił każde z setek swoich zdjęć. Żadne nie jest podpisane.

– Wtedy zdobyli ten marokański czołg. Jaka to była radość! Bo my w tym czasie nie mieliśmy jeszcze broni, którą moglibyśmy unieruchomić czołgi, więc atakowaliśmy je land roverami!

Sidi Haydug był jednym z głównych dowódców północnego sektora, ale jego szefem był wówczas młody Mohammed Abdelaziz, dzisiejszy prezydent Saharyjskiej Republiki. I sąsiad z naprzeciwka Mohammeda Mouluda.

*

Pierwszy raz zobaczyłem Mohammeda Abdelaziza w Algierze na konferencji o wzniosłym tytule People's Right to Resistance: the Case of Sahrawi People. Wtedy nie wiedziałem o nim prawie nic, a i cały temat Sahary Zachodniej był dla mnie dość mglisty. Poruszałem się po wnętrzach pięciogwiazdkowego rządowego hotelu po omacku, nie bardzo wiedząc, kogo spotykam w windzie czy na korytarzu. Takie pierwsze podrygi reporterskie, mocno nieudaczne, pokraczne, wstydlive wręcz. Z dnia na dzień niemalże przyszło mi się znaleźć wśród ludzi z całej Afryki, paradujących w wytwornych strojach, często tradycyjnych, kolorowych, egzotycznych. Pośród nich byli też ci w ubraniach typowo rewolucyjnych, z hasłami i naszywkami ze skrzyżowanymi ramionami czy zaciśniętymi pięściami. Próbowałem rozszyfrować te emblematy, logotypy, skróty, wstydząc się podejść i otwarcie zapytać, by nie zdemaskować swojej karygodnej wręcz ignorancji. Gdy mnie ktoś pytał, kim jestem, po chwili wahania odpowiadałem, że dziennikarzem, to znaczy nie, pisarzem, wiedząc, że tak naprawdę to ani jedno, ani drugie, bo w zasadzie to architektem. Byłem zapewne jednym z najmniej znaczących gości algierskiej konferencji, z rodzaju tych, którzy trafili tam zupełnie przypadkiem, w ostatniej chwili. W hotelowej recepcji nie mieli nawet mojego nazwiska, na liście gości wpisano więc drukowanymi literami EL EKSCELSIOR BARTEK, tajemnicza persona, szara eminencja, co najmniej jakbym pochodził z jakiejś bardzo ważnej afrykańskiej dynastii.

Drugiego dnia konferencji miał przemawiać on, prezydent nieistniejącego państwa, wirtualnej republiki, ostatniej afrykańskiej kolonii. Widziałem go już na zdjęciach, zwłaszcza na tym, które od rana krążyło po hotelowych kuluarach. Mohammed Abdelaziz z prezydentem USA Barackiem Obamą na stadionowej trybunie podają sobie ręce i wymieniają serdeczny uśmiech podczas pogrzebu Nelsona Mandeli, który odbył się kilka dni wcześniej.

Wystąpienie prezydenta obserwuję z ostatnich rzędów sali, ledwo widząc jego postać przez tłum zgromadzonych ludzi. Nie wiem, co mówi, odbieram jedynie melodię jego przemówienia, bo Abdelaziz posługuje się dialektem hassanijja, a system tłumaczenia konferencyjnego akurat na tę przemowę się popsuł. Przetłumaczony tekst przemówienia dostanę dopiero później. Słyszę więc spokojny, ale doniosły, ładny głos. Ciepły, wzbudzający zaufanie, ale jednocześnie stanowczy, mocny, bez cienia wahania czy niepewności. Kończy swoje wystąpienie po dwudziestu minutach, skandując trzykrotnie rewolucyjne hasło: „La badil la badil”. Sala odpowiada: „An takrir al-masir”. Oklaski. Następnie prezydent dodaje jeszcze drugi, równie znany slogan, będący wyrazem wdzięczności skierowanym w stronę Algierii: „One, two, three!”. Ludzie krzyczą: „Viva Algerie!”. Znow oklaski. Widzę go potem w hotelowych korytarzach, ubranego w elegancki garnitur, zawsze otoczonego grupą ludzi, dziennikarzy. Ale już następnego dnia prezydent Mohammed Abdelaziz i cała delegacja saharyjska opuszczą wnętrza luksusowego hotelu El Aurassi i powrócą do swoich oddalonych o dwa tysiące kilometrów namiotów i lepienek.

I właśnie tam, kilkanaście dni później, w zupełnie innych okolicznościach, będę miał okazję porozmawiać z Mohammedem Abdelazizem osobiście, na spokojnie, w jego własnym gabinecie. Czekam w dużym pokoju jego „pałacu prezydenckiego”, można by rzec w „gabinecie owalnym”, tyle że prostokątnym, połatany, z odpadającym sufitem i poplamionymi ścianami. Bo to nie Waszyngton, tylko obóz uchodźców pośrodku Sahary. W gabinecie jest dokładnie to samo co w każdym saharyjskim domu, czyli niewiele. Dywan, stolik na herbatę i dwie sofy. Na tle ściany dwa fotele, jeden dla niego, drugi dla gościa. Za nimi flaga republiki. Czekając na prezydenta, oglądam gablotę zajmującą całą ścianę. W niej ordery, nagrody i zdjęcia z przywódcami mniejszych i większych państw i organizacji międzynarodowych. Zarówno te współczesne, jak i te wyblakłe, czarno-białe sprzed wielu lat. Uświadamiam sobie, że nigdy wcześniej nie spotkałem się z żadnym przywódcą i że tak naprawdę to nie wiem, o co mam go

spytać.

Mohammed Abdelaziz nie każe na siebie długo czekać. Wchodzi po kilku minutach, sam, ubrany już nie w garnitur, ale w prosty, zielony połowy mundur, bez żadnych dystynkcji czy odznaczeń. Niewysoki, starszy człowiek z bródką i wydatną łysiną, podaje mocno rękę, nie tworząc niepotrzebnego dystansu, siada na fotelu, zdejmując okulary. Mówi z niezwykłym spokojem, opanowaniem, ważąc słowa i formułując dyplomatyczne, gładkie odpowiedzi, często sprytnie omijające zadane pytanie. Liczę na jakąś bardziej emocjonalną, osobistą wypowiedź, lecz na marne.

– W 2013 roku obchodzimy czterdziestą rocznicę powołania Frontu POLISARIO i rozpoczęcia walki o naszą niepodległość. Przez pierwsze trzy lata walczyliśmy przeciwko hiszpańskim kolonizatorom. Przez kolejne trzy toczyliśmy wojnę przeciw wojskom Maroka i Mauretanii, które zaatakowały nas na podstawie porozumień madryckich. Potem walczyliśmy przeciwko Maroku, które było wspierane przez wiele państw zachodnich. Od 1991 roku na naszych terenach obecna jest misja ONZ, która szuka możliwości rozwiązania konfliktu poprzez zorganizowanie referendum – mówi powoli Abdelaziz, czasami poprawiając okulary. – Jak widzi pan, przez ostatnie czterdzieści lat próbowaliśmy wielu sposobów, by odzyskać nasze ziemie i zakończyć konflikt. W tym czasie nasz kraj został podzielony murem i większa jego część znalazła się pod brutalną okupacją. To także nie rozwiązało problemu. Maroko próbowało zniszczyć ludność Sahary. To również nie przyniosło rezultatu. W 2007 roku Maroko zaproponowało autonomię. Ale to też nie przyniosło rozwiązania. Jedyne rozwiązanie, którego nie wypróbowano przez te czterdzieści lat i wcześniej przez długie lata hiszpańskiej okupacji, to referendum, czyli danie ludziom możliwości wypowiedzenia się. Jesteśmy przekonani, jesteśmy pewni, że jedyną drogą rozwiązania konfliktu jest oddać głos mieszkańcom Sahary. I mam wrażenie, że w ostatnich latach coraz więcej osób na całym świecie myśli w ten sposób. Coraz więcej wpływowych aktorów międzynarodowej sceny politycznej uważa, że minęło już zbyt dużo czasu. Wierzmy, że rozwiązanie uda się znaleźć w ciągu następnych pięciu lat. I że to rozwiązanie będzie szanowało prawo ludności do samostanowienia.

Lata spotkań z dyplomatami z całego świata uczyniły z niego wytrawnego polityka z miną pokerzysty i perfekcyjnie dobranym każdym słowem. Zastanawia mnie, czy Mohammed Abdelaziz byłby jeszcze w stanie poprowadzić swój naród do walki, jeśli przyszyłaby taka konieczność. A może to tylko pozory i pod

dyplomatyczną maską jest wciąż ten sam człowiek, który czterdzieści lat temu siał postrach wśród marokańskich i mauretańskich żołnierzy? Ile jest w nim niepokornego socjalistycznego rewolucjonisty, którego widzę na zdjęciach z Fidelem Castro czy Mu'ammarem Kaddafim, a ile współczesnego polityka, którego widzę na fotografiach z Ban Ki-moonem czy Barackiem Obamą? Czy Mohammed Abdelaziz jest reliktem zimnej wojny, jak lubią go prezentować media marokańskie, czy wytrawnym nowoczesnym przywódcą, który przeszedł niełatwą metamorfozę, porzucając ideały wojowniczego arabskiego socjalizmu na rzecz liberalnej demokracji, nie gubiąc przy tym lewicowych wartości?

Naprawdę nazywa się Mohammed Abdelaziz ben Khalili ben Mohammed al-Bachir Er-Rguibi. Jest postacią trudną do zdefiniowania. Na temat miejsca jego urodzin krążą różne opinie, niektóre budzące spory i kontrowersje. Ponoć pochodzi ze Smary, gdzie miał się urodzić w 1948 roku. Ale inne źródła, zwłaszcza te powiązane z Marokiem, twierdzą, że Mohammed Abdelaziz urodził się rok wcześniej w Marrakeszu. Dlatego też król Hassan II lubił go nazywać Mohammedem El Marrakchim, podając w wątpliwość jego saharyjskie pochodzenie.

Zdobywszy wyższe wykształcenie na Uniwersytecie Mohammeda V w Rabacie, Abdelaziz zaangażował się w działalność rodzącego się Frontu POLISARIO, stając się jednym z fundatorów organizacji i jednym z głównych dowódców wojskowych. Na początku wojny był szefem północnego regionu militarnego, któremu przyszło odeprzeć najcięższe ataki marokańskiego wojska. Po śmierci El Waliego Sajeda Abdelaziz został jednym z głównych pretendentów do przejęcia władzy. Na kongresie Frontu POLISARIO, który odbył się w sierpniu 1976 roku, powierzono mu funkcję sekretarza generalnego. Zastąpił na tym stanowisku Mahfouda Ali Beibę, późniejszego premiera i ministra w rządzie RASD, który na dwa miesiące objął to stanowisko po śmierci El Waliego. Na tym samym kongresie Abdelaziz został wybrany na prezydenta republiki. Pozostaje na tym stanowisku nieprzerwanie do dziś, potwierdzając swoją władzę w organizowanych co cztery lata wyborach.

Postać Mohammeda Abdelaziza wzbudza wiele kontrowersji. Jedni zarzucają mu, że jest politykiem realizującym jedynie strategię Algierii, inni przypominają, że jego ojciec Khalili ben Mohammed al-Bachir Er-Rguibi, były żołnierz Armii Wyzwolenia, a potem Królewskich Sił Zbrojnych, mieszka w Maroku i jest przeciwnikiem polityki swojego syna, czemu daje wyraz, pracując w Conseil Royal

Consultatif pour les Affaires Sahariennes. Jeszcze inni zarzucają prezydentowi zbyt konserwatywną politykę i niechęć do jakichkolwiek reform wewnątrz Frontu. Internet przepełniony jest fałszywymi informacjami i spekulacjami, ale najczęściej pisanymi po francusku i na stronach, których adres kończy się na .fr lub .ma. Jedyne, co do czego nikt nie ma wątpliwości, to talent wojskowy Mohammeda Abdelaziza, pokazany światu w końcu lat siedemdziesiątych i w latach osiemdziesiątych.

Pytam więc Saharyjczyków, którzy znają prezydenta osobiście. Słyszę: „Niezwykle skromny, spokojny, cierpliwy, nie lubi protokołów dyplomatycznych czy luksusów, gotowy do poświęceń, nie lubi dawać rozkazów, woli dawać przykład, tak by ludzie byli przekonani o tym, co robią”. Albo: „W momentach krytycznych zawsze spokojny, cichy, ale zdecydowany, nigdy nie wydawał rozkazów w nerwach”. „Nigdy nie brał pod uwagę porażki. A gdy się jednak zdarzała, mówił, że to jedynie jedna z bitew w całej wojnie. Nie było zresztą bitwy, w której nie brałby udziału”. „Miał niezwykłą zdolność kontrolowania całego pola bitwy, myślenia i widzenia szeroko, jak wielki dowódca”. „On zna bardzo dobrze nasze społeczeństwo, naszą mentalność, gdyby było inaczej, nie mógłby nami kierować”. „To jest coś wyjątkowego u nas, bliskość dowódcy, prezydenta i narodu. Ludzie stoją murem za prezydentem, bo jest jednym z nas, możesz go spotkać na ulicy czy w sklepie. A gdy przyjdiesz do niego do domu, to on podawać będzie jedzenie”.

Będąc w okupowanym El Aaiún, usłyszałem o Mohammedzie Abdelazizie pewną anegdotę. Po śmierci El Waliego Sajeda dykcja Frontu POLISARIO wprowadziła zalecenie, by prezydent nie brał bezpośrednio udziału w walkach, w trosce o jego bezpieczeństwo i ciągłość władzy. Ale Mohammed Abdelaziz był daleki od podporządkowania się tym zasadom, bo siedzenie w bazie, podczas gdy inni walczą w polu, jest dla Saharyjczyka wstydem. Pytany w bazie o to, gdzie idzie, gdy próbował się oddalić od swoich towarzyszy, odpowiadał „hadi-hon”, co znaczy tyle co „tu niedaleko”. A potem widać było tylko kłęby kurzu za land roverem, który pędził na bitwę. Przydomek „hadi-hon” ponoć przyłgnał do niego na długie lata.

Trudno porównywać Mohammeda Abdelaziza i El Waliego Sajeda. Obu przyszło sprawować swoją funkcję w różnych realiach politycznych, wojennych i ekonomicznych. I przede wszystkim w innej sytuacji międzynarodowej. El Wali na zawsze pozostanie ikoną bezkompromisowej rewolucji i walki zbrojnej, która

dla niego trwała jednak tylko trzy lata. Ale politykiem El Wali nie zdążył zostać. To miejsce należy się Mohammedowi Abdelazizowi. I choć to on był szefem Frontu POLISARIO przez piętnaście lat wojny, bardziej zostanie zapamiętany jako przywódca, któremu udało się jakoś odnaleźć w bezlitosnych trybach międzynarodowej geopolityki.

Na koniec naszego spotkania pytam go więc o to zdjęcie z Obamą. Widzę, że podoba mu się to pytanie.

– Co możemy na pewno powiedzieć, to to, że USA grają niezwykle ważną rolę w poszukiwaniu rozwiązania konfliktu. Biorąc pod uwagę obecną politykę USA wobec Sahary Zachodniej, możemy ją opisać jako... – wstrzymuje na krótką chwilę głos, rozkłada dłonie w powolnym geście, szukając najlepszego, dyplomatycznego słowa – pozytywną. Oczywiście do tej pory USA nie uznały naszego kraju, ale również nie uznają marokańskiej okupacji i Maroka jako suwerena Sahary Zachodniej. Amerykanie wspierają ideę referendum. Mamy nadzieję na jeszcze lepsze stosunki z USA.

*

Mohammed Abdelaziz jest trzecią postacią na malowidle w Muzeum Wojny w Rabuni. Jego portret, wzorowany na zdjęciu z lat młodości, wychodzi z ostrych kształtów, które otaczały też podobiznę El Waliego Sajeda. Lecz po drugiej stronie pojawiają się spokojne zielone plamy z zarysami saharyjskich chajm i unoszącymi się nad nimi białymi ptakami, które do dziś pozostają jedynie nadzieją.

*

– To nie były akcje niemożliwe! – ocenia Mahjub Freitis, doradca wojskowy prezydenta, gdy pytam go o operacje wojenne wczesnych lat konfliktu. – Mohammed Abdelaziz miał podstawową zasadę: nie ma akcji niemożliwych. Żołnierz marokański dostawał żołd za swoją pracę, bił się dla pieniędzy. Nasi bojownicy nie dostawali, do dziś nie dostają wynagrodzenia, są ochotnikami. Inna jest motywacja człowieka, który walczy dla sprawy, o swoją wolność. Wtedy można dokonać niemożliwego, by osiągnąć cel. Jesteśmy społeczeństwem beduińskim, mamy takie powiedzenie: „Majjit maskur u-la hajj mahgur” (Śmierć w chwale niż życie w niewoli). Dlatego nasze akcje tak wyglądały.

Po chwili refleksji Mahjub dodaje, śmiejąc się radośnie:

– Jesteśmy najmniejszym narodem regionu, ale chyba najodważniejszym. I kochamy swój kraj mimo wszystko, mimo upałów, mimo wiatrów, mimo burz piaskowych. – Coś w tym jest, bo ELPS okazała się bezsprzecznie najskuteczniejszą militarnie partyzantką w całej Afryce.

*

Linia kolejowa łącząca olbrzymie kopalnie w Zuwiracie z portem w Nawazibu ma siedemset kilometrów długości i jest jedyną linią w tym kraju obejmującą obszar o powierzchni ponad jednego miliona kilometrów kwadratowych. Porusza się po niej tam i z powrotem najdłuższy pociąg świata, w którym cztery lokomotywy ciągną ponad dwieście wagonów. Rocznie pociąg przewozi około szesnastu milionów ton rudy żelaza, a eksport tego materiału stanowi główne źródło dochodów Mauretanii. Największym odbiorcą jest Francja. Linia kolejowa biegnie wzdłuż granicy z Saharą Zachodnią, a na krótkim odcinku przebiega nawet przez jej terytorium.

Dowództwo Frontu POLISARIO zdecydowało, że w obliczu ataku dwóch państw należy się skupić na wyeliminowaniu z konfliktu słabszego z nich. Oczywistym wyborem stała się rozległa, kiepsko przygotowana do wojny Mauretania, a linia kolejowa Zuwirat–Nawazibu oraz same kopalnie aż nazbyt narzucały się jako główny cel ataków. Wojska mauretańskie, mimo że ich liczebność wzrosła do dwunastu tysięcy żołnierzy, miały niewielkie szanse, by kontrolować długą na ponad tysiąc pięćset kilometrów granicę, chronić strategiczny pociąg i prowadzić w tym samym czasie ofensywę wewnątrz Sahary Zachodniej. Długi na prawie trzy kilometry, powolnie sunący w kierunku portu pociąg pierwszy raz został unieruchomiony w lutym 1977 roku. Od tego czasu rzadko który transport dojeżdżał do stacji końcowej. Ale bezpieczeństwo linii kolejowej dostarczającej rudę żelaza leżało bezpośrednio w interesie byłego kolonizatora, Francji. W zakładach w Zuwiracie pracowało wówczas kilkuset Francuzów, a największym odbiorcą produkowanej tam rudy żelaza był francuski przemysł. Śmiałość, a wręcz bezczelność, z jaką POLISARIO zaatakował w czerwcu 1976 roku stolicę w Nawakszucie, a kilka dni później także port w Nawazibu, spowodowały, że już we wrześniu z pomocą Mauretańczykom musiała przyjść Francja. Na mocy układu wojskowego szerokim strumieniem zaczęły płynąć do Mauretańczyków czołgi, wozy opancerzone, działa, amunicja i instruktorzy wojskowi. Ale rezultaty tej

pomocy były niewielkie.

– Mieliliśmy taką wojnę. Nazywała się „*guerra sierra*” – wyjaśnia mi Hamida Abdullah. – Jeśli chcesz pokonać wroga, to zamknij oczy i atakuj. Tylko atakuj, zawsze i wszędzie. A śmiałość, z jaką to robisz, przerazi go.

Hamida o wojnie wie dużo, zna ją jak brata, chciałoby się powiedzieć. Doświadczył jej w całej rozciągłości, na każdym etapie i w każdym miejscu. Do tego dysponuje fotograficzną wręcz pamięcią. Jego dom, zagubiony gdzieś w wydmach obozu uchodźców Bojador, odwiedzam wielokrotnie, często spędzając tam wiele godzin. Bo Hamida lubi opowiadać, czerpie z tego nieukrywaną radość.

Hamida, przystąpiwszy do Frontu POLISARIO, trafił do południowego sektora wojskowego, któremu przyszło zmierzyć się z armią mauretańską. Dowódcą regionu był wówczas jeden z założycieli Frontu, człowiek o imieniu Lehbib Ayoub. Ayoub to po naszymu Hiob. I zgodnie ze swoim imieniem nie przynosił on dobrych wieści, zwłaszcza Mauretańczykom. O niektórych akcjach przeprowadzonych przez oddziały Lehbiba Ayoubu uczy się obecnie w amerykańskich szkołach wojskowych.

– Przed drugą operacją Nawakszut w lipcu 1977 roku Ayoub zapytał nas wprost: kto chce umrzeć, niech przejdzie na tę stronę. Kto chce żyć, niech zostanie w bazie. To jedna z zasad naszej wojny: jeśli nadal masz interes w tym, by żyć, to tylko się boisz. Trzeba być gotowym na śmierć. Po pierwszej operacji, w której zginął El Wali Sajed i dziesiątki innych osób, kolejny atak na Nawakszut był dla nas przede wszystkim problemem psychologicznym. Ale ochotników było więcej niż miejsc w autach.

1 maja 1977 roku, z okazji Święta Pracy, oddziały Lehbiba Ayouba dały wyraźny sygnał Francuzom, że ich pomoc dla Mauretanii będzie miała konsekwencje. Kolumna stu saharyjskich land roverów wpadła z niespodziewaną wizytą do mauretańskiego Zuwiratu, pilnowanego przez garnizon tysiąca pięciuset Mauretańczyków, którzy zanadto bronić się nie zamierzali. Po trwającej niespełna trzy godziny akcji wojska ELPS zajęły miasto, lokalne lotnisko, rozbiły garnizon wojskowy, unieruchomiły kopalnię żelaza i na wszelki wypadek zniszczyły tory kolejowe. Przy okazji zastrzelono dwóch Francuzów, a sześciu innych, których znaleziono pijanych w lotniskowym barze, wzięto do niewoli. Prezydent Francji Valéry Giscard d'Estaing zapewne niewiele spał tej nocy. Na pierwszych stronach „Le Monde” i „Le Figaro” temat pustynnej wojny zagościł na wiele miesięcy.

– My na tych akcjach często prawie w ogóle nie jedliśmy! – śmieje się Hamida

wyraźnie dumny ze swoich wojennych wyczynów. – Piliśmy jedynie wodę i jak był czas, to herbatę. Zabieraliśmy ze sobą suszone na słońcu mięso wielbłąda i tylko tym się żywiliśmy. To czyste białko, po tym w ogóle nie musisz chodzić do toalety!

Tymczasem sekretarz generalny Frontu POLISARIO wystosował list otwarty do „braci Mauretańczyków”, w którym podkreślał więzy, jakie łączą oba narody, i potępiał zdradziecki sojusz z Marokiem. Wzniosły list trafił na podatny grunt, albowiem większość Mauretańczyków, także tych służących w armii, zdecydowanie sprzeciwiała się wojnie. Prezydent Moktar Ould Daddah był coraz bardziej osamotniony.

Kilka tygodni później, 16 lipca, mimo zwiększonej liczebności garnizon w Zuwiracie znów musiał się poddać. A potem ponownie, 16 sierpnia, tym razem z okazji pierwszego dnia ramadanu. Wielokrotnie unieruchomiono też sam pociąg wiozący rudę żelaza. Mauretańczykom coraz trudniej było nawet znaleźć obsługę, która chciałaby nim jeździć. Ilość eksportowanego surowca spadła o połowę, skutecznie paraliżując budżet biednej i tak Mauretanii.

Ataki na Zuwirat wywołały tak silny kryzys, że Francja postawiła w stan gotowości swoje wojska desantowe, a z Mauretanii ewakuowano francuskich pracowników kopalni. Algieria, wspomagająca saharyjskich partyzantów, zaczęła obawiać się francuskiej interwencji, a sprawa Sahary Zachodniej powróciła na wokandę Rady Bezpieczeństwa ONZ. Raz jeszcze okazało się, że życie człowieka zachodniej cywilizacji ma nieporównywalnie większą wartość niż tego z Afryki. Wobec beznadziejnej sytuacji w Mauretanii i wcale nie lepszej na północy, w Maroku, Valéry Giscard d'Estaing postanowił wysłać w rejon konfliktu wojska francuskie w ramach operacji, której nadano kryptonim Lamentin, czyli manat. W listopadzie do Senegalu, będącego bezpiecznym przyczółkiem Francji, zjechały setki francuskich żołnierzy i doradców wojskowych, a na lotnisku w Dakarze wylądowały samoloty Mirage i Jaguar, chluba francuskiego lotnictwa. Jeszcze latem prezydent Mauretanii Moktar Ould Daddah został zmuszony podpisać z Marokiem porozumienie o wzajemnej obronie. W Nawakszucie, Nawazibu i Zuwiracie zakwaterowało się dziewięć tysięcy marokańskich żołnierzy. Ironia losu tym większa, że Moktar Ould Daddah był człowiekiem, który przez większość politycznej kariery starał się uniezależnić Mauretanię od Francji i zapewnić jej bezpieczeństwo w świetle rosnącego marokańskiego nacjonalizmu. W przeddzień podpisania porozumień madryckich przed takim rozwojem sytuacji przestrzegał go sam Huari Bumedi. Ale Daddah zlekceważył wtedy jego ostrzeżenia.

Mimo pomocy francuskich samolotów i marokańskich żołnierzy, by pogłębić chaos w Mauretanii, wojska ELPS zaatakowały miasta leżące daleko w głębi kraju, przy granicy z Mali i Senegalem, a pod koniec roku po raz kolejny unieruchomiły infrastrukturę kopalni w Zuwiracie. Ku zaskoczeniu świata ofiary inwazji w zacieklej obronie przejmowały inicjatywę, Mauretania była bliska bankructwa, a władza prezydenta Daddaha wisiała na włosku.

Z miesiąca na miesiąc zaangażowanie Francji w ramach operacji Lamentin rosło. Giscard d'Estaing wygłaszał pompatyczne tyrady o tym, że Francja nie zostawia swoich afrykańskich przyjaciół w potrzebie i że ci zawsze będą mogli liczyć na jej solidarność. Rosło też negatywne nastawienie Francuzów w stosunku do Algierii. W Paryżu zamordowano nawet kilku Algierczyków, a dyplomatyczne naciski połączone z demonstracją siły miały dać do zrozumienia, że Francja nie pozwoli obalić Moktara Ould Daddaha. Do Dakaru wkrótce przybyli komandosi i samoloty zwiadowcze wyposażone w radary. Służby specjalne rekrutowały do walki najemników, informacji o ruchach wojsk ELPS dostarczał wywiad satelitarny, a jaguary penetrowały niebo nad Saharą w poszukiwaniu kolumn land roverów, powodując rosnące straty wśród partyzantów.

– Z tymi jaguarami to chińska bajka – wspomina Hamida i macha ręką. – Owszem, wymusiło to na nas zmianę taktyki. Pod cel podjeżdżaliśmy nocą, atakowaliśmy wczesnym rankiem, a potem nasze kolumny błyskawicznie rozprasały się po pustyni. Land rovery chowaliśmy pod skałami lub akacjami i do baz wracaliśmy dopiero nocą. Z samochodów zdjęliśmy wszystkie szyby, by nie dawały odblasków, a działka zamiast na dużych ciężarówkach montowaliśmy na toyotach, bo było łatwiej uciekać. Mauretańczycy mieli czasami na swoich wozach napisane: „Victoire avec Jaguar”, zwycięstwo z jaguarem, my na swoich wkrótce pisaliśmy: „Victoria sin Jaguar”, zwycięstwo bez jaguara! Bo pomimo tych jaguarów pod Tumajmiszatem wzięliśmy osiemdziesięciu dwóch mauretańskich więźniów! A gdy zestrzeliliśmy pierwszego, a potem kolejnego, legenda jaguarów runęła.

Ci więźniowie zostali zresztą zabici następnego dnia. Gdy eskadra jaguarów zbombardowała ciężarówki, w których byli transportowani. Bo stosowana przez Francuzów najnowsza wojskowa technologia jakoś nie bardzo pomagała w ściganiu partyzantów. W jednej z francuskich gazet z 1978 roku znajduję prześmiewczy rysunek zatytułowany *Cache-cache cous-cous*. Na obrazku pokazano działanie francuskich radarów, którym land rovery partyzantów

nadzwyczaj często myliły się z porzucanymi po pustyni głazami.

Ani na partyzantach ELPS, ani na politykach w Algierii, w której, dzięki francuskim groźbom, odżyły wspomnienia niedawnej wojny, operacja Lamentin nie wywarła większego wrażenia. Efekty działań wojsk ELPS były szybkie i dokładnie takie, jakich oczekiwano, mimo francuskich jaguarów utrudniających partyzantom życie. Miesiąc w miesiąc niemal każdy strategiczny pociąg Zuwirat–Nawazibu był atakowany, a szyny kolejowe konsekwentnie niszczone. Wpływy z eksportu surowca malały w zastraszającym tempie. Tak oto niewielkie poparcie społeczne dla polityki sterowanego przez Francję Moktara Ould Daddaha zmalało niemal do zera wskutek ciężkiego kryzysu gospodarczego potęgowanego niespodziewaną suszą, która zniszczyła dwie trzecie plonów. By pokryć koszty bezcelowej wojny, wprowadzono nawet specjalny podatek nazwany „opłatą solidarnościową”, a w niektórych sektorach gospodarki wstrzymano wypłacanie pensji. W tym samym czasie administracja Moktara Ould Daddaha zwiększyła o pięćdziesiąt procent wydatki na zbrojenia. Do końca 1977 roku Mauretania stała się najbardziej zadłużonym krajem na świecie.

Za okupację kawałka pustynnego terenu, który nie przynosił w dodatku prawie żadnych zysków, Mauretania płaciła ogromną cenę. Skarbiec świecił pustkami, a gospodarka leżała w gruzach. Ale lipiec 1978 roku przyniósł wymęczonej wojną Mauretanii nieuchronne zmiany. Prezydent został obalony wskutek wojskowego zamachu stanu, a jego miejsce zajął pułkownik Mustafa Ould Salek. Moktar Ould Daddah trafił do więzienia, a w sierpniu pozwolono mu uciec do Francji. Taki obrót spraw spotkał się z zadowoleniem dowództwa POLISARIO, które zawiesiło działania wojenne, mając nadzieję na trwały pokój i szybkie wycofanie się Mauretanii z zajętych terenów Rio de Oro. Ale wyjście z konfliktu nie było wcale łatwą sprawą. Mauretania podpisała przecież porozumienia madryckie i była sojusznikiem Maroka, a królowi Hassanowi II zawieszenie broni na południowym froncie wybitnie nie przypadło do gustu. W Mauretanii stacjonowało dziewięć tysięcy marokańskich żołnierzy, w tym spora część całkiem niedaleko Nawakszutu. Hassan II dysponował więc środkami, by wywrzeć presję na nielojalnego sojusznika, a wśród mauretańskich polityków obudziła się obawa, że Hassan II mógłby przypomnieć sobie idee Wielkiego Maroka od Tangeru po Senegal.

Dyplomacie Algieru, Nawakszutu, Rabatu, Paryża i Frontu POLISARIO przez długie miesiące poszukiwały kompromisu, który zadowoliliby wszystkie strony. Mauretańczycy i Saharyjczycy liczyli na zakończenie całej wojny i podpisanie

trójstronnego zawieszenia broni, ale takiego rozwiązania nie dopuszczał Hassan II. Gdy przez rok nowy rząd Mauretanii nie zdecydował się na zakończenie konfliktu, partyzanci ELPS wznowili działania, rozbijając resztki wojsk mauretańskich w przygranicznych garnizonach. Tymczasem sytuacja polityczna w Mauretanii była daleka od stabilnej. W drugiej połowie 1979 roku doszło do zawirowań politycznych, które wyniosły do władzy najpierw Mohammeda Ould Louliego, a kilka miesięcy później zdecydowanego przeciwnika wojny, dowódcę mauretańskiego wojska z bitwy o Zuwirat, pułkownika Mohammeda Khoune Ould Heydallę. Już kilka dni później w Algierze podpisano układ pokojowy przewidujący bezwzględne wycofanie wojsk mauretańskich z południa kraju. Mauretania zrzekała się wszelkich roszczeń terytorialnych wobec Sahary Zachodniej i zobowiązywała się zachować neutralność w konflikcie. Tajna część porozumienia, podpisana bez wiedzy Maroka, przewidywała przekazanie południowych terenów wprost w ręce Frontu POLISARIO.

Sukcesy wojenne Frontu POLISARIO spowodowały, że Saharyjską Republikę uznawały kolejne państwa, w większości z Afryki, ale również z Azji, jak Iran, Wietnam, Afganistan, Laos, Ludowa Republika Kampuczy, oraz z Ameryki Południowej, jak Meksyk, Ekwador, Peru, Wenezuela. Na linii Rabat–Nawakszut zapanowało napięcie, które będzie się utrzymywać do końca konfliktu. Przez następne lata Hassan II wielokrotnie będzie oskarżał Mauretanię o potajemne wspieranie partyzantów i nieraz zagrozi interwencją wojskową, jeśli mauretańskie władze będą tolerować ruch bojowników ELPS na swoim terytorium. A będą. Wiele przyszłych land roverowych rajdów zostanie przeprowadzonych z terytorium Mauretanii, a pułkownik Ould Heydalla stanie się cichym przyjacielem Saharyjczyków. 27 lutego 1984 roku, w rocznicę proklamowania niepodległości, Mauretania jako pięćdziesiąte siódme państwo świata uznała Saharyjską Arabską Republikę Demokratyczną, co spowodowało wściekłość w stolicach Maroka i Francji.

Francuskich więźniów wziętych w Zuwiracie całych i zdrowych przekazano ONZ po sześciu miesiącach w grudniu 1977 roku. Saharyjczykom został tylko jeden przeciwnik.

*

Hamida Abdullah wierzył, że nie jest mu pisane, by zginąć na wojnie. Mówi, że

zrozumiał to pewnego listopadowego dnia w 1975 roku podczas nocnego patrolu w rejonie Ausertu.

– Obok nas przebiegła mała antylopa. Chłopaki krzyczą do mnie: strzelaj, będziemy mieli co jeść. Przeładowałem pistolet, ale zanim zdążyłem strzelić, ona już zniknęła w ciemnościach. A potem, gdy dotarliśmy do bazy, oparłem głowę o lufę pistoletu i nie wiedzieć czemu nacisnąłem cyngiel. Właśnie się zabiłem. Usłyszałem szcęk spustu i wtedy przypomniałem sobie, że w magazynku jest kula. Nie jedna. Dwadzieścia osiem. Jak przytrzymasz spust, to wyskakują od razu trzy albo cztery. Nie wyjąłem ich, zapomniałem. Po prostu zapomniałem.

Ponoć nikt nie umrze przed godziną swojej śmierci, taki mówi Koran. Może dlatego też Hamida nie umarł w piątek 16 sierpnia 1977 roku, w pierwszy dzień ramadanu, gdy jego auto ostrzeliwało po raz kolejny Zuwirat. Bo Hamida był strzelniczym, obsługiwał moździerze 82 mm i te większe 120 mm, a także przeciwlotnicze karabiny 14,5 mm. Choć, jak mówi dziś, prawda taka, że w partyzantce każdy zajmował się wszystkim. Ale w ten piątek, gdy w stronę jego mercedesa 1113 leciał pocisk, Hamida siedział za spustem dwulufowego radzieckiego karabinu 14,5 mm. A jak się jest za takim działkiem, to jest trochę jak w kabinie samochodu, bo obsługujesz je rękoma i nogami, a twoje niewielkie krzeselko znajduje się tuż za lufami. Trudno stamtąd wyjść.

Hamida Abdullah wierzy, że ochronił go Bóg, gdy mauretański pocisk trafił w stojące obok jego auta kanistry z benzyną, a jego ciężarówka zamieniła się w kulę ognia. Wyrwane wybuchem działko powinno go było przeciąć na pół. Ale nie przecięło. Nie zginął też w płomieniach i następujących kolejno eksplozjach amunicji. Nie zginął też, gdy wypadł z auta i w płonącym ubraniu znalazł się na ziemi ani gdy z poparzeniami całego ciała, nieprzytomnego wieziono go przez osiemset kilometrów do szpitala w Rabuni. Nie zmarł też w szpitalu w Algierze, gdzie opiekująca się nim francuska pielęgniarka, której imię pamięta do dziś, przysyłała lekarzy z całego Algieru, a nawet swoją siostrę z Francji, by zobaczyli jego przypadek. Bo Hamida nie powinien żyć. Jego czterech kolegów z mercedesa 1113 nie miało tyle szczęścia.

Na wojnę wrócił jeszcze z bandażami. Jego oddział, dowodzony przez słynnego już w Maroku, Mauretanii i Francji Lehbiba Ayoubu, został przeniesiony na północ, do bazy w Meharrize, na front marokański. Bo mauretańskiego już nie było.

– Po piętnastu dniach zestrzeliliśmy marokański samolot. Gdy złapaliśmy pilota,

pierwsze, co zrobił, to spytał, gdzie jest Ayoub. Spytaliśmy go, skąd wie, że on jest naszym dowódcą. A on odparł, że od dwóch tygodni wojna na północy wygląda inaczej.

Mimo ustaleń traktatu pokojowego wojska POLISARIO nie zdołały przejąć południowych prowincji od Mauretanii. Niektórzy Saharyjczycy obawiali się zresztą, że mógłby to być krok do podziału Sahary Zachodniej na dwie części. Wojska marokańskie zostały przerzucone do Dakhli drogą lotniczą już na początku sierpnia 1979 roku. Ale mimo tego pozornego sukcesu sytuacja Maroka wcale nie prezentowała się optymistycznie.

Po dwóch latach wojny Maroko kontrolowało jedynie miasta El Aaiún, Smarę, Bojador, Dakhłę i kilka rozrzuconych po pustyni posterunków i baz. Strategiczna kopalnia fosforytów w Bu Craa, mimo że zajęta przez Marokańczyków w pierwszych dniach wojny, nie działała już od 1976 roku, bo partyzanci skutecznie niszczyli trakturę elektryczną i dziewięćdziesięciokilometrowy pas transportujący fosforyty na wybrzeże. Przez sześć lat, do 1982 roku, do portu w El Aaiúnie trafiała niespełna jedna dwudziesta surowca, okupacja Sahary nie przynosiła zatem prawie żadnych zysków. Bo przestrzenie pomiędzy miastami pozostawały pod wyłączną kontrolą wojsk ELPS. Pierwsza wygrana bitwa, która w znaczący sposób podniosła morale Saharyjczyków, miała miejsce jeszcze w lutym 1976 roku, w tym samym czasie, gdy trwała ewakuacja ludności cywilnej do Algierii. Wtedy doszło do dwóch starć w okolicy oazy Amgala na północy Sahary. W pierwszej potyczce brali udział również żołnierze algierscy. Blisko setka z nich zginęła z rąk Marokańczyków, co niemal doprowadziło do otwartej wojny algiersko-marokańskiej. Huari Bumediem natychmiast wycofał swoje wojska, ale kilka dni później utracony posterunek w Amgali został koniec końców zdobyty przez Saharyjczyków i pozostawał pod ich kontrolą do końca wojny. Kilka miesięcy później partyzantom udało się też wjechać do okupowanego El Aaiúnu i odbić z Czarnego Więzienia dwudziestu swoich kompanów.

Brygady Lehbiba Ayoubu zostały przeniesione na północ z końcem 1978 roku, gdy walki z Mauretanią już cichły. 27 grudnia 1978 roku zmarł w Algierze Huari Bumediem, główny sponsor i sojusznik Saharyjczyków. Wśród wielu oficjeli z całego świata zaproszonych na pogrzeb nie było Hassana II. Front POLISARIO, by uczcić pamięć prezydenta Algierii, zorganizował za to serię rajdów w głąb terytorium marokańskiego, nazywając je ofensywą Huariego Bumedienu. Pierwszy raz wojna, którą rozpętał Hassan II, zawitała do jego Królestwa. Pod koniec

stycznia setki land roverów Lehbiba Ayouba wjechało do Tantanu, rozbijając marokańskie wojska, niszcząc infrastrukturę wojskową, elektrownię i bank. Przy okazji ataku uwolniono ponad stu więźniów lokalnego więzienia, zestrzelono samolot, a tysiąc siedmiuset partyzantów okupowało miasto przez pięć godzin ku ucieście dużej społeczności Saharyjczyków mieszkających w tym mieście. Dla wielu z nich była to długo wyczekiwana okazja do ucieczki spod marokańskiej władzy.



© Mohammed Moulud

Król Hassan II, rozwścieczony tak zuchwałym atakiem ELPS, powołał nawet specjalną Radę Obrony składającą się z przedstawicieli wszystkich partii politycznych oraz zagroził, że przy kolejnych atakach wojska ELPS będą ścigane aż do baz w Algierii. Ale nigdy nie odważył się tego zrobić. Nawet latem 1979 roku, gdy partyzanci atakowali bazy w Zak, Dżabal Warkiz, Assie, sięgając coraz dalej w głąb Maroka, a potem ponownie zdobyli miasto Tantan. Dwukrotnie nawet. Droga prowadząca z Tantanu do El Aaiúnu stała się tak niebezpieczna, że wojska FAR bały się nią wysyłać nawet konwoje. Groźby pod adresem Algierii pozostały jedynie słowami nawet 12 sierpnia, gdy trzytysięczny oddział partyzantów zmiotł

z powierzchni ziemi marokańską bazę w Bir Enzarán, biorąc stu siedemdziesięciu pięciu jeńców, których potem pokazano zaproszonym do Rabuni dziennikarzom. Hassan II nie wysłał swoich wojsk do Algierii nawet po tym, jak 24 sierpnia trzecia eskadra pancerna FAR, stacjonująca w bazie Lebuirat nieopodal granicy z Saharą Zachodnią, przestała istnieć, zdobyta nocą przez partyzantów w terenówkach. Zginęło blisko tysiąc marokańskich żołnierzy, a ponad stu zostało wziętych do niewoli. Mało tego, żołnierze Lehbiba Ayouba zniszczyli kilkadziesiąt marokańskich czołgów, a wiele innych bezterminowo pożyczyci wraz z uzbrojeniem i amunicją. Zwycięstwo było tym większe, że odsiecz, którą wysłano z bazy w Zak, dostała się w zasadzkę i została również całkowicie rozbita. Lebuirat, choć w Maroku, na prawie rok stało się bazą Frontu POLISARIO. Oraz policzkiem dla Królewskich Sił Zbrojnych i Jego Wysokości osobiście. Trzydziestu siedmiu żołnierzy, w tym dowódcę garnizonu w Lebuirat, Jego Wysokość postawił przed Trybunałem Wojskowym.

– Słyszałeś kiedyś, żeby czołgi uciekały przed land roverami? – śmieje się Hamida. – To chyba jedyny przypadek w historii świata.

Tymczasem ELPS dysponowała już coraz nowszym uzbrojeniem. Szadli Bendzedid, nowy prezydent Algierii, a w ślad za nim Mu’ammar Kaddafi hojnie przekazywali partyzantom wojskowe nowinki prosto z ZSRR. W ręce bojowników trafiły zatem szpiczaste bojowe wozy piechoty BMP-1, armaty D-30, które mogły strzelać na ponad dwadzieścia kilometrów, karabiny przeciwlotnicze ZPU-4 i działka ZSU-23. Na wyposażeniu ELPS pojawiają się także zdobyczne francuskie samochody pancerne Panhard AML, a wkrótce żołnierze POLISARIO, którzy jeszcze niedawno przemierzali pustynię na wielbłądach, wyjadą na pole walki pierwszymi czołgami T-54, a potem także tymi najnowszymi T-72. Niebawem dostaną też potężne samobieżne wyrzutnie SAM-6, którymi bez trudu zestrzelą marokańskie samoloty. Obsługi tych wszystkich nowości będą ich uczyć już nie tylko instruktorzy z Algierii, ale także ci z Kuby i Wietnamu.

Na zdjęciach, które znajduję w Muzeum Wojny, zobaczyć można parady wojenne organizowane w obozie Rabuni z okazji jednego ze świąt narodowych, 27 lutego lub 20 maja. Partyzanci suną pośród czarnych namiotów w kolumnach land roverów, transporterów, ciężarówek, dumnie prezentując uzbrojenie, zarówno to zdobyte na Marokańczykach, jak i to otrzymane od sojuszników. Na innym zdjęciu widać poustawiane w rzędy mózdzierze – od tych największych przez średnie do tych malutkich, kieszonkowych niemalże. Za nimi rzędy pistoletów,

karabinów, maszynowych i zwykłych również, a w tle równiutko, paradnie ustawione land rovery z zamontowanymi armatami i działkami. Pośród wszelakiego uzbrojenia przechadzają się mieszkańcy obozów, w dużej mierze kobiety z dziećmi, pokazując palcami, dotykając, jakby nie mogły uwierzyć. Na zdjęciach z lat osiemdziesiątych żołnierze ELPS w niczym już nie przypominają zabiedzonych partyzantów w sandałach z fotografii Mohammeda Mouluda. Tu prezentują się już niczym regularna armia, jadąc w długich kolumnach sowieckich czołgów, ubrani w mundury, z beretami na głowach. W muzeum jest też pewne zdjęcie, które mnie absolutnie zadziwia. Na nim kilkunastu śniadych facetów z karabinami i bazookami na plecach, ubranych w pianki neoprenowe. Stoją obok motorowych pontonów. To marynarka wojenna Saharyjskiej Arabskiej Republiki Demokratycznej patrolująca przybrzeżne wody i atakująca głównie hiszpańskie i marokańskie statki rybackie łowiące nielegalnie na szelfie okupowanej Sahary Zachodniej.

Zdobycie bazy Lebuirat oprócz wymiaru propagandowego miało również duże znaczenie czysto militarne i otworzyło drogę do kolejnych zwycięstw. Wkrótce partyzanci zdobyli również Tifariti i Mahbés, ostatnią bazę marokańską między granicą algierską a Smarą, zagarniając przy tym ogromne ilości sprzętu. W październiku przypuścili zmasowany atak na samo miasto i choć został on odparty, umożliwił ucieczkę z okupowanej Smary ponad siedmiuset cywilom. Do końca 1979 roku Maroko utraciło bądź dobrowolnie opuściło wszystkie posterunki w rejonie Saguia el Hamra. El Farsía, Mahbés, Hausa, Bir Lehlú i Amgala wróciły w ręce Saharyjczyków. W grudniu 1979 roku partyzanci otoczyli więc ogromną bazę w Zak, już w samym Maroku, bronioną przez siedem tysięcy marokańskich żołnierzy. Zorganizowana z wielką pompą operacja Imann, ogłoszona jako wielka kontrofensywa mająca na celu odzyskanie utraconych na rzecz Frontu POLISARIO baz, ruszyła z początkiem 1980 roku. Armię nazwano Zallaka na cześć zwycięstw odniesionych przez marokańską dynastię Almorawidów na początku XI wieku. Propaganda jednak nie wystarczyła. Choć w skład armii wchodziły trzy doborowe eskadry zmechanizowane, wspierane przez nowe francuskie samoloty F-1 Mirage, operacja utknęła w górach Dżabal Warkiz już po sześciu dniach walki. W pobliże bazy Zak nie dotarła w ogóle, a w marcu wojska FAR pokornie wycofały się do Assy. Bojownicy Frontu POLISARIO znów mieli co pokazywać zagranicznym dziennikarzom.

Jedynym militarnym sukcesem Hassana II w tym czasie było to, że sformowana

dywizja pancerna sześciu tysięcy żołnierzy i tysiąca pięciuset pojazdów, nazwana z pompą Uhud (na pamiątkę bitwy stoczonej przez Mahometa przeciw niewiernym w VII wieku), zdołała bezpiecznie dojechać do Dakhli. Niezaatakowana, nierozbita. Cała i bezpieczna. Wydarzenie obwołano wielkim zwycięstwem. Tymczasem więzienie w Rabuni zapełniało się marokańskimi jeńcami wojennymi, których do końca wojny będzie prawie cztery tysiące. Amerykańscy, francuscy i izraelscy instruktorzy wojskowi doradzający generałom marokańskiej armii rozkładali ręce. Każdego roku z USA płynęły do Maroka transporty najnowszego sprzętu wojskowego: myśliwców F-5, ogromnych samolotów transportowych C-130, helikopterów bojowych, jakie znamy z filmów o wojnie wietnamskiej, czołgów M-60, wyrafinowanych systemów radarowych i wszelkiego rodzaju amunicji. Do 1980 roku wartość amerykańskiej pomocy sięgnęła miliarda dolarów. Do tego administracja Geralda Forda, a potem Jimmy'ego Cartera i Ronalda Reagana, wydawała rocznie ponad milion dolarów na szkolenia dla marokańskich oficerów. Wartość francuskiej pomocy była jeszcze większa. Zakupów tych nie finansował jednak Rabat, którego skarbiec świecił pustkami, nadwerężony przeciągającą się wojną. Za dostarczony sprzęt, w ramach solidarności królewsko-królewskiej, płaciła w dużej mierze bogata Arabia Saudyjska. Broń znajdującemu się w opresji Królestwu Marokańskiemu dostarczały również Egipt, Belgia, Włochy, Izrael i RPA z czasów apartheidu. Wozy pancerne z RPA, które zdobyli partyzanci, zostały zresztą oddane właścicielom już za Nelsona Mandeli. Bo Mandela, w przeciwieństwie do swoich poprzedników, wspierał dążenia Frontu POLISARIO. Symboliczny podarek od Saharyjczyków przyjął z uśmiechem. W Muzeum Wojny w Rabuni można też obejrzeć pewne działo 105 mm odebrane Marokańczykom. Ma plakietki z napisem NATO.

W Maroku na stałe przebywało też stu trzydziestu amerykańskich doradców wojskowych, którzy przebrani w marokańskie mundury często brali udział w bitwach. Jeden z nich, obserwujący bitwę o Mahbés, miał powiedzieć, że jedyne, czego USA nie są w stanie dostarczyć marokańskim żołnierzom, to wola walki. Rekrutowani w większości spośród mieszkańców biednych dzielnic miast lub wiosek Atlasu i Rifu, walczący jedynie dla żołdu, nieprzyzwyczajeni do saharyjskiego klimatu, żołnierze FAR nie wykazywali większej woli walki. Tygodnie, miesiące spędzone w okopach, podczas których czekali w strachu na rajdy bojowników ELPS, skutecznie podkopywały morale. Wojska FAR miały jeszcze jeden kłopot. Hassan II, pamiętając dwa nieudane zamachy na swoje życie,

nie ufał swoim oficerom, nie udzielał im promocji i wolał sam dyrygować działaniami wojsk ze swojego tronu w Rabacie. Konstytucja Maroka nadawała mu przecież tytuł Amir al-Mu'minin, Dowódca Wiernych. No to dowodził, mimo że na wojnie znał się raczej słabo. Do 1980 roku żaden z oficerów FAR nie dorobił się rangi generała.

Lato 1980 roku partyzanci ELPS spędzili w Maroku, dość swobodnie atakując miasta Antyatlasu, Akkę i Tatę, położone niespełna dwieście kilometrów od Agadiru. W październiku zaś dokonali symbolicznego w wymiarze ataku na miasto Mahamid al-Ghizlan. To tutaj w 1958 roku ojciec Hassana II Mohammed V po raz pierwszy wygłosił marokańskie pretensje do Sahary Zachodniej.

Sytuacja Hassana II, który miał przecież zająć Saharę Zachodnią w nie więcej niż tydzień, stawała się kompletnie beznadziejna. Tym bardziej że w miastach marokańskich coraz częściej wybuchały manifestacje niezadowolenia, krwawo tłumione przez służby bezpieczeństwa. Na ulicach Casablanki zmasakrowano blisko sześćuset cywili protestujących przeciw podwyżkom cen żywności. Jego Królewska Mość zapewniał jednak swój lud, że kwestia Sahary Zachodniej jest bliska rozwiązania. W telewizyjnym orędziu prosił, by jego podwładni wzięli do ręki Koran i przyrzekli wierność idei Zielonego Marszu. A występując na forum Organizacji Jedności Afrykańskiej, zaskoczył wszystkich zgromadzonych w Nairobi, ogłaszając, że Maroko jest gotowe, by przeprowadzić referendum na Saharze Zachodniej.

*

Sześćdziesięcioletni Hamida Abdullah przyjmuje mnie po raz kolejny herbatą i wyśmienitą tortillą. Mówi, że to jest teraz mój dom. Siedzimy na dywanie, a on, uradowany niezmiernie, rozrysowuje w moim notatniku schematy kolejnych bitew, zapełniając strony tajemniczymi nazwami oaz i suchych rzek. Oraz symbolami uzbrojenia i nazwiskami dowódców. Dziś na zewnątrz jest 47 stopni w cieniu, sierpień, pełnia saharyjskiego lata. Obok nas stoi więc wielka jak lodówka dmuchawa na wodę, zapewniająca odrobinę chłodnego powietrza i ogromną ilość hałasu. W cieniu urządzenia trzy rude koty zażywają popołudniowej sjesty, wyciągnięte na wznak z łapami do góry.

Hamida zawsze nosi białą, lekko przybrudzoną dara'a, spod której wystaje ciało noszące ślady licznych poparzeń. Na prawym ramieniu przywiązane ma trzy

tajemnicze woreczki różnego koloru i rozmiaru. Mówi, że to na szczęście. Bo Hamida jest mistykiem. Wierzy w znaki, przepowiednie, uwielbia mówić o mędracach, prorokach. W pokoju trzyma kamień pochodzący z Tirisu, miejsca, gdzie mieszkał wieszcz szejch Mohammed El Mami, którego Hamida lubi cytować.

– Mówimy, że tu, na Saharze, pod każdym kamieniem jest studnia. To on tak powiedział. To oznacza, że nasz kraj ma wiele naturalnych bogactw. A przecież on nie mógł tego wtedy wiedzieć!

Hamida Abdullah jest również głęboko wierzącym muzułmaninem, modli się, jak nakazuje wiara, przestrzega ramadanu, z głowy cytuje kolejne wersy Koranu. Dzwonkiem w jego telefonie jest jedna z sur świętej księgi. Ale fundamentalizm w jakichkolwiek przejawach jest mu obcy. O „tych z długimi brodami”, których właśnie obserwujemy w małym, stojącym w rogu telewizorze, mówi, że nie są wyznawcami tej samej religii co on. Bo przecież każdy z nas będzie leżał we własnym grobie, więc niech sobie do niego zabierze, co mu się podoba.

Za każdym razem, gdy z nim rozmawiam, Hamida ma w zanadrzu niezliczoną ilość historii o dziwnych, niewytłumaczalnych zdarzeniach. Mówi wtedy: i wiesz co, powiem ci sekret. Rozprawia o saharyjskiej poezji, przypowieściach, wierzeniach i powiedzeniach, a czasami również o polityce i wojnie. Bo na tej wojnie wydarzyło się wiele niewytłumaczalnych historii. Hamida mówi, że kto nie jest muzułmaninem, tego nie zrozumie.

*

Oaza Guelta Zemmur leży pośród pustynnych brunatnych wzgórz masywu Zammur, ciągnącego się w poprzek granicy między Saharą a Mauretanią. Bo „guelta” znaczy tyle co staw, jezioro, utrzymujące wodę spływającą ze skalnych masywów i uedów. Dobre źródło wody i cień wzgórz sprawiały, że Guelta Zemmur była używana przez saharyjskich nomadów od setek lat. Dziś jeziora nie ma, choć zapewne pojawia się ono okresowo, gdy nad Saharę nadciągną burzowe chmury. Zamiast jeziora jest za to marokańska baza, ważna, duża i w 1981 roku jedna z dwóch, jakie zostały wojskom FAR. Dwa tysiące sześciuset żołnierzy stacjonujących w Guelcie Zemmur miało ciężkie życie przez pierwsze lata wojny, bo okoliczne wzgórza aż zachęcają do ataków.

– Widziałem to tuż przed tym, jak się wydarzyło. Widziałem spadający samolot. We śnie. Obudziłem się i powiedziałem, że zaraz spadnie. O 6.25 zobaczyliśmy

smugę na niebie. Chwilę później samolot już spadał. Taki wielki rozpoznawczy C-130 Hercules, który latał nad nami bez przerwy.

Ahmed, znajomy Hamidy dodaje:

– Nawet nasze wojska nie wiedziały, że jesteśmy w okolicy. Przemieszczaliśmy się tylko nocą. Było nas z pięćdziesiąt osób, tyle ile potrzeba do obsługi tych rakiet. Nie wolno nam było z nikim rozmawiać, wszystko było ściśle tajne, bo pierwszy raz używaliśmy tej broni. Mieliśmy raptem jedną baterię tych rakiet. Czyli dwanaście sztuk. Przyjechała z Algierii, nawet z kilkoma ruskimi obserwatorami, którzy filmowali wszystko, co robiliśmy. O 5.20 byliśmy jakieś trzydzieści kilometrów od Guelty Zemmur, godzinę później na radarze pokazał nam się ten samolot.

Chwilę później, rankiem 13 października, ze wzgórz otaczających oazę zjechały setki land roverów, wozów opancerzonych, a nawet czołgów T-72 komendanta Lehbiba Ayouba. To musiał być niezwykle ciężki dzień dla króla Hassana II. Zastanawia mnie, jak Jego Wysokość przyjął do wiadomości, że jego lotnictwo straciło tego ranka aż dwa samoloty. A potem, koło godziny dziesiątej, jeszcze helikopter, zestrzelony przez Ahmeda. Nazajutrz z nieba spadły kolejne dwa marokańskie samoloty i, przypadkiem, przez błąd Ahmeda, jeden mauretański. Jak zareagował król Hassan II, gdy doniesiono mu, że po raz kolejny setki jego żołnierzy nie bardzo garnęły się do walki, kilkuset z nich zginęło, inni uciekli aż za granicę mauretańską, a ponad trzystu pojechało w ciężarówkach do więzienia w Rabuni?

W przeciwieństwie do marokańskich żołnierzy dużo szczęścia miał za to Hamida Abdullah. Bo po raz kolejny nie zginął. Nawet wtedy, gdy linię drzew, w której ukrywał się wraz ze swoimi kompanami, ostrzelały myśliwce F-5. Nie zginął też, gdy kilkucentymetrowy odłamek pocisku utkwiał w jego lewym ramieniu. Tym razem nawet nie pojechał do szpitala.

Niedobitki żołnierzy FAR zostały ewakuowane z Guelty Zemmur, a baza opustoszała. Kilka dni później ewakuowano też ostatni marokański posterunek w położonym trzysta kilometrów na południowy zachód Bir Enzarán. Marokańscy żołnierze stacjonowali już tylko w miastach El Aaiún, Smara, Dakhla i Bojador. Wnętrze Saguia el Hamra i Rio de Oro należało w całości do partyzantów. Ale w tym samym czasie, gdy bojownicy ELPS atakowali ostatnie marokańskie bazy, z Ras al-Chanfra na południu Maroka wyruszyła w kierunku Smary sporych rozmiarów armia wyposażona w raczej nietypowy jak na wojsko sprzęt. Bo w jej

skład wchodziło nad wyraz dużo jednostek inżynieryjnych. Specjalna armia, nazwana Larak, poruszała się powoli, zostawiając za sobą pas ziemnych fortyfikacji, murów, okopów i baz.

*

Są dwie zasady, których poszanowanie jest podstawą funkcjonowania Unii Afrykańskiej (powołanej w miejsce Organizacji Jedności Afrykańskiej w roku 2002), czyli współczesnej Afryki. Prawo do samostanowienia narodów i poszanowanie granic odziedziczonych po okresie europejskiego kolonializmu. Pogwałcenie zwłaszcza tego drugiego poprzez odwoływanie się do prekolonialnych królestw pogrążyłoby Afrykę w morzu niekończących się wojen, bo żadna z obecnych granic nie jest naturalna. Inwazja na Saharę Zachodnią w klarowny sposób naruszała obydwie reguły. Dlatego już w 1976 roku pojawiły się w OJA głosy, że Front POLISARIO powinien zostać zaproszony do organizacji. Silny sprzeciw kilku państw pozostających w sojuszu z Marokiem i Mauretanią spowodował jednak obawy, że OJA wbrew swojej nazwie już wkrótce niewiele będzie miała wspólnego z jednością. Ale w świetle wojennych i dyplomatycznych sukcesów Frontu POLISARIO na początku lat osiemdziesiątych debata nad przyjęciem nowego członka stała się nieuchronna. Do końca 1982 roku RASD uznawało już pięćdziesiąt państw, w tym ponad połowa członków OJA. Saharyjczykom udało się również zapewnić sobie wsparcie Ruchu Państw Niezaangażowanych, szukających „trzeciej drogi” między blokiem wschodnim a zachodnim i z zasady wspierających wszelkie ruchy narodowo-niepodległościowe. 22 lutego 1982 roku Saharyjska Republika została przyjęta do Organizacji Jedności Afrykańskiej. Spowodowało to jednak głęboki dwuletni kryzys w samej organizacji. Na skutek protestów Maroka oraz państw z nim związanych, Tunezji, Senegalu, Wybrzeża Kości Słoniowej, Demokratycznej Republiki Konga, Egiptu, kolejne szczyty OJA zaplanowane na 1982 i 1983 rok nie odbyły się, a nad OJA zawisło widmo rozpadu. Do negocjacji włączył się nawet król Arabii Saudyjskiej, namawiając Hassana II na pierwsze osobiste spotkanie z prezydentem Algierii Szadlim Bendzedidem. Rozłam w organizacji udało się przezwyciężyć dopiero w listopadzie 1984 roku na szczycie w Addis Abebie, na którym Saharyjska Arabska Republika Demokratyczna dostała swoje miejsce w Organizacji Jedności Afrykańskiej jako stały i pełnoprawny członek. Następnego

roku prezydent Mohammed Abdelaziz został wybrany na jej wiceprzewodniczącego. Maroko w proteście wystąpiło z organizacji i do dziś jest jedynym afrykańskim krajem, który do niej nie należy.

Tytuł na okładce algierskiej gazety „Algérie Actualité” głosił „Le Triomphe du Droit!” (Triumf prawa).

Jest ten zbudowany w Indiach, biegnący zygzakiem przez góry i doliny Himalajów, rozdzielający na dwie części historyczną krainę Dżammu i Kaszmir. Zbudowany z podwójnego płotu, zabezpieczony kamerami i czujnikami ruchu, strzeżony przez uzbrojonych żołnierzy. Pomiędzy tymi płotami ma kłęby drutu kolczastego. Tak na wszelki wypadek, gdyby komuś jednak udało się przeskoczyć, to stąd już na pewno nie wyjdzie. Do tego płot jest pod napięciem, tak samo jak pod napięciem są stosunki Pakistanu i Indii, które ów płot wybudowały. Ponoć po to, by zapobiegać szmuglowaniu broni i narkotyków, pewnie dlatego nazywają go ładnie „linią kontroli”. Ciekawi mnie, jak nazwałby go Mahatma Gandhi.

Jest też ten będący smutnym wspomnieniem zimnej wojny, biegnący mniej więcej wzdłuż 38 równoleżnika. Wygląda zza niego najbardziej chyba osamotniony dyktator świata, spełniający w zupełności czarną orwellowską wizję z *Roku 1984*. Bo państwo Kimów jest reżimem idealnym, niepotrzebującym w swojej głębokiej paranoi nikogo poza Wrogiem. Wróg sankcjonuje i uzasadnia jego istnienie. Bez niego dyktatura by upadła. Ale na szczęście dla dziadka, ojca i syna o tym samym nazwisku nieprzyjaciół jest tuż-tuż. Obie Koree pozostają formalnie w stanie wojny od ponad sześćdziesięciu lat. Po południowej stronie są miejsca, gdzie można podejść do muru i powiesić kolorową wstążkę z wypisanym życzeniem. Można też rozchylić te już wiszące wstążki i z bezpiecznej odległości, przez oczko perforowanej blachy, zerknąć na drugą, północną stronę.

Jest również ten, którym Izraelczycy odgradzili się od palestyńskich osiedli Zachodniego Brzegu. Zbudowany z pięciometrowych betonowych segmentów, pilnowany przez jeszcze wyższe betonowe strażnice, ciągnie się przez ponad siedemset kilometrów, przecinając pola, wzgórza, wsie i miasta. Ma różne nazwy. Ci, którzy go lubią, chwala i ponoć dzięki niemu czują się bezpieczni, mówią o nim „płot bezpieczeństwa” albo „płot antyterrorystyczny”. Pozostali, dla których stał się przeszkodą, wolą inne nazwy: „mur segregacji rasowej” albo „mur apartheidu”. A w telewizji mówią o nim dyplomatycznie „bariera”. Można do niego podejść,

można go dotknąć, sfotografować się na jego tle, ukochać lub opluć, można go też pomalować. Jest dostępny w swojej okrutnej niedostępności. Mur izraelski, jak chyba żaden inny, jest dzięki temu również galerią sztuki, tej ulicznej, niepokornej, niektórzy mówią o nim już West Banksy Wall. Mnie osobiście najbardziej podoba się pokraczny, ale prosty w przekazie napis: „Make hummus not walls”.

Izraelczycy w murach, barierach, płotach, czy jakkolwiek to nazwać, są specjalistami światowej klasy. Swoje małe państwo odgradzili też od palestyńskiej Strefy Gazy, a w 2013 roku ukończyli budowę nowej bariery, która uszczelni dwustukilometrową granicę izraelsko-egipską. Na Bliskim Wschodzie panuje zresztą chyba taka moda, mury są w cenie. Biorąc przykład z Izraela, także Egipt odgradził się od Strefy Gazy. Arabia Saudyjska najpierw zbudowała mur wzdłuż granicy z Jemenem, a teraz buduje podobną barierę przy granicy z Irakiem. Kuwejt zbudował ją już dawno temu.

Jest mur, który stoi w Europie, choć wydawać by się mogło, że bariery graniczne to domena odległych azjatyckich czy arabskich krajów. Po jednej jego stronie krawężniki pomalowane są w niebiesko-biało-czerwone rytmy, a ze ścian patrzą na nas groźni, zamaskowani bojownicy Ulsteru. Albo królowa Elżbieta z siwym włosiem i dobrotliwym uśmiechem. Po drugiej zaś stronie zobaczymy portrety męczenników i dużo zielonego koloru. Owinięte kolczastym drutem stalowe lub betonowe „ściany pokoju” szatkują dzielnice Belfastu, gdzie mieszkają ludzie, którzy pokłócili się o ziemię i o Boga. Zwaśnili się tak bardzo, że nawet cmentarz podzielili „ścianą pokoju”, taką podziemną, wkopaną w trawnik, coby protestanckie robaki nie jadły katolickich ciał ani, broń Boże, odwrotnie.

Jest też mur oddzielający lepszy, błyszczący, czysty świat od tego gorszego, biednego, brudnego i mówiącego po hiszpańsku. Patrolują go oprócz policji i helikopterów straży granicznej także ochotnicze grupy zwykłych mieszkańców stanów Kalifornia, Arizona, Nowy Meksyk i Teksas. Setki Meksykanów zawisło bezwładnie na jego drutach kolczastych, bo miał zabezpieczyć przed napływem imigrantów i narkotyków. Ale nie zabezpieczył. Mimo że w Tijuanie dzieli nawet plażę i kilkadziesiąt metrów oceanu.

Jest również ten, którego już nie ma, ale nadal pozostaje w naszej świadomości. Mur symbol, mur celebryta, którego kawałki można teraz kupić za ciężkie pieniądze na internetowych aukcjach. Uwieczniony na milionach zdjęć, wystawiany w muzeum, ograny w wielu filmach i wspomniany w niejednej piosence. Tu i ówdzie można go jeszcze zobaczyć w naturalnym środowisku, bo

zostawiono go na pamiątkę. Ku przestrodze. Erich Honecker wciąż całuje na nim Leonida Breżniewa prosto w usta, a napis woła: „Boże, pozwól mi pozostać żywym pośród tej zabójczej miłości”.

I jest jeszcze jeden mur. Ten nazywają „murem wstydu”. Ci, którzy zostali po drugiej stronie, odgradzeni, którzy nie mogą już wrócić. Bo ci, którzy go zbudowali, nie nazywają go w ogóle i raczej nie lubią o nim mówić. Nie ma na nim malowideł, sloganów, murali. Nie można go dotknąć, poczuć, zawiesić wstążki. Nie można kopnąć, obrzucić kamieniami, obsikać. Trudno nawet zrobić sobie z nim efektowne zdjęcie. Nie przyjeżdża pod niego Banksy, nie śpiewa o nim U2 ani Pink Floyd.

*

– To było w połowie 1981 roku, gdy na jednym z patrolów na północy Saguia el Hamra zamiast czołgów czy transporterów zobaczyliśmy potężne buldożery i traktory – wspomina Hamida Abdullah. – Nie wiedzieliśmy wtedy, co to jest. Widzieliśmy tylko, że kopią, coś budują.

Ja pierwszy raz zobaczyłem go na Google Maps. Moje zdziwienie, domyślam się, było podobne do tego, które przeżywał Hamida. Przesuwałem niekończące się pustynne przestrzenie i śledziłem przebieg jego linii wyznaczonej murami i koralikami wojskowych baz. Z lotu wirtualnego ptaka wygląda pięknie. Jak precyzyjny rysunek techniczny albo litografia. Tak, gigantyczna litografia, wyrysowana w saharyjskim krajobrazie za pomocą buldożerów. Czasami przypomina też jakieś abstrakcyjne dzieło przybyszów z innych planet, jak kręgi w zbożu, tylko że na pustyni. Bo trudno sobie wyobrazić, że zbudował go człowiek. Dzieło (militarnej) sztuki w skali hipermakro.

Buldożerów napotkanych przez oddziały POLISARIO musiało być zaiste dużo, bo zamysł był imponujący, a pomysłodawcą ponoć sam Henry Kissinger. Bo wobec zupełnie rozpaczliwej sytuacji na froncie i bezsprzecznej przewagi Frontu POLISARIO obawa, że monarchia marokańska upadnie, stała się niepokojąco wręcz realna. Do Królestwa przybyli więc amerykański sekretarz stanu, sekretarz obrony i kilku najwyższych rangą oficjeli CIA oraz wielu instruktorów i doradców wojennych zarówno z USA, jak i Francji, ale również z Izraela. Dyskutowano nad tym, jak zmienić strategię wojny, by zapobiec śmiałym i nieprzewidywalnym rajdom wojsk ELPS. A mur w wojnie z partyzantką jest rozwiązaniem

sprawdzonym międzynarodowo. Francuzi budowali mury podczas wojny w Algierii, Amerykanie stawiali je w Wietnamie, a Izrael zabezpieczał murami swoje granice z Egiptem. Taki mur pozwala narzucić wrogowi miejsce walki, wytrąca mu z ręki jego podstawowy argument – mobilność i zaskoczenie.

Pierwszy wyrósł w 1981 roku i objął swoim szerokim ramieniem stolicę El Aaiún, Smarę i kopalnię fosforytów w Bu Craa. Tak zwany „użyteczny trójkąt”, z którego miliony dirhamów już wkrótce będą kapały do marokańskiego budżetu. Mur zabezpieczał również tereny południowego Maroka, biegnąc przez dolinę Wadi Dara, a następnie wzdłuż granicy algierskiej, ochraniał Tarfaję, Tantan, Kulmim i Zak. Zbudowany został przez specjalną armię, która wyruszyła z Ras al-Chanfra na początku 1980 roku. Już ten miał ponad siedemset kilometrów długości. A powstał raptem w dwa lata.

Drugim murem zagrabiono nadmorski Bojador, Amgalę i terytoria na południe od kopalni fosforytów. Trzecim wycięto z Sahary Zachodniej kolejny kawałek północnej części z osadami Echdeiría i Hausa. W tym samym czasie fortyfikacją otoczono też rejon Dakhli.

Czwartym murem ukradziono resztkę północnych rejonów. Za jego linią zostały osady El Farsía i Mahbés. Piątym murem amputowano tereny południowe, od Dakhli przez Bir Enzarán, Umm Dreigę, Guelte Zemmur do Amgali. Kilkadziesiąt kilometrów piątego muru zbudowano nawet beczelnie na terytorium Mauretanii.

Dzieła dokończono w 1987 roku, budując szósty mur, który zagarnął niemalże całe południe Sahary z oazami Ausert, Bir Gandús i Tichlá. Ten również w wielu miejscach biegnie przez tereny Mauretanii, czasami niespełna kilometr od linii kolejowej Zuwirat–Nawazibu.

„Mur wstydu” zaczyna się małym fortem przyklejonym do klifu atlantyckiego wybrzeża tuż przy granicy z Mauretanią. Biegnąc przez otchłanie niezamieszkałej pustyni, kończy się w pobliżu marokańskiego miasta Assa. Cały ma długość 2750 kilometrów. Tylko Wielki Mur Chiński w latach świetności był dłuższy.

*

To mur wzbudził moją ciekawość. Chciałem go zobaczyć. Od strony Maroka jest to niemożliwe, szukałem więc kontaktu z przedstawicielami Frontu POLISARIO, spodziewając się, że mogą tacy być w Hiszpanii. Ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że Front ma również reprezentanta w Warszawie. Swojego

ambasadora. Nieoficjalnego, bo Polska, jak wszystkie kraje Europy, z wyjątkiem Albanii, nie uznaje Saharyjskiej Republiki.

„Estimado señor, Soy un escritor y viajero de Polonia. Estoy planeando un viaje al Sáhara Occidental para escribir un libro sobre la situación del pueblo Saharaui y la ocupación marroquí del Sáhara” (Szanowny Panie, jestem pisarzem i podróżnikiem z Polski. Planuję wyjazd na Saharę Zachodnią, aby napisać książkę o sytuacji Saharyjczyków pod marokańską okupacją) – zaczynał się mój mail. Mahjub Mohammed Dekka zadzwonił natychmiast, mimo że była północ. Był uradowany, że ktoś interesuje się jego ukradzionym krajem.

Następnego dnia w swojej skrzynce mailowej znalazłem zaproszenie podpisane przez Brahima Ghaliego, sekretarza generalnego Frontu POLISARIO, obecnie ambasadora RASD w Algierii. Obok jego podpisu była jeszcze pieczętka Mohammeda Mahreze Lamariego, przewodniczącego Algierskiego Komitetu Solidarności z Narodem Sahrawich. Dziewięćdziesięciodniową wizę algierską wielokrotnego wjazdu dostałem w kilka dni.

Trzy tygodnie później jechałem białym peugeotem 406, a za oknem przesuwały się postkolonialne krajobrazy jednego z największych portów w Afryce. Miasto jak z ironicznym opisów Alberta Camusa:

Polecam wrażliwemu podróżnikowi, jeżeli pojedzie do Algieru, napić się anyżówki pod łukami portu, rano zjeść na Łowisku rybę świeżo złowioną i usmażoną na ruszcie; posłuchać muzyki arabskiej na ulicy Liry w kawiarence, której nazwy zapomniałem; o szóstej wieczór siąść na ziemi u stóp pomnika księcia Orleańskiego na placu Rządowym (nie ze względu na księcia, lecz na to, że tędy przechodzą ludzie i jest tutaj dobrze); zjeść śniadanie w restauracji Padovaniego, która jest czymś w rodzaju dansingu na palach, na brzegu morza, gdzie życie jest zawsze łatwe; zwiedzić arabskie cmentarze, najpierw po to, by tam spotkać ciszę i piękno, dalej po to, by należycie ocenić niecne nekropolie, gdzie trzymamy naszych zmarłych; wypalić papierosa na ulicy Rzeźniczej, w Kasbie, wśród śledzion, wątrób, jelit i krwawiących płuc zwisających ze wszystkich stron (papieros jest konieczny ze względu na mocny zapach tego średniowiecza)^[5].

Gdyby leżało po drugiej stronie Morza Śródziemnego, byłoby Paryżem albo przynajmniej Bordeaux. Turyści waliliby tu drzwiami i oknami, pewnie byłyby tu jakieś międzynarodowe festiwale, imprezy, a wybrzeże roiłoby się od pań i panów

z Europy desperacko poszukujących słońca. Na jednym z secesyjnych balkonów zwracają moją uwagę dwie flagi, biało-zielona algierska, a obok niej saharijska w kolorach panarabskich.

O trzeciej rano samolot Air Algérie ląduje na lotnisku w odległym o tysiąc pięćset kilometrów Tindufie. Mój algierski taksówkarz śmiał się, że tu jadę. Opowiadał, że jak był w wojsku, to służba w bazie w Tindufie była jak za karę. Latem 50 stopni, a zimą blisko zera. I do tego ta pustynia, hamada, płaska, paskudna, skrajnie nieprzyjazna. Na lotnisku czeka na mnie terenowe auto i jego zawinięty w czarny turban kierowca. Aut jest zresztą więcej i tuż po opuszczeniu lotniska formują zgrabny konwój eskortowany przez wojskowe auto na syrenach. Tinduf nie jest bezpiecznym miejscem. Sahara Zachodnia to kanał przerzutowy dla marokańskiego haszyszu, a bliskość konfliktowych granic z Marokiem oraz porzucane po okolicy szyby naftowe sprawiają, że obcokrajowiec jest tutaj potencjalnym towarem podlegającym wymianie. A pustynne, trudne do kontrolowania tereny ułatwiają zadanie ewentualnym porywaczom i przemytnikom.

Więc noc. W świetle reflektorów pojawia się czasami punkt kontrolny, do którego dojazd strzeżony jest betonowymi zaporami. Wtedy konwój zgrabnym, powolnym slalomem objeżdża przeszkody, a do auta podchodzą uzbrojeni żołnierze. Tinduf to ważny rejon militarny, a do obozów uchodźców nie można wjechać tak po prostu. Przypadkowa osoba nie zostanie wpuszczona ze względów bezpieczeństwa. Terenowe auta, które nas wiozą, zostały wysłane przez protokół dyplomatyczny Saharyjskiej Republiki. Po konkretne osoby. Kilkanaście kilometrów od miasta konwój zjeżdża na pobocze przed dużą barykadą. Algierska obstawa zawraca, zegnając nas mrugającymi światłami, a ku nam podjeżdża pikap z kilkoma uzbrojonymi mężczyznami na pace. Nowa obstawa, tym razem składająca się wyłącznie z ludzi w czarnych turbanach. Wjeżdżamy na teren administrowany przez Front POLISARIO, tu wojsko ani policja algierska już nie sięgają. Obozy uchodźców to państwo w państwie, kraj na pożyczonej ziemi.

Rankiem w obozie Bojador witają mnie te same dwie flagi, które widziałem na balkonie w Algierze. Tylko w zupełnie innych okolicznościach.

*

Nie cały teren Sahary Zachodniej znalazł się za marokańskim „murem wstydu”.

Fortyfikacja, choć w dwóch miejscach narusza terytorium Mauretanii, na większości swojej długości biegnie dziesiątki kilometrów od międzynarodowych granic. Tak by marokańskie wojska mogły swobodnie ścigać partyzantów, nie naruszając przy tym terenów innych państw. Na zachód od muru znalazły się Terytoria Okupowane. Tak mówią o nich Saharyjczycy. Marokańczycy wolą termin Prowincje Południowe albo Sahara Marokańska. Mieszkają na nich ludzie, którym ukradziono ich kraj. Ludzie bez państwa. Ludzie w nie swoim państwie, choć na swojej ziemi.

Tereny na wschód od muru Saharyjczycy nazywają Terytoriami Wyzwolonymi, Zona Liberada. Marokańczycy nie mają na nie określenia. Choć królewskie wojska, skryte za murem, nie kontrolują tego obszaru, każda marokańska mapa pokaże, że jest to część Królestwa. Terytoria Wyzwolone, mniej więcej trzecia część pierwotnych terenów Sahary Zachodniej, znajdują się pod administracją Saharyjczyków. Żaden marokański żołnierz nie odważy się wejść na ten obszar. Tu królują land rovery Frontu POLISARIO, patrolujące otchłanie piachu. Ale Terytoria Wyzwolone to ziemia bez ludzi. Pusta, prawie niezamieszкана, bez miast, bez dróg, odcięta murem od reszty kraju. Ale należąca do nich.

Jest jeszcze jedna Sahara Zachodnia, ta, gdzie mieszka połowa jej obywateli, tworząc jedyną w swoim rodzaju strukturę społeczno-polityczną. Państwo bez ziemi. Państwo na wygnaniu, tuż za granicą swojego kraju, zawieszona w niebycie, nicości, niepamięci, pomiędzy wojną a pokojem. Saharyjczycy mówią o nich Obozy Godności. Marokańczycy twierdzą, że mieszkający tam ludzie są więzieni przez Algierię.

*

Na ścianie wiszą portrety. Na tej po prawej, nad zwichrowanym biurkiem oplecionym kablami rzeźącego w rogu komputera, wisi Mohammed Abdelaziz. W garniturze, z flagą obok. Patrzy w oczy swojemu wiszącemu po lewej stronie poprzednikowi, El Waliemu Sajedowi. Ten w koszuli, na czarno-białym zdjęciu. Obie fotografie dyndają krzywo na ścianach malutkiego, obskurnego pokoju, oprawione w złote, kiczowate ramki. Na biurku, tym pod prezydentem, serty papierów, teczek, ołówków. Zza monitora zerka w moją stronę starszy mężczyzna w polowym mundurze, okularach i czarnym turbanie. Zerka przyjaźnie, podaje rękę, pyta o dokumenty, cel i plan mojej wizyty w Obozach Godności. Pisarz,

dziennikarz (czuję się dumny), bardzo dobrze, serdecznie witamy. Wypisuje powolnie jakieś kwity, które przez najbliższe tygodnie będą moją przepustką w tym onirycznym państwie. Wystawia też pozwolenie. Umożliwi mi ono podróż na Terytoria Wyzwolone. Jeszcze dziś, bo właśnie organizują konwój. Siedzę na podartej, bogato pikowanej sofie, przy stoliku, na którym spod pełnej niedopałków popielniczki i porozrzucanych dokumentów wystaje dumny napis: „Presidencia de la República, Dirección de PROTOCOLO”.

Granatowe terenówki stoją już w rzędzie jedna za drugą przy poboczu asfaltowej drogi rozcinającej płaską, gładką niemalże powierzchnię pustyni. Między nimi krzątają się ubrani w brązowe dżalabije kierowcy PROTOCOLO. Ogromna większość z nich to byli partyzanci, doskonale znający pustynię. I drogę na Terytoria Wyzwolone. Wojskowe wozy zamienili na cywilne toyoty i wożą zagranicznych, takich jak ja, kompletnie zdezorientowanych i zagubionych w arabskiej rzeczywistości. Zgubić obcokrajowca jest tutaj łatwo, a chętnych na takie znalezisko nie brakuje. W 2011 roku trójka obcokrajowców została uprowadzona z terenu obozów, z samej siedziby PROTOCOLO. Ponoć porywacze pochodzili z Mali. Europejczyków uwolniono niespełna rok później, ale od tej pory środki ostrożności w obozach wzmożono. Ewentualne porwanie to spory kłopot, także wizerunkowy. I argument dla Marokańczyków, mówiących o saharyjskich terrorystach sponsorowanych przez Algierię. Więc bezpieczeństwo, konwój, zwłaszcza podczas podróży na rozległe i trudne do kontrolowania Terytoria Wyzwolone.

Kto nie zna tego widoku partyzantów siedzących na charakterystycznym samochodzie pędzącym przez pustynię lub sawannę? Widać go w niemal każdym materiale z Afryki. I ten wielki napis wystający spod błota lub kurzu, który w tych okolicznościach chlubą dla firmy raczej być nie może. Jedną z afrykańskich wojen, konflikt pomiędzy Libią a Czadem istniejący pod koniec lat osiemdziesiątych, nazwano nawet tak jak to auto. Bo to samochód klasyk, wóz ikona, niekwestionowany król afrykańskich wojen – pikap toyota land cruiser, z ogromnym logo marki na pace. Tak właśnie wygląda nasza obstawa, którą obserwuję z wnętrza mojej terenówki. Zupełnie jak z filmu *Pan życia i śmierci* lub *Helikopter w ogniu*. Na bagażniku auta siedzi kilku mężczyzn w mundurach. Na tle granatowego nieba lufy ich karabinów AK-47 kałasznikow są dobrze widoczne, w przeciwieństwie do ich twarzy, skrytych pod zwojami czarnych turbanów. Ciekawe jest to, jak taki turban zmienia odbiór ubranego weń człowieka. My,

Europejczycy, od razu widzimy bezwzględneho bojownika, groźnego fundamentalistę islamskiego, w najlepszym przypadku przemytnika.

Przejechawszy kilkadziesiąt kilometrów Algierii i trójkątny skrawek Mauretanii, nasza współczesna karawana zwalnia, kierowcy ustawiają auta jedno obok drugiego, a w ich oczach błyskających pod turbanami widać radość. Przed nami Terytoria Wyzwolone. Myślę sobie, że te ich sfatygowane land cruisery to drobna namiastka dawnego beduińskiego trybu życia. Jakaś namiastka wolności. Dbają o nie. Kochają. Każdy tu ma auto terenowe, takie by móc nim pojechać daleko w głąb pustyni. Najlepiej na swoją ziemię. Rok w rok tysiące Saharyjczyków mieszkających w obozach uchodźców w ucieczce przed letnimi upałami migruje na zachód, na Terytoria Wyzwolone. Bo tam jest chłodniej, bliżej oceanu, lepiej i u siebie. Nawet ta pustynia ponoć bardziej przyjazna.

*

Ten wrak samolotu leży tu już ponad trzydzieści lat. Szczątki F-5 Freedom Fighter, który ani trochę nie walczył o wolność, spoczywają na wzgórzu, otoczone ułożonymi misternie kamieniami. Choć poskręcane, pogruchotane, wypalone, można w nich rozpoznać części skrzydeł, silnika, stateczników. Można też zobaczyć dziury po pociskach, które sprawiły, że żelastwo leży tutaj bezwładnie, nie dając zapomnieć o wojnie. Tej minionej, ale również tej trwającej mimo zawieszenia broni. Wojskowy złom przypomina jeszcze o innej wojnie, tej nieuchronnej, której tak wielu tutaj pragnie. Czerwona flaga z zieloną gwiazdą, mimo że mocno już wyblakła, jest nadal dobrze widoczna na jednym ze skrzydeł. Kilkaset metrów dalej, na rozległym zboczu, przerdzewiały wrak czołgu T-54 nadal orze ziemię kolczastymi kołami pozbawionymi gąsienic. Na jego burcie ktoś napisał wielkimi literami „fuEGO”, ogień. W świetle zachodzącego słońca czerwony od rdzy złom w istocie płonie. Ale już nie budzi trwogi. Nieruchomy, cichy, choć w jakiś sposób nadal przerażający. Dziś jego lufa wycelowana jest prosto w księżyc wschodzący nad oazą Tifariti.

Ta różnica w krajobrazie jest naprawdę zaskakująca. Widzę to dopiero, stojąc na wzgórzu, na którym mieści się budynek dla gości. Bo w Tifariti są drzewa, mniejsze, większe, niektóre nawet dość okazałe. Są też palmy daktylowe, a gdzieś tam ze skalistej ziemi wyrastają nawet kłęby suchych, szarych traw. Jest też rzeźba terenu, są wzgórza, a na nich porozrzucane skały i głazy. Coś

więcej, znacznie więcej niż jedynie horyzontalna linia rozdzielająca piasek od nieba, jak w okolicy Tindufu. Sama pustynia jest również zupełnie inna. To nie jest piaszczysty, monotony, cholernie nudny płaski teren, przez który jechaliśmy ostatnie dziesięć godzin. Skalista hamada w Tifariti ma kolor. Wyrazisty, zdecydowany, czerwony, rdzawy, tu i ówdzie brunatny, w innych miejscach prawie czarny. Ta barwa to ogromnie dużo, człowiek od razu jakoś lepiej się czuje. Krajobraz okolic Tifariti w porównaniu z tym z rejonu Tindufu jest niezwykle zróżnicowany, bajecznie wręcz bogaty. Piękny na swój sposób. Zapewne dlatego przed wojną w Tifariti mieszkało kilka tysięcy Saharyjczyków. Oaza leży mniej więcej w pół drogi między algierskim Tindufem a stolicą w El Aaiunie, dwadzieścia kilometrów na północ od granicy mauretańskiej. Saharyjczycy mówią, że położone pośród łagodnych pustynnych wzgórz Tifariti ma przyjemny, łagodny mikroklimat. Ma również dobre źródło wody, choć, jak w wielu oazach Sahary, jest to woda słona. Ale strategiczne położenie Tifariti spowodowało, że oaza stała się celem bombardowań już w pierwszych miesiącach wojny. W lutym 1976 roku do osady trafiło kilkanaście tysięcy Saharyjczyków uciekających przed marokańską inwazją. Tifariti zdawało się bezpiecznym miejscem, ale, podobnie jak obozy w Umm Dreidze i Guelcie Zemmur, wkrótce stało się celem nalotów z użyciem napalmu i białego fosforu. W 1977 roku osada została nawet zdobyta przez Marokańczyków i pozostawała w ich rękach przez następne dwa lata, odbita dopiero w marcu 1979 roku. Ale bombardowana była jeszcze wielokrotnie, w tym po raz ostatni w sierpniu 1991 roku, gdy Front POLISARIO przerwał już działania wojenne, przygotowując się do podpisania zawieszenia broni.

Po Tifariti oprowadza mnie Ainani, poznany przed chwilą Saharyjczyk. Ubrany w brązową dżalabiję i błękitny turban, przechadza się nieśpiesznie wśród gruzów dawnego Tifariti. Mówi po angielsku, bo na co dzień pracuje w ambasadzie RASD w Algierze. Przyjechał do Tifariti odwiedzić ojca. Teraz Ainani stoi na placu, który był centrum osady. Był, dopóki nie spadły na niego marokańskie bomby. Z jednej ze ścian zbombardowanego szpitala niewinnym dziecięcym wzrokiem patrzy na nas Nayem Elgarhi, pierwsza ofiara protestów w Gdeim Izik z 2010 roku, męczennik, jeden z najmłodszych. Tu można swobodnie namalować jego pośmiertny portret, taki pomnik, symboliczny grób. Więc Nayem Elgarhi w ciszy spogląda swoimi wielkimi oczami na sterty gruzów, zburzonych ścian, zawalonych stropów, wyrwanych okien i drzwi. Pytającym spojrzeniem pozdrawia każdego, kto wjeżdża do Tifariti. W tej apokaliptycznej scenerii uwagę mojego towarzysza

przyciągają kawałki kolorowej ceramiki zmieszane z żwirem hamady. Ainani najpierw przesuwają je butem, jeden do drugiego, potem pochyla się, strzepuje z nich pył, czyści i układa obok siebie jak puzzle. Przekręca, obraca, przekłada, ale klocków, jak na złość, brakuje. Ceramiczna flaga RASD, która wylania się powoli z piachu, nie daje się poskładać w całość.

Ale mimo to Tifariti nie jest smutnym miejscem. Na przekór tej okrutnej grobowej ciszy i trudnej do objęcia pustce w Tifariti jest coś pogodnego, optymistycznego, żartobliwego. Bo wśród gruzów i powojennych wspomnień odbywa się każdego roku chyba najdziwniejszy festiwal sztuki na świecie – ARTifariti. Przyjezdnych wita na przykład gigantycznych rozmiarów kwiat zrobiony z beczek po benzynie. Obraca się jak dziecięcy wiatrak, taki z odpustu na wsi. Kolorowy, skrzypiący linami i zardzewiałym żelastwem. Taka przeciwwaga, kontrast, dla stojącego kawałek dalej czołgu. Z głazów stojących na okolicznych wzgórzach spoglądają na mnie dziwaczne, trochę straszne, trochę zabawne malowane postacie, wyglądające jak scenografia do sztuki teatralnej Witkacego. Choć trudno w tej wyludnionej osadzie trafić na prawdziwego człowieka, za rogiem szkoły napotkamy takiego z powyginanego drutu. Możemy usiąść koło niego, napić się z nim herbaty, którą właśnie parzy, pogłaskać stojącego obok drucianego wielbłąda. Ekscentryczna para na tle białej ściany wygląda jak abstrakcyjna grafika stworzona jedną kreską, zupełnie jak wczesne rysunki Pabla Picassa. W Tifariti jest także muzeum sztuki, w którym przechowywane są dzieła powstające podczas imprezy. Oprócz festiwalu w Tifariti gości ponadto wyścig rowerowy Sahara Bike Race. Jego trasa liczy trzysta pięćdziesiąt kilometrów i prowadzi z obozu El Aaiún wzdłuż „muru wstydu” do Tifariti.

Zagubiona w czasie i przestrzeni oaza powoli podnosi się z gruzów, stając się jedyną stale zamieszkaną osadą na Terytoriach Wyzwolonych. W grudniu 2012 roku specjalnym dekretem Mohammed Abdelaziz powołał w Tifariti pierwszy uniwersytet Sahary Zachodniej. Przedsięwzięcie zyskało wsparcie kilku znamienitych uczelni z całego świata, w tym amerykańskiego University of Berkeley i brytyjskiego University of Leeds. Dzięki hiszpańskim organizacjom pozarządowym udało się zbudować również szpital i szkołę podstawową. Włosi sfinansowali budowę nowej studni głębinowej i ogrodu palm daktylowych, a RPA ufundowała boisko piłkarskie. Rząd RASD sponsoruje natomiast budowę osiedla dwudziestu murowanych domów. Od kilku lat Front POLISARIO organizuje swoje zjazdy, obchody państwowych świąt, a nawet wybory prezydenckie już nie

w Obozach Godności, ale tu, w Tifariti.

Dziś w samym Tifariti mieszka na stałe jedynie kilkaset osób, ale dzięki powstającej infrastrukturze oaza stanowi centrum dla około tysiąca beduińskich rodzin żyjących na pustyni. Jedyne, czego brakuje w Tifariti, to komunikacja. Nie prowadzi tu żadna droga, a najbliższe miasto, Tinduf, oddalone jest o trzysta pięćdziesiąt kilometrów. Prowizoryczny pas startowy na południe od oazy jest używany jedynie przez stacjonującą w Tifariti misję MINURSO.

Stojąc przy wraku marokańskiego F-5, widzę napis na przeciwległym wzgórzu. Lekko koślawe FRENTE POLISARIO zbudowane jest z pomalowanych armatnich łusek. Zresztą militarna mała architektura jest powszechna zarówno na Terytoriach Wyzwolonych, jak i w obozach uchodźców. Rzędami pocisków wyznaczono alejki, stare zasobniki na naboje służą jako śmietniki, ciężkie koła od czołgu robią za blokady na punktach kontrolnych, a bombami wielkości człowieka podkreślono wejścia lub wjazdy. Bo wojennego złomu jest tu w bród i zawsze znajdzie się dla niego zastosowanie. Moździerzowy pociski 82 mm na przykład jest świetny jako blokada drzwi. By się nie zamykały.

Nad napisem z białych łusek pole precyzyjnie ułożonych kolorowych kamyków tworzy ogromnych rozmiarów flagę i napis RASD LIBERTAD. Skierowane są na północ. Taka odpowiedź na marokańskie „Allah, Ojczyzna, Król”.

*

Czteryście jedenastcie kilometrów. Tyle dzieli Tifariti od leżącej na zachód stolicy Sahary Zachodniej, El Aaiúnu. Mówi o tym kamienny obelisk stojący przy szutrowej drodze prowadzącej gdzieś na wzgórze. Jadąc tą drogą, mniej więcej po dwustu kilometrach trafilibyśmy jeszcze do Smary, drugiego największego miasta.

Ale ani do Smary, ani do El Aaiúnu dojechać się nie da. Na naszej drodze napotkamy bowiem „mur wstydu”. Niedaleko, niecałe sto kilometrów za oazą, drogę zagrozi nam potężna wojskowa fortyfikacja. To drugi mur, zbudowany w 1983 roku. Z Tifariti nie dojedziemy też do położonej na północy oazy Hausa. Tu na naszej drodze wyrośnie trzeci mur, który powstał rok później. Choćbyśmy chcieli, nie dostaniemy się również do osad El Farsía i Mahbés, położonych na północny wschód od Tifariti. Tam napotkamy czwarty mur, ten wzniesiony w 1985 roku. A gdyby nasz konwój chciał jechać na południowy zachód, dajmy na to do Dakhli, skutecznie zatrzyma go piąty mur, ukończony w 1986 roku.

Bo wojna w Tifariti jest blisko. Na wyciągnięcie ręki. Lub może lepiej: jest o krok. Wojna przypomina o sobie w najmniej spodziewanym momencie. Gdy idziesz po wodę, przeganasz wielbłądy lub grasz w piłkę. Ludzie niechętnie osiedlają się na Terytoriach Wyzwolonych. Nie ze względu na brak komunikacji czy infrastruktury, ale z powodu wojny. Tej przyszłej, wiszącej w powietrzu, o której każdy wie, że któregoś dnia powróci. Oraz tej minionej, uśpionej, drzemiącej w ziemi.

Są różne. Te małe, belgijskie, wyglądają jak duże kluski śląskie, bo mają taką dziurkę pośrodku. Te włoskie za to, płaskie, okrągłe, przypominają trochę dobrze wypieczone racuchy. Inne, tej samej produkcji, pękate, wysokie, na myśl przywodzą pączki z czekoladą. Mieszczą się w dłoni. Są też takie, które do złudzenia przypominają kubek, mają nawet taką metalową rączkę. To te, które wyskakują. Są również większe, okrągłe, znów włoskie, wyglądające jak talerze, i te kwadratowe, amerykańskie, przypominające małą walizkę. Czekają. Cicho i cierpliwie pod cienką warstwą ziemi. Czasami przemieszczają się wraz z wydmami, czasami przenoszą je pojawiające się po deszczach okresowe rzeki. Nikt nie wie, gdzie są. Tym mniejszym wystarczy nawet dziesięć kilogramów nacisku. Czyli pies, koza. Albo małe dziecko. Te większe potrzebują stu, czasami dwustu kilogramów. Czyli wielbłąd lub auto. Do wyboru, do koloru, bo w piaskach Terytoriów Wyzwolonych Królewskie Siły Zbrojne zostawiły ich siedem milionów sztuk, czyniąc Saharę Zachodnią największym polem minowym świata.

Ale to nie wszystkie. Są jeszcze te, które wyglądają jak piłki do bejsbolu albo jak francuskie bule. Czarne, wielkości jabłka, w sam raz do zabawy. Zwłaszcza że często jest ich więcej, rozrzuconych po okolicy, można więc nazbierać od razu kilka. To nie są miny. To BLU-63, czyli subamunicja amerykańskiej bomby kasetowej. Taka bomba otwiera się nad celem i uwalnia setki, a czasami nawet tysiące małych bombek, które rozsypują się po przestrzeni równej kilkunastu boiskom piłkarskim. Niewinnie wyglądająca piłeczka rozrywa się potem na dwieście sześćdziesiąt metalowych fragmentów, zabijając wszystko w promieniu kilku metrów. Ale małe bombki często nie wybuchają od razu. Są zaprojektowane tak, że spora część z nich jest niewypałami. Eksplodują po miesiącach, czasami po latach, terroryzując miejscową ludność. Zdarza się, że nie wybuchają również bomby matka. Wtedy spada na ziemię z tępym hukiem i wygląda jak rozpruty jesiotr, z którego wyleciała ikra. Sześćdziesiąt procent ofiar bomb kasetowych to nie żołnierze, tylko przypadkowi cywile, w dużej mierze dzieci, zainteresowane

napotkanym dziwnym obiektem.

Action On Armed Violence, organizacja zajmująca się rozminowywaniem Sahary Zachodniej, zidentyfikowała na Terytoriach Wyzwolonych sto pięćdziesiąt osiem rejonów zbombardowanych bombami kasetowymi oraz trzydzieści siedem pól minowych. Większość z nich znajduje się w rejonie Tifariti i położonego na zachód Meharrize. Ale do tej pory zabezpieczono jedynie niewielki procent zidentyfikowanych zagrożonych terenów. Mimo to znaleziono ponad dziesięć tysięcy subbomb kasetowych i dwa tysiące konwencjonalnych niewybuchów. Ofiarami marokańskich min zostało już ponad dwa i pół tysiąca osób. Szpital w Tifariti specjalizuje się w jednym rodzaju zabiegów.

Ziemia Terytoriów Wyzwolonych kryje również niezliczone ilości granatów ręcznych, pocisków moździerzowych różnego kalibru, pocisków artyleryjskich i bomb lotniczych. Dwa tygodnie przed moim przyjazdem kilka kilometrów od Tifariti w powietrze wyleciało z hukiem stado trzydziestu wielbłądów. Tuż po powrocie do Polski przeczytałem, że na minę wjechało też jedno z aut saharyjskiego PROTOCOLO.

W 2005 roku przedstawiciele Frontu POLISARIO podpisali konwencję genewską zakazującą używania min przeciwpiechotnych i bomb kasetowych. W następnych latach ELPS zniszczyła większość swojego arsenału min. Wśród sygnatariuszy konwencji nie znajdziemy jednak Maroka.

Patrzę teraz na zdjęcie, które zrobiłem z wnętrza naszej toyoty tamtego dnia nieopodal Tifariti, jadąc w stronę „muru wstydu”. I widzę, jak blisko było. Cholernie blisko. Bo na fotografii widać ją wyraźnie, jest na wyciągnięcie ręki. Ładna, stalowa, cała, niezbyt duża, wygląda zupełnie jak nowa. Leży sobie na żwirze. Kierowca jej nie zauważył, choć koła naszego auta przejechały tuż obok niej. Więc to był dzień życia. W którym nie było śmierci.

*

Terytoria Wyzwolone oprócz kilku wiosek i ogromu pustyni to przede wszystkim ciąg baz wojskowych partyzanckiej armii. Budowa „muru wstydu” wymusiła reorganizację ELPS. Dotychczasowe trzy regiony wojskowe podzielono na mniejsze, z bazami w poszczególnych oazach wzdłuż marokańskiej fortyfikacji. Południe przekształcono w regiony: pierwszy z bazą w Zug, siódmy z bazą w Sellaurich i trzeci z kwaterą główną w Miyecu. Na północy rozlokowano

kolejne: piąty w Bir Lehlú, czwarty w Meharrize. Szóstym regionem jest Rabuni w Algierii, gdzie znajduje się dowództwo.

Tifariti zostało bazą drugiego regionu. W konwoju, którym przyjechałem, oprócz mnie podróżowało trzech Rosjan i grupa Włochów. Czyli poważna delegacja międzynarodowa. Na tyle znamienita, że zostajemy zaproszeni na wizytę do dowództwa regionu, kilka kilometrów od Tifariti.

Wjazd do bazy drugiego regionu znaczą rzędy równiutko ustawionych łusek. Potem mały posterunek kontrolny, podkreślony dwoma wbitymi w ziemię bombami, kilku salutujących partyzantów i dalej znów szlaczek wojennych rupieci prowadzi nas na plac apelowy. A tam, ku naszemu zdziwieniu, parada. Jest nas czwórka, ja i trzech Rosjan. Włosi pojechali dziś gdzie indziej. Więc dla naszej czwórki niezwykle ważnych gości drugi region ELPS demonstruje zdolność bojową. Na placu, oprócz dowództwa, wita nas oddział kilkudziesięciu partyzantów dumnie prezentujących kałasznikowy. Musztra. Parada niemalże jak na 15 sierpnia w Alejach Ujazdowskich. Czuję się jak ambasador lub co najmniej ważny attaché. Nawet ciężki sprzęt przyprowadzili. Partyzanci stoją bowiem przed rzędem czterech BMP-1, czyli bojowych wozów piechoty. Po chwili powagi i wojskowej pompy następuje rozprężenie, partyzanci opuszczają broń, opierają się o swoje czołgi, machają rękoma, salutują, zapraszają nawet do wnętrza wozów, dają potrzymać karabin. Do zdjęcia każdy pozuje, pokazując obowiązkowo znak wiktorii. Są uradowani, gdy im mówię, że u nas też jest znany.

A potem obiad z lokalną generalicją. Na dywanie w jednym z nielicznych budynków gości nas grupa starszych żołnierzy z białymi włosami i długimi wąsami. Każdy z nich wygląda niemal jak Józef Piłsudski, tylko są bardziej opaleni i bez żadnych dystynkcji. Ścisłe dowództwo drugiego regionu je razem z nami gotowaną kozę z jednej blaszanej miski, maczając chleb w wodnistym sosie, przerywając żartami i wojennymi anegdotami. Obok nas trzech niższych rangą partyzantów parzy herbatę. Nad nimi transparent z napisem „Sahrawi sahrawia aydi faydek lil hurriya” (Saharyjczyku, Saharyjko, podajmy sobie ręce na znak wolności).

Zastanawiam się, jak zostałem przyjęty w marokańskiej bazie. Do jednostek FAR nie mają wstępu nawet pracownicy misji pokojowej MINURSO.

Nie widać kwater, nie widać też żadnego sprzętu, ciężarówek, land roverów czy dział. Te cztery BMP-1 i kilkudziesięciu żołnierzy stało przed nami pośrodku zupełnie niczego. Na skale nieopodal widnieje jedynie namalowany kształt Sahary

Zachodniej z czerwoną kropką w miejscu, gdzie powinno znajdować się Tifariti. Bo bazy ELPS nie są bazami w naszym rozumieniu tego słowa. Nie ma hangarów, magazynów, budynków koszarowych. Większość jednostek jest rozszana po całej okolicy w promieniu wielu kilometrów. Inaczej byłyby zbyt łatwym celem ewentualnego nalotu, a ten, jak uczy historia, może nastąpić nawet podczas zawieszenia broni. Więc partyzanci mieszkają w lepiankach i kryjówkach pochowanych w bezkresnym, pomarszczonym wyżynnym terenie. Przez długie lata wojny i jeszcze dłuższe lata „pokoju” Terytoria Wyzwolone pokryły się setkami kilometrów podziemnych tuneli i baz. Ponoć część z nich sięga nawet drugiej strony muru, tyłów wroga. Partyzanci mieszkają w tych podziemnych światach całymi tygodniami, w każdej chwili gotowi do ataku, gdy tylko przyjdzie taki rozkaz. Wozy, czołgi i uzbrojenie chowają między skałami, w rozpadlinach, wąwozach lub w wydrążonych skałach i zboczach wzgórz. Trudno ocenić liczebność tej armii. Od żadnego z wojskowych nie uzyskałem odpowiedzi na to pytanie. Podczas wojny siły ELPS liczyły około dwudziestu paru tysięcy partyzantów. Dziś szacuje się je na najmniej sześć tysięcy żołnierzy. Ale każdy mężczyzna i każda kobieta mieszkający w obozach przechodzą obowiązkowe szkolenie wojskowe w wieku osiemnastu lat. Choć za służbę nie dostaje się wynagrodzenia, bo to partyzantka przecież, młodych Saharyjczyków nie trzeba namawiać do wstąpienia w szeregi ELPS. Armia to dobre zajęcie. Jest co jeść i co robić. I nie mieszka się w obozie uchodźców, tylko na swojej ziemi.

Trudno też ocenić zdolność bojową tej nietypowej armii. Chociaż większość jej uzbrojenia to relikty czasów zimnej wojny, jest ono nadal groźne, a zakup nowego sprzętu nie stanowi w Afryce większego problemu. Niemłoda już generalicja skutecznie przekazuje doświadczenie adeptom partyzantki, a w bazach regionów wojskowych trwają ciągle szkolenia. Mimo upływających w oczekiwaniu lat ani młodszym, ani starszym nie można odmówić determinacji i ogromnie wysokiego morale. Czy ELPS jest w stanie stanąć do wojny, o której tak wielu tutaj marzy?

Gdy zadałem to pytanie Hamidzie Abdullahowi, roześmiał się.

– Wszyscy myślą, że my tu kozy pasimy. Że nas uśpili, że ELPS to już przeszłość. Tylko czemu tak się przestraszyli, gdy w 2001 roku w ciągu doby zmobilizowaliśmy całą armię od Tindufu po Zug?

*

Nie robi większego wrażenia, gdy stoję przed nim. Jest nawet trochę rozczarowujący. W zasadzie wtopiony w krajobraz, prawie niewidoczny. Z punktu, w którym zatrzymały się nasze auta, widać jedynie masywny, ale niewysoki wał ziemny. Gdy ktoś nie wie, mógłby go uznać za część saharyjskiego krajobrazu. Dopóki nie przyjrzałyby się dokładniej. Wtedy zobaczyłyby poruszające się na nim postacie, tu i ówdzie wystające lufy karabinów i dział. Albo dach jakiegoś budynku lub transportera opancerzonego czy ciężarówki. Mógłby też zauważyć linię zasieków i zwoje drutu kolczastego przed nim. Ale wiele więcej by nie dostrzegł z tej odległości. A bliżej podejść się nie da, bo pas kilkuset metrów przed marokańskim murem jest, tak na wszelki wypadek, gęsto usiany minami.

W pełnej krasie można go podziwiać jedynie z lotu ptaka. Wtedy dobrze widać potrójne linie wałów ziemnych wysokości od trzech do pięciu metrów. Tam gdzie było to możliwe, mur budowano tak, by linia umocnień biegła przez najwyższe punkty terenu, zapewniając marokańskim żołnierzom lepszą pozycję do obrony. Z lotu ptaka dobrze zobaczymy bunkry, którymi chroniony jest pierwszy wał, oraz zasieki z drutu kolczastego i doły przeciwpancerne na jego przedpolu. Zapewne dobrze będzie widać rozmieszczone co pięć kilometrów bazy wysunięte – Postes Avancés, czyli główne bazy muru. W każdej z nich mieszka od około pięćdziesięciu do stu żołnierzy. Pomiedzy nimi zobaczymy również mniejsze, nanizane na linię muru posterunki i stróżówki. Te większe i mniejsze bazy, wyposażone w radary i karabiny maszynowe, to pierwsza linia obrony. Gdy wzniesiemy się trochę wyżej, dostrzeżemy, że kilka kilometrów za linią muru są kolejne regularnie rozmieszczone, jeszcze większe bazy, to Pointes d'Intervention. Każda z załogą od stu do dwustu żołnierzy. To siły szybkiego reagowania, które w razie potrzeby wesprą personel Postes Avancés czołgami, wspomogą artylerią, a jeśli to nie wystarczy, wezwą lotnictwo. W niektórych miejscach, lecąc w głąb Terytoriów Okupowanych, napotkalibyśmy kolejne linie fortyfikacji, bo budowane w ciągu lat kolejne linie muru w kilku miejscach się dublują.

Ale nawet z lotu ptaka nie uda nam się zobaczyć całej elektroniki, którą naszpikowany jest „mur wstydu”. Nie wypatrzymy detektorów ruchu ani kamer czy noktowizorów. Będziemy mogli za to zobaczyć żołnierzy. Tych w towarzystwie psów, spacerujących po murze od posterunku do posterunku. Oraz tych siedzących w okopach i bunkrach. A także tych, którzy pełniąc wartę, chronią się przed palącym słońcem w cieniu prowizorycznych wiat.

Służba każdego z około stu sześćdziesięciu tysięcy marokańskich żołnierzy

stacjonujących na tym oddalonym od jakiegokolwiek cywilizacji murze musi w istocie być niezwykle nudna i monotonna. Być może dlatego często zdarzają się przypadki dezercji, również na stronę Terytoriów Wyzwolonych. No bo jedyna forma rozrywki, jaka może się przytrafić podczas służby, to ewentualna demonstracja Saharyjczyków z okazji jednego ze świąt. Ale przecież nie wzdłuż całego muru, co najwyżej w okolicy Tifariti, Bir Lehlú czy granicy algierskiej. Wtedy zza okopu będzie można popatrzeć na kobiety w kolorowych melhfach i mężczyzn w turbanach z uniesionymi w górę rękoma. Będą śpiewać, wyjmą transparenty, pomachają flagami, które zapewne denerwują, a może już tylko nudzą marokańskich dowódców. Pokrzyczą, pokrzyczą, może któryś rzuci kamieniem, ale ten i tak nie dosięgnie muru, i pojedą. Koniec rozrywki. Jest oczywiście jakaś szansa, że zdarzy się coś bardziej spektakularnego. Może któryś z Saharyjczyków, rozochocony manifestacją, zbyt odważnie zbliży się do muru i nadeptnie na jedną z wielu czyhających pod ziemią niespodzianek. Wtedy urwie mu nogę albo rozerwie go na kawałki. Wieczorem w mesie będzie o czym gadać. Ale bywa też, że Saharyjczycy wpadną na jakiś oryginalny, śmieszny pomysł. Jak ten z 2008 roku. Zbudowali wtedy konia trojańskiego. Takiego z beczek po benzynie i masy innego powojennego żelastwa. Do głowy przyczepili mu flagę i przyturlali pod mur. Zawsze to jakaś uciecha. Czasami przywiozą również jakąś zagraniczną delegację działaczy, aktywistów czy dziennikarzy, którzy swoimi teleobiektywami będą się starali uchwycić marokańskich żołnierzy. Ale oni nie lubią fotografii, schowają się wtedy za murem. Ze wstydu?

Kiedyś coroczną rozrywką dla marokańskich żołnierzy musiał być rajd Paryż–Dakar. No bo musiał jechać przez mur, choć nawet fani wyścigu o tym nie wiedzą. Ale widać to dobrze na pewnym archiwalnym zdjęciu. Trasa większości edycji rajdu w latach dziewięćdziesiątych prowadziła przez Maroko, a następnie Saharę Zachodnią i Mauretanię do Senegalu. Jednym z etapów był przejazd z okupowanej Smary na południe do mauretańskiej granicy. Zatem na potrzeby rajdu w trzech wałach muru otwierano przejazd i rozminowywano przedpole fortyfikacji. Ale w 1996 roku ciężarówka o numerze 413 kierowana przez Francuza Laurenta Guéguena, zjechawszy z wyznaczonej trasy, niespodziewanie wyleciała wysoko, wysoko w powietrze. Gueguen zginął na miejscu, a jego dwóch kompanów zostało rannych.

To zdjęcie, o którym piszę, pochodzi z 2001 roku. Widać na nim granatowe auto rajdu przejeżdżające między fortyfikacjami, ku uciechu marokańskich żołnierzy.

Ale dwudziesta trzecia edycja Paryż–Dakar, podobnie jak ta sprzed pięciu lat, była pechowa i omal nie zakończyła się wojną. Organizator rajdu w swojej ignorancji nie zwrócił się bowiem do Frontu POLISARIO z prośbą o zgodę na przejazd przez Terytoria Wyzwolone. Marokańskie wojska, które miały oczyścić z min przedpole muru, korzystając z okazji, ostrzelały oddziały ELPS, naruszając po raz kolejny zawieszenie broni z 1991 roku. Mohammed Abdelaziz zagroził wznowieniem działań wojennych. Bazy ELPS natychmiast postawiono w stan najwyższej gotowości, Tifariti zostało ewakuowane, a partyzanci zajęli pozycje wzdłuż muru. Na wieść o mobilizacji wojsk do Tindufu zjechały nawet setki Saharyjczyków mieszkających w Europie, gotowych, by wziąć udział w wojnie. W odpowiedzi król Mohammed VI wysłał w stronę muru dodatkowe dywizje z Agadiru, tym samym kontynuacja rajdu Paryż–Dakar stanęła pod znakiem zapytania. Kryzys, ku rozczarowaniu wielu Saharyjczyków, udało się zażegnać dzięki mediacjom ONZ, Organizacji Jedności Afrykańskiej i Algierii.

Niemniej rajd nie zakończył się szczęśliwie. 7 stycznia jedno z aut, tym razem osobowe, kierowane przez Portugalczyka José Eduardo Ribeiro, znów trafiło na minę. Tuż po tym, jak kilkadziesiąt kilometrów za Smarą przejechało linię fortyfikacji.

*

To właśnie przez „mur wstydu” Malainin i Salama Lakhalowie uciekli do Algierii.

Znalazłem taką kamerę. Zupełnie przypadkiem u znajomej na półce. Mała, czarna, z lekko wygiętą rączką i prostym obiektywem. Ma jeden przycisk, tylko jeden, umieszczony jak cyngiel w pistolecie. Malutki wizjer ciasno kadruje świat, zresztą gdy tylko lekko przesuniemy oko, obraz znika, miga, ucieka. Kamera, którą trzymam w ręku, nie działa, ale jest dokładnie tą, której szukałem. Halina Super 8. Wbrew nazwie to nie jest polska produkcja. Halina pochodzi z Hongkongu. Zamknięta w czarnym pudełku kasetka kryje film o szerokości 7,9 mm. Bardzo mało, by zmieścić na nim cały świat lub choćby jego część, na przykład wojnę. Jakie kolory ma pustynia oglądana przez wizjer kamery Halina Super 8? Albo niebo? Lub drzewa? Jak wygląda zapisana na malutkich klatkach śmierć? Jak słyhać zwycięstwo? Bądź porażkę? Jakoś tak romantycznie chyba, w innym tempie, trochę wolniej, trochę ciszej. Nierealnie, onirycznie.

Taka kasetka Super 8 mogła pomieścić zaledwie od kilku do kilkunastu minut filmowej rzeczywistości. Niewiele. Więc Mohammed Moulud ma ich dużo, bardzo dużo, przechowywanych w szafkach u siebie w domu, ale również w archiwach obozowej telewizji RASD TV.

– Lubię myśleć, że ona mi wtedy uratowała życie – opowiada Mohammed. – Choć słyszeliśmy już nadlatujące samoloty, ja jeszcze bardzo chciałem coś sfilmować, nie pamiętam, co to było. I nagle okazało się, że nikogo już nie ma, mój oddział już odjechał, drugi też i zapomnieli mnie zabrać. Zostałem sam na murze. Z Haliną.

Odlamek bomby, która wybuchła chwilę później tuż obok Mohammeda Mouluda, nie trafił w niego. Roztrzaskał Halinę.

*

– Jak tu przyjechałem, nic o nim nie wiedziałem – przyznaje Mesaud Fadel, młody, bo czterdziestoośmioletni kombatant wojny, mój kolejny rozmówca. – Ale jak do regionu trafiał ktoś nowy, to pierwsze, co robili, to zabierali go na

przejażdżkę, by go pokazać. Byś mógł się z nim zapoznać. Najpierw z daleka, z pozycji artylerii, przez lornetkę, poznajesz numery baz, liczebność oddziałów. A potem coraz bliżej i bliżej, aż któregoś dnia zabierają cię na patrol piechoty i w nocy podchodzisz pod sam mur. Możesz go dotknąć. Zupełnie dosłownie. Przerazał mnie, zwłaszcza na początku. Za każdym razem, jak dojeżdżaliśmy w pobliże muru, musiałem się od razu odlać, no bo strach. Taki odruch bezwarunkowy. Nawet dziś, jak tam jeżdżę, to tak mam.

Mesaud Fadel pierwszy raz zobaczył „mur wstydu” w wieku osiemnastu lat. Wtedy wraz z dwudziestoma innymi Saharyjczykami uciekł z Terenów Okupowanych i przez Algierię przedostał się do obozów Frontu POLISARIO.

Mur zmienił wojnę. Miliardy dolarów wpompowane przez króla i jego sojuszników, Arabię Saudyjską, Izrael, USA i Francję, przyniosły oczekiwany skutek, bo ograniczyły mobilność kolumn ELPS. Co więcej, pustynne tereny między nielicznymi miastami Sahary, które do tej pory były kontrolowane wyłącznie przez partyzantów, znalazły się teraz w większości po drugiej stronie muru. Podobnie jak same miasta i ich ludność, z którą Front POLISARIO utracił bezpośredni kontakt. Dotychczasowa strategia odważnych rajdów w głąb Sahary i Maroka, doprowadzona do doskonałości pod koniec lat siedemdziesiątych, nie mogła być dłużej realizowana. Wypad za linię muru niechybnie groził odcięciem drogi powrotu. Natomiast dla żołnierzy FAR mur był ulgą, przynajmniej przez pewien czas. Setki kilometrów fortyfikacji pozwoliły zabezpieczyć strategiczne rejony Sahary. Przywrócono wydobywanie fosforytów w kopalni w Bu Craa, zabezpieczono szlaki transportowe i wybrzeże. Tym samym mur, choć sam w sobie niezwykle drogi, odciążał również marokański budżet, mocno nadwerężony latami wojny, w których bojownicy ELPS mieli bezsprzeczną przewagę.

Przez pierwsze lata mur stanowił przeszkodę dla partyzantów i w zasadzie sparaliżował działania ELPS. Próby frontalnych ataków, ze względu na brak odpowiedniego, ciężkiego uzbrojenia oraz doświadczenia, kończyły się ogromnymi stratami ludzi i sprzętu. W sierpniu 1984 roku niespodziewanie dla wszystkich, włączając administrację Ronalda Reagana, od Saharyjczyków odwrócił się Mu'ammar Kaddafi, podpisując ni stąd, ni zowąd traktat o współpracy z Marokiem. Dokument, który miał się stać fundamentem budowy unii krajów Maghrebu, wykluczał jakąkolwiek pomoc militarną czy polityczną dla Frontu POLISARIO.

Cierpliwość jest cechą Saharyjczyków, być może najważniejszą, a na pewno najbardziej imponującą. Nie wynika ona z tradycji, religii czy genetyki. Jest

poходną beduińskiego trybu życia, tłumaczy mi Mesaud. Czekasz na deszcz. Czekasz tygodniami, miesiącami. A gdy on w końcu przyjdzie, może się okazać, że zamiast wytchnienia przyniesie powódź. Szukasz wodopoju dla swoich zwierząt, przemierzając setki kilometrów. Zostawiasz stado przy studni, a potem musisz je odszukać. Pierwszego dnia wróci jeden wielbłąd, drugiego dnia żaden. Trzeciego może przyjdą dwa następne. Zebranie z powrotem całego stada może zająć tydzień, a na końcu okaże się, że kilka sztuk zaginęło. Beduińskie życie wymaga cierpliwości, a czas jest tu pojęciem względnym i nie przywiązuje się do niego większej wagi. Mesaud twierdzi, że to cierpliwość właśnie pozwalała Saharyjczykom odnosić wojenne sukcesy, zwłaszcza w drugiej fazie wojny. Nawet na herbatę trzeba tutaj długo czekać.

W obliczu nieznanej przeszkody, jaką przez pierwsze lata był mur, wojska ELPS zostały gruntownie przeorganizowane. Każdemu z regionów wojskowych przydzielono sekcję muru, który należało poznać, oswoić. Do 1984 roku pracujący pod osłoną nocy zwiadowcy Frontu rozłożyli budowę muru na czynniki pierwsze. Mrówczą pracą poznano strukturę samego wału, lokalizację pól minowych, budowę baz i posterunków. Zliczono żołnierzy, ich wyposażenie i uzbrojenie. W Rabuni oraz w innych bazach powstały dokładne kopie odcinków fortyfikacji, umożliwiające szkolenie partyzantów. Określono pozycje dział, karabinów maszynowych, moździerzy. Rozszyfrowano również zakodowane nazwy poszczególnych marokańskich baz i jednostek artylerii. Partyzanci poznali organizację systemu obrony i działanie radarów. Wśród kombatantów do dziś krąży anegdota o pewnym człowieku, który przedostał się na tyły wroga i schowany w beczce po benzynie rozpracowywał strukturę jednej z marokańskich baz.

Gdy Mesaud Fadel wstąpił w szeregi ELPS w 1985 roku, mur nie był już tajemnicą.

*

– Bo my, żyjąc w El Aaiunie, wyobrażaliśmy sobie bardzo wiele. Wydawało nam się, że Front POLISARIO to musi być ogromna organizacja z potężnym wojskiem i masą uzbrojenia – przyznaje Mesaud. – Z perspektywy życia pod okupacją te obozy zdawały nam się jakimś lepszym światem. Myśleliśmy, że ludzie tutaj dobrze żyją. Przecież prowadzą wojnę, wygrywają bitwy. Każdy marzył o tym, by tu uciec. A rzeczywistość okazała się zupełnie inna. Pewnie gdybym znał

prawdę, zastanowiłbym się dwa razy albo przynajmniej podjąłbym decyzję świadomie. Ale teraz wycofać się już nie można było. Z własnej woli chciałem iść do tego świata, którego nie znałem, o którym nie miałem pojęcia. No to jestem. A tu była goła pustynia.

W połowie lat osiemdziesiątych w obozach uchodźców saharyjskich nie było nawet domów. Jedynymi murowanymi budynkami były siedziba prezydenta i kilka wojskowych baraków w Rabuni. Dziesiątki tysięcy ludzi nadal mieszkały w rozrzuconych po pustyni namiotach, bez dostępu do wody czy toalet. Ale Mesaud mówi, że czasami w życiu trzeba po prostu zamknąć oczy i pozwolić, by rzeczy się wydarzały. Bez względu na okoliczności.

– Nie wiem, czy to mądre. Ja ponad mądrość chyba przedkładam cierpliwość – dodaje po chwili. – Jak tu przyjechałem, nie miałem ze sobą nic. Rodzina została za murem, podobnie przyjaciele. Nawet książki nie miałem, a kochałem czytać. Nie miałem tytoniu, a uwielbiałem palić. Nie było nawet mydła, by się umyć, a jedzenie i woda były tak kiepskie, że cały czas miałem rozwolnienie. Zachodziłem w głowę, jak ludzie mogą żyć w tych warunkach, i zastanawiałem się, po co tu w ogóle przyjechałem. Ale przecież jestem Saharyjczykiem, to muszę tu być, powtarzałem sobie. Prowadząc tę wewnętrzną walkę z samym sobą, skupiłem się na tych wszystkich rzeczach, których wcześniej nie dostrzegałem. Cień drzewa, kropla wody, powiew wiatru. Zacząłem widzieć zupełnie inny świat. To jest moja sytuacja i wiem, że nie mam możliwości jej zmienić. Więc starałem się skupić na tym, jak być dobrym człowiekiem w okolicznościach, jakie miałem. Wtedy cierpliwość rośnie, a świadomość się poszerza. Bywa jednak, że poświęcenie jest zbyt wielkie, a koszty takiej lekcji zupełnie nieopłacalne. Ale człowiek, gdy nie ma wyjścia, chce po prostu przeżyć.

Mesaud w Rabuni spędził miesiąc. Na cześć grupy dwudziestu jeden uciekinierów w każdym z obozów organizowano spotkania i fiesty. A potem Mesaud zrobił to, po co przyjechał do obozów – wstąpił do wojska. Mówi z szelmowskim uśmiechem, że wtedy wszystko się zmieniło.

Szkolenie wojskowe trwało krótko, może miesiąc, i było bardzo podstawowe. Ubieranie munduru, musztra, składanie i rozkładanie kałasznikowa, ogólna organizacja oddziałów. I zapoznanie z przeciwnikiem. Tyle. Bo ta wojna to nie była normalna wojna. Standardowe wojskowe umiejętności, których uczy się w akademiach na całym świecie, w warunkach pustynnej partyzanckiej wojny są kompletnie bezużyteczne. Tu najważniejsza umiejętność to przetrwać na pustyni.

Dniami, tygodniami, w zimnie, w upale, bez jedzenia, czasami bez wody. Druga rzecz to znajomość terenu, umiejętność orientacji. Bo na przykład jak trafić z Tindufu do odległej o pięćset kilometrów Smary? Lub z Bir Lehlú do Miyecu, siedemset kilometrów na południowy zachód?

Mesaud Fadel dobrze mówił po hiszpańsku. Został więc wysłany na bratnią Kubę, gdzie pod okiem przyjaciela Saharyjczyków Fidela Castro odbył siedmiomiesięczne szkolenie. Został specjalistą od radarów. Zarówno od obsługi tych dwóch, które były w posiadaniu armii ELPS, jak i od unikania dziesiątek tych, którymi najeżony był marokański mur.

A z murem to trzeba się zaprzyjaźnić. Być blisko niego. Dotknąć go, poznać każdy szczegół jego budowy. To jest zresztą najlepszy czas, ten, gdy jesteś tuż obok swojego wroga, na rzut kamieniem, na wyciągnięcie ręki. Bo wiesz, co robi, i wtedy czujesz się bezpieczniej. Ale do tego potrzebna jest cierpliwość. Więc nocami w małych dwu-, trzyosobowych grupach podchodzisz pod mur. Auta zostawiasz daleko, czasami kilkanaście kilometrów przed murem. A potem powoli, powoli dostajesz się pod samą fortyfikację, kryjąc się za wydmami, czołgając, skradając. Przecinasz druty kolczaste i w nocy gęstej jak smoła wchodzisz na pole minowe. Leżąc na ziemi, długim nożem wyjmujesz miny jedną po drugiej, delikatnie i bezszelestnie. A potem jesteś już pod samym wałem, słyszysz rozmowy wartowników, szczerkanie psów. Bo oni są zaledwie kilka metrów dalej. Czasami zdarzy się, że któregoś z nich trzeba będzie zabić. Po cichu, nożem. A psy otruć mięsem. Wtedy można przejść przez wał, pierwszy, a potem drugi, i doczołgać się do posterunków lub baz.

Tak poznajesz „mur wstydu” metr po metrze. Aż w końcu go oswojasz. I już się nie boisz. A gdy już czujesz się pewnie, wtedy możesz sobie pozwolić na więcej. Na brawurowe żarty, na zabawę. I rano, gdy marokańscy żołnierze wstaną i pójdą na śniadanie, pewni bezpieczeństwa, któryś z nich nadeptnie na minę. Marokańską. Która jeszcze poprzedniego dnia leżała po drugiej stronie muru. A jego koledzy zobaczą na mesie czarno-biało-zielono-czerwoną flagę i napis VIVA SAHARA!

Komfort, jakim otoczyli się marokańscy żołnierze, nie trwał długo. Już w 1984 roku przerodził się w trudną do wytrzymania udrękę. Bo mur wcale nie zapewniał im bezpieczeństwa. Ich morale, chwilowo podreperowane powstaniem fortyfikacji, znów stawało się kruche. Choć duże operacje Frontu POLISARIO były w latach osiemdziesiątych rzadkością, Marokańczycy, skryci w okopach, daleko od domu, pilnując fikcyjnej granicy, musieli być w pełnej gotowości przez całą dobę. Wielu

z nich tego nie wytrzymało, a za opuszczenie posterunku groził pluton egzekucyjny.

– Braliśmy pięciu czy sześciu ludzi w land roverze z karabinem 14,5 mm albo działkiem 23 mm i jeździliśmy sobie między wzgórzami niedaleko muru – opowiada o partyzanckich strategiach Mesaud Fadel. – Szukaliśmy dogodnego miejsca, chowaliśmy auto tak, by nie widziały go radary. I co godzinę, co pół godziny krótkimi seriami strzelaliśmy w stronę muru i szybko ruszaliśmy do następnej kryjówki. A oni w odpowiedzi wzywali artylerię i bombardowali miejsce, w którym nas już dawno nie było. I tak cały dzień! Siedem dni w tygodniu. Każdej godziny ich nękałymi, nie dawaliśmy im chwili wytchnienia, nie mogli spać, jeść ani odpoczywać. Cały czas musieli siedzieć w okopach. A nas to niewiele kosztowało, bo wojna partyzancka jest niezwykle ekonomiczna. Albo z tymi radarami. Dwa auta dojeżdżały w pobliże muru i dawały się zauważyć. A oni byli na tyle głupi, że jak tylko coś się działo, to od razu dzwonili z bazy do bazy, z jednostki do jednostki. A my to wszystko podsłuchiwaliliśmy. Rozmowy były kodowane, ale szybko udało nam się rozszyfrować symbole artylerii i przede wszystkim radarów. Reszty nie musieliśmy rozumieć, dla nas ważny był kod radaru. Bo te ich radary nie mogły działać non stop. Co trzy godziny musieli je wyłączać co najmniej na pół godziny. I mówili to przez radio! Więc dobrze wiedzieliśmy, czy radary są w danej chwili włączone czy nie. Podobnie z artylerią. Słyszeliśmy, kiedy ją wzywali i w które miejsce. I nas już tam nie było. I tak jeździliśmy całymi dniami, oni nas namierzali, my uciekaliśmy, zabawa w kotka i myszkę.

Guerra de desgaste, wojna na wycieńczenie, tak nazywali swoją taktykę partyzanci ELPS. Każdego roku Maroko wydawało na wojnę około czterystu czterdziestu milionów dolarów.

– Nie atakowaliśmy Marokańczyków, gdy stali na swoich pozycjach, bo to byłaby dla nich honorowa śmierć podczas służby. Strzelaliśmy do nich, gdy szli się modlić, gdy ruszali na posiłek albo do kibla. Ludzie nie znikali, gdy byli na swoich pozycjach, lecz gdy się od nich oddalali.

*

A potem przychodził dzień ataku. Ale już innego niż w latach siedemdziesiątych i początku osiemdziesiątych. Bo jedynym celem, jaki pozostał partyzantom, był

mur. Sam w sobie. Jak na przykład w środę, 25 lutego 1987 roku.

Ten odcinek czwartego muru, który biegnie wzdłuż algierskiej granicy, partyzanci nazywali Czerwoną Linia. Marokańczycy ukończyli jego budowę w 1985 roku, mniej więcej wtedy, gdy Mesaud Fadel wrócił z Kuby i rozpoczął służbę w oddziałach rozpoznania ELPS. Za murem, w odległości trzydziestu kilometrów, znajduje się Mahbés, obecnie jedna z większych marokańskich baz wzdłuż muru. Następnie wały skręcają na zachód, biegnąc łańcuchem pustynnych wzgórz w kierunku oazy El Farsía. W najbliższym miejscu mur znajduje się niespełna osiemdziesiąt kilometrów od obozów Frontu POLISARIO. Ta Czerwona Linia wcale nie jest cienka. To najsilniej strzeżony odcinek muru. Na długości stu kilometrów linia fortyfikacji jest wzmocniona dodatkowymi posterunkami średnio co dwieście metrów.

Trwało to całymi miesiącami. El Farsía i Mahbés to sektor szóstego regionu, więc to im jako „kustoszom” przypadło rozpoznanie i dowodzenie całą operacją. Ale w końcu nocnym zwiadowcom udało się znaleźć słabe miejsca Czerwonej Linii. Takie, w których można było się zbliżyć do muru. Radary oszukiwano, skupiając ich uwagę na pojawiających się tu i ówdzie land roverach. Zresztą amerykańskie radary jakoś nad wyraz często się myliły w pustynnych warunkach. Partyzanci podchodzili wtedy pod sam mur na piechotę. Każdej nocy przez długie tygodnie. Noc po nocy, kawałek po kawałku rozbierali odcinek muru, rozcinając druty zasieków. Noc po nocy wyjmowali kolejne miny i zakopywali je pod samym murem. Noc po nocy zliczali stacjonujących w bazach żołnierzy. Bo atakowali tylko, gdy mieli pewność, że ich przewaga wynosi co najmniej dwa do jednego. Pod koniec lutego mur na długości dwunastu kilometrów był ogołocony z min i zasieków.

– To są bazy Postes Avancés – mówi Mesaud, ustawiając w równych odstępach szklanki na stole. – To jest mur – objaśnia, dokładając długopisy. – Każdy z czterech regionów, które brały udział w bitwie, zajął swoje pozycje trzydzieści pięć, czterdzieści kilometrów od muru. Tam też stawiamy artylerię i czołgi. – Mesaud ustawia na stole plan bitwy. – Piąty region objął prawe skrzydło, czwarty region lewe skrzydło, a drugi region miał zająć dwie bazy, które były w atakowanym odcinku. Szósty region, czyli my, byliśmy odpowiedzialni za ogień artylerii, bo mieliśmy wszystko, radzieckie D-30 122 mm, działa 160 mm, a nawet wyrzutnie rakiet BM-21 Grad.

Wieczorem poprzedzającego dnia dowódcy wszystkich batalionów, prowadzeni

przez zwiadowców szóstego regionu, zrobili ostatnie rozpoznanie i odprawę. Oddziały piechoty zajęły pozycje tuż przy murze jeszcze tego samego wieczora o godzinie dwudziestej drugiej. Część z nich została wykryta, wywiązała się więc krótka strzelanina. Element zaskoczenia był kluczem do sukcesu, dlatego zazwyczaj w takich wypadkach odwoływano operację, ale tym razem postanowiono ją kontynuować. Prawdopodobnie ze względu na rozmach planowanej akcji. Rzadko zdarzało się, by Front POLISARIO zgromadził ponad trzy tysiące bojowników i setkę wozów opancerzonych w jednym miejscu.

Mimo rozmów z kolejnymi kombatantami, a teraz z Mesaudem Fadelem, nadal nie mogę sobie wyobrazić, jak przeprowadzano te operacje. Dopytuję więc o każdy szczegół, który często dla niego jest oczywisty, a mnie wprawia w osłupienie.

– O piątej rano wszystko ruszyło. Ci pod murem na znak wysadzają miny, które przez ostatnie tygodnie wkładali w mur. Otwierają w nim przejścia. W tym samym czasie nasza artyleria zaczyna ostrzelać. Ale nie strzela w mur, bo pod murem siedzą przecież nasi. Ostrzeliwuje pozycje daleko za murem, tam gdzie stacjonują marokańskie jednostki szybkiego reagowania. Strzela też po jego bokach, tak by odciąć drogę ewentualnym posiłkom z innych Postes Avancés. Oczywiście budzą się żołnierze marokańscy, zajmują swoje stanowiska, tylko że od razu dostają kulkę od tych naszych pod murem. Nie mogą też wezwać własnej artylerii czy lotnictwa, boby ostrzelali swoje własne pozycje. – Mesaud z pasją przesuwa elementy operacji na stole. Długopisy wyleciały właśnie w powietrze. – Poza tym my już wtedy mieliśmy przeciwlotnicze wyrzutnie SAM-6. Kolumny wozów pancernych i land roverów z karabinami 14,5 mm i działkami 23 mm pędzą już na pełnej prędkości w stronę tych wysadzonych w powietrze odcinków. I strzelają do wszystkiego, co się rusza. Tam przy wyłomach stoją nasi, trzymając lampy, by w ciemności auta wiedziały, gdzie jechać. Zazwyczaj otwieraliśmy tylko jedno przejście w murze, ale wtedy, 25 lutego, otworzyliśmy aż trzy! Te kolumny wozów nie atakują samego muru. Pędzą prosto na oddalone o kilka kilometrów bazy sił szybkiego reagowania. Gdy nasi wjadą za mur, już nic nie jest w stanie zatrzymać akcji. – Mesaud zawiesza na chwilę głos i potem dodaje: – Wyobraź sobie, co zastali tutaj rano marokańscy żołnierze.

*

W jednym z land roverów pędzących w stronę wysadzonego w powietrze muru

siedział człowiek, który zamiast kałasznikowa miał kamerę. Godzinę później zrobił fotografię grupy mężczyzn stojących z podniesionymi rękoma. To żołnierze FAR wzięci do niewoli tego dnia. Było ich osiemdziesięciu siedmiu. Dwustu innych zostało zabitych. O ósmej rano po bojownikach ELPS nie było już śladu.



© Mohammed Moulud

W muzeum w Rabuni stoi wielkie działo. Francuskie, samobieżne, z ogromną lufą, w której mieścił się pocisk kalibru 155 mm. Pokazują je każdemu, kto odwiedza muzeum. Wraz z masą innego sprzętu dwa takie działa zostały zdobyte właśnie tego dnia, w środę. Dziesięć kilometrów za linią muru.

Niespełna dwa tygodnie później w rejonie El Farsía–Mahbés Czerwona Linia znów pękła.

*

– Ale te akcje nie zawsze tak wychodziły – mówi na koniec naszego spotkania Mesaud Fadel. – Zdarzało się, że Marokańczycy gdzieś wykryli naszych zwiadowców i dowiedzieli się o planowanym ataku. Wtedy po cichu opuszczali pozycje, a my o tym nie wiedzieliśmy. Czailiśmy się, a przed nami nie było już

wroga. I rankiem, tuż przed naszym atakiem, bombardowali linię muru, czasami nawet swoje bazy. Wpadaliśmy w pułapkę. Więc trzeba było słuchać. Bardzo uważnie słuchać. Jak nie było ich słychać, to był zły znak.

Choć mniejsze potyczki wzdłuż muru zdarzały się niemal cały czas, to spektakularnych akcji, jak ta z 25 lutego, było niewiele, czasami jedna bądź dwie w roku. Wojna powoli, ale nieuchronnie traciła impet. Żadna ze stron nie mogła przełamać rodzącego się impasu. I Marokańczycy, i Saharyjczycy zaczęli rozumieć, że w obecnej sytuacji konfliktu nie da się wygrać militarnie. Jedni schowani za murem, ale wciąż niepewni swojej sytuacji, drudzy prowadzący błyskotliwe, choć syzyfowe ataki, niemogące przynieść zwycięstwa. Większe ofensywy Frontu POLISARIO były w widoczny sposób nastawione na efekt polityczny w świetle toczących się rozmów i zmieniającej się sytuacji międzynarodowej. A ta pod koniec lat osiemdziesiątych nie sprzyjała bojownikom. W 1986 roku Algieria została zmuszona do ograniczenia wsparcia dla Saharyjczyków, gdy świat ogarnął kryzys paliwowy. Ceny ropy naftowej, głównego produktu eksportowego Algierii, po górcie przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych spadły ponad dwukrotnie. Choć Front dysponował pewnymi zapasami amunicji, tak czy inaczej, liczba operacji została ograniczona. Świat zbliżał się do przełomu, zimna wojna powoli wygasła, a Związek Radziecki dogorywał wymęczony wyścigiem zbrojeń narzuconym przez Ronalda Reagana. Z różnym rezultatem dobiegały końca trwające od wielu lat konflikty: wojna iracko-irańska, wojna w Namibii, Kambodży i Wietnamie, Nikaragui i Afganistanie.

Już w 1986 roku Mohammed Abdelaziz przyznał w jednym z wywiadów, że zwycięstwo militarne będzie trudne, jeśli nie niemożliwe. Do podobnego wniosku najwyraźniej doszedł Jego Królewska Mość Hassan II. By osiągnąć pełne zwycięstwo, siły FAR musiałyby dokonać inwazji na bazy Frontu w Algierii i szlaki transportowe biegnące przez Mauretanię. Na to Królewskich Sił Zbrojnych nie było stać. Algierska gospodarka pomimo kryzysu i tak była dwa i pół razy potężniejsza od marokańskiej, a armia Algierii nieporównywalnie silniejsza i lepiej uzbrojona od wojsk FAR. Ewentualna wojna rozlałaby się po całej długiej granicy między obu państwami, doprowadzając do kryzysu, którego skutki trudno było przewidzieć. Poza tym żadnemu ze światowych mocarstw nie zależało na takiej konfrontacji. Partyzanci ELPS natomiast, by wygrać wojnę, musieliby dysponować znacznie lepszym uzbrojeniem lub wejść na ścieżkę terroryzmu i atakować marokańskie

miasta, a ten sposób walk zgodnie odrzucali jako niehonorowy.

Chcąc nie chcąc, obie strony musiały usiąść do negocjacji. Lecz dla dumnego króla Hassana II rozmowa z przedstawicielami Frontu była niedopuszczalna. Mimo że do 1988 roku Saharyjską Republikę uznawały siedemdziesiąt dwa państwa, jej przedstawiciele zasiadali w Organizacji Jedności Afrykańskiej, a jej wojska odnosiły sukcesy, Hassan II nadal utrzymywał, że Front POLISARIO nie jest stroną konfliktu, a twór o nazwie RASD nie ma prawa bytu. Uparcie twierdził, że do jakichkolwiek rozmów usiądzie jedynie z prezydentem Algierii Szadlim Bendzedidem. Hassan II zabiegał o to spotkanie przez prezydenta Egiptu, Tunezji, a nawet przez Giscarda d'Estaing. Bezskutecznie. Ku rozczarowaniu króla Szadli Bendzedid był nieprzejednanym kontynuatorem polityki Huariego Bumedienu i stanowczo odrzucał wszelkie kompromisy w sprawie Sahary Zachodniej, inne niż bezpośrednie negocjacje króla z Frontem POLISARIO i wolne referendum.

Do spotkania między sąsiadami doszło dopiero w maju 1987 roku. Dzięki mediacjom króla Arabii Saudyjskiej Fahda Al Sauda, przyjaciela i sponsora Hassana II. Szadli Bendzedid i Hassan II spotkali się na granicy marokańsko-algierskiej, nieopodal miasta Wadżda. Podpisany dokument podkreślał wagę współpracy obu krajów i potrzebę rozwiązania problemów dzielących kraje. Na życzenie Bendzedida umieszczono również zapis przywołujący konieczność przeprowadzenia referendum na Saharze Zachodniej. Rok później, w maju 1988 roku, po dwunastu latach, stosunki dyplomatyczne między Algierią a Marokiem zostały wznowione.

Do negocjacji włączyła się również ONZ i przede wszystkim OJA, której ponad połowa członków uznawała Saharyjską Republikę. Ale nie przybliżyło to w żaden sposób zakończenia konfliktu. Z jednej strony, widząc pogarszającą się sytuację swojego skarbcza drenowanego saharijską wojną, Hassan II dążył do zawieszenia broni i zapewniał o gotowości przeprowadzenia referendum. Z drugiej głosił w wywiadach, że „Sahara będzie wiecznie marokańska”. Bo dla Hassana II ewentualne referendum mogło się odbyć jedynie wtedy, gdy nie zawierałoby opcji „niepodległość”.

Nie zważając na postępy negocjacji, marokańscy inżynierowie wojskowi kontynuowali budowę muru. W kwietniu 1987 roku ostatni odcinek fortyfikacji osiągnął wybrzeże Atlantyku, zamykając pętlę wokół Sahary Zachodniej. Szósty mur na długości wielu kilometrów został beczelnie wybudowany na terytorium Mauretanii – naruszył jej granice w niektórych miejscach nawet o półtora kilometra

i zbliżył się na odległość strzału do strategicznej linii kolejowej Zuwirat–Nawazibu. Pas ziemi niczyjej, pomiędzy murem a linią granicy w miejscach, gdzie została ona uszanowana, starannie usiano minami. W ten sposób Saharyjczykom odcięto drogę do wybrzeża oraz do jedyne go miasteczka, które zostało poza murem, La Güery.

W zależności od nastrojów politycznych i postępu rozmów Front POLISARIO wstrzymywał działania wojenne, czasami nawet na rok, by potem zorganizować zmasowany atak, który miał przypomnieć Hassanowi II powagę sytuacji. Na początku 1988 roku, a potem we wrześniu ELPS zorganizowała dwie duże operacje w okolicy oazy Umm Dreiga. Nowiutki piąty mur został przełamany na odcinku piętnastu kilometrów, a wśród ponad pięćdziesięciu zabitych Marokańczyków był nawet dowodzący obroną generał.

W sierpniu 1988 roku Organizacja Jedności Afrykańskiej przedstawiła stronom długo negocjowany, długo wyczekiwany projekt układu o zawieszeniu broni. Na froncie ponownie zapanował względny spokój, choć tu i ówdzie przerywany mniejszymi potyczkami. Projekt, zaakceptowany również przez ONZ, przewidywał organizację referendum z dwoma opcjami: integracja lub niepodległość. Dla Frontu POLISARIO był jedynym akceptowalnym rozwiązaniem, więc ELPS ochoczo wstrzymała ataki, ogłaszając gotowość do dalszych rozmów. Ale ku zdziwieniu wszystkich zainteresowanych pomysł OJA zyskał akceptację również Hassana II. Król, zmuszony przez Arabię Saudyjską, niechętnie, ale zgodził się nawet przyjąć wizytę przedstawicieli Frontu. Do pierwszego spotkania zaciekłych przeciwników doszło w styczniu 1989 roku w Marrakeszu. Hassan II nigdy jednak nie przyznał, że spotkał się z nimi jako ze stroną konfliktu. Przyjął „przypadkowych Marokańczyków”. Do następnych rozmów, zaplanowanych na luty, już nie doszło. Król odmówił również przyjęcia dwustu marokańskich jeńców wojennych, których w geście dobrej woli chciał oddać Front POLISARIO.

Rozczarowani obrotem spraw Saharyjczycy już latem ruszyli do ataku. W samym wrześniu Front POLISARIO przeprowadził ponad siedemdziesiąt mniejszych akcji. W ciągu jesiennych miesięcy zorganizowano także kilka zmasowanych ataków, kilkakrotnie forsując marokański mur w okolicy Hausy, Guelty Zemmur, Imgallu. Atakami, które kończyły się sukcesem partyzantów, dowodził znów komendant Lehbib Ayoub. Finalną ofensywę, która stała się ostatnią wielką bitwą saharijskiej wojny, ELPS przeprowadziła 8 listopada 1989 roku, atakując mur w okolicy oazy Amgala i zabijając dwustu pięćdziesięciu

marokańskich żołnierzy.

*

Przed końcem wojny oddział, w którym służył Mesaud Fadel, został przeniesiony do Tifariti. Trwały negocjacje zawieszenia broni, więc operacje ofensywne przerwano i większość 1990 roku upływała w spokoju. Mesaud, specjalista od radarów, z rozpoznania został przeniesiony do jednostki obrony przeciwlotniczej. Obsługiwał radziecką samobieżną wyrzutnię SAM-6. Uzgodnione w lipcu 1991 roku zawieszenie broni miało formalnie wejść w życie 6 września. Ale nieformalnie już obowiązywało, bo przecież zostało zaakceptowane przez obie strony.

– Któregoś ranka, jak graliśmy w karty, usłyszeliśmy samoloty. Stacjonowaliśmy jedenaście kilometrów od Tifariti, domyślaliśmy się, że to tam będą bombardować. Wiedzieliśmy, że mamy jakieś osiem minut, by je namierzyć i zestrzelić. Ale z siedmiu zdążyliśmy zniszczyć tylko jeden. Za to dorwaliśmy pilota!

Tego samego dnia lotnictwo FAR zbombardowało jeszcze Bir Lehlú, Meharrize i Miyecu na południu. We wszystkich nalotach celem nie były zlokalizowane w pobliżu tych osad bazy ELPS, ale cywilna infrastruktura zbudowana za międzynarodowe pieniądze dla beduińskich rodzin żyjących na Terytoriach Wyzwolonych. W Tifariti zbombardowano między innymi szpital i budynki administracyjne.

– Dwa tygodnie później dwadzieścia trzy tysiące Marokańczyków wyszło zza muru i ruszyło w stronę naszych oaz. A my dostaliśmy rozkaz, by się wycofać! Oni szli gęsiego, a my nie mogliśmy nic zrobić, bo respektowaliśmy zawieszenie broni! Zniszczyli nasze osady, zatruli studnie. I uciekli z powrotem za mur.

Marokańczycy nazwali to „oczyszczaniem ziemi niczyjej”. Na koniec operacji, której nadano wdzięczny kryptonim Grzechotka, marokańskie lotnictwo zbombardowało ponownie Tifariti. W czasie ataków na Terytoriach Wyzwolonych obecni już byli obserwatorzy ustanowionej cztery miesiące wcześniej misji MINURSO. Choć w wyniku nalotów śmierć poniosło trzydziestu cywili, setkę uznano za zaginionych, a kilka tysięcy musiało uciekać, atak nie spotkał się z żadną reakcją ze strony Javiera Péreza de Cuéllara, sekretarza generalnego ONZ.

Ten zestrzelony przez Mesauda Fadela samolot to był francuski Mirage F-1. Ostatni, jaki zniszczono tej wojny. Z czasem przywieziono go do Rabuni. Leży na

dziedzińcu obozowego muzeum, obok sterty amerykańskich bomb kasetowych.

Wokoło domu Hamidy zagubionego gdzieś w wydmach obozu uchodźców Bojador biega chmara dzieciaków.

– To wszystkie jego? – pytam z niedowierzaniem jednego z Hiszpanów, znajomych Hamidy.

– Tak, on ma ogromną liczbę dzieci!

– Nie, wcale nie aż tak dużo – wtrąca Hamida.

– Ale twój syn mówi, że ma siódemkę rodzeństwa!

– Jak to siódemkę? Ach, no tak, sześć, no tak, siedem. Trzech synów i pięć córek!

– Czyli jednak masz ósemkę! – wszyscy wybuchamy śmiechem.

Przed nami znów tortilla i herbata, ale tym razem siedzimy na kocu przed domem Hamidy, delektując się krótką chwilą dnia, gdy daje się wytrzymać na zewnątrz. Czerwony potop obejmuje powoli wydmy, domy, zwierzęta i ludzi. Zmierzch.

– Od początku wiedziałem, że MINURSO to oszustwo – wzrusza ramionami Hamida Abdullah. – Oni przyjechali przepełnieni marokańską propagandą, myśleli, że zastaną tutaj bandę dzikusów, z którymi nie da się porozumieć. A tu się okazuje, że tu jest naród! Z rządem, administracją, strukturami, instytucjami! Ja zresztą uważam, że oni wszyscy są agentami, szpiegują nas. Nie ufam im za grosz. Skąd to wiem? Od Szwajcarów, którzy tu przyjechali na samym początku jako lekarze. Ci byli w porządku, byli szczerzy i naprawdę chcieli coś zrobić. Jeden z nich powiedział mi któregoś dnia: nikt was tutaj nie traktuje poważnie.

Szwajcarzy wkrótce wycofali swoją misję, gdy jasne stało się, że referendum nie odbędzie się ani za pół roku, ani za dwa lata, ani za pięć lat. Hamida Abdullah nie jest osamotniony w swoim rozgoryczeniu. Ogromna część Saharyjczyków zawieszenie broni z 1991 roku uznaje za krytyczny błąd, który być może zaprzepaścił ich szansę na wolny kraj.

– Zobacz, co osiągnęliśmy przez szesnaście lat wojny: RASD została uznana

przez siedemdziesiąt pięć państw z całego świata, dostaliśmy stałe członkostwo w OJA – wymienia na palcach Hamida – pokonaliśmy Mauretanię i zmusiliśmy Hassana II, by usiadł z nami do rozmów. Mnie przez ten czas wystarczył kawałek chleba i woda, nie potrzebowałem więcej. Z tego całego czasu od początku rewolucji najtrudniejsze są ostatnie dwadzieścia trzy lata. Jest taka stara zasada wojskowa: jak nie możesz czegoś zdobyć, to daj temu czas. To, co zrobiliśmy przez lata wojny, oni teraz rujnują.

Przez lata stagnacji oenzetowskiego „procesu pokojowego” z osiemdziesięciu czterech państw, które uznały Saharyjską Republikę do 2011 roku, za sprawą nacisków ze strony Maroka i Francji, aż trzydzieści dziewięć „wycofało” bądź „zamroziło” uznanie, choć według prawa międzynarodowego uznanie państwowości jest aktem bezwarunkowym i nieodwracalnym. Inne kraje zawiesiły stosunki dyplomatyczne z rządem RASD.

– My nie mamy już nic do stracenia, to, co mieliśmy, już straciliśmy. Przez lata negocjacji zgodziliśmy się na wszystko, w zamian nie dostając nic. Bo my jako naród jesteśmy dość łatwowierni.

Hamida został w wojsku do samego końca wojny, służąc w artylerii, ale także w oddziale medycznym jako chirurg. Bo od czasu, kiedy cudem uszedł z życiem, zawsze chciał być lekarzem. W służbie czynnej był jeszcze przez wiele lat po zakończeniu konfliktu, do 1998 roku, pozostając w Meharrize, bazie swojego regionu wojskowego. Czekał, aż wróci wojna, bo nie wierzył w pokój narzucony przez ONZ. Przez następne lata pracował dla wojska jako instruktor. Mówi, że jakby trzeba było, poszedłby na wojnę raz jeszcze.

Dziś jest bibliotekarzem. Opiekuje się trzema niewielkimi bibliotekami dla dzieci, założonymi w obozach przez jedną z hiszpańskich fundacji. Przed jego domem stoi mały busik wymalowany w bajkowo-książkowe motywy. Czasami tym busem dowozi książki dzieciakom mieszkającym w innych obozach.

Któregoś dnia Hamida mówi mi, co jeszcze widział na własne oczy.

– Przylatuję do El Aaiúnu samolotem. Wsiadam, a tam na płycie lotniska czekają już na mnie moi przyjaciele z wojska. Mówię: „Hamdulillah, jak to dobrze, że już jesteśmy wolni!”. A po chwili dodaję: „Bo przecież nikt nie umrze przed swoją godziną”.

Ojciec Hamidy, z którym jako dziecko jeździł w karawanie, dostał się do niewoli, gdy La Güerę zajęły wojska mauretańskie. Matka skomponowała wtedy piosenkę, którą dziś zna każdy Saharyjczyk. O tym, że Sahara się nie sprzedaje.

*

Jakie zdjęcia zrobiłby jeszcze Mohammed Moulud, gdyby zawieszenie broni nie zostało podpisane? Co zarejestrowałby swoją kamerą, gdyby wojna nadal trwała? Czy byłoby mu dane zrobić zdjęcie, o którym zapewne marzył przez lata konfliktu? To z El Aaiúnu. I to ze Smary i z Dakhli? Czy jego land rover by tam w końcu dojechał? Czy w El Aaiúnie można by było teraz kupić jego album?

Z perspektywy czasu łatwo ocenić zawieszenie broni jako pomyłkę naczelnego dowództwa Frontu POLISARIO. Ale ta sama sytuacja geopolityczna, która sprzyjała wyzwoleniu naszego kraju, paradoksalnie utrudniała Saharyjczykom drogę do wolności. Rozpad Związku Radzieckiego, u nas witany z ulgą i radością, był przyczyną zmartwienia Frontu POLISARIO. Nie dlatego, że ZSRR wspierał dążenia Saharyjczyków, i nie z powodu jakiejś wyjątkowej sympatii do obozu socjalistycznego. ZSRR nigdy nie dostarczał bezpośredniego wsparcia bojownikom Frontu, nie wspierał ich również w znaczący sposób na arenie międzynarodowej. Uzbrojenie, choć faktycznie radzieckiej produkcji, trafiało do oddziałów ELPS za sprawą Algierii i Libii, a wsparcie logistyczne i merytoryczne zapewniała Kuba Fidela Castro.

– Przez lata wojny cały świat mówił, że jesteśmy komunistami, że jesteśmy satelitami Związku Radzieckiego. Ale tak nie było. Owszem, mieliśmy ich broń. Ale Maroko także dysponowało radziecką bronią. Mówili, że walczą za nas Kubańczycy, Wietnamczycy, Rusczy. Ale byliśmy tylko my.

Żadne z europejskich państw bloku wschodniego, z wyjątkiem Jugosławii, nie uznawało Saharyjskiej Republiki. Sam ZSRR też nie. Saharyjczycy nie eksponowali też w nadmierny sposób swojej sympatii do Związku Radzieckiego ani nie przejawiali w polityce wojującego socjalizmu. Upadek ZSRR był przyczyną zmartwienia z innego powodu. Bo z dnia na dzień świat stał się jednobiegunowy, a karty rozdawał wyłącznie Waszyngton, największy sojusznik Maroka. Zimnowojenne konflikty, często sztucznie podtrzymywane przez ścierające się supermocarstwa, zostały wygaszone, bo już nikomu nie zależało na ich istnieniu. Uwaga świata zresztą zaraz skupi się na zupełnie innych, gorętszych, bardziej atrakcyjnych i spektakularnych konfliktach lat dziewięćdziesiątych.

Front POLISARIO został sam ze swoją małą, prowincjonalną wręcz, niewiele znaczącą w kontekście światowym, niedokończoną wojną. Styczeń 1992 roku przynosi kolejne złe dla Saharyjczyków wydarzenia. W Algierii armia odwołuje

drugą turę wyborów w obawie przed wygraną skrajnego fundamentalistycznego Islamskiego Frontu Ocalenia. Wybory unieważniono, rozwiązano parlament, zawieszono konstytucję, a prezydent Szadli Bendzedid musiał ustąpić ze stanowiska. Zbrojne ramię Islamskiego Frontu Ocalenia, Islamska Armia Ocalenia, a za nią jeszcze bardziej radykalna Zbrojna Grupa Islamska, której trzon stanowili kombatanci wojny w Afganistanie, rozpętują wojnę domową, która kosztować będzie życie stu pięćdziesięciu tysięcy Algierczyków. „Denia, denia, masskina Aljazair” – zaśpiewa wkrótce Manu Chao.

W samym Froncie POLISARIO też nie działo się najlepiej. Transformacja z wojennych realiów, w których autorytarny lider był jak najbardziej wskazany, do czasów „pokoju”, od których oczekiwano demokratyzacji struktur RASD, okazała się niełatwa. W wyniku sporów wewnątrz Frontu już pod koniec 1988 roku na stronę Maroka przeszedł Omar Hadrami, jeden z założycieli organizacji. A król Hassan II witał wszystkich uciekinierów z otwartymi rękoma, wynagradzając lojalność lukratywnymi posadami. Mimo że Hadrami był wielokrotnie oskarżany przez króla o torturowanie marokańskich więźniów wojennych, dziś piastuje stanowisko gubernatora regionu Kulmim–Smara, powstałego z połączenia południowych prowincji Maroka i północnych regionów Sahary. W 1991 roku mimo przeprowadzonych wewnątrz Frontu reform do Maroka uciekł Ibrahim Hakim, minister spraw zagranicznych, a potem ambasador RASD w Algierze. W jednym z wywiadów, będąc już w Rabacie pod opieką króla, powiedział, że już nawet Algieria nie wierzy w powodzenie wojny na Saharze, a sami Saharyjczycy powinni przestać marzyć o własnym państwie. W tym samym roku w objęcia króla padła Guejmoula Ben Abbi, przewodnicząca Unión Nacional de Mujeres Saharaui (Związku Kobiet Saharyjskich). Obecnie pracuje w królewskiej instytucji CORCAS.

W październiku 2002 roku do Rabatu przybył pogromca marokańskich sił zbrojnych, autor najbardziej spektakularnych zwycięstw ELPS. Skłócony z przywództwem Frontu POLISARIO, lojalność królowi Mohammedowi VI przyrzekł komendant Lehbib Ayoub. Nie przyjął jednak zaszczytów ani pozycji. Mieszka ponoć na pustyni, jest pasterzem.

*

Trudno więc powiedzieć, jakie fotografie mógłby jeszcze zrobić Mohammed Moulud, gdyby wojna trwała. Wiadomo natomiast, jakiego zdjęcia już raczej nie

zrobi. Rodzice i bracia Mohammeda Mouluda zostali w El Aaiúnie. Tylko jemu udało się uciec przed marokańską inwazją. Przez ostatnie trzydzieści dziewięć lat Mohammed Moulud mógł odwiedzić swoją rodzinę tylko raz, na pięć dni. Do El Aaiúnu pojechał osiem lat temu w ramach uruchomionej przez UNHCR akcji Confidence Building Measures. Ale z nimi pojechać na Terytoria Okupowane można tylko raz. Gdy umierała jego matka, już nie mógł jej zobaczyć.

– Tam dobrze wiedzą, że byłem reporterem POLISARIO. Nawet jeśli dziś mam algierski paszport, on przed niczym nie chroni. Boję się tam jechać, powiedzą, że jestem szpiegiem, i kto mnie stamtąd wyciągnie, MINURSO? Tu mam żonę i dzieci. Mój ojciec jest już w bardzo podeszłym wieku, a ja jako najstarszy syn powinienem się nim zająć. Dzwonił do mnie ostatnio. Płakał. Musiałem skłamać, że pewnego dnia przyjadę.

III Siedemdziesiąt szabli

*Si la mort te port... elle me porte aussi,
Car je suis sur le chemin de l'existence avec toi*^[6].

Na'ana Labbat El-Rachid, *Avec Toi* ze zbioru *La Plume Prisonnière*

Odstawiam szklanę, stukając dwa razy w metalową tacę. To na znak, że to była dobra szklaneczka. Dobra herbata. On wtedy zerknie na mnie znad okularów małymi, przekrwionymi od słońca oczami, a ja na krótką chwilę odwzajemnię to spojrzenie i lekko skinę głową, wyrażając uznanie. On weźmie szklaneczkę i znów ustawi w rządku, na swoim miejscu. I nieśpiesznie przystąpi do kolejnego parzenia. Wygląda jak jakiś szaman, mistrz ceremonii, gdy ma przed sobą te wszystkie metalowe naczynia o wymyślnych nazwach, kształtach i funkcjach. Sięgnie po szczyptę herbaty, otworzy wieczko czajnika i dorzuci do tego, co już było gotowane. Wleje odrobinę wody, ale tylko odrobinę, bo jest nas przecież dwóch, i odstawi z powrotem na żarzące się węgle. A w międzyczasie wyciągniemy się obydwoj na dywanie, podpierając rękę na ciężkich poduszkach. I porozmawiamy. O życiu, o Koranie albo o jakimś konflikcie. W telewizorze właśnie mówią, że w Gazie jest już 1847 ofiar.

Teraz już się nie ogląda Al Jazeera. Nawet tu, w obozach uchodźców. Hamida mówi, że kiedyś tak, owszem, był to głos świata arabskiego. Ale teraz Wyspa sprzedała się Amerykanom. Więc nikt jej już nie ufa. Obecnie popularna jest za to libańska telewizja Al Mayadeen, założona zresztą przez dziennikarzy, którzy opuścili Al Jazeerę. A w Al Mayadeen o Palestynie mówi się bez przerwy. Mają nawet spektakularne spoty, jakby reklamowe, emitowane średnio co pół godziny, z głośną i groźną muzyką i szybkim montażem. A na nich zamaskowani bojownicy w kefijach wymachujący kałasznikowami, czołgi, latające rakiety i płonące miasta. Lub pogrzeb i trumna przykryta palestyńską flagą. A flaga Saharyjskiej Republiki jest bardzo podobna do flagi palestyńskiej. Cztery kolory, panarabskie, czerwony trójkąt z boku. Jedyna różnica to półksiężyc i gwiazda w środku, takie jak na fladze

algierskiej. Ale na tym podobieństwa się kończą. Bo choć Saharyjczycy sympatyzują z Palestyńczykami, to jest to solidarność jednostronna i zupełnie nieodwzajemniona. Zawiedziona. Saharyjska Republika, choć sama nie jest członkiem ONZ, jako jedno z pierwszych państw na świecie uznała państwo palestyńskie. 15 listopada 1988 roku. Ale relacji dyplomatycznych nie udało się ustanowić. Palestyńczycy gestu nigdy nie odwzajemnili i nie uznali państwowości Sahary Zachodniej. Władze Palestyny widzą ją raczej jako część Maroka. Może dlatego, że szefem pewnej organizacji o nazwie Committee Al-Quds (arabska nazwa Jerozolimy), mającej na celu pomoc w rozwiązaniu konfliktu na Bliskim Wschodzie, jest Jego Wysokość Mohammed VI. Al-Quds, który zrzesza obecnie szesnaście państw, siedzibę ma w Rabacie. O Saharze Zachodniej w telewizji Al Mayadeen się nie mówi. Nawet gdy na ulicach El Aaiúnu giną ludzie. Liban też jest członkiem Al-Quds.

Do tego trzeciego parzenia można wrzucić coś specjalnego. Liście świeżej mięty, całą garść. Albo ziarna kamunu, dobre na przeziębienie i bolące gardło. Są podobne do pestek dyni. Trzeba je przełamać i wrzucić do czajniczka. Ta trzecia szklanka to pożegnanie. Będzie miękka, delikatna i słodka.

Saharyjczycy mawiają, że jest łagodna jak śmierć.

Znów lotnisko w Algierze. Wielki betonowy moloch wita mnie jak zawsze zapachem papierosowego dymu mimo rozklejonych wszędzie zakazów palenia. Już wiem, gdzie pójść, wiem, które siedzenia są najwygodniejsze, które zapewniają najwięcej prywatności, a które mają najmniej metalowych elementów wrzynających się w plecy. Rozkładam swój tymczasowy obóz z karimaty i plecaka, by przeczekać następnych dwanaście nocnych godzin. Algierskie lotnisko znam już chyba lepiej niż Okęcie. Za każdym razem, gdy tu przylatuję, myślę, że będzie to już ostatni raz, i za każdym razem się mylę. Więc znów. Tym razem trochę niczym Święty Mikołaj. Obładowany jestem prezentami dla moich przyjaciół mieszkających w obozach. Wiozę nawet lunetę, podręczny teleskop zamknięty w ogromnym pudle budzącym ogólne zdziwienie, ciekawość, a czasami podejrzenia. Trafi w ręce obozowego mędrca, bazarza i medyka. Przez siedemnaście lat Hamida Abdullah odnajdywał drogę na pustyni dzięki gwiazdom. Dziś weteran wojny marzy, by zostać astronomem. Już widzę go, jak siada na wydmie za obozowym domem, ubrany w białą dara'a, i celuje lunetą w Księżyc lub w jakieś nieznane gwiazdozbiory i planety. Obraz niczym z ryciny w *Astronomie populaire* Flammariona. Jak średniowieczny astronom, który właśnie doszedł do krańców świata i nieśmiało wystawia głowę poza niebiańskie sklepienie, by w zachwycie i strachu spojrzeć na kosmiczną maszynę. Mam też ze sobą aparat fotograficzny, sprezentowany przez moich znajomych. Lustrzanka z dwoma obiektywami, dokładnie taka, o jakiej marzy od lat Mohammed Moulud. Znów będzie mógł robić zdjęcia. Może zostanie kronikarzem obozowego życia? Może dopisze kolejny rozdział do swojej reporterskiej kariery, tym razem już w czasach pokoju? A może wręcz przeciwnie, przyjdzie mu ją zabrać na kolejną wojnę, tym razem ostatnią i ostateczną?

Lot z Algieru do Tindufu trwa dwie godziny i dwadzieścia minut. Prawie tyle samo co lot z Wiednia do Algieru. Na niewielkim monitorze umieszczonym w oparciu fotela samolotu algierskich linii lotniczych obserwuję trasę lotu. Jest

Algier, jest Oran, jest docelowy Tinduf. Jest też odległe malijskie Gao, a nawet egzotyczne Wagadugu w Burkina Faso. Na mapie, choć obejmuje połowę Afryki, nie ma Rabatu. Ani Marrakeszu czy Tangeru. Schematyczna mapka pokazuje za to okupowany El Aaiún.

Pierwszy raz przylatuję do Tindufu za dnia. Do tej pory zawsze lądowałem tutaj w nocy. Widzę, jak samolot zaczyna zniżać lot nad brunatnym morzem wydm, jak zaczyna kołować nad tym dziwnym pustynnym miastem, które bardziej jest gigantyczną bazą wojskową. To między innymi Tinduf był celem marokańskiej agresji z 1963 roku. Nieopodal miasta znajdują się kopalnie żelaza. Widzę więc te linie okopów, szlaczki wałów ziemnych o wymyślnych kształtach, okręgi baz otoczone pasami piaskowych murów. Widzę wojskowe baraki, wiaty, schrony i wystające z nich lufy. Są też rzędy rakiet, białych i ostrych jak igły, wycelowanych w stronę marokańskiego nieba, i zastępy zielonych ciężarówek jedna przy drugiej. A gdzieś tam jakieś armaty dla urozmaicenia krajobrazu, jakiś pojazd pancerny lub czołg. Każdy na swoim przygotowanym stanowisku, otoczony okopem i nasypem. Jak zabawki w piaskownicy. A na płycie lotniska, obok dwóch pasażerskich boeingów, rząd wojskowych myśliwców. Ponoć to właśnie dlatego większość lotów wewnętrznych w Algierii odbywa się nocą. By niepowołane, przypadkowe oczy nie mogły tego wszystkiego podziwiać.

Samolot nadlatuje do Tindufu z północnego wschodu. Tuż przed miastem, gdy jest już nisko, może piętnaście, może dziesięć kilometrów od celu, za oknem, oprócz wojskowych instalacji, widać także coś innego. Są ich tysiące. Witają mnie refleksami słońca odbijanymi przez blaszane dachy, beładnie porzrzucone po pustynnym krajobrazie. Osiedla, całe dzielnice malutkich kwadratowych domków. Przypominają trochę polskie ogródki działkowe, tylko wyzute z jakiegokolwiek zieleni, jakiegokolwiek barwy prócz żółtoszarego koloru piasku. Niektóre stoją w skupiskach, gęsto upakowane lub nawet połączone ścianami, pączkujące jeden od drugiego, inne rozproszone spontanicznie trochę tu, trochę tam, rozplływające się w pustyni. Gdzieś tam dostrzec można jakiś nieco większy budynek, dwa, może trzy, czasami jakiś plac. Widać też dobrze setki zielonych i szarych namiotów, powciskanych między budynki. Między nimi wiją się bielejące, wyjeżdżone drogi, wychodzone ścieżki, doprowadzone do każdego osiedla, do każdego sąsiedztwa. Jak nici wplecione między koraliki lub kamienie. Z małego samolotowego okna nie widzę końca tego przedziwnego tworu. Robię zdjęcie. Potem, już w domu, porównam je z widokiem na Google Maps i ze zdumieniem

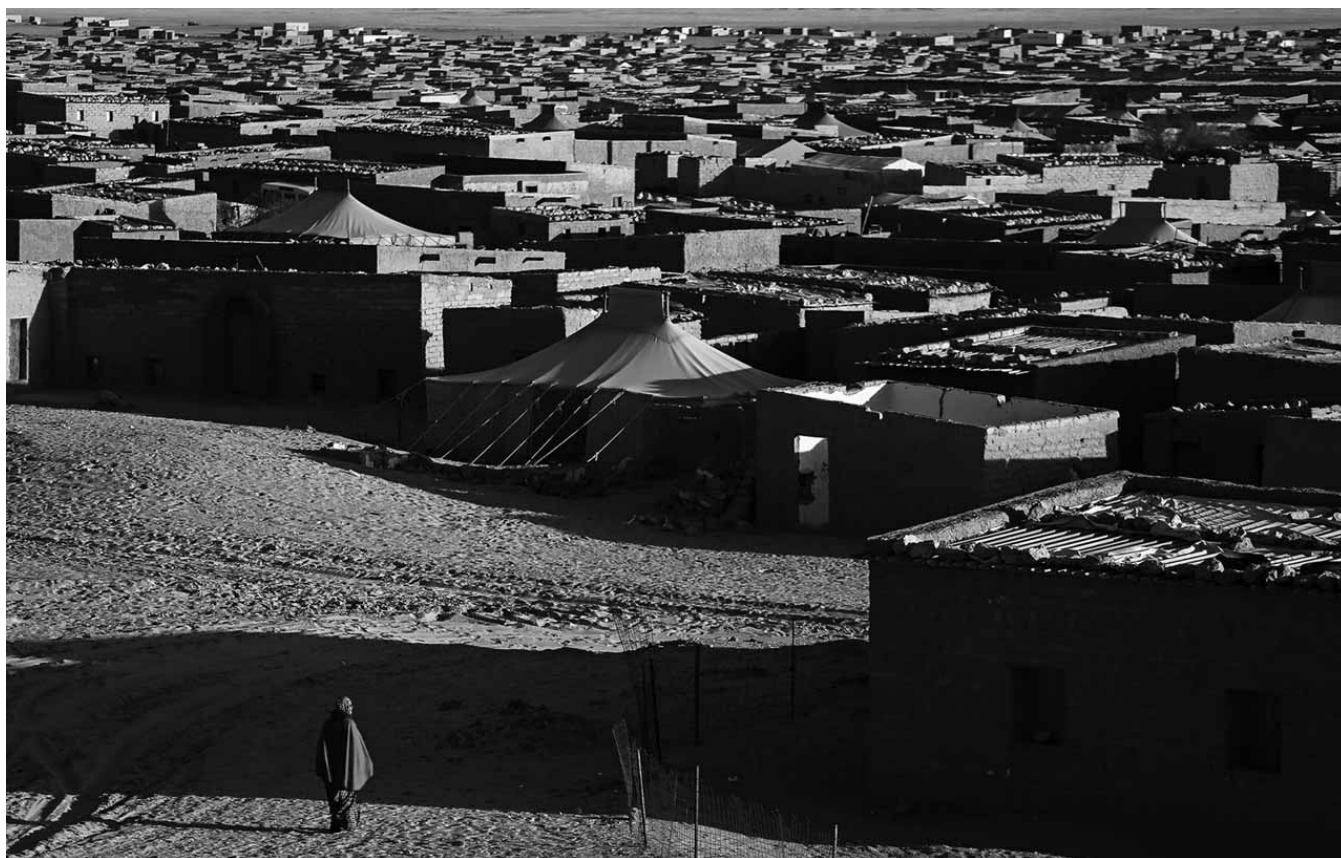
dojdę do wniosku, że te tysiące domostw to zaledwie niewielka część, nie więcej niż jedna dziesiąta. Przedmieścia, południowe peryferia największego z obozów saharijskich uchodźców.

Trzeci raz ląduję na lotnisku w Tindufie. Za każdym razem, gdy auto obozowego protokołu dyplomatycznego, wysłane, by odebrać obcokrajowca, zmierza w kierunku obozów, uderza mnie niemożliwość tego krajobrazu. Za każdym razem dziwi mnie tak samo lub nawet bardziej jego skrajna nieprzychylność i surowość. To nie jest Czarny Ląd. Przynajmniej nie tutaj. Ten jest biały, okrutnie, nieludzko biały. Tak biały, że bolą oczy i nie możesz patrzeć. Zwłaszcza w południe, latem. Ale nawet zimą nie jest wcale lepiej. Krajobraz niczym prześwietlone, wyjąłowione zdjęcie, które ktoś zbyt krótko trzymał w kąpielni fotograficznej. Nie zdążyło jeszcze nabrać barw, nasiąknąć kontrastami, nie stworzyły się plamy, nie zaistniały barwy ani linie. W ogóle ten krajobraz jest właśnie niedokończony, zostawiony w połowie procesu tworzenia, tak jakby stwórca poddał się, zapomniał o nim lub uznał go przedwcześnie za swoją porażkę niewartą dalszego trudu. Świat niedokończony, nieozdobiony choćby odrobiną zieleni czy błękitu, nieskażony wzgórzami, dolinami czy górami. Płaski, równy, jednostajny i przeraźliwie nudny. Świat, który jest dopiero mglistym zarysem, ledwo szkicem pozostawionym po pierwszym dniu stworzenia, odrzuconym. Nie mówię ogólnie o pustyni. Wiem, że może być piękna, widziałem takie. Ale ta tutaj nie jest. Szukam z uporem czegoś, co może być w niej niezwykle, czarujące, ale nie znajduję. Czasami mam wrażenie, że ta algierska hamada przy Tindufie to świat wywrócony do góry nogami, na lewą, brzydszą stronę. Rozkopany jakąś nieziemską łychą, gigantyczną koparką, rozjechany buldożerami, zrównany z ziemią, tak że został po nim jedynie żwir i kurz. Jak ogromna kopalnia odkrywkowa, taki Bełchatów, tylko przeskalowany, rozciągnięty miliony razy wzdłuż i wszerz. Jak można nazywać go domem? Jak można go kochać? Jak można tęsknić za tym martwym bezkresem?

*

Auto podskoczyło na progu przed punktem kontrolnym na granicy jednego z obozów. Z łomotem podskoczyły też wszystkie metalowe rupiecie zgromadzone na tylnych siedzeniach samochodu. Kierowca zwolnił, otworzył szybę. Asfalt rozdzielony jest tutaj na pas dla wjeżdżających i wyjeżdżających rzędem wielkich łusek od pocisków armatnich. Stoją na sztorc, w żołnierskim porządku,

pomalowane w czerwone pasy. Po bokach drogi pełno wszelakiego wojskowego złomu. Jakieś wielkie koła zębate, wał korbowy od czołgu lub zardzewiały silnik. Wszystko pomalowane, bo to przecież wjazd. Takie zasieki, blokady to na wypadek, gdyby ktoś próbował sforsować posterunek. Do każdego z obozów można dostać się jedynie przez wyznaczone wjazdy. Poza nimi teren obozu jest otoczony wałem ziemnym, który skutecznie zatrzyma nawet najlepsze auto terenowe. Na murze stróżówki namalowano koślavo mapę państwa, które leży raptem pięćdziesiąt kilometrów stąd. Na maszcie trzepocze jego flaga. Dwóch funkcjonariuszy obozowej żandarmerii skrytych w cieniu budki strażniczej parzy herbatę. Zawsze. Przejeżdżałem te punkty już wiele razy, zawsze są w trakcie parzenia herbaty. Rzucają okiem, kiwną leniwie głową, machną ręką. Czasami tylko któryś z nich podejdzie do auta, zerknie do środka, poda rękę. Niekiedy spyta o dokumenty. A potem znów machnie ręką i powie „salam alejkum”. Albo „bienvenido, señor”. Wtedy nasze terenowe auto podskoczy na kolejnym progu i wjedzie nieśpiesznie na teren Saharyjskiej Arabskiej Republiki Demokratycznej. Na uchodźstwie.



© Bartek Sabela

Gdy przyjechałem tu pierwszy raz w grudniu 2013 roku, łapczywie chłonałem każdy obraz, każdą chwilę tego dziwnego świata. I zawsze było mało. Więc śpieszyłem się, liczyłem każdą godzinę, każdą odbytą rozmowę, każdy uchwycony kadr, każdy wywiad. Ten zrobiony, a w szczególności ten niezrobiony, ten, który umknął, bo ktoś nie przyszedł, bo już musiał iść, bo zapomniał, bo piątek, bo za wcześnie lub za późno. A ja mam przecież tylko miesiąc albo tydzień, albo godzinę, nieważne ile, zawsze za mało. Przyjechałem tu ze swoim europejskim czasem, zawsze napiętym, w poszukiwaniu informacji, które ozdobią moją książkę. Dopiero teraz rozumiem, że to jest właśnie esencja tego miejsca. To, jak płynie tutaj czas. A dokładnie to, że czasu tutaj nie ma. Bo gdyby był, to musieliby go zabić. Unicestwić, pozbyć się go jakoś, bo byłby nie do zniesienia. Tak, albo oni jego, albo on ich, śmiertelny pojedynek z czasem. Nie w sensie wyścigu. Wręcz przeciwnie. Może dlatego właśnie jeszcze tu żyją. Bo pokonali czas.

Tym razem nie mam ochoty wyciągać aparatu. Nie mam ochoty sięgać po dyktafon. Mogłem tego całego cholerstwa w ogóle ze sobą nie brać. Gubię wtedy to, co najważniejsze. Teraz to do mnie dotarło, gdy siedzę w terenowej toyocie, gapiąc się przez brudną szybę na ten beznadziejny pejzaż. Głowę mam już pełną tych wszystkich obrazów. Tych lichych lepianek, tych namiotów, tych umorusanych, zasmarkanych dzieciaków, tych mężczyzn w turbanach i dumnych kobiet we wzorzystych strojach. Mam też setki zdjęć, bo w takich miejscach zdjęcia robi się łatwo. Kadr jest wszędzie, a w zachodzącym słońcu wszystko wygląda pięknie i bardzo biednie. A bieda na zdjęciach jest łatwa i zawsze wychodzi dobrze. Znam już to wszystko. A jednocześnie ani trochę nie rozumiem. Tym razem chcę po prostu siedzieć razem z nimi i patrzeć. Zagubić się, zatracić w nieistniejącym czasie i przedziwnej przestrzeni. Chcę tylko obserwować, chłonać każdy szczegół wszystkimi zmysłami, zatopić swój rozum w bezkresie piachu, poczuć go w zębach, oczach i uszach. Utoplać się w tym kurzu i brudzie. Patrzeć, jak żyją, gdy nikt ich nie podgląda, gdy żyją swoim obozowym, tymczasowym życiem, niezmaconym wizytą przybysza z odległego kraju, niewzruszonym obietnicą czy nadzieją. Chcę siedzieć z nimi i czekać bez nadziei, że się doczekam. Bo czekanie to kwintesencja tego doświadczenia, treść obozowego życia. Chcę dotknąć tego czekania i tej straceńczej, niezachwianej wiary, która trzyma ich przy życiu. Bo jak opisać blisko dwieście tysięcy czekających ludzi? Czekających od rana do wieczora. Każdego dnia. Od czterdziestu lat. Dla niektórych to już prawie trzecie pokolenie. Wszystkie ich historie są takie same. W każdej usłyszysz

o śmierci, o wygnaniu i rozłące, w każdej będą lata wyczekiwania i nieznośnej monotonii. W zapomnieniu i w oszustwie. W zawieszeniu, już nie w wojnie, ale jeszcze nie w pokoju. Dwieście tysięcy Odyseuszy niemogących trafić do domu po długiej wojnie. Żyjących w świecie, który jest ledwo namiastką, jedynie prowizorką, niespełnioną obietnicą, bo niczym więcej nie może być. Rozpruci pomiędzy nieosiągalną potrzebą stabilizacji a zabójczą tymczasowością, która nabiera przytłaczającego, wiecznego wręcz wymiaru.

*

Budzą mnie słowa. Ciche, melodyjne, niczym muzyka. Słyszę te same wyrazy wypowiedane w różnej intonacji, powtarzane jak w transie. Mieszają się jeszcze z resztkami snu, który nieśpiesznie odchodzi z oczu. Podnoszę powieki i widzę popękana dłoń i palce przesuwające się po drewnianych paciorkach. Jeden za drugim, jeden za drugim. Koralki muśnięte słońcem tworzą figlarne refleksy na brudnym dywanie. Każdy koralik to jedno imię Allaha. Ar-Rahman... Ar-Rahim... Al-Malik... Wychylam głowę ze swojego śpiwora przykrytego dodatkowo grubym kocem i patrzę na niego. Al-Kuddus... As-Salam... Al-Mumin... W moim pokoju każdej nocy śpi kto inny. Przychodzą wieczorem albo prawie w nocy tylko po to, by tu spać. Dopiero po kilku dniach rozumiem, że nie są to przypadkowi przybysze. Ot, mój gospodarz Hamida Abdullah przysyła każdej nocy kogoś, kto dotrzyma mi towarzystwa. Raz jest to najstarszy syn, innym razem sąsiad, kiedy indziej kumpel czy przyjaciel, który wpadł w odwiedziny. Ale zawsze jest ktoś. Nigdy nie śpię sam. Tak, żebym czuł się raźniej, może bezpieczniej. Bo ponoć w obozach są różni ludzie, a poza obozami jeszcze inni. Dziś w moim pokoju jest starszy człowiek o siwych włosach, druh z partyzantki, przybyły z innego obozu, odległego o blisko dwieście kilometrów. Al-Muhajmin... Al-Aziz... Al-Dżabbar... Widzę go, jak klęczy na dywanie, zawinięty w brązowy silham (wełniany płaszcz z kapturem), i wypowiada pod nosem kolejne imiona Stwórcy. Al-Mutakabbir... Al-Chalik... Al-Bari... Zatopiony w miękkim, ciepłym świetle wpadającym przez zawsze otwarte paździerzowe drzwi. Te zresztą dodają subtelny akompaniament do jego zdyscyplinowanej modlitwy, element improwizacji, skrzypiąc delikatnie poruszane wiatrem. Al-Musawwir... Al-Ghaffar... Al-Kahhar... Tych imion jest dziewięćdziesiąt dziewięć. Ostatnie to As-Sabur. Cierpliwy.

Do izby wchodzi jedna z wielu córek Hamidy. Odrzuca na bok czerwoną kotarę

wiszącą przy drzwiach i rozpędza ostatnie mroki niewielkiego pomieszczenia. Potem stawia przede mną wiaderko z rozpalonymi węgielkami, uśmiecha się, wychodzi. Przed wyjściem rzuci na te węgielki kilka drobinek el-bdżuru, pustynnego krzaka zmieszanego z esencjonalnymi perfumami. Słodki, zawiesisty dym wirujący szybko w powietrzu wypełnia pokój delikatną mgłą, rozpraszając promienie światła. Mistyczny poranek. Wysuwam ręce ze śpiwora, unoszę nad wątlym ogniem, by trochę ogrzać. Jest zima w końcu. Choć za dwie, trzy godziny będzie gorąco, to noce i poranki potrafią być niemiłosiernie zimne.

Rozglądam się po tym pokoju za każdym razem, gdy się budzę. Patrzę na dach z falistej blachy, połatany, pozakładany, podtrzymywany na krzywych, powyginanych belkach. Pod jedną z nich dynda samotny pająk. Sprawia wrażenie, jakby sam, w geście ostatecznej rozpacz, powiesił się za nogę. W zasadzie to nie jest pokój. To jest cały dom, jednoizbowy, taki jakich tysiące widziałem z okna samolotu. Mury i dach. I okna. Tak, ten pokój ma okna. Nawet kilka, ze cztery, małe, umieszczone tuż przy ziemi, ciągle zamknięte stalowymi okiennicami, a dokoła utkane brudną szmatą. W zasadzie nie wiadomo, po co są. Nigdy nie widziałem, by ktoś je otwierał. Może tak z przyzwyczajenia, w końcu dom musi mieć drzwi, dach i okno. I dywan. Inaczej chyba nie jest domem, nawet tymczasowym. Otwieram to najbliższe, tuż obok mojego legowiska, z którego jeszcze się nie ruszyłem. Ciekawi mnie widok. Okno jest przecież po to, by mieć z niego jakiś widok. W oczy bucha mi chmura pyłu wraz z oślepiającym światłem. Strużka złotego piasku sączy się do pokoju wprost na moje poślanie. Za oknem lekko nierzeczywisty, surrealny widok na pofalowaną niczym włosy mojego dziadka wydmy. Drobnutkie ziarenka unoszą się przy najmniejszych podmuchach wiatru. Za wydmy, na niewielkim wzgórzu stoją kolejne błotne szare domy, które domami nie są. Obok nich namioty, zagrody dla kóz. Tej wydmy, ciągnącej się przez kilkadziesiąt metrów, ponoć tutaj nie było. Przyszła. Przywiało ją w ciągu ostatnich kilku lat, tak twierdzi Hamida. Może więc za jakiś czas sobie pójdzie lub chociaż przesunie się do sąsiadów. Wydma to takie zjawisko trochę jak Buka z *Muminków*. Przychodzi niespodziewanie, nic nie mówi, jest wielka, zwalista, trochę dziwna i straszna, ale w gruncie rzeczy nieszkodliwa. Wprosi się w gości, obejmie ramionami domy, namioty, auta i przez jakiś czas będzie milczącym towarzyszem domowników. A potem odejdzie, cicho i powoli, ciągnąc za sobą falującą złotą szatę.

Fascynuje mnie pustka w tym pokoju, w tych domach. Nie mają żadnego

wyposażenia, żadnych mebli, żadnych dekoracji. Ściany i dach. W rogu stoi jedynie szafka, na niej srebrny, brudny telewizor i plątanina kabli. Bo obóz, w którym znajduje się dom Hamidy, jest jedynym, do którego doprowadzono prąd. W innych trzeba sobie jakoś radzić. Baterie słoneczne od organizacji charytatywnych, generatory. Albo po prostu trzeba nauczyć się żyć bez prądu. A tu jest luksus, pstryk i w srebrnym telewizorze zaraz pojawi nam się obraz z jakiejś arabskiej telewizji, a w żarówce trupioblade, ale jednak światło. Ten prąd biegnie po obozie w sposób niezwykle pierwotny, zwykły, najprostszy. Nie na słupach czy choćby po ścianach. Tylko warkoczami poskręcanych, połączonych, poklejonych kabli po ziemi, po ścieżkach, po drogach. Kilometrami spontanicznych instalacji. Tych kabli, grubych jak palec, nikt nie wkopuje w ziemię. Jeżdżą po nich auta, chodzą ludzie, kozy i wielbłądy. A jak któryś się przetrze, to go naprawią, skręcą, załatają. Pod tym telewizorem pośród całej masy rupieci stoją książki. Grube, opasłe tomy o tytułach tak dziwnych jak *Medicina de Urgencias* czy *Cardiología General*. Bo Hamida jest medykiem. Właśnie nie lekarzem, tylko medykiem. To słowo pasuje do niego bardziej. Został nim trochę przypadkiem i z braku wyboru, gdy leżał ciężko ranny w szpitalu w Algierze. Gdy wrócił do swojego regionu wojskowego, potrzeba zdecydowała, że został pierwszym i na długo jedynym medykiem w swojej bazie, w całym trzecim regionie. Mówi, że medycyny uczył się „w deszczu bomb”. Ale nauczył się skutecznie. Widział urwane kończyny, dziury po pociskach wielkości jabłek i ostatnie oddechy swoich kompanów. Chwali się, że kiedyś sam zoperował tętnicę podobojczykową postrzelonemu kumplowi. Po prostu, szczypcami i ręką. W polowych warunkach. A teraz przychodzą do niego ludzie z okolicy, zwłaszcza ci, którzy byli z nim w wojsku. On służy poradą, tabletką, maścią, plastrem czy syropem.

Żona Hamidy, Salka, wraz z córką wnosi do izby śniadanie. Dla mnie zastawiają niewielki plastikowy stolik. Wchodzi również Hamida, pyta, jak spałem, czy wszystko w porządku, i od razu bierze się do parzenia herbaty. Pierwsza czynność dnia. Druga. Pierwszą jest modlitwa. Na moim stole ląduje bagietka, ser topiony, konfitura i mleko. Nawet kawę rozpuszczalną dla mnie kupili, bo sami przecież nie piją. Salka przelewa chochlą gęste szare mleko zbożowe. Jedzą obok, na podłodze.

– Nie znałem mojej żony przed ślubem – wyjawia mi któregoś dnia Hamida. – Byłem wtedy na wojnie, jakieś sześćset kilometrów stąd. To było w osiemdziesiątym piątym albo już szóstym. We śnie którejś nocy przyszedł do mnie mój dziadek, który od wielu lat nie żył. Wyjawiał mi nazwisko mojej przyszłej

żony i nakazał odnaleźć jej rodzinę. „Ale takich rodzin są setki! To jak szukanie igły w piasku!”, odparłem. A on na to, że ta rodzina jest blisko, bliżej, niż myślisz, mieszkają tuż obok twoich rodziców.

Większość ogromnej rodziny Hamidy przybyła do obozów na samym początku wojny, w 1976 roku. Na terenach okupowanych została tylko jedna z sióstr. Najpierw mieszkali w obozie Dakhla, najbardziej oddalonym na południe. W 1982 roku do Algierii przybył ojciec Hamidy, zwolniony po pięciu latach z mauretańskiego więzienia. Wraz z żoną Fatmą zamieszkali w nowo powstałym obozie Auser.

– Przyjechałem do obozów dopiero kilka miesięcy później, trwała przecież wojna. Znalazłem tę rodzinę, faktycznie to byli sąsiedzi moich rodziców. Nie znałem ich wcześniej, bo jak przyjeżdżałem do obozów, to nocowałem u znajomych z wojska. I jej, i moi rodzice zgodzili się od razu. Poślubiłem Salkę w 1986 roku.

Od rodziców dostali swoją chajmę. Taki zwyczaj. W dialekcie hassanijja zwroty „pobrać się”, „wyjść za mąż”, „ożenić się” wywodzą się wprost od słowa „chajma” i oznaczają tyle co zbudować własny namiot. Od tej pory Hamida, gdy przyjeżdżał z frontu, nocował już w swoim namiocie.

– W 1993 roku Salka była w ciąży, jej matka Barka wyjechała z obozów i osiedliła się na Terytoriach Wyzwolonych w rejonie Tirisu. Załatwiłem więc przeniesienie w wojsku, tak by Salka mogła być blisko swojej matki, a ja blisko niej. Ulokowali mnie w bazie w rejonie Agüenitu, a to jedynie jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów, więc mogliśmy się często widywać.

Kilka lat później Hamida jako instruktor wojskowy został przeniesiony do centrum szkolenia znajdującego się nieopodal obozów. Ale jeździł do Tirisu regularnie co roku, aż do śmierci swojej matki w 2002 roku.

– Ojciec zmarł, matka też. Wtedy wróciła Salka wraz ze swoją matką. Urodziła nam się najmłodsza córka, Mamma. Potem Salka była jeszcze trzy razy w ciąży. Ale wszystkie dzieci umarły.

Mieszkali w kwaterach przy szkole wojskowej, w której pracował Hamida. Potem przez kilka lat przy szpitalu wojskowym. Ten dom, w którym mieszkam, był ich pierwszym. Zbudowali go w 2006 roku, gdy sprowadzili się znów do obozów. Właściwie ten obóz jeszcze wtedy nie był obozem ani nie nazywał się tak jak dziś. W tym miejscu była jedynie szkoła, która powstała jeszcze w czasie wojny. Przez lata mieszkaly tutaj i uczyły się saharyjskie kobiety. Szkoła nosiła nazwę 27

Lutego, upamiętniającą datę proklamacji Saharyjskiej Republiki. Szkołę z czasem zamknięto, a w jej otoczeniu zaczęli osiedlać się ludzie, którzy przeprowadzali się z innych, przeludnionych obozów. Bo tu było wygodnie, blisko do Tindufu, blisko do pozostałych obozów. W końcu w 2012 roku rozrastające się obozowisko zamieniono formalnie w kolejny obóz, a z budynku dawnej szkoły zrobiono centrum administracyjne nowego osiedla. Nazwano go Bojador, jak miasto leżące na wybrzeżu Terytoriów Okupowanych. Ale nazwa jakoś się nie przyjęła. Większość mieszkańców nadal nazywa obóz tak jak dawną szkołę. 27 Lutego.

Więc ten był pierwszy. Wraz z wychodkiem stojącym tuż obok. Hamida zbudował dom nieopodal dawnej szkoły, może z pięć minut na piechotę, pod niewielkim wzgórzem. W tej jednej izbie zamieszkali we dwoje wraz z gromadką dzieci. Potem, z czasem, powstały następne domy, bo do nowego obozu sprowadziła się liczna rodzina, siostry, ciotki, kuzyni i kuzynki. Wszyscy zbudowali swoje chaty tuż obok, rodzina tutaj trzyma się blisko. Hamida też postawił wkrótce nowy dom, tuż przy poprzednim. Tym razem z kuchnią i dwoma pokojami. Na taki dom zrzuca się najczęściej cała rodzina. Pomagają rodzice, krewni. Kilka euro wyśle znajomy mieszkający w Europie, a czasami także jakieś organizacje charytatywne, najczęściej hiszpańskie, których w obozach jest pełno. Każdy dorzuci, co ma, lub przynajmniej przyjdzie układać cegły, gdy obozowa administracja zatwierdzi budowę w danym miejscu. A postawienie takiego budynku to koszt około dwóch tysięcy euro. W warunkach obozowych to jest fortuna. A jeszcze trzeba przecież wyposażyć, żeby była chociaż kuchnia, telewizor, dywan czy poduszki. Budują więc wspólnie, wszyscy razem, z błotnej, miękkiej cegły, wyrabianej na obrzeżach każdego z obozów. Potem te ceglane mury obklejają brunatną gliną zmieszaną ze słomą. W środku malują na białło. I to już. Spora część z tych domów nie ma nawet podłogi. Żaden nie ma fundamentów.

– Ten piasek, ta wydma, śmiejemy się, że ona tu przyszła razem z nami, bo pochodzimy z Villi Cisneros, a tam są najpiękniejsze wydmy na Saharze.

W pokoju są dwa zdjęcia, poplamione i przykurzone, ale oprawione w ramki ze szkłem. Na jednym na tle zachodzącego słońca jest ojciec Hamidy, który zmarł w 1994 roku. Zdjęcie zrobił znany hiszpański fotograf, nawet zostało opublikowane w jakimś albumie, na pięknym kredowym papierze. Druga fotografia, większa, przedstawia starca o bujnych białych włosach i długiej siwej brodzie siedzącego na pustyni. To dziadek Salki. Ahmed Yarahala był członkiem rady starszyzny saharyjskich plemion, zwanej Dżama'a. Nie wszyscy członkowie zgromadzenia

byli lojalni wobec Hiszpanów. Zwłaszcza od 1973 roku, gdy wielu z nich otwarcie popierało już politykę Frontu POLISARIO. Z końcem 1975 roku Dżama'a w zasadzie przestała istnieć, a większość jej członków zasilila szeregi Frontu. Historia mówi, że w grudniu 1976 roku, gdy marokańskie wojska rozpoczęły inwazję, to Ahmed, wraz z grupą kilkudziesięciu innych członków starszyny, pojechał na spotkanie z prezydentem Algierii Huarim Bumediem. Podczas gdy większość członków plemiennych rady prosiła Bumedię o pomoc humanitarną i schronienie w Algierii, Ahmed Yarahala powiedział krótko i zwięźle: „Jeśli chcesz nam pomóc, to daj nam broń, a nie koce i jedzenie. Inaczej wychodzimy”. Bumedię ponoć wstał wtedy ze swojego fotela, podszedł do Ahmeda, zdjął z siebie swój brązowy silham i założył go na plecy starca, mówiąc: „Tak mówi prawdziwy Arab!”. Chwilę później wręczył Ahmedowi kałasznikowa, a osiemdziesięciu pięciu mędrców ogłosiło, że wstępuje do Frontu POLISARIO.

Do domów rodziny Hamidy przyrosły niebawem również namioty. Bo w chajmie jest cieplej i przyjemniej niż w zimnych murach, zwłaszcza zimą. Z namiotem jest łatwiej, można wystąpić do administracji obozów i przy odrobinie szczęścia dostanie się go za darmo. Bo namiot to podstawowa potrzeba w saharijskiej piramidzie Masłowa. Ten pierwszy dom, który zbudował Hamida, jest dzisiaj czymś w rodzaju salonu, pokoju dla gości. Ale i Hamida lubi w nim przesiadywać, oglądać telewizję, pić herbatę czy naprawiać jakieś stare sprzęty. Przed wejściem zrobił nawet doniczki z puszek oleju USAID, z których nadal szczerzy szydyczki amerykańska flaga. Podlewa je każdego dnia, mimo że z większości niestety nic nie wyrasta. Pustynia jest nieubłagana w tym względzie. Tylko z jednej z puszek wybił się jakiś nieśmiały zielony pęd i pnie się cierpliwie po sznurku w stronę drewnianej belki. Każdego ranka Hamida otrzepuje jego liście z kurzu. Rozpiął nawet folię, by chronić go przed piaskiem. Jak urośnie, to będzie pergolka, chyba pierwsza w obozach. I trochę cienia. Pomiędzy tymi doniczkami stoi talerz anteny satelitarnej, zardzewiała, lekko przysypany piachem, ale dzielnie odbiera sygnał setek kanałów, prowadząc je wprost do srebrnego telewizora. Nad wejściem do domu, na wysokim kiju wystawionym ponad dach, Hamida zainstalował też niedawno odbiornik Wi-Fi. Bo w domu Hamidy, choć stoi pośrodku niczego, jest od niedawna internet, doprowadzony płataniną kabli do rzużącego laptopa. Dzięki temu mogę z nim wymienić maila, a przy dobrych wiatrach nawet pogadać na Skypie.

Po rodzinnej okolicy oprowadza mnie najmłodszy syn Hamidy. Na imię ma

Ahmed, ale wszyscy wołają na niego Abba, po dziadku. Chłopak czuje misję, by się mną opiekować, opowiadać, pomagać we wszystkim. Prowadzi mnie w labiryncie domostw, wyjaśniając skomplikowane rodzinne koneksje.

– To dom Jadichetu, tamten należy do Barratu... a ten dalej do Atahry. A Safia mieszka tam obok. Wszystko siostry ojca. A tamten namiot to ciotki Duwy, siostry matki ojca.

– A ten?

– To sąsiadka. Halima.

Mały podbiega do prowizorycznej zagrody sklejonej z dykty, siatki i tego, co było pod ręką. Obok stoi też kurnik, zbudowany z kilku cegieł.

– To są nasze zwierzęta. Kiedyś mieliśmy tu nawet wielbłąda, ale – przesuwa beztrąsoko palcem po szyi – zjedliśmy go.

Potem Ahmed zatrzymuje się, patrzy na mnie poważnym wzrokiem i pyta, gdzie ja mieszkam. Siadamy więc na piasku obok zagrody i rysuję mu mapę. Każdy z nich wie, gdzie jest Hiszpania i Francja, a to już przecież niedaleko.

– Tata mówi, że widziałeś El Aaiún.

– Tak.

– Jak tam jest?

Nie wiem, co odpowiedzieć. Mówię więc, że to bardzo piękne miasto.

– Widziałeś Marokańczyków?

– Nie było mnie tutaj na samym początku – wspomina Hamida, gdy pytam o pierwsze miesiące istnienia obozów. – Każdy mężczyzna zdolny do noszenia broni był na froncie. Przyjechałem tu na przepustce dopiero w sierpniu 1976 roku. Ale one wiedzą wszystko, były tu od pierwszego dnia.

Idę więc do nich, do licznych sióstr Hamidy, których imion nie potrafię jeszcze spamiętać. Siadam z nimi w kolorowej chajmie wyłożonej wzorzystymi materiałami. W tle przygrywa nam akurat mecz piłkarski, gra Algieria, więc wszyscy, kobiety, mężczyźni, dzieci, zasiadają przed telewizorami. Stawka wysoka, bo to mistrzostwa Afryki, więc emocje również. Algieria to jak ich własna, nieistniejąca jeszcze drużyna.

Przed marokańskimi wojskami uciekały razem. Matka Hamidy, jej dwie siostry i cztery córki. Wszystkie z Villi Cisneros. Wszystkie trafiły do obozu przejściowego w Umm Dreidze. Wszystkie przeżyły bombardowanie. Do Algierii przybyły szczęśliwie w kwietniu 1976 roku. W pierwszych miesiącach 1976 roku w okolicie miasta Tinduf napłynęło według różnych szacunków od trzydziestu do pięćdziesięciu tysięcy saharyjskich uchodźców. Tinduf, dziś siedemdziesięciotysięczne miasto, liczył wtedy niespełna pięć tysięcy mieszkańców, w większości wojskowych. Przybywający ludzie zaczęli się gromadzić trzydzieści kilometrów na południe od miasta, w oazie Hasi Abdal-la, stanowiącej ujęcie wody dla Tindufu. Dziś Hasi Abdal-la nosi nazwę Rabuni. Uchodźcy wkrótce uformowali wokół oazy jedenaście spontanicznych obozowisk. Przybywających ludzi rejestrowano i kierowano do poszczególnych osiedli. Gdy któreś z nich nadmiernie się rozrastało, zakładano nowe kawałek dalej, by uniknąć nadmiernego skupienia ludności w jednym miejscu. Wszyscy bali się, że marokańskie samoloty mogą któregoś dnia przylecieć aż tutaj.

– W Rabuni spędziliśmy raptem trzy dni – opowiada jedna z sióstr Hamidy, Barratu, parząc herbatę i zerkając co chwila w ekran małego telewizora, gdzie Algieria właśnie zdobyła prowadzenie. – A potem El Wali Sajed osobiście odwiózł

nas w inne miejsce, nie wiedzieliśmy, gdzie jedziemy. To dlatego, że tu, przy Tindufie, było lotnisko wojskowe, co chwilę startowały z niego samoloty, przelatując nad naszymi głowami. A my baliśmy się, gdy widzieliśmy choćby kawałek papieru unoszący się w powietrzu. Ludzie rzucali się na ziemię, krzyczeli, przykrywali głowy rękoma. Dla wielu z nich trauma po bombardowaniu trwała latami.

A oaza Balauaina, którą wybrano dla ofiar bombardowania, była daleko, niemal dwieście kilometrów na południowy wschód. Z dala od jakichkolwiek miast, baz czy lotnisk. I daleko od granicy marokańskiej. Dziś prowadzi tam asfalt, ale wtedy podróż przez bezdroża zajmowała od sześciu do ośmiu godzin. Gdy przyjechali ciężarówkami, land roverami, w Balauainie zastali dwa namioty, jedną studnię, kilka palm i niezmierzone przestrzenie gołej, nieprzyjaznej ziemi.

– Nie mieliśmy ze sobą dosłownie nic, bo przecież uciekając z domów, nikt nic nie zabrał. Wszyscy myśleliśmy, że niedługo wrócimy. Nie mieliśmy zwierząt, nawet ubrań. Pierwszą pomoc otrzymaliśmy od algierskiego wojska. Przywieźli trochę namiotów, jedzenie. Ale tego nie starczało. W jednym namiocie żyło po kilka rodzin, a namiot mały, mniejszy niż ten, w którym siedzimy. W naszym mieszkaliśmy w czternaście osób. Więc zaczęliśmy szyć namioty z własnych ubrań. Ale kłopot był inny. Nie było niczego, czym można było się ogrzać, na czym można by cokolwiek ugotować, nie mieliśmy gazu ani żadnego paliwa. A tu nie ma drzew, jedynie marne krzaki gdzieniegdzie.

Wcale nie lepiej sytuacja wyglądała w samym Rabuni. Nieustający napływ uchodźców powodował, że wielu z nich musiało tygodniami czekać na jakiegokolwiek schronienie, koce czy namioty. Przez cały 1976 rok jedyna pomoc, jaką otrzymywali, to ta od algierskiego rządu. Ale Tinduf to daleka prowincja na niezwykle nieprzyjaznej ziemi. Najbliższe miasto, Baszszar, leży siedemset kilometrów na północny wschód. Algier jeszcze tysiąc kilometrów dalej. Całe zaopatrzenie dowożono ciężarówkami, a droga do odległego Tindufu zasługiwała co najwyżej na miano szlaku. Do obozów cysternami dowożono nawet wodę, bo tej w lokalnych ujęciach już brakowało. Z odległych o ponad trzysta kilometrów oaz zwożono również drewno na opał, bo w rejonie Tindufu drzewa w zasadzie nie występują. Na tych, którzy przeżyli inwazję, exodus, bombardowania, śmierć zaczęła się tutaj i przybrała formę epidemii cholery.

– Gdy przyjechałem do obozów pierwszy raz, by odwiedzić moje siostry i matkę – przerywa Hamida – tu był koszmarne upały, nie było gdzie się przed nim

chronić, do tego żadnego nawet najmniejszego wiatru. To właśnie klimat był najgorszy. Zimą zamarzała woda nocą, ludzie spali blisko siebie we wszystkim, co tylko mieli. A potem przychodziło lato i upały ponad sześćdziesiąt stopni. Nie było żadnych grzejników czy wiatraków tak jak teraz. To jak rzucić rybę na piasek. Na naszych ziemiach pustynia jest zupełnie inna. Na przykład w Tirisie są drzewa, jest woda. Tiris to takie sanatorium Sahary, ludzie jeździli się tam leczyć, bo mikroklimat był dobry, choroby nie istniały, nie było zarazków. Jak spadły deszcze, to pustynia zakwitała, drzewa zieleniały i zostawały takie przez wiele miesięcy. W Tirisie wszędzie były studnie, ziemia ma tam inną strukturę, po deszczu tworzą się naturalne podziemne rezerwuary słodkiej wody. Powietrze było tak przejrzyste, że widziałeś na dziesiątki kilometrów. A piasek tak czysty, że mogłeś chodzić w tych samych ubraniach przez dwadzieścia dni, a trzy miesiące bez kąpieli. Tutaj piasek jest brudny, to widać po kurzu. Ludzi dziesiątkowały choroby, w tym wiele takich, których nie znali wcześniej.

Jedzenie dostarczane przez algierskie wojsko było podstawowe, ale wystarczające, by nie cierpieć głodu. Była mąka, olej, soczewica, fasola. Nie było jednak żadnych owoców ani mięsa. Nie tylko na początku. Przez długie lata. Nie było też koców, ubrań i opieki medycznej. Przez pierwsze miesiące w obozowiskach był tylko jeden lekarz, Saharyjczyk, który skończył trzy lata medycyny na algierskim uniwersytecie. Mianowano go potem ministrem zdrowia. Misja Lekarzy bez Granic, która przybyła do obozów pod koniec 1976 roku, nie mogła powstrzymać szerzących się epidemii. W ciągu lata na odrę zmarło ponad tysiąc dzieci. Ludzie wspominają, że w obozach nie starczało żywych, by kopać groby zmarłym.

– A mężczyzn w obozach nie było – mówi Jadichetu, inna z sióstr Hamidy. Algieria zdobyła właśnie drugiego gola. – Tylko kobiety, dzieci i starcy. To my budowałyśmy to wszystko. Czasami na całe osiedle był tylko jeden mężczyzna. Ale nawet dzieci i starcy coś robili, każdy coś robił.

Najpierw zorganizowano strukturę przestrzenną obozów, by zapobiec chaosowi oraz ułatwić dystrybucję jedzenia i wody. Urządzono je w dużej mierze na wzór tradycyjnych beduińskich frigów. Beładne dotąd obozowiska podzielono na jednostki administracyjne. Każde dwieście namiotów stanowiło dzielnicę (*daira*). Te podzielono na sąsiedztwa (*vario*). Namioty stawiano w rzędach, tak by każda *daira* tworzyła mniej więcej kwadrat. Ta struktura przetrwała do dziś, wydzielone sąsiedztwa i dzielnice z lotu ptaka są dobrze widoczne.

– Pracę rozdzielaliśmy między sąsiedztwa. Każde miało rozplanowane zadania na dany tydzień. Jedni zajmowali się zbieraniem i dystrybucją drewna, inni produkcją cegieł, administracją, nauką dzieci czy zdrowiem. Jeszcze inne grupy dbały o sprawy społeczne i sprawiedliwy podział towarów. Wszystko to robiły kobiety! Były nawet kobiece straże patrolujące obozy we dnie i w nocy. Nosiły broń normalnie.



© Bartek Sabela

Grupy kobiet zamieniały się zadaniami co tydzień. W każdej dairze wykopano studnię, ale nie było możliwości, by ujęcia wody odpowiednio oczyścić. Ludzie pili więc przez długi czas słoną, brudną, pełną żelaza pustynną wodę. W niektórych obozach tak jest do dzisiaj. Śmieją się, nazywając ją „aqua Sahrawi”. Przybysz z Europy dostaje po niej ciężkiego rozwolnienia. W każdej dairze zbudowano też prowizoryczne przychodnie i szkoły. Tysiące saharyjskich dzieci zostało przyjętych również przez szkoły w Algierii, Libii i na Kubie. W kwietniu 1977 roku przyjechały z Algierii pierwsze kuchnie gazowe. Wcześniej budowano prowizoryczne kuchenki z puszek po oleju. Stawiano je w narożnikach namiotów i palono w nich drewnem. By rozświetlić mroczne saharyjskie noce, robiono lampy z tych samych puszek i wetkniętej szmaty. W obozach co chwilę wybuchały pożary. Więc te pierwsze cegły, które zaczęto produkować, przeznaczono na budowę zewnętrznych kuchni. Stały między namiotami w takich samych rzędach. Szkoły, budynki administracyjne i magazyny budowano pod ziemią, w schronach. Choć na algierskiej ziemi, to nadal w obawie przed marokańskimi nalotami.

– W naszym obozie pierwsze murowane budynki zbudowałyśmy jakoś w 1977 roku – mówi Barratu. – To były domy dla najbardziej poszkodowanych rodzin. Ulicę, przy której powstały, nazwaliśmy ulicą Męczenników. Wtedy jeszcze ludzie myśleli, że wrócimy do domów za rok, za dwa. Na paradach nasi mężowie, bracia, synowie prezentowali przecież zdobytą broń i wziętych do niewoli więźniów. Wtedy wierzyliśmy w zwycięstwo, w to, że wygrywamy na tej wojnie.

Gdy rozmawiam z mężczyznami w obozach, każdy z nich podkreśla niezwykłą rolę kobiet w saharyjskiej rewolucji. Mówią: to one to wszystko zbudowały, to dzięki nim żyjemy. To nie karabiny i bomby stworzyły ten naród, tylko spokój, cierpliwość, solidarność i siła, jaką wykazały się saharyjskie kobiety. One, w rewanżu, opowiadają o zwycięstwach swoich synów, mężów, ojców. O ich bohaterstwie i poświęceniu. Chyba nigdzie nie spotkałem się z tak ogromną wzajemną wdzięcznością i podziwem obu płci. I równością wynikającą nie z narzuconych sztucznie praw czy przepisów, nie z parytetów czy ustaw. Równością wynikającą z głębokiego szacunku i wzajemnego zaufania. Ale także z poszanowania różnic i własnych przestrzeni. Te różnice i ograniczenia dotyczą obu płci i nie wynikają z dyskryminacji. Ich źródłem jest potrzeba i szacunek. Patrząc na te kobiety, zwłaszcza te starsze, niepozorne, pozawijane w warstwy kolorowych chust od stóp do głów. Ich ręce popękane, spracowane, twarde, ale

ozdobione henną. Ich stopy w kolorowych, grubych skarpetach frotté. Ich twarze o ostrych, wyrazistych rysach i czarnych oczach. Te, które siedzą w namiotach, w kuchniach, te w szkołach, w szpitalach, te w punktach dystrybucji żywności i te w biurach obozów i ministerstwach. Słyszę w ich głosach odwagę, zdecydowanie, brak strachu. Widzę te młode w okupowanych miastach, które bez wahania wychodzą na ulice i siadają bezbronne przed kolumnami marokańskiej policji. I te mieszkające w obozach, starsze, które przeżyły exodus, przeżyły bombardowania, widziały śmierć, często pochowały swoje dzieci, swoich najbliższych. W ich słowach nie ma żalu. Jest godność i duma. I gotowość na wszystko. Nie rozpamiętują tamtych chwil, nie wspominają, nie narzekają. Mówią mało, skromnie. Nierzadko młodsze kobiety ze zdumieniem przyznają, że nigdy nie słyszały tych historii, które opowiadają mi ich matki, babki. Jeśli coś nie buduje wspólnoty, nie umacniania, to pozostaje ciszą. Lamentowanie nie pomaga. Nie mam żadnych wątpliwości, że zrobiłyby to wszystko raz jeszcze, a jeśli trzeba, same chwyciłyby za broń. I nie jest to związane ze słabością mężczyzn. Tylko z solidarnością i oddaniem.

– Wieści o wojnie czerpaliśmy z radia i z publikowanych regularnie ogłoszeń – wspomina Ali Abba, którego poznałem w obozie El Aaiún.

Ali do obozów przyszedł w 1976 roku w wieku trzynastu lat. Uciekając do Algierii, widział, jak marokańscy żołnierze rozstrzelują bezbronnych cywili. Ukryty w ciężarówce liczył strzały. Najpierw były cztery. A potem siedemnaście kolejnych. Gdy zabili już wszystkich, podeszli do niego i wycelowali mu karabin prosto w głowę. Jeden z nich, oficer, powiedział: „Krzycz, psie: »Niech żyje król, niech żyje armia marokańska«, a będziesz wolny!”. Ali Abba wykrzyczał. Dzięki jego zeznaniom ostatnio w rejonie Meharrize odkopano zbiorowe mogiły.

– W osiemdziesiątym drugim zorganizowano duże spotkanie w jednej z obozowych szkół. Był tam jakiś Marokańczyk, ważny, dystyngowany, przysłany przez króla. Przyjechał, by zobaczyć więźniów marokańskich. Ci mogli mu wtedy przekazać listy. Ale wielu z nich nie umiało pisać, więc przydzielili im nas, uczniów, byśmy spisali to, co chcieli przekazać. I było ich tak dużo, że myśleliśmy, że złapaliśmy już wszystkich Marokańczyków. Więźniowie mieli napisać swoje imiona i to, że nadal żyją. Oprócz tego mieli napisać coś charakterystycznego, co by uwiarygodniło te listy. Jakiś rodzinny sekret, jakiś szczegół, którego nie mogła znać postronna osoba. Ten mój opisał prezent, jaki kiedyś dał ojcu. Oni się cieszyli, że mogą napisać nawet te parę słów, że ich rodziny będą wiedziały, że żyją. My

czuliśmy, że robimy jakiś humanitarny, ludzki gest. Nie postrzegaliśmy ich jako wrogów. Nie czułem do nich nienawiści, dla mnie byli po prostu słabymi ludźmi. Sam napisałem chyba z dziesięć tych listów.

W przeciwieństwie do innych obozów uchodźców na całym świecie, obozy Saharyjczyków były i do dziś są w pełni kontrolowane, zarządzane i prowadzone przez samych uchodźców. W połowie 1976 roku Algieria wystąpiła do UNHCR z prośbą o zorganizowanie programu pomocy. Z potrzebnych 5,7 miliona dolarów i dziesięciu tysięcy ton żywności Narodom Zjednoczonym udało się zebrać raptem 1,2 miliona dolarów. Większość państw członkowskich odmówiła wsparcia. Pierwsze transporty Światowego Programu Żywnościowego i UNHCR dotarły do obozów dopiero w grudniu 1977 roku, dwa lata od początku wojny, pokrywając potrzeby niespełna połowy uchodźców. Wszyscy pracownicy międzynarodowych organizacji byli zgodnie zaskoczeni poziomem organizacji saharijskich obozów. Wobec nikłej pomocy międzynarodowej utrzymanie, wyżywienie i zaopatrzenie rosnącej liczby uchodźców pozostało w gestii Algierii i Algierskiego Czerwonego Półksiężyca. Ponieważ konflikt formalnie nie został nigdy rozwiązany, UNHCR do dziś, mimo czterdziestu lat, jakie upłynęły od początku wojny, wciąż traktuje sytuację uchodźców saharijskich jako „sytuację kryzysową”, zapewniając jedynie doraźną pomoc i nie realizując żadnych projektów długoterminowych.

– Gdy przyjechałem z frontu do obozów w marcu 1977 roku, to już wszystko wyglądało inaczej – podsumowuje Hamida. – Sytuacja została opanowana, nastąpiła względna stabilizacja. Wszyscy mieli gdzie mieszkać, bo Algieria dała dużo namiotów, wszyscy mieli co jeść i pić. Opanowano epidemie, ludzie przestali masowo umierać. Istniały już po części dzisiejsze obozy, zlokalizowane tam, gdzie były najlepsze ujęcia wody.

W obozach zgromadzili się Saharyjczycy ze wszystkich zakątków Sahary, z zupełnie różnych środowisk i odmiennych grup społecznych. Niepiśmienni beduini i wykształcona młodzież z miast El Aaiún i Smara. Pracownicy kopalni w Bu Craa, bogaci kupcy z Villi Cisneros i La Güery i żołnierze hiszpańskiej armii kolonialnej. Exodus zgromadził w jednym miejscu członków przeróżnych plemion saharijskich. Tych z północy, z plemion Izargijjin, tych z południa z Ulad Delim, tych z Ulad Tidrarin, Al-Arusijjn i Tekna, żyjących na wybrzeżu, i tych z najliczniejszej konfederacji Rgaybat, mieszkających wewnątrz terytorium Sahary. Do obozów przybyli nawet czarni, byli niewolnicy z terytorium Mauretanii. Wkrótce dołączyli do nich również imigranci z Hiszpanii, głównie studenci, oraz

rodziny saharyjskie mieszkające w północnym Maroku i Algierii. Pod przywództwem Frontu POLISARIO w trudnych warunkach obozów uchodźców zaczął się żmudny proces budowania nowoczesnego, w pełni zorganizowanego demokratycznego społeczeństwa, opartego na równości. Społeczeństwa i struktur państwowych, które będą gotowe, by wkrótce przenieść je do odzyskanego kraju. W obozach wprowadzono prawa eliminujące jakiekolwiek przejawy nierówności społecznej, zarówno ze względu na pochodzenie, jak i płeć, w tym resztki funkcjonującego niegdyś w plemionach saharyjskich niewolnictwa. Wszelkie podziały plemienne zostały wymazane z życia Saharyjczyków jako utrudniające budowę solidarnego narodu, a tym samym odzyskanie niepodległości. Jeszcze kilka lat wcześniej na pytanie „kim jesteś?” Saharyjczyk wskazałby swoje pochodzenie plemienne, podkreślone imionami ojca i dziadka. W obozach odpowiedź na to pytanie brzmiała: „Jestem Saharyjczykiem, synem Sahary”.

Polityka Frontu zakładała budowę nowoczesnego społeczeństwa dopiero na własnych wyzwolonych ziemiach. Ale okoliczności wojny postawiły Saharyjczykom nowe wyzwania. Ani Front POLISARIO, ani zgromadzona ludność nie byli przygotowani na te zmiany. A jednak transformacja lub rewolucja, jak mówią o niej sami Saharyjczycy, zakończyła się sukcesem.

*

Obozy ponazywali tak jak miasta, z których musieli uciekać przed marokańską inwazją. Setki kilometrów od ojczystej ziemi, pośrodku algierskiej hamady, jest inny El Aaiún, inna Smara, inna Dakhla, Ausert i Bojador. W 1976 roku do obozów przybyło około pięćdziesięciu tysięcy uchodźców. Obecnie żyje ich tam od stu dwudziestu do dwustu tysięcy, dokładna liczba nie jest znana. Tworzą jedyne na świecie w pełni zorganizowane państwo na uchodźstwie, z systemem obowiązkowego szkolnictwa, opieki zdrowotnej, administracją lokalną, ministerstwami, rządem i prezydentem. Projekcja wymarzonej i na razie nieosiągalnej przyszłości.

Drobinki pyłu unoszą się w słupie popołudniowego światła. Tańczą jak świetliki na nocnym niebie. Od czasu do czasu przeleci przez nie jakaś zbłąkana mucha, powodując niespodziewane wibracje, zaburzając spokój. Ale tylko na krótki moment. Już za chwilę wszystko wróci do normy, drobinki pyłu znów zwolnią, zastygną jak gęsta mgła i powoli zaczną opadać. Pokryją cienką warstwą mój notatnik, długopis i telefon. Gdy przekładam kartki, słyszę ich ostre skrobanie, czuję je w nozdrzach, gdy wciągam powietrze, skrzypią w zębach. Gdyby tak się nie ruszać, z pewnością przez rok albo dwa zasypałyby wszystko, zwracając odwiecznej pustyni każdy centymetr tych domów, ulic, dywanów, śmieci, zwierząt i ludzkich istnień. Takie Pompeje tylko powolutku, po cichu, bez wrzasków, bez dramatycznych gestów, pogrążone we śnie.

Te przelatujące muchy zaczynam nawet z czasem lubić. Przyjemnie smyrają w nos, to w rękę czy polik. A przy tym zmuszają do jakiegoś ruchu, choćby niewielkiego, wyrrywają z letargu i przywracają do życia. Tu łatwo zastygnąć, zostać, skamienieć na długie godziny, dni, lata. Zwłaszcza w letnie upały, gdy słońce dyktuje warunki gry, przytłacza, przyciska, nie daje wyboru i zmusza do ucieczki w sen.

Ktoś wchodzi, ktoś przychodzi, ktoś zapali papierosa, ktoś zaśnie, ktoś zaparzy herbatę. Przy drzwiach kolekcja butów, sandałów i kłapek czekających cierpliwie przed wysokim progiem. Myślę sobie, że to ta herbata trzyma ich przy życiu. Jak powietrze. Co by się stało, gdyby im ją zabrać z dnia na dzień? Odciać jak kroplówkę, jak aparaturę podtrzymującą życie ciężko chorego? Czy umarliby? A może wręcz przeciwnie, może wtedy powychodziliby z namiotów, ruszyliby tabunami ze swoich obozów, otrząśnięci z wieloletniego marazmu, i pognaliby z tym, co kto ma pod ręką, wprost na marokańskie armaty, czołgi, mury i pola minowe? Może zatrzymaliby się dopiero w Rabacie, otaczając pałac królewski i waląc pustymi czajnikami w marmurowe trotuary?

Takie myśli przychodzą mi do głowy, gdy dzielę z nimi tę codzienną przeraźliwą

obozową nudę. Nudę niezawinioną, niechcianą. Bo to przecież nie ich wybór. Co można robić w obozach uchodźców? Na nie swojej ziemi, z której nie można żyć? Niewielu ludzi ma jakąkolwiek pracę lub zajęcie. To ci pracujący w ministerstwach, szkołach, szpitalach, instytucjach czy organizacjach humanitarnych. Zarabiają nic bądź grosze, bo Saharyjska Republika nie dysponuje swoim budżetem, jest utrzymywana przez Algierię. Pieniądzy na pensje nie ma nawet dla wysokich urzędników państwowych. Pracownik ministerstwa czy szkoły zarabia sześćdziesiąt–osiemdziesiąt euro. Raz na trzy miesiące. Dobrym wyjściem jest armia, choć żołnierze nie dostają żołdu, to przynajmniej jest jedzenie i ciekawe zajęcie. Pozostali nie robią nic, bo nie ma co robić.

Spotykam tu dziesiątki młodych wykształconych ludzi, z dyplomami uczelni algierskich, hiszpańskich. Informatyków, prawników, inżynierów, którzy nie mają żadnego zajęcia. Niektórzy zostają za granicą, przysyłają pieniądze rodzinom, ale spora część woli mieszkać w obozach, być ze swoimi. Z tymi dyplomami wracają do obozów i czekają. Bo jeśli wszyscy młodzi stąd wyjadą, to jaki sens ma ich walka, słyszę w odpowiedzi. Zginą, rozplyną się po świecie, jest ich zbyt mało. Więc wracają. Kto zna jakiś język, ten może dorobić trochę jako tłumacz, ale obcokrajowców tu niewielu, a większość z nich to Hiszpanie, którzy dogadają się sami. Kto ma auto, może pracować jako obozowa taksówka, wożąc ludzi między odległymi o wiele kilometrów obozami. W stosunkowo najlepszej sytuacji są weterani wojny, mają dobre auta, znają szlaki na pustyni. Przywożą więc towary z Mauretanii i sprzedają je w maleńkich obozowych sklepach. Tych sklepików są setki. Ale nawet ci, którzy mają jakąś pracę, nie pracują codziennie, bo nie ma takiej potrzeby. Pracują tylko od czasu do czasu lub przez pół dnia, lub parę godzin. Większość spędza całe dni, parząc herbatę, siedząc w domach i namiotach. Coś naprawią, coś podłubią, gdzieś pójdą lub pojedą. Tyle.

– Nawet jeśli nie robisz nic – mówi Hamida – to przeżyjesz tutaj. Dziś zjesz u rodziny, jutro u znajomych i przeżyjesz, resztę dostaniesz z pomocy humanitarnej. – Nuda i monotonia utaplana w przeklętej tymczasowości to treść codziennego życia. Dzielę z nimi tę nudę każdego dnia. Nudę zwyczajną, powszednią, uporczywą, ale już niedostrzegalną, oswojoną. Już nikt się na nią nie wścieka, nikt na nią nie narzeka. Nudę zaczynającą się w ciemnych pokojach koło godziny ósmej lub dziewiątej. Bo nawet dzień się tutaj nie śpieszy. Wstaje ociężale, ospale. O ósmej jest tu jeszcze ciemno. Delektujemy się więc tą poranną nudą, włączając elektryczną maszynkę, zacierając ręce z zimna. Rozkoszujemy się rutyną

śniadania, zawsze dokładnie takiego samego, bo wszystko tu jest zawsze takie samo, niezmiennie, niezależnie, czy mieszkam w czyimś domu, ośrodku dla obcokrajowców, bo taki jest w każdym obozie, czy w pokojach jakiejś instytucji. Zawsze tak samo. Doceniamy poranną, długą herbacianą ceremonię, wpływającą w towarzystwie programu Al Mayadeen, w którym niezmiennie mówią o Palestynie. Nurzamy się w nudzie dopołudniowej, wpływającej w rosnącym miarowo upale. Latem go przeklinamy, zimą czekamy na niego jak na wybawienie z objęć zimnej nocy. Tę nudę odmierzamy kolejnymi szklankami herbaty. To nasza klepsydra. Ten kapiący powoli czas można niemal poczuć. Można go prawie złapać jak powolną, zmęczoną upałem muchę. Przelewamy tę nudę ze szklanki do szklanki, rozmawiając jedynie od czasu do czasu. Tak, w tej nudzie jest dużo ciszy, dużo samotności i bardzo dużo czasu na refleksje i przemyślenia. Leżymy, myślimy, patrzymy w ścianę, sufit lub wydnięcie.



© Bartek Sabela

A dziś ma ponoć przyjechać transport żywności, więc coś będzie inaczej niż każdego dnia. Przyjeżdża co miesiąc, ale nigdy nie wiadomo kiedy. Ten spóźnia się już dobry tydzień, może będzie dziś, ale może jutro lub pojutrze. Ale jak już w końcu przyjedzie wielka ciężarówka z czerwonym półksiężycem, to będą kartofle, ryż, worki cebuli, puszki oleju, soczewicy i cukier do herbaty. Do punktów dystrybucji znajdujących się w każdej obozowej dzielnicy pójda po nie kobiety, bo tylko one zajmują się żywnością. Na swoich plecach przyniosą do domów worki dóbr z napisami WFP, UNHCR, USAID czy OXFAM. Łatwiej jest przesyłać tony pomocy, niż zwrócić im ich kraj. „Kolonializm współczucia” – ktoś to nazwał w jednej z książek. Więc czekamy na ten transport jedzenia. A możemy też czekać na dostawę wody. Bo nie wszystkie obozy mają swoje studnie. Do Bojador wodę nadal dowozi się cysternami z Rabuni. Rozlewa się ją do specjalnych metalowych lub plastikowych zbiorników, stojących przed każdym domem. Albo do takich gumowych, wielkich poduszek, które wyglądają jak łóżka wodne. Tysiąc litrów na dom. Na dwa tygodnie. A latem na dziesięć dni. Czyli siedemdziesiąt lub sto litrów na dzień na rodzinę, która nierzadko składa się nawet z dziesięciu osób. Ale to wystarcza, bo wody używa się głównie do gotowania i picia, pryszniców tutaj ludzie nie mają. Możemy też czekać na gaz. Ten przywożą w butlach, po jednej na dom na dwadzieścia dni. Za wodę i gaz się nie płaci, za luksus elektryczności już tak.

A w międzyczasie cieszymy się nudą obiadową, bo to połowa dnia, potem już z górki. Sycimy się zawsze tym samym obiadem z gotowanego wielbłądziego mięsa, żylastego i twardego, w towarzystwie góry kuskusu i kilku zagubionych kawałków marchewki i cebuli. To mięso trzeba kupić po siedem euro za kilo, jeśli to wielbłąd, trochę mniej, jeśli koza. Chyba że sąsiad akurat zabije jedno ze swoich zwierząt, wtedy kultura i obyczaj bezwzględnie nakazują podzielić się z rodziną i znajomymi. Jak pod nóż pójdzie wielbłąd, to wyżywi się całe sąsiedztwo, jak koza, to tylko rodzina. Mięsa nie przywozi żadna organizacja, a dla Saharyjczyków jest ono podstawą żywienia. Tego mięsa na talerzu jest sporo, ale tylko dlatego, że przy tym talerzu siedzę ja. Znów gościnność. Islam nakazuje, by przez trzy dni i trzy noce bezwarunkowo ugościć każdego przybysza. Nie pytać skąd, po co i dlaczego. Po prostu ugościć, dać posłanie, talerz jedzenia i nie prosić o żadną zapłatę. Ponoć jem już jak Saharyjczyk, mówią z uśmiechem. Nie potrzebuję sztućców, wiem, gdzie jest moje na tym jednym wielkim talerzu, a gdzie już czyjeś. Biorę kawałek gumowatej bagietki, ugniatam lekko w palcach i maczam w gęstym

brunatnym sosie. A potem owijam nim kawałek mięsa i ochoczo wrzucam do ust. I nie przejmuję się już okruchami, kapiącym na dywan sosem, jem na klęczkach, wokół wielkiego talerza, na ceracie w kratkę, podpierając się lewą ręką, a prawą łapiąc wielbłądzie kąski. Czasami ktoś rzuci na moją stronę talerza jakiś bardziej smakowity kawałek, okazując gościnność i troskę o przybysza. Jem szybko, łapczywie, po prostu zaspokajając głód.

A potem, już najedzeni, po jednej z niewielu rozrywek w ciągu dnia, przystąpimy do nudy popołudniowej, przykurzonej, przyprószonej piaskiem. Nudy, która zmusza do sjesty po ciężkim obiedzie. Tę sjestę wypełnimy drzemką, latem chroniąc się przed obezwładniającym upałem w cieniu namiotu, a zimą przykrywając się grubym kocem. To będzie nuda nieświadoma, przeczekana, chwilowo zabita snami, marzeniami i błogim poczuciem sytości. Ale nieubłagane nadejdą godziny, gdy trzeba będzie rozsmakować się w nudzie popołudniowej, upływającej w romantycznym pomarańczowym, a potem czerwonym świetle, które jest marzeniem każdego fotografa.

Widzę naprzeciw siebie starszą kobietę, jak siedzi pośrodku namiotu, kolorowa, dumna w swojej beznadziejnej biedzie. Czasami położy się na boku, czasami przewróci się na plecy, potem usiądzie po turecku, przegoni dziesiątki uporczywych much. Jej dłoń, stara i pomarszczona, jest czerwona od henny. Druga zawinięta jest szczelnie w foliówkę, to znak, że brunatny barwnik jeszcze nie wysechł i nie oddał koloru skórze. Jej wzorzyste ubranie, grube mimo upału, zlewa się niemal z dywanem i kolorowymi ścianami namiotu. Można by jej nie zauważyć, gdyby nie to, że cały czas mówi. Do córki, która w rogu namiotu bawi trzymiesięczne dziecko. Próbuje tak jak oni. Tak siedzieć lub leżeć całymi dniami. Po prostu zanurzyć się w tym niebycie, w tej chwili, a może w całej wieczności. Ona wstanie powoli, podpierając się laską, wyjdzie z namiotu na podwórze powolnym, utykającym krokiem. Weźmie wiadro pełne pomyj, drugie pełne obierków po cebuli, skórek jabłek, bananów i wszystkiego, co niezjedzone przez ludzi. Ja wezmę to trzecie, pełne rozmoczonej tektury, podartych opakowań. Bo koza zje wszystko. Widziałem tu kozy, które żarły plastikowe torebki. Wlejemy to w koryto w stojącej za domem zagrodzie, skleconej z siatki, dykty i samochodowych drzwi. I usiądziemy w cieniu, pod zaparkowanym na wieczność samochodem. Będziemy czekać. Tym razem, by kozy skończyły jeść. Wtedy ona odciągnie zardzewiałą siatkę i kozy z brzuchami pełnymi tektury pójną szwendać się między namiotami. Niech chodzą przecież. A ona, kuśtykając, wróci do

namiotu, rzuci wiaderka przed wejściem i znów usiądzie. Przegoni stada much, które pod jej nieobecność zajęły jej miejsce, i zaparzy herbatę, sobie wrzucając dodatkowy cukier. Przyjdzie jej córka, potem druga, a następnie wnuki. Przyniosą wielbłądzie mleko w drewnianej misce, które razem ochoczo wypijemy. Jedna z nich przyniesie też Koran i zacznie czytać. Potem weźmie patyk, miseczkę z rozmoczonym pyłem węglowym i zacznie przepisywać wersy księgi na kawałku dykty. Tak będziemy siedzieć. Jej córki, jej wnuki, ja, a ona będzie nam parzyć kolejne szklanki herbaty. Taki dzień. Taki miesiąc, takie lata. Już czterdzieści.

Snop światła na dywanie, będący naszym zegarem, przesunie się daleko w lewą stronę, dając sygnał, by rozpocząć nudę wieczorną, która zaleje domy i ulice łagodnym niebieskawym blaskiem. Rozbłyszczą białe świetlówki, żółte żarówki, otworzą się sklepy i stragany, w których i tak mało kto kupuje. Te sklepy to kwintesencja ich poczucia humoru i sporego dystansu do swojej sytuacji. Znajdziemy obozowego Carrefoura, najnowsze ciuchy kupimy w obozowej Zarze czy Versace, a auto naprawimy w warsztacie z koślawym, grubym ludzikiem i napisem Michelin. Albo Peugeot czy Mercedes. Sprzedawcy w tych sklepach będą zabijać własną nudę, siedząc na zydelkach przed sklepami, grając w szachy, warcaby lub egzotyczne beduińskie gry z rysowanymi na piasku planszami. Niekiedy wpadnie jakiś sąsiad, kumpel z wojska czy dalszy znajomy. Na przykład do Hamidy wpada ktoś co chwilę, najczęściej Ahmed, mieszkający kilka domów dalej. Każdy z tych ludzi ma w zanadrzu jakąś niesamowitą historię. Na przykład Ahmed był celowniczym rakiet i zestrzelił wiele marokańskich samolotów. Albo Ali, który spędził siedemnaście lat w marokańskim więzieniu. Wpadają powspominać, pograć w karty, pokłócić się, obejrzeć mecz, pogrzebać w internecie albo po prostu posiedzieć. Czasami któryś z nich przyniesie jakieś ciekawe zdjęcie, na przykład jakiegoś kumpla z oddziału, który został męczennikiem w słynnej bitwie. Wtedy wrzucą je na Facebooka, a nuda upłynie nam na rozmowach o Saharze, Maroku, Algierii i problemach współczesnego świata. Czasami w powietrzu zatańczy karmelowy zapach cukru, który zamiast do czajniczka trafił na gorące węgielki lub rozżarzoną spiralę. Będziemy się pławić w nudzie wieczornej dość długo, przy świetle energooszczędnej żarówki dyndającej pod sufitem. Bo za prąd się płaci, chyba że masz go ze swojej baterii słonecznej, darowanej przez jakąś hiszpańską organizację.

O, mówią w telewizorze, że zmarł król Arabii Saudyjskiej. Więc żałoba we wszystkich telewizjach arabskich, stypa, hołdy i wspominki od Gibraltaru po Indie.

Ale nie tutaj, tu raczej bez wzruszeń, zwłaszcza gdy pokazują zdjęcie króla Al Sauda z Barackiem Obamą i Mohammedem VI. To królowie Arabii Saudyjskiej byli od zawsze sojusznikami i sponsorami marokańskiej monarchii. I marokańskiego wojska. Więc przełączymy na lokalną obozową telewizję, która trochę śnieży, trochę skrzeczy, ale jest stąd. RASD TV nadaje codziennie od siódmej wieczorem z Rabuni, z budynku Ministerstwa Informacji. Głównie materiały o obozach, historii, ale również wiadomości ze świata. RASD TV ma też swoich tajnych korespondentów na Terenach Okupowanych, którzy ryzykując życiem, nagrywają wydarzenia na ulicach miast. O, zamieszki w Dakhli, bo Algieria wygrała mecz piłki nożnej i Saharyjczycy wyszli na ulice, machając zielono-białymi flagami. Część trafiła za to do więzienia. Wrócą z siniakami, śladami po pałkach, papierosach, żyletkach. Domy Saharyjczyków w okupowanych miastach można rozpoznać właśnie po antenach satelitarnych. RASD TV nadaje z innej satelity niż wszystkie programy arabskie, więc kto chce oglądać obozową telewizję, ten musi mieć dwa białe talerze za oknem.

Będziemy chłonać te ostatnie chwile nudnego, kolejnego takiego samego dnia, pływając w myślach i rozmowach w poszukiwaniu straconego życia i ziemi, która teraz służy komu innemu. Aż powoli nuda ustąpi miejsca nocy i zbawczemu snowi. Ale zanim to nastąpi, zerkniemy na niewiarygodnie rozgwieżdżone niebo, na którym luna zdaje się być zawsze w półksiężycu. Nawet gwiazdy spadają tutaj powoli. Zostawiają dużo czasu na wypowiedzenie życzenia, które w przypadku wszystkich brzmi tak samo.

*

Siedzę w tych pokojach, domach, namiotach, instytucjach i ministerstwach. Powoli przesiąkam zapachem pustyni i zapachem obozów. W każdym domu oblewają mnie sownie tanią wodą kolońską, to o zapachu róż, zielonego jabłuszka, jaśminu, to innych wyrafinowanych aromatów. Taki zwyczaj, takie powitanie. Te perfumy mają w litrowych butelkach, więc nie żałują, leją dużo, po ubraniach, po głowie. A potem po rękach, by można było nasmarować twarz i kark. Nabierasz zapachu domu. Kolekcjonuję te egzotyczne wonie na moich koszulkach i spodniach, które dawno już utraciły zapach proszku do prania czy płynu do płukania. Bo każdy chce przywitać, ugościć przybysza najlepiej, jak może i potrafi. Ale te perfumy to nie jest zapach obozów, to jedynie zapach domów, wewnątrz i ludzi. Woń obozów to

smród. To odór koziego i wielbłądziego moczu i odchodów, które leżą wszędzie. To także fetor przydomowych wychodków i zagród oraz rozkładających się resztek zwierząt, które można znaleźć tu i ówdzie. Łeb, nogi czy całe truchło kozy nie są tutaj nadzwyczajnym znaleziskiem. Ten skrajnie suchy klimat, który jest przekleństwem, jest również błogosławieństwem. Konserwuje, zabija większość grzybów, pleśni. Trudno sobie wyobrazić, co spowodowałyby tu odrobina wilgoci. Zapach obozów to także zapach kurzu i śmieci. Bo wszystko, co wjeżdża do obozów, już w nich zostaje. Tych ton plastikowych toreb, metalowych puszek, opakowań po dostarczonym jedzeniu nikt z obozów nie odbiera. Organizacje międzynarodowe hojnie przywożą pomoc, ale żadna nie zabierze po sobie śmieci. Te wielkie kontenery, w których przywożona jest regularnie żywność, zostają tutaj, rdzewieją na ogromnym placu w Rabuni. Są ich setki, tysiące, całe kontenerowe mury i miasta. Bo to właśnie do Rabuni trafiają wszystkie transporty. Tam znajduje się centrum logistyczne, stamtąd dobra są rozwożone do wszystkich obozów. Przedsiębiorstwa komunalne z Tindufu nie obsługują obozów, bo to teren administrowany przez Saharyjczyków, taka niepisana autonomia, eksterytorialność. Więc część śmieci jest palona na obrzeżach obozowisk i wtedy czuć w powietrzu duszący czarny dym. Część jest zakopywana. Ale większość po prostu leży na ulicach, między domami i namiotami. Niewiarygodna ilość puszek, butelek, reklamówek, wszelkiego rodzaju badziewia i szmelcu. Zwłaszcza te niebieskie reklamówki wiszące wszędzie, ozdabiające każdy budynek, każde ogrodzenie, gnane wiatrem przez ulice i pustynię. Miejscami wyglądają jak bożonarodzeniowe dekoracje, upstrzone, podarte, powiewające, furkoczące. Wyobrażam sobie czasami, że oni kiedyś stąd odejdą, może wrócą do swojego kraju, a może po prostu rozjadą się po świecie, gdy wypali się nadzieja lub skończą się algierskie dinary. Zadaję sobie wtedy pytanie, co po nich zostanie. Domy się rozpadną z pierwszą powodzią, namioty podrą się na wietrze. Kontenery z czasem zje rdza, rozłoży na stalowe drobinki. Nieodparcie nasuwają mi się wtedy te niebieskie torebki, one przetrwają, będą zdobić tę pustynię jeszcze przez długie wieki.



© Bartek Sabela

Może zostaną jeszcze auta. Tylko wokół domu Hamidy stoją aż cztery. Mam wrażenie, że to tu zjechały z całego świata te wysłużone, podziurawione trzydziestoletnie land cruisery, patrole, cherokee, L200, a nawet pięćdziesięcioletnie land rovery. Te zresztą ponoć są najlepsze, wiele z nich przejeździło szesnaście lat wojny z zamontowanym karabinem maszynowym czy moździerzem na pace. Dobry egzemplarz jest tutaj na wagę złota, potrafi kosztować nawet pięć tysięcy euro. Te, które nie załapały się na wojnę, przyjechały i przyjeżdżają tu nadal, głównie z Hiszpanii, bo tam znacznie taniej. Tak odbywają swoją ostatnią pielgrzymkę, przez Maroko, okupowaną Saharę i Mauretanię i znów na północ do Algierii. Inaczej się nie da, bo granice zamknięte, a pośrodku mur. Takie auto można zamówić też w Ministerstwie Transportu, wtedy przyjedzie z Algierii. Znajdą, sprowadzą, ale nie za darmo. Kogo nie stać na terenówkę, kupi mercedesa, najpopularniejsze auto w Afryce. Te stodziewięćdziesiątki z lat osiemdziesiątych z silnikami, które przejadą miliony kilometrów. Więc te auta zjeżdżają na swój pogrzeb. Europa już się nimi najeździła. Sypiące rdzą, trędowate, ciekące olejem, pospawane, skrzypiące niedomykającymi się drzwiami, na oponach nie do pary, trafiają tutaj, w ręce Saharyjczyków. Myślę, że dla nich

muszą być niezwykle ważne. Stanowią chyba jakąś namiastkę wolności i dawnego beduińskiego trybu życia. Możesz wsiąść, zabrać rodzinę i pojechać hen na pustynię. A ropa jest śmiesznie tania. Dwadzieścia litrów w obozach kosztuje około ośmiuset dinarów, czyli sześć euro. A w Tindufie jest połowę taniej.

W obozach te auta dostaną swoją ostatnią rejestrację, żółtą tablicę zaczynającą się literami SH. Bo Saharyjska Republika ma swoje rejestracje, wydaje je obozowe Ministerstwo Transportu. Zresztą niektóre nawet nie dostaną tych blach. Po prostu namaluje im się numery na zderzakach żółtą farbą. Będą jeździły dzielnie, wyładowane ludźmi lub towarami, poprzerabiane na pustynne potrzeby, powiązane drutem, oklejone folią. Wiele z nich dostanie naklejki z saharijską flagą lub podobizną Che Guevary. Rewolucja jest *siempre* żywa. Tu te stare wraki będą mogły ostatni raz w swoim blaszanym życiu pokazać, co potrafią, wydać z siebie ostatnie dumne podrygi. Sam jechałem land roverem, który oprócz mnie i kierowcy wiozł dwudziestkę dzieci do szkoły.

A gdy już dokonają żywota, dojadą do ostatniej wydmy, wydadzą ostatnie tchnienie dieslowego silnika, staną się pożywieniem dla innych, tych młodszych, jeszcze sprawnych. Te pochłoną ich opony, resory, światła, zderzaki, fotele, chłodnice i skrzynie biegów. Taki automobilowy kanibalizm, smutny i nieuchronny cykl życia. Ich drzwi, maski, bagażniki, niewykorzystane przez inne auta, posłużą do budowy kurników i zagród dla kóz. Wałami korbowymi wyznaczone zostaną granice podwórek, felgi będą doniczkami, opony staną się podstawami zbiorników wody, a ciężkie skrzynie biegów i silniki posłużą jako zapory przy punktach kontrolnych. W ten sposób nissany, toyoty, jeepy uzyskają życie wieczne. Bez dużej przesady można zaryzykować stwierdzenie, że części samochodowe są w obozach tak samo popularnym budulcem jak błotne cegły. A wraki aut immanentnym składnikiem obozowego krajobrazu. Ogołoczone już ze wszystkiego spoczną spokojnie swoją karoserią na jakiejś wydmy za domem, jak trzy jeepy Hamidy. Albo ułożone jeden na drugim, w długich rzędach, ozdobią pierzeje obozowych uliczek. Będą jak bielące się w słońcu kości zwierząt, które nie odnalazły na czas wodopoju. Posłużą za śmietniki, magazyny lub jako schronienie bezdomnym obozowym kotom. Z czasem ziarno po ziarnie pochłonie je pamiętająca wszystko pustynia.

Czasami, zwłaszcza pod wieczór, wychodzę na niewielkie wzgórze za domem Hamidy. Siadam na białych, ostrych kamieniach i próbuję objąć to wszystko, ten wymiar tymczasowości, ten ogrom zawieszenia, tę tęsknotę za normalnością.

Czasami idę się też przejść po obozie, po jego niezliczonych zakątkach, dzielnicach. Mimo niewielkich różnic wszystkie obozy wyglądają w zasadzie tak samo. Te same domy z błotnej cegły, kryte falistą blachą, na której położone są kamienie, by ta blacha nie odleciała na wietrze. Brunatne, w kolorze gliny, krzywe i popękane od słońca. Czasami wejścia do domów malują na biało albo ozdabiają flagą saharyjską i algierską. Te same są też namioty, dwumasztowe, kwadratowe, zielone lub szare, z grubego płótna, których odciagi ozdobione są zawsze suszącym się kolorowym praniem. Te same zagrody dla zwierząt, sklecone z czegośkolwiek, co było pod ręką, rozrzucone tu i ówdzie, czasami zgromadzone w kwartały, czasami zbudowane tuż przy domostwach, w których beczą wychudzone kozy. Te same zbiorniki na wodę, blaszane lub gumowe, stojące przy każdym domu. Te same sklepiki, baraki, budy, w których można znaleźć wszystko od ubrań przez artykuły spożywcze, części samochodowe po ładowarkę do telefonu, mięso i papierosy. W niektórych można również kupić płytki do kuchni czy ceramiczną toaletę. Te sklepiki, budy nierzadko pomalowane są w fantazyjne kolory i logotypy sprzedawanych towarów, często niezdarne, przekręcone. Drzwi, jeśli są, to zawsze niebieskie. A na ścianie koniecznie malowidło lub dumny napis w rodzaju: „Tienda de los Revolucionarios” (Sklep rewolucjonistów).

W Smarze funkcjonuje tych małych sklepików blisko pięćset. Te same są również uliczki. Wydeptane, wyżłobione kołami ciężkich terenowych aut, wyznaczone gdzieśgdzie ułożonymi białymi kamieniami lub starymi oponami. Bojador ma jedną główną, już asfaltową, drogę, która prowadzi w głąb obozu, mijając prowizoryczne boisko piłkarskie, wieczorami zapełnione dziećmi, i rozległy plac, na którym gromadzą się dziesiątki aut gotowych zawieźć każdego pasażera, gdzie tylko zapragnie. Jest też przystanek autobusowy, bo między obozami zorganizowano nawet transport zbiorowy. Gdzieś na końcu tej asfaltowej drogi każdy obóz ma centrum administracyjne, witające z odległości wysokimi wieżami przekaźników telefonii komórkowej. Bo w każdym z obozów jest zasięg, teraz nawet już z internetem. To centrum to wilaja. Czyli siedziba gubernatora obozu, budynek protokołu dyplomatycznego, który przywita obcokrajowców, czasami szkoła lub szpital, obozowy sąd lub kwatery żandarmerii i obozowej policji. Wokół centrum domy i namioty będą stać gęsto, jeden przy drugim, wypełniając szczelnie każdy kawałek piaszczystej ziemi. Im dalej, tym domów będzie mniej. Poza główną ulicą Bojador nie jest gęsto zabudowany, ma sporo wolnych przestrzeni, niewielkich wzgórz i dolinek, w których można znaleźć

przytulne miejsce dla swojego domu. Bojador jest spontaniczny w zabudowie i stosunkowo niewielki, choć dość rozłożysty. Mieszka w nim raptem siedemnaście tysięcy ludzi. Gdy wyjdę wieczorem na jedno ze wzgórz, na horyzoncie zobaczę światła normalnego świata – algierskiego miasta Tinduf.

Bojador nie jest duży, jest jeszcze do objęcia. Można go przejść na piechotę. Co innego Smara czy El Aaiún, z których każdy jest domem dla sześćdziesięciu tysięcy ludzi. Wał otaczający Smarę ma przeszło dwadzieścia kilometrów długości. W poprzek obóz ma ponad siedem kilometrów. To tyle, ile z Żoliborza na Mokotów. Całość w pestkę zastawiona domami i namiotami. Miasto, tyle że tymczasowe. Gęsto upakowane, zorganizowane, z lotu ptaka wygląda trochę jak jakieś średniowieczne stare miasto. Smara to w ogóle taki Kraków obozów. Mój znajomy śmieje się, gdy mówię mu, że mieszkam w Bojador. Mówi wtedy: „Smara es el mejor! Bojador? Nooo!” (Smara jest najlepsza. Bojador? Nie!). To dlatego, że w Smarze dzieje się najwięcej. Jest najwięcej sklepów, instytucji, szkół. Smara i El Aaiún były pierwsze, wraz z Dakhłą to najstarsze obozy. Dakhla jest spokojniejsza. I ładniejsza. Pustynia w Dakhli jest bardziej urozmaicona, urzeźbiona, trochę nawet kolorowa. Poza tym w Dakhli są drzewa. Raptem kilka palm, ale zmieniających tak wiele. W połowie lat osiemdziesiątych powstał czwarty obóz, Auseret. Dziś mieszka w nim około czterdziestu tysięcy Saharyjczków.

Rabuni jest inne. Bo Rabuni to w zasadzie nie jest obóz. To centrum administracyjne i handlowe. Rabuni widać z daleka. Kierunek wskazują dwie wielkie algierskie wieże ciśnień pompujące wodę do Tindufu. Rabuni to chaos. To budy, baraki, wiaty. Setki, tuż obok siebie, przytulone jedno do drugich. To tysiące ogromnych beczek po paliwach, ustawionych w rzędach. Wprowadzają kolor do tego szarobrunatnego świata. Są czerwone, zielone, żółte. Bo Rabuni to też jedna wielka stacja benzynowa. Ropę można tu kupić na beczki albo na butelki, mniejsze, większe. Ustawione w rzędkach na półkach, świecą żółtym płynem w zachodzącym słońcu. Są też prawdziwe dystrybutory, zbudowane z beczek i kawałka rury. Ziemia w Rabuni jest czarna i tłusta od ropy. Tę ropę przywożą z Algierii. Co bardziej przedsiębiorczy jeżdżą zatem do Tindufu, napełniają baki swoich aut, a potem w Rabuni przelewają ją do plastikowych baniaków. Ale Rabuni to przede wszystkim stolica obozowej republiki. Są więc ministerstwa, jest siedziba prezydenta, jest główny szpital. To jedyne budynki, które nie wyglądają jak ruiny. Niektóre są ozdobione nawet kamiennymi mozaikami lub pomalowane jakąś farbą. W każdym razie inne. Jest również Muzeum Wojny, szkoła wojskowa, jest siedziba

telewizji z wielką anteną i napisem RASD TV. Są także siedziby Czerwonego Półksiężycy, AFAPREDESA czy Związku Dziennikarzy i Pisarzy. Do tego dziesiątki innych, mniejszych organizacji, zarówno tych obozowych, jak i tych międzynarodowych, poukrywanych tu i ówdzie w zakamarkach Rabuni. W Rabuni nikt jednak nie mieszka. Większość osób pracujących w tych wszystkich instytucjach i sklepikach wraca wieczorem do swoich obozów. Wraz ze zmrokiem Rabuni pustoszeje, w piątek trudno tu spotkać kogokolwiek.

Każdego przyjeźdnego zadziwia organizacja tych obozów. Każdy z nich podzielony jest na dzielnice. Smara ma ich aż siedem: El Farsía, Echdeiría, Hausa, Meharrize, Tifariti, Bir Lehlú, Mahbés. Jak oazy lub miasteczka na terenie Sahary. Tak by pamiętać, nie zapomnieć, skąd się jest. Każda dzielnica dzieli się dalej na cztery sąsiedztwa. Cały obóz jest zarządzany przez radę, która składa się z osób wybranych i osób mianowanych. Przez mieszkańców wybierani są przewodniczący poszczególnych dzielnic i sąsiedztw oraz gubernator całego obozu, nierzadko kobieta. Wybierani są również przewodniczący organizacji młodzieżowych, organizacji kobiet oraz organizacji pracy. Mianowane natomiast są osoby takie jak dyrektor Czerwonego Półksiężycy, dyrektor szpitala, dyrektorzy działów środowiska, zdrowia, edukacji, kultury i spraw wewnętrznych. Ci wszyscy ludzie tworzą Radę Obozu. Ale każda dzielnica również ma swoją małą lokalną radę. Z rad poszczególnych obozów wybierani są członkowie Rady Państwa.

Front POLISARIO od samego początku rewolucji widział edukację jako jeden z kluczowych czynników. Podziemne szkoły zakładano także w obozach przejściowych w Umm Dreidze czy Guelcie Zemmur, tak by dzieci nie straciły nawet tych kilku tygodni. W dzisiejszych obozach edukacja jest obowiązkowa, darmowa i dwujęzyczna, tak by każde dziecko opuszczające szkołę mówiło również w języku hiszpańskim. Bo hiszpański to dla nich przepustka do innego świata, do hiszpańskiego kręgu kulturowego, którego tak kurczowo się trzymają. Każda dzielnica ma swój żłobek dla dzieci od trzeciego do piątego roku życia. Edukacja obowiązkowa zaczyna się w wieku sześciu lat w szkołach podstawowych, zlokalizowanych w każdej dzielnicy. Zajęcia trwają od ósmej do szóstej wieczorem z przerwą w środku dnia na serwowany w szkołach obiad. Szkoły są koedukacyjne, w podwójnych drewnianych ławkach siedzą dziewczynki i chłopcy. Na ścianie klasy, do której prowadzi mnie syn Hamidy, wisi portret prezydenta, obok napis „Sahara Libre”. Jest też zdjęcie El Waliego Sajeda oraz plakat nawołujący do uwolnienia więźniów politycznych przetrzymywanych

w marokańskich więzieniach. Jedna ze ścian klasy wyklejona jest rysunkami zrobionymi przez dzieci. Motyw, który powtarza się prawie na każdym z nich, to saharyjska flaga. Siedem klas podstawówki wieńczy egzamin, który decyduje, gdzie dziecko może kontynuować edukację. Najlepsi dostają miejsca w szkołach w Algierii. Pozostali uczą się dalej w szkołach obozowych, tym razem już umiejscowionych poza obozami. Dzieci spędzają w nich cały tydzień, przyjeżdżają do domów w czwartek wieczorem i wracają w sobotę. Każda z tych szkół nosi nazwę upamiętniającą któreś z licznych świąt narodowych. 12 października – Dzień Jedności Narodowej, 27 lutego – Dzień Republiki, 20 maja – Dzień Sił Zbrojnych czy 9 czerwca – Dzień Męczenników.

Przez lata, począwszy od końca lat siedemdziesiątych, tysiące saharyjskich dzieci zostały przyjęte przez szkoły w Libii, Syrii, ale przede wszystkim na Kubie. Celem tej wymiany, oprócz edukacji, było trzymanie dzieci z dala od toczącej się wojny i jej skutków. Nierzadko dzieci zostawały na Kubie kilkanaście lat, kończąc nie tylko edukację średnią, ale i wyższą na kubańskich uniwersytetach, politechnikach, a także w szkołach wojskowych. Ci ludzie, wykształceni na egzotycznej i liberalnej pod względem stosunków społecznych i obyczajów Kubie, z dyplomami z prawa, dziennikarstwa, medycyny, ekonomii czy informatyki, wracali do dość konserwatywnych i naznaczonych brakiem niemal wszystkiego obozów. Nazywano ich Cubarawi lub Plemię C.

– Nie wiem, czy tak naprawdę jest coś, co zmieniło się na lepsze w naszej tradycji – ocenia Hamida. – Kultura i nauka na pewno tak. Jesteśmy coraz lepiej wykształceni. Ale przyszły do nas alkohol, narkotyki, kradzież. Tego nie widać, bo ludzie się kryją w zaciszu domów. Zmienił się też stosunek do religii i do starszych. Kiedyś to było nie do pomyślenia, żeby na przykład palić tytoń w obecności kogoś starszego. Nie wspominając o słuchaniu muzyki! To była dla nich obraza, zniewaga. Przy stole zawsze najstarszy zaczynał jeść pierwszy, dla niego były najlepsze kęski. Dzieciom nie wolno było jeść w tym samym pokoju. Jako młodszy nie mogłem nawet wziąć poduszki dla siebie, gdy siedzieliśmy w chajmie z ojcem i dziadkiem. Zawsze trzeba było siedzieć niemal na baczność w obecności starszych. Pod żadnym pozorem nie wolno było zwracać uwagi starszym, nawet jeśli robili coś niewłaściwego. Nie można było nawet rozmawiać, chyba że ktoś cię zapytał o zdanie. Nie tylko twój ojciec czy rodzina, ale obcy też. Tak mówi Koran, nakazuje szacunek wobec wszystkich starszych osób, bo każda z nich mogłaby być twoją matką czy ojcem. Myślę, że to źle, że gubimy te rzeczy. Mówi się, że ludzie

powinni być jak włosy w szczotce – wszyscy równi. A my mówimy inaczej. Nie powinniśmy tacy być. Bo każdy wiek ma swoje prawa i one są różne.

W obozach dostęp do darmowej edukacji ma sto procent społeczeństwa. Analfabetyzm w zasadzie nie istnieje. Wielu badaczy twierdzi, że Saharyjczycy, choć żyjący w obozach uchodźców, są najlepiej wykształconym narodem Afryki. Tymczasem w Maroku niepiśmienna pozostaje blisko jedna trzecia społeczeństwa.

*

Hamida pracuje w Smarze, więc jeździmy tam często. Dziś po drodze prowadzącej do Smary przelatują strużki piasku gnanego nadciągającą burzą piaskową. Wiją się, zmieniają, pojawiają, znikają. Są radosne, figlarne. Czasami pokrywają cały asfalt, by chwilę później rozpląnąć się, zniknąć, przyczaić się za wydmami. A potem znów uderzyć ze zdwojoną siłą, czasami tak, że droga zniknie w wirującym piasku i pyle. Przy tej drodze pełno prowizorycznych meczetów, miejsc dla tych, których czas modlitwy zaskoczy w podróży. Ułożone z kilku kamieni, z jednym większym skierowanym w stronę Mekki, czyli w tym przypadku na wschód. Ta burza wisi w powietrzu od wielu godzin. Gdy nadejdzie, niebo, ziemia, domy, ludzie i zwierzęta – cały świat będzie miał jeden kolor. A potem przez dwa dni, dopóki tony pyłu nie osiadą z powrotem na ziemi, nie będzie zachodu słońca.

Zastanawiam się, po co ten cały wysiłek, po co te domy, sklepy, po co tworzą to wszystko, jaki to ma sens? Czy nie jest to w jakiś sposób akceptacją sytuacji, przyzwyczajeniem, zapuszczeniem korzeni na nie swojej ziemi? W tym roku mają doprowadzić prąd do obozów Smara, El Aaiún i Ausert. Może kiedyś zapomną, po co tu są, i ich obozy zamienią się po prostu w miasta, a ich Saharyjska Republika we wspomnienie? Człowiek chce przecież, żeby było mu lepiej, wygodniej, nawet jeśli to życie jest tymczasowe, pożyczone. Ale mówią tu, w obozach, że kto dziś buduje, jutro będzie żył. Hiszpanie też budowali fabryki i kopalnie na Saharze, a chwilę później ją opuścili. Do końca lat osiemdziesiątych w obozach nie było murowanych domów, tylko nieliczne, wyjątkowe. Wszyscy mieszkali w namiotach. Te murowane domy zaczęli budować niedawno, większość powstała dopiero w latach dziewięćdziesiątych. O dziwo, wtedy, gdy zakończyła się wojna i pojawiła się zmarnowana, fałszywa szansa na rozwiązanie konfliktu. Te murowane domy tylko z pozoru są czymś trwałym. Raz na kilka lat rejon Tindufu nawiedzają ulewne deszcze. Wszystkie te domy z błotnej cegły miękną wtedy i topią się jak

zamki z piasku. Zostaje z nich jedynie blaszany dach, przykryty kamieniami, by nie odleciał. W 1986 roku zmyło cały Ausert, obecny obóz postawiono w nowym miejscu, starego nie dało się odbudować. W 1994 roku rozpuścił się cały El Aaiún, w 2006 roku pół Smary legło w gruzach, a w 2013 roku przez Bojador płynęła rwąca rzeka. Wtedy ludzie muszą opuścić swoje rozpadające się domy i przeczekać ulewne deszcze poza obozami. Czasami przez kilka dni. Z daleka mogą jedynie obserwować, jak deszcz zamienia ich tymczasowy dobytek w błoto. Ale odbudują, zawsze odbudowują, z tym samym uporem. A po powodzi zakwita na chwilę pustynia. Za El Aaiúnem tworzy się na kilka dni rozległe, płytkie jezioro, w którym bawią się dzieci.

Patrząc więc na tę projekcję przyszłości, na to pragnienie stabilizacji, niemożliwe do zrealizowania. Jest coś niewiarygodnie wzruszającego w tym ich dążeniu. Jakaś piekielna wytrwałość i siła. I marzenie. Do 1990 roku w obozach nie było pieniędzy. Żadnych. Można było spotkać prawie dorosłych ludzi, którzy nigdy nie mieli banknotu w ręku. To, co było potrzebne do życia, dostawali. Wszyscy jedli to samo, ubierali się tak samo i mieszkali tak samo. Drobnym handlem funkcjonował jedynie na zasadzie wymiany. Pieniądże pojawiły się dopiero wraz z zawieszeniem broni i powrotem mężczyzn. Weterani wojny odłożyli karabiny i stanęli za kontuarami sklepików, warsztatów, barów, sprowadzając i sprzedając wszystko – od jedzenia po części samochodowe. Wielu byłych partyzantów, jak również młodych studentów podjęło pracę w Hiszpanii, regularnie przysyłając rodzinom pieniądze zarobione w Europie. Inni, znający doskonale pustynne bezdroża, zajęli się handlem lub też przemytem dóbr z ościennych krajów. W 1991 roku rząd Hiszpanii, najwidoczniej nękany jakimiś wyrzutami sumienia, zaczął wypłacać pensje Saharyjczykom, którzy przed 1975 rokiem służyli w hiszpańskich Tropas Nómadas i Policía Territorial. Na początku lat dziewięćdziesiątych ruszył także program Vacaciones en Paz. Dzięki niemu saharyjskie dzieci mogły spędzać najgorętsze miesiące lata w Hiszpanii u rodzin, które zaoferowały pomoc. Nierzadko z wakacji wracały z pokaźnymi sumami darowanymi przez Hiszpanów. Część rodzin podjęła się „adopcji” na odległość, regularnie przysyłając mniejsze i większe kwoty swoim podopiecznym, a także odwiedzając obozy. Każdego roku obozy odwiedza obecnie kilka tysięcy obcokrajowców, głównie Hiszpanów i pracowników organizacji międzynarodowych. Tereny znajdujące się pod marokańską okupacją odwiedza jedynie garstka osób każdego roku.

Tak w obozach pojawiły się pieniądze i zaczął rozwijać się wolny rynek, handel

i drobne usługi. A pieniądze to przecież podstawowy atrybut państwowości, każdy kraj ma swoją walutę. Więc ją wymyślili, stworzyli ją w wymiarze symbolicznym, wyśnionym. Umówili się, że ją mają, by stworzyć pozory, dać wyraz swoim pragnieniom. Powstał dinar saharyjski, jedyna na świecie waluta, która funkcjonuje umownie i nie jest zmaterializowana w formie banknotów czy monet. Jest tylko ideą, życzeniem, marzeniem. Saharyjczycy posługują się nią na co dzień, ma swoją wartość i ustalony kurs w stosunku do dinara algierskiego, mniej więcej 20 do 1. Nieistniejące banknoty i monety zastąpili algierskimi, ale nadali im inną, czysto umowną wartość, którą zna każdy, nawet małe dzieci. W sklepie, mimo że fizycznie zapłacę walutą algierską, ceny usłyszę w dinarach saharyjskich, zwanych też uguią. W 1990 roku wybito kilka sztuk tych monet, wtedy jeszcze zwanych pesetami saharyjskimi. Nigdy nie trafiły do obiegu, pozostały symbolem trzymanym w obozowym muzeum. Podobnie jak wypuszczone w lipcu tego samego roku znaczki pocztowe. Znową czysto symboliczne, bo w obozach nie funkcjonuje żadna poczta. Zaczęto również wydawać paszporty Saharyjskiej Arabskiej Republiki Demokratycznej. Niektórzy w obozach je mają, głównie dyplomaci Frontu POLISARIO rezydujący w wielu państwach świata. Republika, za algierskie pieniądze, utrzymuje obecnie skromne ambasady w osiemnastu krajach. I ponad trzydzieści misji dyplomatycznych w krajach, które nie uznają jej państwowości, do niedawna także w Polsce. Mają więc swoje paszporty z emblematem Frontu POLISARIO na czerwonej okładce, choć do niewielu krajów da się wjechać, okazując ten dokument. By swobodnie podróżować, zwłaszcza w Europie, muszą legitymować się paszportami algierskimi. Te paszporty nie dają im jednak algierskiego obywatelstwa, mają specjalne numery seryjne, odróżniające je od normalnych.

Na tych żółtych rejestracjach zaczynających się numerami SH też daleko nie da się dojechać. Ale pragnienie jest silniejsze niż niemożliwość.

Hamida siedzi na dywanie, coś majsterkuje, skręca, stuka, kombinuje, jak każdego wieczoru. Znów herbata, znów Al Mayadeen. Rzeczy tu są stałe, zupełnie niezmiennie. Ciekawe, że on rzadko pyta mnie o cokolwiek. Powtarza tylko każdego dnia, że mogę zostać w domu, jak długo chcę, nie muszę nawet mówić do kiedy. Pod nosem wyśpiewuje po cichu jakąś melodię, zapewne z Koranu, bo wszystko jest ze świętej księgi.

– Islam nakazuje szacunek dla zmarłych. Każe ich odwiedzać i opiekować się nimi. Na przykład jak przejeżdżasz obok cmentarza, to ich pozdrawiasz. Żeby Bóg dał im chwałę. No i życie wieczne oczywiście. Nie chodzi tylko o twoich zmarłych. W ogóle o wszystkich. Więc w czwartek wieczorem zapraszasz ich do domu, śpiewając orację dla zmarłych. Tak by wiedzieli, że są u ciebie mile widziani.

– A ty boisz się śmierci, Hamida?

Spogląda na mnie znad okularów, przerywając naprawianie przedłużacza. Odpowiada od razu, bez chwili wątpliwości.

– Wszyscy się boją śmierci. Nawet jeśli mówią inaczej. To dlatego, że nie wiemy, co po niej jest. Ja też. Boję się śmierci. Bo popełniłem w życiu błędy.

– Na wojnie?

– Nie na wojnie. Na wojnie nie popełniałem błędów. Jak byłem młody. Jak się jest młodym, to się robi głupie rzeczy. Chcę, by Bóg mi przebaczył. Jeśli nie przebaczy, to tym bardziej boję się śmierci. Boję się śmierci tutaj. Wolałbym umrzeć przynajmniej na wojnie. Zostajesz wtedy męczennikiem. Mówię o takim prawdziwym męczenniku, nie o takich, których widzisz w telewizji. Męczennikiem szlachetnym. Ale by nim zostać, musisz walczyć uczciwie. O sprawę, nie dla bogactwa. Nie możesz kraść na wojnie, pieniędzy, jedzenia, czegokolwiek. Inaczej nie jesteś męczennikiem. Dam ci przykład. W 1976 roku w Mauretanii poległ nasz kolega. Mauretańczycy nie chcieli go pogrzebać, zostawili go po prostu na ziemi. Wróciliśmy w to miejsce dwa tygodnie później, a on wyglądał tak, jakby spał, nawet mucha na nim nie siadła. Właśnie dlatego, że był uczciwym i prawdziwym

męczennikiem. – Po chwili dodaje: – Ale najlepiej byłoby umrzeć na naszej ziemi, w La Güerze albo w Dakhli.

Hamida otwiera swojego laptopa, siada koło mnie. Na Facebooku wraz z kilkoma znajomymi prowadzi grupę o nazwie Salvémos La Güera. Wrzucają tam zdjęcia z rodzinnego miasta, które dziś już nie istnieje.

– Dakhli nie widziałem po wojnie. Widziałem za to La Güerę. W 2008 roku pojechałem do Nawazibu, by spotkać się z siostrą. Ona mieszka w okupowanym Bojador, więc by się zobaczyć, oboje musimy jechać do Mauretanii. I na dwa dni zajechałem wtedy do La Güery. Chciało mi się płakać. Same ruiny, wszędzie piach. Mauretańczycy ukradli wszystko, co tam było, nawet drzwi i okna. Zostały tylko resztki murów.

Formalnie La Güera, leżąca na samym koniuszku Przylądka Białego, w której Hamida spędził większość młodości, znajduje się na Terytoriach Wyzwolonych, już poza marokańskim murem. Ale Saharyjczykom mimo to nie wolno się tam osiedlać. La Güera została objęta mauretańskim protektoratem w zamian za to, że Marokańczycy zmienili przebieg szóstego muru. W pierwotnej wersji miał on zagarnąć La Güerę. Przebiegałby wtedy tuż obok strategicznego Nawazibu, dzieląc wąski cypel na pół, co nie spodobało się ani Mauretańczykom, ani Francuzom. Więc w La Güerze, choć nie jest ona częścią Mauretanii, stacjonuje dziś mauretański garnizon wojskowy, pilnując, by nie powrócili tam Saharyjczycy.

– Przypominam sobie tych ludzi, przyjaciół. – Hamida pokazuje kolejne zdjęcia portowego miasteczka. – To było piękne miejsce, nowoczesne, bogate, z białymi domami. Nawazibu jest tylko piętnaście kilometrów dalej. A tam są te potężne zakłady francuskie, to stolica ekonomiczna Mauretanii. O, zobacz, szpital tak wyglądał. – Pokazuje starą fotografię. – Za nim był kościół, a dalej port. Statki z Wysp Kanaryjskich przypływały prawie codziennie. Ludzie żyli z handlu z Mauretanią, z rybołówstwa. Wszystkie towary, które przypływały z Hiszpanii do La Güery, sprzedawano potem z dużym przebicciem do Nawazibu. Żyło nam się bardzo dobrze. A tu główna ulica, patrz, jaka piękna. Wszyscy, którzy tam mieszkali, jakieś dwa tysiące ludzi, my, Hiszpanie, Senegalczyki, Malijczycy, Mauretańczycy, nawet Francuzi, żyli jakoś w zgodzie, szanowali się. La Güera miała nawet swoje znaczki pocztowe. Gdy kiedyś wrócimy do domu, to zamieszkać znów w La Güerze. Z całą rodziną. Wezmę też matkę i ojca, co już nie żyją. Kto by ich tu odwiedzał? Zabiorę ich ze sobą.

Saharyjczycy mówią, że każdy syn Adama powstał z ziaren piasku. Narodził się

z ziemi. I ma z nią nierozzerwalną więź. Jak matka z dzieckiem. Wiem, że dotykam jedynie skrawka tej egzotycznej, tragicznej rzeczywistości. Ledwo ślizgam się po powierzchni. Ledwie muskam ten świat końcami palców. Chciałem tych ziaren piasku zebrać jak najwięcej. Ale już wiem, że się nie uda. Mogę wziąć jedynie garść. Reszta przesypie mi się przez palce, ucieknie, powróci do matki. Więcej nie obejmę, nie dam rady. Nie uniosę wszystkich ziaren piasku. To może zrobić tylko wielka, biała, cierpliwa pustynia.

– Prawdę mówiąc, widzę smutną przyszłość dla moich dzieci. Bo widzę wojnę. Jej nadejście jest bardzo bliskie. Nie mówię o wojnie z Marokiem, mówię o wojnie światowej. My jesteśmy bardzo wierzącym narodem. Wierzymy w to, co jest napisane w Koranie, i w to, co mówili nasi przodkowie. A mówili, że czas będzie płynął szybciej, a dni będą krótsze. I tak jest. Mówili, że będzie więcej chorób. I pojawiły się takie, których wcześniej nie znaleźliśmy. Mówili, że będzie więcej wojen, które przyjdą ze wschodu. Mówili, że trzęsienia ziemi i powodzie będą częstsze. My wierzymy, że to wszystko to zapowiedzi końca świata. Przeżywamy go właśnie. Był kiedyś pewien mędrzec tu, na Saharze, sześćdziesiąt czy więcej lat temu. Gdy zobaczył Umm Dreigę, przepowiedział, że pewnego dnia ta malutka oaza zapełni się ludźmi. I że doznają wielkiego cierpienia. Powiedział również, wskazując na szczyty AntyAtlasu, że bojownicy saharyjscy zepchną kiedyś Marokańczyków aż pod te góry. Pewien poeta, Ould Arruechil, przepowiedział jeszcze w latach sześćdziesiątych czy pięćdziesiątych, że Hiszpania opuści Saharę. Stało się. A potem opuści ją Mauretania. Stało się. I w końcu opuści ją też Maroko. Ile możemy czekać?

No właśnie. Ile mogą czekać? Zaufali prawu międzynarodowemu, ale to prawo nie jest skonstruowane dla małych narodów. Jest stworzone dla mocarstw. Zaufali międzynarodowej instytucji, której głównym zadaniem jest utrzymanie pokoju i bezpieczeństwa na świecie. Ale bardziej niż pokoju broni ona interesów pięciu państw posiadających prawo weta w Radzie Bezpieczeństwa. Z walką o pokój ma niewiele wspólnego.

Nie udało się błękitnym hełmom w Srebrenicy w 1995 roku. Skromny holenderski kontyngent doborowych żołnierzy posłusznie opuścił miasto, zostawiając dwadzieścia tysięcy Bośniaków, którym wcześniej odebrano wszelką broń i obiecano ochronę, na pastwę żołnierzy generała Ratko Mladicia. Głównodowodzący siłami pokojowymi, gdy białe auta opuszczały obóz w Potočari, dostał nawet od serbskiego generała pokaźny prezent wraz z butelką lokalnego trunku.

I uściskał mu dłoń. W ciągu kilku następnych dni wymordowano osiem tysięcy ludzi.

Nie wyszło też rok wcześniej w Rwandzie. Choć generał Roméo Dallaire wielokrotnie apelował do Rady Bezpieczeństwa z prośbą o pozwolenie na jakiegokolwiek działanie, nigdy nie dostał zgody. Nowy Jork jest daleko. Nie zawsze można się dodzwonić. Nawet wtedy, gdy na lotnisku w Kigali wylądował samolot transportowy z bronią dla przyszłych morderców. Bronią wysłaną przez Belgię, Holandię, Egipt, Wielką Brytanię. I Francję. Nowy Jork nie odpowiadał także wtedy, gdy w górę wzniesiono pierwsze maczety. I gdy opadły, uśmiercając blisko milion osób.

ONZ nie garnała się też do działania, gdy oprawcy z Rwandy uciekli kilka tygodni po masakrze do sąsiedniego Kongo. Osłaniany przez żołnierzy francuskiej Legii Cudzoziemskiej. I tam wywołali wojnę, w której tym razem zginęło sześć milionów ludzi. Tyle co pochłonął Holocaust.

Jakoś niefortunnie złożyło się też w Sudanie. ONZ nie zaangażowała swoich sił pokojowych mimo wielokrotnych próśb ze strony Unii Afrykańskiej. Widocznie nie zdążyli, w końcu konflikt w Darfurze trwał tylko osiem lat. A gdy w końcu Rada Bezpieczeństwa zdecydowała się na interwencję, w rejon konfliktu wysłano raptem dwustu żołnierzy. Dopiero pod koniec 2008 roku udało się skompletować siły misji w liczbie dwunastu tysięcy żołnierzy. Zbyt późno, by uratować trzysta tysięcy Sudańczyków, których wioski bombardowane były przez rządowe samoloty celowo przemalowane na białe. By przypominać te oenzetowskie.

Od 1983 do 2009 roku nie starczyło też czasu, by zareagować w jakikolwiek sposób na wojnę domową na Sri Lance. Nie wyszło też w Kambodży, gdzie były student francuskiego uniwersytetu wymordował jedną trzecią swojego kraju. Nie udało się w Wietnamie. A potem jeszcze w Somalii. Kosowie. Republice Środkowoafrykańskiej. Liberii. Więc gdzie się udało?

– Nie jesteśmy skolonizowani przez Maroko – podsumowuje Hamida. – Z nimi poradzilibyśmy sobie łatwo. Prawda taka, że jesteśmy skolonizowani przez ONZ.

*

Biuro znajduje się w obozie Rabuni, w jednym z wielu niepozornych, zrujnowanych budynków. Gdy otworzymy stalowe drzwi, na podwórku powita nas sporych rozmiarów flaga saharyjska, a na niej rzeczywiste portrety kilkunastu ofiar

marokańskiej okupacji. Na spotkanie wybiegnie pies o imieniu Messi oraz kilka rudych kotów. Większość osób pracujących w tym biurze, w tym jego szef, to ludzie, którzy uciekli z Terenów Okupowanych. Abdeslam Omar Lahsen kieruje organizacją AFAPREDESA od ponad dwudziestu lat. Dziś AFAPREDESA ma ponad ośmiuset członków, pracujących zarówno w obozach, jak i na Terenach Okupowanych. Zbierają informacje na temat ofiar marokańskiej okupacji, tych obecnych, jak i tych sprzed lat, śledzą losy więźniów oraz osób zaginionych, dokumentują marokańskie przestępstwa. W okupowanych miastach organizacja jest nielegalna, a jej współpracownicy są prześladowani przez marokańskie władze. Abdeslam śmieje się, że do obozów trafił przez takie osoby jak ja. W 1991 roku jego współpraca ze szwajcarskimi dziennikarzami, którzy odważyli się przyjechać do okupowanego El Aaiúnu, zakończyła się koniecznością ucieczki z Terenów Okupowanych. Uciekł na piechotę przez góry i zamkniętą granicę marokańsko-algierską.

– Oczywiście główny cel naszych działań to kwestia osób porwanych, więźniów politycznych i tortur. A to nie jest łatwa sprawa, bo współpraca z władzami marokańskimi jest żadna. Nie odpowiadają na nasze wezwania lub mówią kłamstwa. Wciąż za porwane uznaje się ponad pięćset osób, większość z nich to porwani na początku konfliktu, gdy za porażki wojenne Marokańczycy odgrywali się na ludności cywilnej. Zginęło wtedy więcej cywili niż żołnierzy. Zbrodnie marokańskie są oczywiste i widoczne gołym okiem. Ale zbieranie dowodów, dokumentów, kontakt z poszkodowanymi lub z rodzinami to działania niezwykle trudne, często trwające bardzo długo. Ale i tak najtrudniejszą sprawą dla nas nadal pozostaje przebicie się do ONZ i międzynarodowych instytucji. W 2006 roku złożyliśmy skargę do Trybunału Narodowego w Hiszpanii w sprawie osób porwanych przez marokańskie władze. Ten trybunał dysponował tak zwaną jurysdykcją uniwersalną, czyli mógł się zajmować najcięższymi zbrodniami z całego świata. Mógł, bo teraz już tak nie jest. To ten trybunał rozpatrywał między innymi zbrodnie w Chile i Argentynie i doprowadził do aresztowania Pinocheta. Ale gdy zajął się sprawą Palestyny, Hiszpania, pod naciskiem Izraela, zmieniła prawo. Od 2009 roku trybunał mógł się zajmować jedynie sprawami, w których sprawcami lub ofiarami byli obywatele hiszpańscy, bez względu na to, gdzie doszło do zbrodni. Nasza sprawa była prosta. Sahara Zachodnia w 1958 roku została włączona do Hiszpanii jako jedna z prowincji, taka sama jak, dajmy na to, Wyspy Kanaryjskie, więc Saharyjczycy dostali hiszpańskie dowody osobiste. Wielu ma je

do dzisiaj. Gdy Hiszpania opuszczała Saharę, wprowadzono rozporządzenie, że w ciągu dwóch lat każdy Saharyjczyk musi się stawić w najbliższym konsulacie, by wyrobić odpowiednie papiery potwierdzające hiszpańskie obywatelstwo. Tylko zapomnieli o tym, że tu była wojna, którą sami zainspirowali, a najbliższe konsulaty w Maroku i Mauretanii! Wiadomo, nikt tych papierów nie miał szans wyrobić. Ale odebranie obywatelstwa w ten sposób jest niezgodne z prawem. Więc my według prawa międzynarodowego jesteśmy nadal obywatelami Hiszpanii. Ba, jesteśmy członkami Unii Europejskiej jako jej obywatele. Porozumienia madryckie, na mocy których Hiszpania oddała swoją kolonię, są nielegalne w świetle prawa międzynarodowego. Więc po dziś dzień prawowitym administratorem ziem Sahary Zachodniej pozostaje Hiszpania. W międzyczasie znów zmieniono prawo określające pracę trybunału, po tym, jak skargę przeciw Chinom wnieśli Tybetańczycy mieszkający od lat w Hiszpanii i posiadający hiszpańskie obywatelstwo. Po interwencji Chin rząd hiszpański ograniczył kompetencje trybunału do zbrodni popełnionych na obywatelach hiszpańskich i przez obywateli hiszpańskich lub mieszkających na terenie Hiszpanii. Więc Tybetańczycy odeszli z kwitkiem. Ale tu, na Saharze, według prawa międzynarodowego nadal jest Hiszpania i to ona jest odpowiedzialna za bezpieczeństwo i obronę praw Saharyjczyków. Więc skargę musieli przyjąć. Ale co z tego. Powstał inny kłopot. Sędzia trybunału wysłał komisję badawczą do Maroka. Po dziś dzień komisja nie została przyjęta. Drugą przysłano tutaj, by jej członkowie spotkali się z rodzinami porwanych osób. Ale zamiast skontaktować się z władzami naszego kraju, czyli Saharyjskiej Arabskiej Republiki Demokratycznej, skontaktowali się z władzami Algierii, bo Hiszpania nie uznaje naszej państwowości. A Algieria uznaje. Więc odpowiedzieli, że to nie ich sprawa i nie mogą występować w imieniu władz niepodległego państwa. I odesłali komisję z powrotem do naszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Koniec końców komisja nigdy nie przyjechała, a sprawa utknęła w martwym punkcie.

W 1945 roku w Afryce funkcjonowały jedynie trzy niepodległe państwa – Egipt, Liberia i Związek Afryki Południowej. Wszystkie pozostałe kraje były koloniami krajów europejskich. Dziś jest dokładnie odwrotnie. Kraje afrykańskie cieszą się niepodległością. Z wyjątkiem jednego. Blisko dwieście siedemdziesiąt tysięcy kilometrów kwadratowych afrykańskiego lądu pozostaje ziemią niczyją. Według ONZ Sahara Zachodnia to terytorium niesamodzielne, czyli kolonia. Ostatnia, jaka pozostała w Afryce. Na całym świecie funkcjonuje dziś jeszcze siedemnaście

kolonii, ale wszystkie, poza Saharą, to niewielkie wysepki, w większości posiadłości brytyjskie, amerykańskie lub francuskie. Ich łączna powierzchnia to nawet nie piętnaście procent terenów Sahary Zachodniej. Sahara pozostaje, niezmiennie od wielu lat, głównym przedmiotem zupełnie bezowocnych prac Komisji Dekolonizacyjnej ONZ.

Żadne z państw członkowskich ONZ, nawet najwierniejsi sojusznicy Maroka, nie uznaje marokańskiego zwierzchnictwa nad terenami Sahary Zachodniej – zgodnie odwołują się do pustych rezolucji ONZ o konieczności samostanowienia narodów i poszukiwania „wzajemnie zadowolającego rozwiązania”. Bo to wygodne wyjście. I narzędzie wywierania presji na marokańską monarchię. Ale większość krajów nie uznaje też Saharyjskiej Republiki jako niepodległego państwa ani jego władz jako reprezentanta Saharyjczyków. Co ciekawe, okupacji Sahary Zachodniej nie uznaje nawet samo Maroko, traktujące te tereny po prostu jako integralną, odwieczną część Królestwa. Żadnemu z zachodnich krajów ta absurdałna sytuacja nie przeszkadza jednak, by eksploatować ziemie Sahary Zachodniej, podpisując lukratywne kontrakty z okupantem, którego sami nie uznają. Maroko jest wyłącznym dysponentem saharyjskich złóż i bogactw. Marokańska spółka skarbu państwa ONHYM chętnie udziela koncesji na poszukiwania i eksploatację potencjalnych złóż ropy i gazu. Amerykański gigant naftowy Kosmos Energy, wraz ze szkockim koncernem Cairn, wykupił koncesję na wiercenia w rejonie Bojador. Jego platforma wiertnicza wpłynęła na wody Sahary w grudniu 2014 roku. Francuski Total SA poszukuje tymczasem złóż na południu, u wybrzeży od Dakhli do La Güery. Trzecią firmą, która dobiła targu z królem Mohammedem VI, jest mało znana brytyjska spółka Teredo Oils. Resztę sektorów, na które została poszatkowana Sahara, eksploatuje sam ONHYM oraz kilka mniejszych firm marokańskich. Żaden z tych koncernów nie podjął rozmów z lokalną ludnością, mimo że Saharyjczycy, zarówno w okupowanych miastach, jak i algierskich obozach, jednogłośnie sprzeciwiają się ich działaniu.

Król Mohammed VI chętnie podpisuje również kontrakty na połów ryb na wodach okupowanego terytorium. Żadnemu z sygnatariuszy tych umów nie przeszkadza, że podaje rękę okupantowi. U wybrzeży Sahary pływają statki z całego niemal świata. Ale najwięcej tych pod banderami krajów Unii Europejskiej, a w szczególności Hiszpanii. W 2014 roku Komisja Europejska wynegocjowała z Marokiem nową, wieloletnią koncesję na połów ryb na wodach, które dyplomatycznie i ogólnikowo, by nie tworzyć niepotrzebnego dyskomfortu

dla obu stron, nazwano „marokańskimi”. Nie sprecyzowano ich obszaru. Porozumienie zostało podpisane mimo tego, że do Parlamentu Europejskiego napłynęły setki apeli organizacji zajmujących się obroną praw człowieka oraz list podpisany przez ponad dziesięć tysięcy uchodźców z obozów wokół Tindufu. Kraje europejskie każdego roku zapłacą za prawa połowu ponad trzydzieści milionów euro. Do tego kolejne dziesięć milionów euro dołożą sami rybacy. Tylko ta suma przewyższa wartość pomocy humanitarnej udzielanej prawowitym właścicielom tych ryb mieszkającym w algierskich obozach.

Nikomu też nie przeszkadza fakt, że ogromna część warzyw i owoców, które kupujemy jako marokańskie, w rzeczywistości pochodzi z rejonu Sahary. Hektary pustyni, zwłaszcza w okolicach Dakhli, zostały zirygowane, pokryte szklarniami i zamienione w pola uprawne. Bo sezon wegetacyjny jest tutaj znacznie dłuższy niż w samym Maroku. Dziewięćdziesiąt pięć procent pomidorów, ogórków i melonów produkowanych na należących do króla farmach trafia na europejskie i rosyjskie stoły. Ale zanim wielkimi ciężarówkami dojadą do Europy, marokańskie służby opatrzą je kłamliwymi naklejkami „Product of Morocco”, a europejscy urzędnicy, tak zazwyczaj wyczuleni na wszelkie handlowe nadużycia, przymkną na tę lekką nieścisłość swoje uważne oko. Głównymi producentami tych owoców i warzyw są dwa koncerny francuskie: Idyl i Azura. Obydwa zatrudniają ponad dziesięć tysięcy pracowników. Tylko nieliczni z nich to Saharyjczycy. Na stronie pierwszej z tych firm w zakładce „etyka” można przeczytać: „Będąc źródłem innowacji i kreatywnej energii, różnorodność kulturowa jest kluczem do sukcesu międzynarodowej firmy. Oprócz realizacji podstawowych programów społecznych dbałość o rozwój każdego z nich przyczynia się do odpowiedzialnego zaangażowania firmy na rzecz równowagi społecznej, regionalnej i rynkowej”.

Nikt też nie waha się, gdy kupuje fosforyty pochodzące z kopalni w Bu Craa. Statki z całego świata ustawiają się w kolejce, by ich magazyny wypełniły się drogocennym minerałem. Szacuje się, że rocznie z portu w El Aaiúnie odpływa trzy miliony ton saharijskich fosforytów. Ale są to tylko szacunki organizacji zajmujących się monitorowaniem eksploatacji okupowanych terenów. Bo marokańska grupa kapitałowa OCP, właściciel kopalni, pierwszy światowy eksporter fosforytów i największe przedsiębiorstwo Maroka, zaniża wydobycie z Bu Craa, twierdząc, że pochodzi stamtąd jedynie kilka procent ogólnego wydobycia.

Już w 1974 roku, w przeddzień konfliktu, analitycy Banku Światowego mówili

o Saharze Zachodniej jako jednym z przyszłych najbogatszych krajów Afryki, biorąc pod uwagę bogate zasoby naturalne i niewielką liczbę ludności. Tymczasem zyski z handlu fosforami, z rolnictwa czy rybołówstwa, mimo zapewnień marokańskich władz, nie trafiają do Saharyjczyków. Większość z nich pozostaje bez pracy, bo nie są zatrudniani w przynoszących zyski sektorach gospodarki. By starczyło rąk do pracy, z Maroka ściągnięto setki tysięcy osadników, zapewniając preferencyjne warunki finansowe i ulgi podatkowe. W niektórych rejonach, jak na przykład w Dakhli, marokańskich osadników jest już pięć razy więcej niż samych Saharyjczyków. Saharyjczycy jest nawet trudno dostać koncesję na niewielką łódź rybacką. Ci mieszkający w okupowanych miastach mogą co najwyżej, w geście desperacji, wyjść na ulice z transparentami w rodzaju: KOSMOS GO HOME lub WE DON'T WANT YOU HERE i stać w milczeniu. Dopóki nie nadbiegną oddziały marokańskiej policji. Ci mieszkający w obozach mogą jeszcze mniej. Z odległości, odgrrodzeni murem i międzynarodowym, obojętnym prawem mogą tylko patrzeć, jak kradnie im się ich przyszłość.

W 2002 roku Rada Bezpieczeństwa ONZ wystosowała zapytanie do działu prawnego ONZ o legalność umów podpisywanych przez władze marokańskie z zachodnimi koncernami. Podsekretarz generalny ONZ do spraw prawnych Hans Corell wydał wtedy klarowną ekspertyzę prawną na temat eksploatacji zasobów naturalnych okupowanej Sahary Zachodniej. Sześciostronicowy raport kończy się zdaniem: „Wniosek jest taki, że o ile poszczególne umowy będące przedmiotem zapytania Rady Bezpieczeństwa nie są same w sobie niezgodne z prawem, o tyle, jeśli dalsze działania eksploatacyjne miałyby postępować z naruszeniem interesów i woli ludności Sahary Zachodniej, byłyby one traktowane jako sprzeczne z zasadami obowiązującego prawa międzynarodowego w dziedzinie eksploatacji zasobów naturalnych na terytoriach uznanych za niesamodzielne”. Ekspertyzę tę Hans Corell potwierdził jeszcze w 2015 roku. Strona marokańska oraz firmy zaangażowane w rabunkową eksploatację Sahary zinterpretowały jednak ten dokument jako akceptację swoich działań.

Tymczasem w latach 2007–2010 Maroko otrzymało od Unii Europejskiej 654 miliony euro pomocy. W trzech kolejnych latach następne 580 milionów. Średnia roczna pomoc dla Królestwa w ramach tak zwanej polityki sąsiedzkiej sięga blisko 200 milionów euro, co czyni Maroko największym beneficjentem funduszy Unii Europejskiej spośród krajów nieczłonkowskich. Jednocześnie jednym z głównych argumentów przeciw ewentualnemu włączeniu Maroka do Unii, podnoszonym

przez europejskich polityków, jest kwestia nieuregulowanego konfliktu o Saharę Zachodnią.

Co roku Unia Europejska sporządza zatem raport na temat Maroka. Jego głównym tematem są postępy marokańskich władz na polu poszanowania praw człowieka, wolności obywatelskich oraz wydawania pieniędzy z unijnej pomocy w ramach „polityki sąsiedzkiej”. Takie usprawiedliwienie, ukojenie wyrzutów sumienia, że reżim, któremu podajemy rękę, nie jest wcale tak okrutny, stara się, więc możemy z nim dalej robić interesy. W raporcie z 2014 roku, liczącym dwadzieścia trzy strony, słowa „Sahara Zachodnia” pojawiają się raz. W dokumencie z 2013 roku również raz. W raportach z lat 2012 i 2010 nie pojawiają się ani razu. W raporcie z 2011 roku, tuż po tym, gdy marokańskie władze brutalnie rozpędziły gigantyczną manifestację w Gdeim Izik, paląc tysiące namiotów i zabijając kilkanaście osób, użyto ich trzy razy, między innymi w takim zdaniu: „Na terytorium Sahary Zachodniej odnotowano przypadki naruszania wolności słowa, jak i demonstracje obrońców praw człowieka. Akty przemocy, do których doszło w El Aaiún w listopadzie 2010 roku, uznano za szczególnie niepokojące”. W raporcie z 2014 roku nie znajdziemy ani słowa o tym, że organizatorzy Gdeim Izik zostali postawieni przed sądem wojskowym i skazani na dożywocie oraz wieloletnie więzienia. Przedstawiciele unijnych komisji, którzy sporządzają te raporty, nigdy nie odwiedzają Sahary Zachodniej. Nie chcą i nie mogą. Najczęściej nie wyjeżdżają nawet poza Rabat.

Oddzielny raport, co dwa lata, sporządza Rada Europy, która w 2011 roku przyznała Maroku status Partnera dla Demokracji. W raporcie z 2013 roku słowa „Sahara Zachodnia” są użyte tylko raz w ogólnikowym stwierdzeniu wzywającym „wszystkie zainteresowane strony, jak również społeczność międzynarodową do zwiększenia wysiłków zmierzających do wypracowania trwałego, wzajemnie akceptowalnego rozwiązania kwestii Sahary Zachodniej w ramach wyznaczonych przez ONZ”. Autorem kolejnego raportu, który ukaże się w 2015 roku, będzie Polak, opozycjonista w czasach PRL, internowany podczas stanu wojennego, poseł na Sejm IV kadencji, a następnie poseł Parlamentu Europejskiego, minister obrony narodowej, senator VIII kadencji, Bogdan Klich. Na stronach polskiej ambasady w Maroku można przeczytać:

Marokańskie media donoszą, że podczas wizyty w Maroku sprawozdawca Komisji Spraw Politycznych i Demokracji Zgromadzenia Parlamentarnego

Rady Europy B. Klich przeprowadził rozmowy m.in. z: Mbarką Bouaidą – minister delegowaną przy szefie marokańskiej dyplomacji, Mohammedem Hassadem – ministrem spraw wewnętrznych, Anisem Birou – ministrem ds. Marokańczyków mieszkających za granicą i migracji, Mohammedem Cheikhem Biadillahem – przewodniczącym Izby Doradców (izba wyższa marokańskiego Parlamentu), przewodniczącymi i przedstawicielami grup parlamentarnych działających w Izbie Reprezentantów (izba niższa).

Tematem rozmów były m.in. relacje Maroka z Radą Europy, działania podejmowane przez Maroko na rzecz umocnienia demokracji i praw człowieka, implementacja nowej konstytucji, prawo do dostępu do informacji, sytuacja kobiet i ich rola w życiu politycznym, kwestie dotyczące dzieci, krajowa debata w sprawie ordynacji wyborczej, zaawansowana regionalizacja.

Według informacji mediów B. Klich podkreślał gotowość Rady Europy do zwiększenia wsparcia dla Maroka w różnych dziedzinach związanych z wdrażaniem zapisów konstytucji, demokracją, nadrzędnością prawa, - równouprawnieniem płci, wolnością prasy. Sprawozdawca poinformował też, że zamierza dokładnie zapoznać się z postępami odnotowanymi w zakresie demokratycznych instytucji i zbadać możliwości realizacji przyszłych programów w dziedzinie promocji demokracji.

Próbowałem umówić się na spotkanie z Bogdanem Klichem przez dwa miesiące. Ale za każdym razem słyszałem od wyrozumiałej i cierplivej sekretarki, że pan senator jest nieuchwytny. Nawet we wtorki, gdy ma dyżury w swoim krakowskim biurze. Domyślałem się, że Bogdan Klich nie miał czasu, a tym bardziej możliwości, by odwiedzić Saharę Zachodnią. Więc pomyślałem, że przyjdę z tą Saharą do niego. Wraz z przedstawicielem Frontu POLISARIO, któremu większość polskich polityków odmawia spotkania. Pokażę mu tę Saharę, poopowiadam. Bo może Bogdan Klich nie wie, może przeoczył. Lub zapomniał?

*

– Kiedy znów przyjedziesz? – pyta mnie dziesięcioletni Ahmed, syn Hamidy. Wchodzimy właśnie na pagórek szumnie nazywany Wzgórzem Wilków, znajdujący się gdzieś na północnych rubieżach obozu. Ponoć kiedyś żyły tu wilki, teraz tylko hordy bezpańskich, wygłodniałych psów.

– We wrześniu, może w październiku – odpowiadam, patrząc na obóz okryty niezwykłym fioletowym, wieczornym światłem.

– Szkoda. Bo tu już będzie wojna. Widziałeś kiedyś wojnę?

– Nie i chyba nie chcę. A ty?

– A ja bym chciał. Będą latać samoloty! A potem wrócimy do domu.

Wszyscy mówią o wojnie. Niektórzy dodają: „Inszallah”, jeśli Bóg da. Mimo że skończyła się w 1991 roku, to jest stale i niezmiennie obecna w domach, w namiotach, w rozmowach. Towarzyszy nawet tym najmłodszym, którzy nie mają o niej żadnego pojęcia. Przypomina o sobie na każdym kroku. Ahmed któregoś dnia pokazuje mi ciekawostkę. Z dachu przydomowej toalety zdejmuje ciężki, brzęczący jakimś zardzewiałym żelastwem tobolek. Niesiemy go na wydnię, on rozwija go bez najmniejszej ekscytacji. Z szarej szmaty wysypują się na piasek dziesiątki karabinowych łusek, takich od kałasznikowa, takich od ciężkich karabinów maszynowych. W obozowych szkołach historia Sahary nauczana jest od samego początku, od szóstego roku życia. W podręczniku Ahmeda znajduję nawet zdjęcia z ulic okupowanego El Aaiúnu. Każdy dzieciak, nawet pięciolatek z gilem do pasa, powie ci, że jest z Frontu POLISARIO, i pokaże w twoją stronę znak wiktorii.



© Bartek Sabela

Zadaję to pytanie wszystkim, z którymi rozmawiam. Pytam Na'anę Labbat El-Rachid, poetkę, której życiorys streszczają słowa jednego z jej wierszy: „Le jour de mon anniversaire / Coïncide avec l'invasion marocaine / du Sahara Occidental / Et ma vie est consacré au service / De mon pays spolié” (Dzień moich urodzin / Zbiega się z inwazją marokańską / na Saharę Zachodnią / Poświęcam więc życie służbie / Mojemu skradzionemu krajowi). Na'ana jest pierwszą Saharyjką, której poezja została wydana. Premiera jej tomiku odbyła się w Bibliotece Narodowej w Algierze.

– Jestem pewna, że wojna wróci – odpowiada, siedząc naprzeciw mnie w żółtej, bajecznie wzorzystej melhfię w skromnym pokoju obozowego wydawnictwa – nie mam żadnych wątpliwości co do tego. Rozumiem młodych, którzy chcą powrotu do wojny. Próbują nawet przekonać do tego pomysłu nasz rząd. Trudno się dziwić, nie można tak tkwić w miejscu. Wszyscy kochają pokój, wiadomo, ale dalsze pozostawanie w obecnej sytuacji doprowadzi do śmierci naszego narodu. Jeśli wojna ma być jedynym rozwiązaniem, to trzeba się na nią zdecydować. Pokój jest tak naprawdę korzystny dla Maroka, nie dla nas. Oni mają czas, by łupić zasoby naturalne naszego kraju. Ja, jako kobieta, jako intelektualistka, tak bardzo bym chciała, by wojna znów wybuchła. Ponad dwadzieścia lat dyplomatycznych zabaw nie doprowadziło nas nigdzie. To droga donikąd, z założenia. Maroko nie zgodzi się na żaden kompromis, a referendum to mrzonka. Prawo międzynarodowe, któremu zaufaliśmy, jest stworzone dla światowych mocarstw, by pilnować ich interesów, nie jest stworzone dla małych narodów. Amerykanie dobrze wiedzą, co to prawa człowieka, ale tylko kiedy dotyczą ich kraju. Poza Ameryką prawa człowieka dla nich już nie istnieją. Podobnie Europejczycy! Chętnie mówią o prawie międzynarodowym, ale jakoś nie przeszkadza im to łowić ryb na naszych wodach. Nie uznają okupacji Sahary, ale nie mają moralnego dylematu, by czerpać z niej zyski. Tak samo jak jestem pewna tego, że odzyskamy wolność, jestem również pewna, że wojna wróci.

Pytam również Zeina Mohammeda. Zein ma czterdzieści lat i właśnie został wybrany na przewodniczącego UJSARIO (Unión de la Juventud de Saguia el Hamra y Río de Oro, Związek Młodzieży Saguia el Hamra i Rio de Oro), organizacji zrzeszającej i reprezentującej młodych ludzi. UJSARIO ma swoje małe centra w każdej dairze, w każdym obozie. Organizuje programy dydaktyczne, kursy językowe, szkolenia i pomoc dla młodych ludzi. Do UJSARIO może wstąpić każdy w wieku od osiemnastu do czterdziestu pięciu lat. Ale UJSARIO to także

organizacja polityczna, będąca częścią Frontu POLISARIO.

– My tu prowadzimy wewnętrzną walkę, być może cięższą niż wojna z Marokiem. I wygrywamy ją. Jakby się zastanović, to tu są idealne warunki do tego, by kwitła narkomania, alkoholizm, AIDS, przestępczość. A jednak te problemy w obozach praktycznie nie istnieją. I najważniejsze: udaje się ludzi trzymać z dala od terroryzmu, fundamentalizmu religijnego, a przecież okoliczności sprzyjają. Wojna dla nas, żyjących w obozach, przyjęła inny wymiar, to wojna o utrzymanie naszej kultury, naszych wartości, naszej tożsamości narodowej. Wiem, że większość osób, zwłaszcza młodych, chce powrotu do wojny. Widzą ją jako jedyne rozwiązanie obecnej sytuacji. My jako organizacja reprezentująca młodzież, ale również jako ludzie nią kierujący, dobrze wiemy dlaczego. Ale wiemy również, lepiej niż oni, dlaczego nie. Ale jeśli chcesz znać moją opinię... Jeśli spytasz mnie jako działacza UJSARIO, odpowiem ci: nie. Ale jeśli mam odpowiedzieć jako osoba prywatna: tak, ja też jestem za wojną.

Pytam też Castro. Niewielu zna jego prawdziwe imię. Wszyscy mówią na niego Castro, tak się utarło. Castro był partyzantem Frontu do 1982 roku. Ale po latach walki odłożył broń i przyjechał do obozów. Przez lata studiował książki medyczne i uczył się od lekarzy przyjeżdżających do obozów. W 1996 roku stworzył swoją niewielką klinikę w obozie Smara, zapewniając opiekę zdrowotną tysiącom ludzi. Kilka lat później obok kliniki wybudował również szkołę. Dla niepełnosprawnych dzieci. Wtedy pierwszą w obozach. Siedzę z Castro w jego małym pokoiku, którego ściany wypełnione są zdjęciami podopiecznych oraz wycinkami z gazet, głównie hiszpańskich.

– Mamy kierownictwo polityczne, prezydenta, ministrów, osoby, które są odpowiedzialne za te sprawy. Ja mam do nich zaufanie. Oni są od tego, by podejmować strategiczne decyzje, bo mają wiedzę i doświadczenie, którego nam brakuje. Moją pracą są dzieci, ich zdrowie i edukacja, nie polityka, nie wojny. Dzieci. Od polityki mamy cały sztab ludzi, niech wykonują swoją pracę, niech podejmują decyzje. Idziemy na wojnę albo nie idziemy na wojnę. To kwestia zaufania do władz naszego państwa. Ja im ufam. Ufam mojemu państwu, ufam wybranym przez nas ludziom. I nie jestem w tym osamotniony. Mamy tego samego prezydenta od 1976 roku, może się to wydawać dziwne. Ale my go wybieramy. On nie jest dyktatorem. Jest naszym przywódcą. Znasz drugie takie państwo, w którym obywatele ufają swoim politykom? Ale jeśli chcesz znać moje prywatne zdanie, to tak, uważam, że najlepszym rozwiązaniem jest powrót do wojny. Wojna to zawsze

zło, wszyscy o tym wiemy. Zło i dla nas, i dla naszych wrogów. Bez wątpienia. Tylko co mamy zrobić? Niestety, doświadczenie naszego narodu uczy, że wolność zdobywa się siłą, nie negocjacjami. Ile można negocjować? Ile? Do kiedy będziemy tu siedzieć i czekać? Nikt wolności nie da nam w prezencie. Ja nie jestem, nigdy nie byłem, politykiem. Jestem lekarzem, choć bez dyplomu. Ratuje życie, a nie je odbieram. Ale w naszej sytuacji, ze smutkiem muszę to stwierdzić, powrót do wojny byłby dla nas najlepszym wyjściem. Większość ludzi w obozach, mężczyźni, kobiety, zwłaszcza młodzi, pragnie wojny, czeka na nią z utęsknieniem i jakby mogła, to dziś chwyciłaby za broń. To samo na Terytoriach Okupowanych. Naturą Saharyjczyków jest wojna. My jeszcze sześćdziesiąt lat temu byliśmy nomadami. Nasze plemiona cały czas toczyły wojny, to była nasza rzeczywistość, nasza codzienność. Gdy biliśmy się z Marokiem, to wygrywaliśmy, bo walczyliśmy w słusznej sprawie. Mieszkamy w tych obozach czterdzieści lat. To już drugie pokolenie. Spójrz na moją córkę, ona urodziła się i wychowała w obozach, w tej potwornej nędzy, brudzie i syfie. Nie zna innego świata. Nie wie, jak może wyglądać normalne życie. Tak jak całe jej pokolenie. Jakie to będzie miało znaczenie dla ich mentalności?

Pytania o wojnę zadają również na Terytoriach Okupowanych. Tak odpowiada na nie Hamza Lakhal, który właśnie zaczął wymarzone studia na uniwersytecie w Agadirze.

– Tu nie chodzi o to, czy wojna jest wyjściem czy nie. Tu chodzi o to, co musimy zrobić, do czego zmuszają nas okoliczności. Ale moim zdaniem to nie jest czas na powrót do wojny. Z wielu względów. Ta wojna byłaby nie na rękę światowym mocarstwom, nie dopuściłyby do niej, próbowałyby ją zdusić, byłyby po stronie Maroka. Jednocześnie sądzę, że 2015 rok przyniesie pewne znaczące zmiany. Nie mówię o niepodległości. Ale o zmianach. Ale jeśli dyplomacja nie przyniesie wkrótce rozwiązania, to tak, sądzę, że wojna jest nieunikniona. Przynajmniej coś drgnie. Może zwróci uwagę świata?

Brat Hamzy, Malainin Lakhal, mówi tak:

– Oczywiście wojna nie jest wyjściem. Spowoduje ogromne problemy w rejonie, w którym i tak jest ich sporo. Ja mam wrażenie, że to Maroko pcha w kierunku wojny, konflikt jest im na rękę. W ten sposób to Maroko zyskałoby duże międzynarodowe poparcie, nie my. Ja wierzę w pokojowe działania, takie jakie doprowadziły do upadku apartheidu. Uważam, że nadal jest szansa na zwycięstwo bez rozlewu krwi, jeśli dobrze poprowadzimy nasze działania. Te dyplomatyczne,

te związane z eksploatacją zasobów naturalnych i gwałceniem praw człowieka. Nazywamy to polityką pokojowego oporu. Przez swoje działania pokazujemy prawdziwą stronę marokańskiego reżimu i dyskredytujemy go w oczach międzynarodowej opinii. To trudna walka, wymaga precyzyjnego planu i koordynacji działań. Ale ta polityka, którą prowadzimy od wielu lat, przynosi rezultaty. Myślę, że niewiele brakuje, by nasz kraj został uznany przez Szwecję. Również przez Islandię i Brazylię. Jedynym celem wojny jest zmusić drugą stronę do negocjacji, do uznania warunków. Ale to jest możliwe bez powrotu do wojny. Nasze władze są teraz w bardzo trudnej sytuacji, narasta presja i oczekiwania ze strony społeczeństwa. Nie mogą tego dłużej ignorować. Ale wiedzą też, że nie mogą się zdecydować na wojnę. Trudno przewidzieć przebieg i rezultat takiego konfliktu. To wcale nie jest takie pewne, że raz rozpalony ogień da się ugasić.

Ale wątpliwości dotyczące ewentualnej wojny słyszę rzadko. Pytam kobiet, mężczyzn, starszych i młodszych, tych, którzy wojnę znają dobrze, i tych, którzy nie mają o niej pojęcia. I słyszę te same odpowiedzi. Pytam tych mieszkających w obozach i tych w okupowanych miastach oraz tych mieszkających w Europie, jak Mahjub Mohammed Dekka, do niedawna przedstawiciel Frontu POLISARIO w Polsce. Jest jednym z trzech Saharyjczyków żyjących w naszym kraju. Jego rodzina mieszka w Hiszpanii, rodzice pozostają w algierskich obozach. Mahjub przyjmuje mnie w swoim małym mieszkaniu, wynajmowanym w jednym z bloków osiedla Za Żelazną Bramą w centrum Warszawy. Ten lokal na dziesiątym czy dwunastym piętrze to nie tylko mieszkanie, to placówka dyplomatyczna, od września 2012 roku nieoficjalna ambasada Saharyjskiej Republiki w Polsce. Przez cały okres swojej działalności Mahjub próbował wszelkich sposobów, by dotrzeć do polskich polityków, działaczy, organizacji. Wysyłał pisma do komisji sejmowych i senackich, rozdawał broszury informacyjne w sekretariatach parlamentu, odwiedzał biura partii politycznych, próbował się spotkać z osobami odpowiedzialnymi za politykę zagraniczną i obronę praw człowieka. Sprawą swojego kraju starał się również zainteresować media. Nigdy nie dostał żadnej odpowiedzi na swoje pisma. Przez dwa lata tylko jeden polityk, senator Maciej Grubski, wyraził zgodę na spotkanie z Mahjubem.

– Całe prawo jest po naszej stronie. Wszystkie argumenty przemawiają za tym, by powrócić do wojny. Zgodziliśmy się na zawieszenie broni, bo obiecano nam referendum. Nie dlatego, by dać oenzetowską przykrywkę dla marokańskiej okupacji. Jeśli nie będzie referendum, to będzie wojna. Polityka pokojowego oporu,

którą stosujemy od kilkunastu lat, miałyby sens, gdyby MINURSO miała mandat do monitorowania praw człowieka, tak jak na przykład w Timorze Wschodnim. Inaczej pozostaje tylko wojna. I ja tej wojny chcę całym sercem. Najwyżej umrzemy z godnością. Bo co mamy do stracenia? Nie mając kraju, nie mamy nic.

Po chwili dodaje z nieukrywanym żalem:

– Polscy politycy nie przywiązują większej wagi do spraw Afryki. Nie przejawiają też większego zainteresowania tym, gdzie trafiają pieniądze unijnych programów pomocowych, pieniądze, na które zrzucają się przecież także polscy obywatele. Wasz kraj nie prowadzi polityki międzynarodowej wobec krajów afrykańskich. Pozostawia ją w gestii innych państw Unii, najczęściej Francji. Bo Afryka, zwłaszcza północna, to francuska strefa interesów. Mam nieodparte wrażenie, że większość polskich polityków zapomniała już historię swojego własnego kraju.

Reprezentacja Frontu POLISARIO w Polsce została bezterminowo zamknięta z powodu braku finansowania i nikłych perspektyw na współpracę z polskimi elitami politycznymi i organizacjami pozarządowymi. Mahjub Dekka został odwołany ze swojego stanowiska z początkiem 2015 roku.

W języku arabskim są pewne dwa słowa o tak podobnym brzmieniu, że niektórzy dopatrują się nawet wspólnego źródłosłowu: „insan” i „nisjan”. Pierwsze znaczy „człowiek”. Saharyjczycy mówią, że wywodzi się od tego drugiego, które oznacza „zapomnienie”.

Chcę mu zrobić zdjęcie. Proszę go, by założył swój brązowy silham. On siada na dywanie, pośrodku zupełnie pustego pokoju. Jest w nim niewielkie okno wypełnione kolorowym szkłem. Napełnia wnętrze ciepłym, mistycznym, niemal boskim światłem. Hamida patrzy na nie, unosi siwą głowę lekko do góry, daje mu się otulić, ogrzać. W tej chwili jest w nim wszystko to, czego potrzeba. I to, czym jest jego niewielki naród.

– Wojna to wstyd dla człowieka. Ale tym razem to będzie krótka wojna. Potrwa nie dłużej niż tydzień. W czterdziestym dniu twojego życia, gdy jeszcze jesteś w brzuchu matki, przychodzą do ciebie cztery anioły i zapisują twoje losy. Czy pójdziesz do nieba, czy do piekła, czy będziesz bogaty i kiedy umrzesz. Wszyscy wiemy, że umrzemy, ale nie wiemy kiedy. A to jest już spisane, anioł Azrael strzeże księgi, w której są imiona wszystkich ludzi. Tych, którzy żyli, żyją, i nawet tych, którzy się jeszcze nie narodzili. Gdy będziesz umierał, będziesz sam. I wtedy ponownie przyjdzie do ciebie Azrael, usiądzie ci na ramieniu i zabierze twoje życie. Mówią, że trzecia szklanka naszej herbaty jest łagodna jak śmierć. Ale to nieprawda. Śmierć nie jest łagodna. Nie jest miękka ani słodka. Śmierć to ogromny ból, zwłaszcza gdy przychodzi powoli. To tak, jakby twoje ciało zostało przeszyte siedemdziesięcioma szablami. Jedna po drugiej. Siedemdziesiąt razy.

Kościelisko, marzec 2015

Bibliografia

Książki:

- Barbier Maurice, *Le conflit du Sahara Occidental*, Paris 1982
- Beristain Carlos Martín, González Hidalgo Eloísa, *El Oasis de la Memoria*, Bilbao 2009
- Boisha Limam, *Ritos de Jaima*, Madrit 2012
- Brecher Michael, Wilkenfeld Jonathan, *A Study of Crisis*, Ann Arbor 1997
- Graciet Catherine, Laurent Éric, *Le Roi prédateur. Main Basse sur le Maroc*, Paris 2012
- Hodges Tony, *Western Sahara: The Roots of a Desert War*, Westport 1983
- Jensen Erik, *Western Sahara: Anatomy of a Stalemate*, Boulder–London 2011
- Kosidło Adam, *Sahara Zachodnia. Fiasko dekolonizacji czy sukces podboju? 1975–2011*, Gdańsk 2012
- Perrault Gilles, *Notre ami le roi*, Paris 1992
- San Martín Pablo, *Western Sahara: The Refugee Nation*, Cardiff 2010
- Shelley Toby, *Endgame in the Western Sahara: What Future for Africa's Last Colony?*, New York–London 2004
- Zunes Tony, Mundy Jacob, *Western Sahara: War, Nationalism, and Conflict Irresolution*, Syracuse 2010

Źródła internetowe:

- <http://adalauk.org/>
- <http://afapredesa.blogspot.com/>
- <http://assembly.coe.int/nw/Home-EN.asp>
- <http://diasporasaharai.blogspot.com/>
- http://eeas.europa.eu/enp/documents/progress-reports/index_en.htm
- <http://foreignpolicy.com/2012/10/08/the-reform-of-the-king/>
- http://minerals.usgs.gov/minerals/pubs/commodity/phosphate_rock/mcs-2015-phosp.pdf
- <http://minurso.unmissions.org/Default.aspx?tabid=9873&language=en-US>
- <http://removethewall.org/>
- <http://rfkcenter.org>
- <http://www.arso.org/>
- <http://www.codesaso.com/es/>
- <http://www.emsahara.com/>
- <http://www.fishelsewhere.eu/>
- <http://www.forcedmigration.org/research-resources/expert-guides/western-sahara/fmo035.pdf>
- <http://www.forcesdz.com/forum/viewtopic.php?f=37&t=1007>
- http://www.hrw.org/search/apachesolr_search/western%20sahara
- http://www.jeuneafrique.com/Article/ARTJAWEB20101106_114203/
- <http://www.jeuneafrique.com/Articles/Dossier/ARTJAJA2577p022-030.xml4/front-polisario-ralliement-rasd-sahara-occidentalque-sont-ils-devenus.html>

<http://www.middleeasteye.net/columns/moroccos-king-poor-389544184>
<http://www.ohchr.org/EN/HRBODIES/HRC/REGULARSESSIONS/Pages/RegularSessions.aspx>
<http://www.saharawivoice.com/>
<http://www.spsrasd.info/>
<http://www.theguardian.com/world/2001/nov/04/gilestremlett.theobserver>
<http://www.un.org/en/peacekeeping/missions/minurso/>
<http://www.wsrw.org/>
<https://aoav.org.uk/?s=western+sahra>
<https://saharadoc.wordpress.com/>
<https://www.amnesty.org>
<https://www.wsws.org/en/articles/1999/07/hass-j28.html>
<https://www.youtube.com/watch?v=9eFvy2mdSZ4>
<https://www.youtube.com/watch?v=vUIybWsYx-I>
<https://www.youtube.com/watch?v=zOwTkXTOS-400>

Podziękowania

Wszystkie ziarna piasku nie powstałyby, gdyby nie szereg życzliwych osób. Nie sposób wymienić wszystkich tych, którzy pomogli rozmową, uczynkiem, radą.

Szczególne podziękowania kieruję do braci Lakhalów: Hamzy, Malaina, Abdelhaya i Brahima – za zaangażowanie i przyjaźń w okupowanym mieście, bez względu na ryzyko. I za dobrą muzykę o każdej porze dnia.

Dziękuję mieszkańcom obozów uchodźców, wszystkim tym, którzy gościli mnie w swoich domach i namiotach, z którymi miałem okazję wypić szklanek herbaty. A w szczególności tym kilku przyjaciołom:

Hamidzie Abdullahowi – za dom, w którym czułem się jak u siebie, za wieczory wypełnione opowieściami, za mądrość i wiarę. I za najlepszą tortillę w obozach.

Abdeslamowi Omarowi Lahsenowi – za pomoc w dotarciu do poszczególnych osób, niezwykle poczucie humoru i gościnę w skromnych progach AFAPREDESA.

Mohammedowi Mouludowi – za udostępnienie zdjęć z czasów wojny i długie rozmowy o fotografii.

Mohammedowi Dchira – za udostępnienie zdjęć z demonstracji w El Aaiúnie.

Mahjubowi Dekka – za wsparcie z ramienia Frontu POLISARIO i pomoc w organizacji kolejnych podróży. A przede wszystkim za telefon w środku nocy, od którego wszystko się zaczęło.

Dziękuję też członkom organizacji pracujących w obozach oraz na Terytoriach Okupowanych: AFAPREDESA, Equipe Media, Muzeum Wojny w Rabuni, Ministerstwa Informacji, RASD TV, Casa de la Presidencia w Rabuni (w szczególności Harbushowi i Hatriemu), pracownikom i kierownikom PROTOCOLO w obozach Rabuni i Smara.

Dziękuję również Tomkowi Zającowi – za świetną redakcję i cierpliwość w przedzieraniu się przez setki faktów, dat, miejsc i nazwisk.

Wyjątkowe podziękowania ślę w stronę:

Renaty Koper – za cenne uwagi i pierwsze czytanie moich tekstów. Za odwagę, by pojechać ze mną na Saharę w lipcu. I za kilka drobiazgów, które podróżowały zawsze ze mną.

Oli, Søren i Rodziców – za bezgraniczne wsparcie, cierpliwość i akceptację moich pomysłów.

Przypisy

[1] Z wiatru przybywasz / I w wiatr odchodzisz / Obcy jak ulotne ziarno piasku.

[2] W czasach hiszpańskich miasto nazywało się Villa Cisneros.

[3] Przekład Hanny Janowskiej.

[4] Sahara, / Bracia moi, / się nie sprzedaje.

[5] A. Camus, *Zaślubiny. Lato*, przeł. M. Leśniewska, Kraków 1981.

[6] Jeśli śmierć niesie ciebie... niesie także i mnie, / Bo jestem na ścieżce życia razem z tobą.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.

www.czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice

tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75

mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl

dominik@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl, edyta@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa,

tel./fax +48 22 621 10 48

agnieszka@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl

zofia@czarne.com.pl, marcjanna@czarne.com.pl

Dział marketingu: honorata@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: piotr.baginski@czarne.com.pl

agnieszka.wilczak@czarne.com.pl, urszula@czarne.com.pl

Audiobooki i e-booki: anna@czarne.com.pl

Skład: d2d.pl

ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków, tel. +48 12 432 08 52,

info@d2d.pl

Wołowiec 2015

Wydanie I